

**Wojciech Bauer**

**Ayantiall**

*Agatce*

## CZEŚĆ PIERWSZA

### NADZIEJA

Czuję się nieswojo, gdy kreślę pierwsze znaki na tym delikatnie wyprawionym płachetku skóry i naruszam dziewiczość sterty, którą złożył przede mną brat służebny, Dedhi-ver. Nikt nigdy nie prowadził zapisków ze swego życia nie przeżywszy go jeszcze. Tylko obowiązki skrybów Bractwa obejmują tę nieuprawianą dziedzinę, oni świadczą o minionej historii mego ludu kreskami hieratycznego pisma. Nie potrafię jasno określić, skąd wzięła się potrzeba przelewania upływającego czasu w martwą literę słowa – jeszcze nie wiem, czy wart będzie utrwalenia. Chyba jedynie natchnieniem płynącym z Tajemnic Pierwszych mogę wytłumaczyć niewzruszoną pewnością wielkości przyszłych wydarzeń. Dostałem bowiem kolejnego wtajemniczenia zaraz po tym, jak czcigodny Nua-nem-Diie, umierając, przekazał mi swe ostatnie słowa. Właśnie do mnie, zwykłego Geue, co ma obowiązek umrzeć lub zabić, Pierwszy Bractwa, samotny, już w przejściu na drugą stronę, skierował ostatnią wolę. Czy zrobił to świadomie? Czy wiedział, że tym trudniej będzie mi ją wypełnić? Czy też może rozpaczliwie uczeplił się, w przedśmiertnym przeblasku świadomości, jedynej już okazji, bowiem to ja byłem tym, który miał mu zamknąć oczy na zawsze, kiedy umierał, mając – zgodnie z tradycją eneików – szarego brata za litościwy palec Trorr-uda? Tego nie dowiem się nigdy. Nawet Pismo – bo tknięty niepewnością wertowałem je kilkakrotnie – nawet ta nieomylna wyrocznia naszych losów milczy na mój temat. Czyżbym był zbyt mało ważnym pyłkiem w lawinie, która toczy się przez Loin? Tak niewiele znaczy dla losów Irgów obowiązek odzyskania Yorvilla, którego wybrany To-sar-Diie poświęcił, by pokonać Moc? Czas pokaże, czy to wyrocznia nie dostrzegła w swej niezgłębionej perspektywie ważności nadchodzących spraw, czy też ja, mały eneika, przeceniam ich wagę, jako że dzieć się mają wokół mnie...

*Będę pisać. Niech zostanie ślad mojego czasu, bo czułem jego wielkość w sali Tajemnic Pierwszych. Spłynęła na mnie z blasku świętego ognia, a z nią wizja możliwej klęski. Boję się myśleć, że mojej, jeszcze bardziej – że może to być klęska dążeń mojego ludu, przekazywanych wszak z pokolenia na pokolenie, niemal stanowiących cechę dziedziczną. Więcej – nie wolno mi tak myśleć, jestem przecież Niezwyciężony, jestem Tym, Który Otwiera Drogę do Oll-hirr, jestem Geue. Tajemnica nie otwarła się przede mną w pełni, nie wiem, co przyniesie przyszłość. To*

pozwała mieć nadzieję.

*Wyruszam jutro. Czas ku temu niesposobny, nadchodzi Trill. Któż z walów będzie zawracać sobie teraz głowę żdaniami jakiegoś ene – iki? Oni żyją świętem przekazania władzy, tym goręcej, że tak niezwykle: oto boski Itijasti odda tron Iserii rodowi Rotha. Jak rodacy ocenią jego samozwańcze rządy, narzucenie własnego kultu w miejsce bogów z prehistorii? Pamięć nie jest doskonała: widzi jedynie to, co znaczy najbliższą przeszłość. Lekceważy największe nawet czyny, gdy przesłoni je czas. Stary ród Jasti, mimo niesławnej śmierci swego patriarchy, nie podda się łatwo. To silny i wpływowy ród, o tradycji sięgającej czasów Świętej Wędrowki walów. Czy można przypuszczać, że bez walki pozwoli się teraz obalić samozwańczemu księciu? Zwłaszcza że zagrożenie jest realne: Itijasti ma troje dzieci, z których każde ma prawo przedłużenia dynastii Synów Żółtego Słońca...*

*Jednak muszę iść. Może właśnie z wymienionych powodów. Kto wie, jak wydarzenia wśród Iserów zmienią ideę mojego posłannictwa. To przecież Itijasti, gdy był jeszcze pariasem w swoim narodzie, przyrzekł To-sarowi zwrot Yowilla. Otrzymał go jedynie na mocy powiernictwa dla brata kiseta, Kirvi-ginna. Itijasti silny, Itijasti w pełni władzy i chwale swych czynów łatwiej może zdobyć się na wspaniałomyślny gest, na odruch szlachetnej prawości. Przywilejem wielkich jest dotrzymywanie przyrzeczeń. Choć prawem jest także ich łamanie... Łatwiej jednak zwracać się do kogoś, komu spełnienie żądania przysporzy chwały niewielkim kosztem. Upadli stają się mali. Do czego zdolny może być dzisiaj Itijasti, do tego jutro nie przyzna się jego ród. Dlatego muszę iść, aby czas nie odebrał mi szansy.*

\*

Śnieg prószył gęsto, wielkimi płatkami. Pokrywał świeżą warstwą wydeptane wśród kopnych zasp ścieżki na dziedzińcu, jakby pedantyczna natura chciała ukryć ślady skalania ledwie co opadłej bieli. Było cicho, żaden powiew nie podrywał płatków do niespokojnego tańca. Tylko na obrzeżach dziedzińca, gdzie równym kręgiem tkwiły w żelaznych uchwytach płonące pochodnie, załamywał się niespieszny pochód śnieżynek ku ziemi. Drżące ciepłem powietrze nad ogniem wciągało je, ocalałe od żaru, by po chwili ponownie pozwolić na samobójczy lot nad płomienie, gdzie zmieniały się w parę.

Hennasti lubił śnieg. Lubiał też ciemność. Może dlatego, że nie miał dotąd okazji, by polubić coś innego. Jak daleko sięgał wstecz pamięcią swego niespełna trzy kari trwającego życia, zawsze wokół były ciemność i śnieg. Czasem tylko mgliste wspomnienie podsuwało obraz

zółknącej zieleni drzew i zasłanego zbrązowiałymi liśćmi simalu ogrodu. Tak, wiedział doskonale, że mróz i śnieg ustąpią w końcu przed promieniami Rotha, jednak myśl o tym nie sprawiała mu radości, raczej napawała smutkiem i lękiem. Pocieszał się w głębi serca, że zanim to nastąpi, jeszcze długo będzie radować się widokiem bieli. Jeszcze długo niebo nad głową będą rozświetlać jedynie gwiazdy i owe jasne kulki złota i czerwieni, które na przemian przemierzają nieboskłon i dzielą jednaką ciemność na pory dnia i nocy. Z czasem czerwony promyk pocznie rosnać, aż niepostrzeżenie zawładnie dniem Tui na dobre i odda ukochany mrok porze snu. Gdy to nastąpi, Hennasti będzie już dojrzałym mężczyzną. Wejdzie w wiek, kiedy siła umysłu i autorytet starości stają się orężem w miejsce mięśni i miecza. Tak to sobie wyobrażał. Z młodzieńczym przekonaniem zaliczał wszystkich, którzy mieli więcej niż pięć kari za sobą, jeśli nie do starców, to już na pewno do tych, którym do starości bliżej niż do dzieciństwa. Z przekonaniem godził to przeświadczenie z faktem, że dopiero wówczas wolno mu będzie posiąść kobietę i dać rodowi potomków.

Na murach nawoływały się strażę. Irvion drzemało w sennym bezruchu zimowania, bezpieczne i ciche, jakby nic nie miało się stać do końca przełomu. A przecież już tylko pięć dni zostało do najważniejszego wydarzenia tego okresu, wydarzenia, od którego zależą losy Iserii na przeciąg czerwonego zuaru. Za pięć dni na dziedzińcu jego ojciec złoży władzę i wysłucha osądu swego czasu. Wolni jeźdźcy wydadzą wyrok, a potem opuszczony tron zajmie regent spod znaku Rotha. Nieskażona wyobraźnia chłopca nie dopuszczała innego rozwiązania niż to, że święto Trill będzie dniem chwały. Przecież to ojciec, wielki Itijasti, ocalił kraj i całe Przedgórze przed Mocą tomów, to dzięki niemu szczyła na zawsze. Wszak to ten sam lud, którego miecze oceniały czyny władcy, stawiał posąg ojca w świątyni, w miejsce rozbitego wizerunku bogini Mau. Nie można źle osądzać boga.

Za murami warowni, na tle ośnieżonego zbocza wzniesienia, zamigotała iskra pochodni. Hennasti wychylił się z okna wieży i skierował wzrok ku świetlistemu punktowi. Ktoś podążał w kierunku stolicy, brnąc przez zasy na gościńcu. Chłopiec poczuł dreszcz emocji. Każda wizyta w okresie przełomu miała swoją wagę; nie znalazło się wielu takich, co dla czystej chęci towarzyskich odwiedzin naraziliby się na niebezpieczeństwo podróży.

Nadjeżdżający zbliżali się szybko. Można już było policzyć sylwetki jeźdźców: cztery małe figurki z pochodniami w dłoniach. Wyglądali jak ruchome plamki czerni, zwieńczone kroplą ognia, na białej płaszczyźnie podzamcza. Hennastiego paliła ciekawość. Gdyby mógł,

przeniósłby przybyszów wprost do sali przyjęć, by chłonąc każde słowo, wysłuchać ich relacji z egzotycznych krain. Dla zamkniętego od dnia urodzin w murach Irvion pasjonująca była każda wieść z zewnątrz. Wiedział jednak, że długo jeszcze przyjdzie mu czekać na choćby okruszek słowa podróży, a może się zdarzyć, że nie dowie się niczego. Nie wszystkie nowiny przeznaczone są dla uszu dorastającego chłopca.

Jeźdźcy zniknęli za zrębem murów. Po dłuższej chwili hurkot łańcuchów zwodzonego mostu oznajmił ich prawo wstępu na teren warowni. Wjeżdżali na dziedziniec jeden za drugim, okutani w futrzaste oponcze, pod którymi ledwie można było dostrzec zarysy sylwetek. Wyglądali jak ośnieżone kopce zmiętoszonych skór, w niepojęty sposób wprowadzone w ruch i buchające kłębami pary w rytm oddechów jeźdźców i zwierząt.

Pojawiła się służba. Jeźdźcy zeskoczyli z siodeł i nie troszcząc się o kisety, ruszyli w stronę siedziby księcia. Hennasti patrzył jeszcze przez chwilę na szamoczących się ze zwierzętami stajennych, a potem, przypomniawszy sobie o najważniejszym, zbiegł po schodach na dół i popędził do sali przyjęć.

Nie zdążył. Drzwi były zamknięte, zaś strażnik łagodnie, lecz stanowczo, zastawił mu drogę piką.

– Przepuść! Muszę rozmawiać z ojcem! – spróbował użyć swego autorytetu, chociaż nie miał nadziei, że gwardzista da się nabrać.

– Księżę przyjmuje posłańców – żołnierz nawet nie drgnął. Dobrze wiedział, w którym miejscu kończy się władza tego zacietrzewionego wyrostka.

Ze złością ustąpił. Idąc z powrotem, wyrzucał sobie, że gdyby nie gapił się tak długo na wjazd rycerzy, siedziałby teraz pod stołem lub za kotarą w sali przyjęć i słuchał nowin z wielkiego świata. A tak będzie musiał zadowolić się mizernymi resztkami, które zechcą mu przekazać ci, którym było wolno przekroczyć ów próg. Miał cichą pretensję do ojca, że nie docenia jego dorosłości. Czuł się na tyle dojrzały, że – jak niezachwianie wierzył – żadna ze spraw księstwa nie powinna toczyć się poza nim. Przecież już niedługo właśnie on obejmie przywództwo rodu, będą go tytułować lordem i traktować z szacunkiem należnym patriarsze rodziny władców złotego zuaru. Z jego krwi lub z krwi jego sióstr wywiedzie się kobieta, której jako jedynej w państwie wolno będzie urodzić syna, gdy nadejdzie jas. Był co prawda jeszcze stary ród Jasti, ród pozbawiony władzy, lecz nadal dysponujący boskim prawem poczęcia. Tego problemu Hennasti nie brał jednak pod uwagę. Naiwnie ufał, że rozwiąże się sam. Nie

dopuszczał myśli, że ktokolwiek ośmieliłby się kwestionować przywilej, który bogowie dali jego ojcu, przyjmując go między siebie.

\*

Sala przyjęć tonęła w półmroku rozświetlanym przez ustawione pospiesznie nieliczne olejne kaganki. Wokół stołu, za którym zajęli miejsca starsi stołecznych rodów, rozbrzmiewał gwar cichych rozmów.

Z tyłu, pod ścianą, skromnie stanęli obcy. Ci, nie tak godni jak siedząca starszyzna, znaleźli się tu dzięki wieściom, które przynieśli. Wszyscy ukradkiem popatrywali na drzwi książęcych apartamentów. Księciu doniesiono o przybyciu posłańców namiestnika Cobi, sam zwołał radę patriarchów. A teraz każe na siebie czekać, choć czas należny staremu władcy na przygotowanie dawno upłynął. Niejednemu z obecnych przemknęła przez głowę myśl, że dobrze się dzieje, iż wkrótce rządy przejmą młodsze i sprawniejsze ręce. Ostatnie dni panowania Jasti dłużyły się co bardziej niecierpliwym, bo nawet boskość nie niweczy wpływu starości na umysł i ciało boga, póki jest wśród żywych.

Drzwi otwarły się ze skrzypieniem zawiasów. Herold zadął w róg, na progu ukazał się książę Itijasti. Pierwsi rodów powstali z miejsc, skłonili głowy. Władca oddał ukłon i skierował się ku szczytowi stołu, by zająć swoje miejsce.

Był stary. Sam czuł tę starość, czuło i widziało ją otoczenie. Tak jak teraz, gdy usiłował przejść owe kilka kroków sprężysto jak dawniej. Ci, którzy obserwowali go bacznie spod pochylonych czoł, doskonale zdawali sobie sprawę, ile ta mistyfikacja kosztuje zniedołężniałego starca.

Iti ciężko opadł na fotel, odchylił siwą głowę na oparcie i przymknął na moment oczy, żeby choć przez chwilę dać wytchnienie zmęczonemu organizmowi. Nie wolno mu było publicznie okazywać słabości, nawet jeśli nie miał oszukać tym nikogo. Jeszcze pięć dni musi wytrzymać, potem odejdzie, by zasiąść na zwolnionym przez Mau tronie, a ster księstwa przejmą inni. Spojrzał w prawo, gdzie zajmował miejsce lord Othis. To w jego ręce złoży książęce insygnia – ręce młode, może nawet zbyt młode dla udźwignięcia takiego ciężaru. Ród Rotha ciężko doświadczyła ostatnia, zwycięska wojna. Othis był wnukiem poległego w tragicznej bitwie pod Kormem Ullotha. Jego ojciec, który miał objąć regencję, również zginął wśród bagien delty Urtu w przypadkowej potyczce z cofającymi się oddziałami Minnow, osierociwszy ledwie narodzonego syna. W ten sposób młodzieniec został starszym rodu i niebawem będzie rządzić

krajem, aż Roth da Iserii prawowitego władcę: zrodzonego w czasie ziroth księcia o płomiennych włosach.

Na razie rządził jeszcze Itijasti. I do niego należało przyjęcie poselstwa z nadgranicznej twierdzy, którą odzyskano po zniknięciu durlockich tomów i upadku imperium. To, czego strzegła ta twierdza, trudno było obecnie nazwać granicą; na północ od bagien otaczających ujście Urtu nie istniało już żadne państwo. Durlock przestał zagrażać Przedgórzcu. Rozpadł się w przeciagu niespełna jednego kari, mimo prób jego ratowania, które podjął król Minnow, Gijajastisso. Siła sprawcza powstania mocarstwa Mocy znikła wraz z odejściem tych, co nią władali. To on, Itijasti, odebrał im Moc.

Popatrzył na posłańców. Stali w nakazanej szacunkiem odległości. Czekali na pierwsze słowo księcia.

– Witajcie, rycerze – głos Itiego był jeszcze dźwięczny, nie pasował do starczej postaci. – Zajmijcie miejsca na ławach, widzę, że jesteście znużeni.

Starszyźnie nie przypadło do gustu bratanie się z niższymi urodzeniem, lekki szmer przebiegł wzdłuż stołu. Zrozumieli to posłańcy, bo odezwał się jeden z nich:

– Pokłon tobie, boski Itijasti. Dzięki za okazane względy, lecz nie jesteśmy godni, zaś zmęczenie nie jest tak wielkie.

– Kto jakich jest godzien zaszczytów, w tym księstwie decyduję jeszcze ja – ledwie wyczuwalna nuta gniewu zabrzmiała w głosie księcia. – Choćby nie podobało się to niektórym – powiódł wzrokiem po twarzach i sarkanie ucichło. – Wam zaś nie czynię żadnych przywilejów. Wolę wysłuchać słów nie obciążonych myślą o rychłym wypoczynku.

Posłusznie przysiedli na końcu ławy, zaś Itijasti po chwili milczenia zapytał:

– Jakie wieści przesyła nam lord Nautor? Czyżby coś zakłóciło zimowanie w Cobi?

– Nie, panie – odezwał się najstarszy z posłów, noszący szlify chorążego pancernej chorągwi. – Nad Urtem panuje spokój. Jedynie bandy zdziczałych ghotów podkradają się czasem pod stanice, rzadko jednak dochodzi do starć. Od czasu rozpadu armii Durlocku nie ma komu zebrać ich w karby i coraz bardziej upodabniają się do zwierząt.

– Czy Nautor wykonał moje rozkazy?

– Tak, książę. Trzy pułki wysłano w głąb Zagórza. Jeden z nich dotarł do Morv i dalej, aż po obrzeża lasu Kauen. Morv opustoszało, ghoty i hangi wzięły je we władanie. W ruinach ujęto kilku na wpół obłąkanych Minnow, od nich wiadomo, że ich pobratymcy uciekli na zachód. Pułk



z Vinv, bowiem to on poszedł w tamte strony, ruszył za nimi i, jak rzekłem, spenetrował rubieżę Kauen. Doszło tam do potyczki z oddziałem Minnow, po której pułk wycofał się do Morv. Z zeznań jeńców wynika, że Minnowie utworzyli w Kauen własne państwo. Siedzibę króla ulokowali w Drag. Ponieważ śniegi uniemożliwiają powrót do Cobi, chorągiew z Vinv zimuje w dawnej stolicy Durlocku i komunikuje się z lordem Nautorem przez kurierów.

– Co z pozostałymi?

– Wprost na północ ruszył lekki pułk orlański. Ta wyprawa nie przyniosła nic, napotkali tylko opuszczone torneńskie osady. Po kilku utarczkach z ghotami, których wiele żyje w tamtych okolicach, ponieważ pogoda pogorszyła się, chorągiew wróciła do Cobi. Z kolei pułk Czerwonego Pazura pod dowództwem pułkownika Sahhena przemierzył lasy wzdłuż Urtu. To dziwna kraina, czuć tam tchnienie Pustyni Śmierci. Sporo różnych istot zamieszkuje ten rejon, większość jakby wyjęta z czasów sprzed Świętej Wędrownki. Mogłoby się wydawać, że nigdy nie sięgnęła tam ręka Durlocku.

– Wiem coś o tym – mruknął Itijasti. Wspomnienie chwil dawno minionych ukłuło boleśnie pod sercem.

– Coś ci dolega, panie? – rycerz z niepokojem spojrzął na zmienioną twarz władcy.

– Nie, nic. Mów dalej. – Obraz kobiety o białych włosach usunął się w głąb pamięci. Księżę uśmiechnął się z przymusem.

– Pułk osiągnął ujście Senny i zamierzał zimować w Sauth. Okazało się to niewykonalne.

– Dlaczego?

– Żaden z kurierów nie umiał tego jasno wytłumaczyć. To miasto nie było zamieszkane od co najmniej dwóch ellarów. Wysłannicy twierdzili, że noclegi wśród ruin dziwnie wpływają na żołnierzy. Zaczęły szerzyć się choroby, zdarzały się przypadki dezercji. Zapanowało ogólne rozprężenie, rycerstwo zaczęło samowolnie opuszczać mury. Koczowano na śniegu w lesie, byle dalej od niesamowitego gruzowiska. Ponoć jakiś czar unosi się nad grodem, coś, co wywołuje chęć natychmiastowej ucieczki. Najsilniej działało to w pobliżu starych ruin na północnym skraju miasta. To resztki budowli, chyba twierdzy, z czasów, gdy bodaj ani valów, ani nawet tornów nie było w Loinie. Ostatnią wiadomością od pułkownika Sahhena była jego decyzja o wycofaniu chorągwi z Sauth. Od tego czasu nie przybył żaden goniec.

– Jak długo to trwa?

– Do naszego wyjazdu z Cobi, niemal sześć seves.

– Dziwne – książę zerknął na możnowładców. Słuchali w ciszy, starając się nie uronić ani słowa z opowieści kuriera. Z ich twarzy wyczytał swą własną niepewność. – I nie wiadomo, co się z nimi stało?

– Nie, Itijasti.

– A co z tomami?

– Ani pułk, który poszedł do Morv, ani orlański nie natrafiły na żadne ślady. Nie wiadomo, gdzie przepadli. Żołnierze Sahhena do czasu zamilknięcia donosili o napotkanych na skraju Pustyni Śmierci pojedynczych srebrnych opończach, lecz nie byli to władcy Durlocku, tylko jacyś desperaci. Żyją bez celu w tamtych niegościnnych okolicach, wynędzniali i dzicy. Nie bardzo wiedzą, co się stało, dlaczego nagle stracili Moc, lecz do Durlocku odnoszą się obojętnie lub nawet wrogo.

– Poszukiwacze zeqr – szepnął książę. Znów pamięć dawała znać o sobie. Danaskee... Nie sądził, że tak długo będzie żyć w nim to wspomnienie.

– Co mówisz, panie? – wysłannik namiestnika Cobi popatrzył wyczekująco.

– Wybacz, rycerzu, staremu – Itijasti ocknął się z zadumy. – Odzywa się czas młodości. Znam tamte strony. Czy to już wszystko, co miałeś nam do powiedzenia? – zmienił temat.

– Tak – chorąży skłonił głowę.

– Co wiadomo o eneikach? Nisskowie i Urum byli stronnikami Durlocku.

– O ile wiem, odeszli do swych siedzib. Dopóki trwa przełom, nie będzie z nimi kłopotów. Oni również nie lubią zimy i mroku. Pułk Sahhena trafił w lasach nad Urtem na kilka zapomnianych eneickich osiedli, ale to jacyś inni eneikowie, niczym niezwiązani z tamtymi.

– Tak – Itijasti uniósł się z fotela. – To wszystko, co chciałem wiedzieć. Idźcie odpocząć, rycerze, i bądźcie gośćmi Irvion w dniu święta Trill. Dany wam będzie, jako przedstawicielom Cobi, przywilej osądu władcy.

– Dzięki, Itijasti. Rycerstwo pogranicza zgodnie ocenia wielkość twych czynów. Damy temu wyraz, gdy kapłan zapyta. – Chorąży wstał również, a za nim jego towarzysze. Pokłonili się obecnym i opuścili izbę.

– Co o tym sądzicie? – zapytał książę, gdy wyszli.

Starsi milcząco spojrzeli po sobie, jakby naradzali się, kto ma rozpocząć. Pierwszy odezwał się Garhom, dowódca doborowego pułku o czarno-żółtych barwach, następca sławnego Oteirona, tego samego, który w najtrudniejszym momencie wziął przywództwo księstwa i resztek armii na

swe barki, aby potem złożyć je u stóp księcia Itijasti.

– Sprawa zniknięcia tomów z Durlocku jest zagadką, której zwiad pułków nie wyjaśnił, a jedynie potwierdził fakt. Tego można się było spodziewać, zwłaszcza że zima udaremniła dokładne spenetrowanie Zagórza. Ja jednak nie obawiam się torneńskich wyrzutków. Stracili Moc, zatem przestali być groźni. Z tej strony realnym niebezpieczeństwem może być tylko Torivia, bądź co bądź zorganizowana siła, która raptem wyrosła z pozycji durlockiego wasala do roli mocarstwa, jeśli w ogóle można jeszcze mówić w ten sposób o jakimkolwiek torneńskim państwie. Z pewnością chaos, jaki zapanował wśród tomów, tam był najłatwiejszy do opanowania i choć zostali bezbronni, wiecznie takimi nie będą. Nietrudno stworzyć armię nauczywszy się władać popolitszym niż Moc orężem. Ale zanim staną się realnym zagrożeniem, upłynie mnóstwo czasu i nie ma powodu, by martwić się na zapas.

– Nic więc nie mąci twego spokoju?

– Owszem, panie – Garhom zachnął się, wyczuwszy ironię. – Niepokoi mnie co innego: las Kauen. Minnowie wycofali się prawie bez uszczerbku i zdolni są stworzyć potęgę, która może zagrozić naszym granicom. Teraz jest zima, lecz co będzie, gdy Roth zapanuje nad światem? Wiesz dobrze, że Iseria po klęsce pod Kormem i utracie niemal całego wojska nie stanęła jeszcze na nogi. Odbudowano armię, ale cóż za żołnierze w niej służą? Młokosy bez doświadczenia, ba – bez możliwości nauki od starszych, bo ci położyli głowy w tamtej nieszczęsnej bitwie. Ocaleni dowodzą dziś pułkami, innej kadry nie było. Wielu z nich to zadanie przerasta, w normalnych warunkach nie sięgnęliby tak wysoko. I to wojsko ma walczyć z Minnami? Obawiam się starcia.

– Do końca przełomu armia nabierze doświadczenia.

– Gdzie? W potyczkach z ghotami? Tu potrzeba czegoś więcej.

– Co proponujesz? – Książę widział, że wywód Garhorna ku czemuś zmierza. Jego argumenty były oczywiste dla każdego.

– Chciałbym podać pod osąd Rady takie rozwiązanie: trzeba jeszcze przed zakończeniem ziroth założyć kolonię na Zagórze. Poślijmy tam najlepszych wojowników, niech stworzą państwo, które stanie się barykadą dla ewentualnej agresji.

– Nie sądzisz, że w ten sposób jeszcze bardziej osłabimy Iserię? – odezwał się Othis. – Nie mamy tylu rycerzy zdolnych skutecznie przeciwstawić się sile Minnow. Jeśli przejdą tę zaporę, Iseria bez najlepszych pułków stanie się dla nich łatwym łupem. Druga sprawa to problem władzy. Jeżeli miałyby to być samodzielne lub wasalne państwo, będzie potrzebować dwóch

książęcych rodów.

– Jeden już mamy... – Garhorn patrzył w blat stołu. Najwyraźniej unikał jakiegokolwiek sugestii. – Wystarczy nadać prawo poczęcia nowemu rodowi Rotha.

– Mój ród nie opuści Iserii! – siedzący naprzeciw pułkownika Sishastirro zerwał się z ławy. Choć nie padło nic, co sugerowałoby takie rozwiązanie, słowa pułkownika wziął do siebie. Był przecież patriarchą rodziny Jasti, spadkobiercą pokoleń władców. Został usunięty przez uzurpatora, który bezprawnie zajął jego miejsce na tronie.

– Zakończcie spór – cicho odezwał się Itijasti. – Będzie na to czas, gdy minie Trill. Zdecydujecie wtedy sami, któremu rodowi należy się władza w Iserii na okres złotego zuaru. Ja jeszcze żyję i nie chcę tego słuchać.

Zapanowało milczenie. Sprawa, o której wspomniał Garhorn, nie była istotna, dopóki Itijasti znajdował się u szczytu sławy. Nabrzmiwała wraz z upływem czasu, by osiągnąć apogeum u schyłku jego panowania. Teraz jeszcze był on, kiedy odejdzie, walka o złotą schedę rozgorzeje z całą mocą. Tak, pomysł Garhorna, pominiawszy nawet jego militarny aspekt, był jakimś wyjściem. Tyle że będzie to nobilitacja jedynie dla rodu, który uzyska prawo pieczętowania się Rothem. Dla jednego z rodów Jasti oznacza wygnanie.

– Czy nic więcej nie zwróciło waszej uwagi w raporcie z Cobi? – książę skierował dyskusję na poprzednie tory.

– Co masz na myśli? – Othis pytająco popatrzył na niego.

– Zaginięcie pułku Czerwonego Pazura...

– Nie sądzę, żeby zaginął – wzruszył ramionami lord Navi, namiestnik stołecznej prowincji Irvion. – Zaszli się pewnie w jakiejś osadzie nad Urtem, aby przeczekać przełom.

– A dziwne zjawiska w Sauth też potrafisz wytłumaczyć? – Garhorn z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Nie wiem, jak tam było, ale nie wierzę w żadne czary – odparł namiestnik. – Jest pewnie jakieś zupełnie zwyczajne wytłumaczenie zjawisk, które zmusiły Sakhena do odwrotu.

– Czy wiecie, co niegdyś znajdowało się w Sauth? – brzmienie głosu Itijasti raptownie uciszyło zebranych. – To święte miejsce eneików, dawne Ibbomi. Potężny mit, w którym tyle samo jest prawdy, co legendy, bierze swój początek właśnie tam. A co do magii – cóż, wyrokować może ten, który wie na pewno. A ja... Ja wiem, że jest coś w wierze eneików, czego nie sposób wyjaśnić. Kiedyś było mi dane odczuć to na własnej skórze. Do dziś jestem

dłużnikiem tych kosmatych istot, bowiem ich czarom, w które tak wątpi Navi, zawdzięczam zwycięstwo i władzę.

\*

Przez śniegi wytrwale posuwała się naprzód drobna postać. Smagany uderzeniami zadymki wędrowiec brnął po pas w kopnych zaspach, niekiedy wpadał w nie po szyję. Nie był to odpowiedni czas na wędrówkę, zwłaszcza dla eneiki. Wielokrotnie wydawało się, że nie zrobi już ani kroku, utknie w śniegu i zamarnie na stojąco, że mróz i wiatr przemienia go w sopel lodu. Nadzwyczajnym wysiłkiem wrywał się jednak z objęć białej śmierci i parł dalej. Dodawało mu sił przeświadczenie o doniosłości misji, którą mu powierzono, i zwyczajna chęć przeżycia.

Noce spędzał tam, gdzie go zastały: w zajazdach, w których witano go ze zdumieniem, w chłopskich stodołach zakopany pod stertą ziarna lub w kopcu siana, wreszcie wprost na śniegu, gdy nie natrafił na żadne walijskie domostwo. Te chwile były najtrudniejsze. Jednak eneika, nieodrodny syn swej rasy, twardy i wytrzymały, nie po raz pierwszy walczył z przyrodą. Umiał przeżyć tam, gdzie mieszkańcy Przedgórze dawno pogodziliby się z nieuchronnością śmierci. Wytrzymał więc. Drzemał w kręgu ciepła małego ogniska, które zawsze wytrwale rozniecał, wykopawszy uprzednio w śniegu jamę tak głęboką, że chroniła go przed uderzeniami wiatru. A potem ruszał dalej, niewiele mniej zmęczony niż wtedy, gdy rozum nakazywał odpoczynek, i znów wędrował cały dzień, od minionej właśnie nocy różny tylko kolorem przewodniej gwiazdy.

Zwał się Rahe-das. Dwa smoki otwały się przed nim i Bractwo dopełniło jego imię: uzyskał prawo do miana Geue i przymus dążenia do Diie. Droga do zmiany kasty wiodła przez trzewia xinxa. Nikt nie mógł zagwarantować, że po raz trzeci eneika wyjdzie żywy ze smoczego brzucha. Dlatego, gdy zakon powierzył mu misję, zrezygnował z krótszego szlaku wiodącego przez opanowane przez xinxu jaskinie pod górą. Wybrał trasę dłuższą, lecz dającą gwarancję, że świetlisty ślad smoka nie każe mu stanąć do walki. Wynik misji zależałby wtedy od sprawności jego noża. Nie mógł pozwolić sobie na ryzyko. Pragnął zachować pewność, że osiągnie cel. Tym celem było Irvion.

\*

*Jestem w Iserii. Koszmar wędrówki już prawie poza mną, tylko dzień drogi dzieli mnie od stolicy. Czuję tę bliskość, ba, słyszę ją nawet: spod podłogi mojej izby dobiega gwar wielu głosów. Pełna karczma o tej porze zuaru – dziesiątki przyjezdnych, stajnie wypełnione do*

ostatniego boksu – to znak, że valowie spieszą na święto Trill. Łatwiej mi teraz wędrować: zdążające ku Irvion karawany przetarły szlaki. Ciągnie ich mnóstwo, gdyż każda prowincja chce mieć swego przedstawiciela w dniu osądu. To ich prawo.

A ja? Wiem, że dziwił się, widząc mnie na drodze, bowiem obcy nigdy nie uczestniczyli w święcie wzejścia słońca. Nikt na szczęście o nic nie pyta. Prawdy wszak powiedzieć nie mogę i nie chcę, a matactwa i uniki to pierwszy krok do zwady. Nie wolno mi narażać mej misji na niepowodzenie. Gdybym mógł, najchętniej przemieniłbym się w va – la, by nie zwracać na siebie uwagi, choć Trorr-ud wie, jak bardzo nienawidzę tej rasy, jak wiele kosztuje mnie zachowanie pozorów.

Jestem Zabójcą Smoków, nienawiść to mój pierwszy obowiązek. Dla niej mój święty garnag rozpala się czerwienią i pruje brzuch xinxu, ona mi kiedyś każe złożyć życie w ofierze Oll-hirr, gdy eneikowie wracać będą do pradawnych siedzib.

Wszystkie znaki mówią, że Trorr-ud pozwolił mi zdążyć. Do Trill zostały jeszcze trzy dni i jeśli nic się nie wydarzy, jutro pod wieczór stanę u bram Irvion. Potem będę miał dwie doby na dotarcie do księcia. Kto wie, czy ta część mego przedsięwzięcia nie jest najtrudniejsza. Do tej pory potrzebny był tylko hart i determinacja fizycznej połowy mego Ja. Jaką kartą mam zagrać teraz? Tak czy owak, wycofać się już nie wolno, nie wyjadę bez Yorvilla niezależnie od tego, ilu i jakich ofiar zażądają bogowie.

\*

Czy już czas na podsumowanie życia? Czy ma zacząć liczyć i rozdzielać przeszłe między dobro i zło? Nie, jeszcze nie potrafił spojrzeć na siebie z dystansu, jaki daje nieuchronność odejścia, nie czuł potrzeby rozliczeń. Ma jeszcze dwa dni i te dwa dni chce być władcą, a nie ustępującym pola starcem. Znajdzie dość siły, by ostatnie chwile panowania nie były okresem bezkrólewia. Czy tak to odczuwali wszyscy ustępujący książęta? Czy do ostatka dzierżyli miecz władzy w osłabłych dłoniach, czy też oddawali go przedwcześnie tym, którzy i tak mieli go wkrótce podnieść...? Tego nie wiedział, nie mógł wiedzieć – był pierwszy, był założycielem rodu. Nikt nie przekazał mu zasad zapewne oczywistych dla władców, którzy wyrosli w tradycji panowania. Musiał tworzyć własne.

Przyjęty schemat władzy silnej do końca zaakceptowało otoczenie, przynajmniej najbliższe. Nigdy nie dano mu odczuć, że jego słowa przestają się liczyć, że jego wolę wypełnia się jedynie z szacunku dla minionej chwały. Ile w tym było poszanowania osoby, a ile lęku i czci dla boga,

którym się obwołał? Zburzył pradawny kult bogini, zburzył go swym zwycięstwem nad Wieżą Życia. Zdawał sobie sprawę, że Mau nie ustąpi łatwo, choć wygnał ją ze stołecznych świątyń. Całe Przedgórze nadal ją czciło, w samej Iserii istniały zakonspirowane, wierne jej ośrodki. Kapłani Mau przecież żyli, a klasztor Poświęconych stał się zamkniętą enklawą w sakralnym kompleksie Irvion. Ci, którzy oddawali w ofierze samych siebie, aby Mau zechciała przemówić do swego ludu, odmówili przechrztu z Totoghi-Mau na Totoghi-Iti. Po cóż zresztą ofiara życia w dialogu z bogiem, gdy bóg przemawia żywymi ustami? Nie chciał swego czasu represjami niszczyć wyznawców bogini, tym bardziej że niemal cały lud Iserii entuzjastycznie przyjął jego kanonizację. Zwłaszcza po widomych oznakach upadku pradawnej religii, kiedy samoistnie obracały się w proch jej wizerunki i symbole. Potem było za późno. Może zresztą zbyt wcześnie uwierzył w swe zwycięstwo, gdy tymczasem wrogowie wytrwale knuli przeciw niemu, a czas był ich sprzymierzeńcem. I teraz już wiedział, że popełnił błąd, że oto kraj stoi na krawędzi rozdarcia, chociaż na zewnątrz widocznych objawów rozłamu nie było. Oficjalnie oddawano mu cześć w świątyni i w pałacu. Nikt nie ośmielił się podważyć jego praw do obecności w obu gmachach, tym bardziej że stał za nim las włóczni oddanego mu bez reszty rycerstwa. A jednak czuł zbierające się chmury. Ciągnęły ze wschodu: podbudowani kłeską Durlocku i osłabieniem ogarniętej herezją Iserii walijscy książęta szykowali świętą wojnę pod sztandarami Mau i tylko nadzieje przelomu oddaliło ich zakusy. Itijasti nie sądził, by czerwoni następcy jego przeciwników z ościennych krajów mieli więcej zrozumienia dla nowej wiary. Były chwile, że ogarniało go zwątpienie i miał ochotę ustąpić, gdy jednak wspomniawszy starcie z gniewną boginią i wspaniałe zwycięstwo słonecznego ojca Jasti nad potęgą jej mroku, wracała pewność. Lecz owej pewności nie będzie miał ten, który obejmie przewodnictwo rodu na czas czerwonego zuaru i który ma zaszcześcić jego myśl przyszłym pokoleniom złotych władców. Hennasti... Zbyt późno urodził mu się syn, jego młodość i brak doświadczenia mogą przeważyć – żyć, kiedy będzie musiał walczyć o należne mu z tytułu urodzenia miejsce. Chociaż... Czy on sam był dużo starszy, gdy wyruszał w świat, by odnaleźć swój los?

Stukanie do drzwi przerwało rozmyślenia księcia.

– Wejść! – rzucił poirytowany. Nie lubił, gdy mu przeszkadzano. Na progu stanął pełniący straż gwardzista.

– Wybacz, panie – powiedział, oddawszy salut mieczem. – Kapitan Aghveri prosi o pilne posłuchanie.

– Czego chce? – już w momencie zadawania tego pytania zdał sobie sprawę z jego bezsensowności. Dowódca tajnych służb księstwa nie miał zwyczaju opowiadać się byle strażnikowi.

– To sprawa wyłącznie dla twych uszu, książę – Potężny val w szarym kaftanie bezceremonialnie odsunął stojącego na drodze gwardzistę. Ten zachnął się, urażony brakiem szacunku i chwycił rękojeść miecza, lecz gest władcy sprawił, że przełknął zniewagę. Skłonił się tylko sztywno, po czym opuścił komnatę.

– Narażasz się gwardii, Agłweri – Itijasti z uśmiechem wskazał kapitanowi fotel.

– Czy te chwosty nie wiedzą, że mam do ciebie wstęp o każdej porze? – Aghveri ostrożnie usadowił mocarne cielsko na wybitym skórą siedzisku.

– Ależ wiedzą, wiedzą! Nie potrafisz zrozumieć, że każdy musi mieć poczucie ważności swej pozycji? Ty też, mój drogi, ty też!

– Toteż właśnie je pokazałem. To poczucie, rzecz jasna.

– Trudno cię przegadać. Z czym przychodzisz?

– Z niespodzianką – kapitan rozparł się w fotelu i zamilkł, czekając na reakcję.

– Musisz być taki tajemniczy? Nie mam ochoty na zagadki.

– Już mówię, panie – błysk w oczach szarego wojownika świadczył, że niecierpliwość władcy osiągnęła odpowiedni dla jego rewelacji poziom. – Niezwykły gość przybył na nasze święto.

– Gość? Jaki gość? – Itijasti ze zdziwieniem spojrział na rycerza.

– Moi valowie ujęli w nocy pewnego osobnika, który usiłował wkraść się do twojej kwatery.

– Co to znaczy? Mów jaśniej!

– To eneika, boski.

Eneika! Często ostatnio prześladowuje go miniony czas... No tak, tej wizyty spodziewał się już dawno. Poczul wyrzuty sumienia. Był coś winien ludowi z gór.

– Co z nim? – zapytał.

– Trzymamy go pod kluczem. Mały jest, ale zadziorny. Trzech szarych mi poranił, zanim udało się go związać. Dziś od samego rana miotał się po celi, krzyczał, że musi do ciebie. Byłbym go spuścił z murów, bo nie lubię hałasu, ale pomyślałem, że skoro taki uparty, może rzeczywiście ma coś ważnego do przekazania. Dlatego przyszedłem. Itijasti pokiwał głową w zamyśleniu.



– Dobrze zrobiłeś – powiedział po chwili. – Sprowadź go tutaj, pragnę z nim mówić.

– Nie muszę go sprowadzać, czeka w sąsiedniej komnacie.

– Taki byłeś pewny, że zechcę go zobaczyć? – uśmiechnął się książę.

– Czym byłbym dzisiaj, gdybym nie potrafił chwycić myśli mego pana, zanim je wypowie? –

Aghveri westchnął ciężko i wstał z fotela. – Taka już moja parszywa dola – mruzczał, idąc w stronę drzwi. Już na progu odwrócił się i szelmowsko zmrużył oko w grymasie całkiem pozbawionym szacunku dla władcy.

Itijasti roześmiał się. Było coś w tym gruboskórnym, bezczelnym walu, co sprawiało, że wybaczał mu wiele. Wiedział, że pod maską jowialności kryje się chytry i bezwzględny zbir, pan życia i śmierci regimentu jemu podobnych. I cieszyć się należało, że od początku był mu wiemy. Gdyby miał go przeciw sobie, dawno musiałby złożyć książęce insygnia. Tak, to potężny sojusznik, lecz czy – kiedy on odejdzie – będzie tak samo wiemy jego synowi? „Szarzy służą władzy” – słowa kapłana Giveena, powtórzone niegdyś przez pułkownika Oteirona, gdy Itijasti obejmował tron, w chwili przełomu rozbrzmiewają nową treścią. Wolałby, żeby nie okazały się prawdziwe.

Drzwi skrzypaneły ponownie. Agłweri wkroczył z hałasem do środka, a za nim dwóch walów. Za sobą wiedli na sznurze drobną, skuloną istotę. Coś tak boleśnie znajomego było w owej sylwetce, że książę gwałtownie pochylił się, jakby chciał przewiercić jeńca wzrokiem na wylot.

– To-sar... – szepnął cicho.

– Oto nasz gość – Agłweri szarpnięciem za powróż rzucił eneikę do jego stóp.

Itijasti ścisnął głowę dłońmi. Złudzenie prysnęło. Leżący przed nim osobnik tylko w półmroku mógł być wzięty za tego, którego znał.

– Rozwiążcie go – rzekł sucho, po czym dodał, zwracając się do eneiki: – Wstań, przyjacielu. Daruj szorstkość moim sługom, ich zadaniem jest strzec tronu przed każdą groźbą.

– Ja nie zagrażam twemu panowaniu – eneika z trudem wstał. Roztarł zdrętwiałe w więzach przeguby. – Przybywam tu w imieniu Bractwa Zabójców.

– Wstrzymaj się jeszcze – książę uciszył go gestem. Zbyt wiele uszu słuchało ich rozmowy. – Możecie odejść – zwrócił się do Aghveriego i jego podwładnych.

– Jesteś pewien, że nic ci z jego strony nie grozi? – kapitan nie przejawiał zbyt wielkiej chęci opuszczenia komnaty. Sprawa zaczynała być ciekawa.

– O, tak! Na pewno mniej niż tobie, jeśli zostaniesz tu chwilę dłużej – głos księcia

stwardniał. Nie miał już ochoty na słowne utarczki.

Aglweri pojął to w lot. Wycofał się bez słowa, gestem wyganiając swych zbrojnych za próg. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Itijasti powiedział:

– Teraz porozmawiamy spokojnie.

– Czy wiesz, panie, po co przybyłem? – Eneika miał jeszcze w oczach urazę, choć głos brzmiał już obojętnie, z charakterystyczną dla jego rasy flegmą.

Książę kiwnął głową.

– Domyślam się.

– Wobec tego powtórzę słowa mistrza zakonu: zwróć to, co wyrocznia kazała eneikom ofiarować ci w chwili ostatecznych rozstrzygnięć. Ten, w którego imieniu dysponowałeś owym darem, już odszedł.

– Masz na myśli mojego kisetę?

– Tak, panie, mówię o Pogromcy Kirvi, twoim kiscie.

– Rzeczywiście, Kirvi-ginn już od dawna nie cwałuje po iserskich stepach... Jak udowodnisz, że właśnie tobie powinienem oddać Yorvilla?

Eneika rozpiął bury kaftan. Na jego piersi błysnął złotawo okrucuch metalu.

– Znasz ten symbol, prawda? – ostrożnie ujął w palce niewielką igłę, zawieszoną na cienkim łańcuszku, który oplatał jego szyję.

Itijasti popatrzył na mieniący się w chwiejnym blasku kaganków przedmiot.

– To tiris... – powiedział cicho. – Taki sam nosił To-sar...

– Niezwyciężony brat To-sar-Diie zobowiązał cię do czegoś, czyż nie?

Władca Iserii opuścił wzrok. Złożył obietnicę, której nie dotrzymał.

– Muszę prosić Bractwo o wybaczenie. Moja misja nie wygasła z chwilą zniszczenia Wieży Życia, mimo że rozpadła się Moc tornów. Wiele kari nie opuszczałem siodła, dobijałem resztki durlockiego potwora. Do dziś nie dokończyłem dzieła. Trudno mi było zostawić ciężko ranną ojczyznę i wyruszyć w drogę, by oddać Irgom Władcę Przestrzeni. Tym bardziej że Przedgórze do tej pory nie zdjęło ze mnie piętna nieprawego poczęcia. Granica z Sorviajest granicą wojny, przez kraje valów przebiegają wici świętej wyprawy na Iserię...

– Zabójcy Smoków wiedzą o tym, dlatego nie czynią ci wyrzutów. Jestem tu z woli zmarłego mistrza Nua-nem-Diie. To on powiedział mi o Yorvillu i jego roli w zniszczeniu Mocy. Dziś przychodzę do ciebie jako wykonawca ostatniego rozkazu Nua-nema, bo wiem, że kończy się

czas, gdy jesteś w stanie dysponować sobą i tym, czym władasz.

– To prawda, lecz możesz mi wierzyć, że tak czy owak dotrzymałbym słowa. Mam syna, jemu przekazałbym obowiązek wypełnienia złożonej To-sarowi obietnicy.

Eneika skłonił głowę w milczeniu. Nie dał poznać po sobie, czy uwierzył w słowa księcia. Nie miało to już zresztą znaczenia.

– Myślę, że wyjaśniłem ci wszystko – Itijasti podniósł się z fotela. – Zechciej zaczekać, pójdę po kamień.

– Jak sobie życzysz, panie – odparł przybysz. – Poczekam cierpliwie. Księżę ruszył w stronę bocznych drzwi wiodących do prywatnej sypialni. Na progu zatrzymał się jeszcze.

– Wybacz, że nie spytałem wcześniej o twoje imię, jak wymaga uprzejmość. Wielkim przeżyciem jest dla mnie twoja wizyta, stąd roztargnienie. Czy zechcesz zdradzić mi je teraz?

– Jestem Rahe-das. Bractwo dopełniło to miano tytułem Geue. Wiesz, co on oznacza?

– Wiem – odpowiedział Itijasti. – Widziałem, jak się go zdobywa.

\*

*Oto go mam. Wypycha mi sakwę obłym kształtem, kusi pragnieniem dotknięcia. Potrafię wyobrazić sobie jego chłodną szorstkość, jak ciepłeje pod palcami i przemienia się w ciepło samoistne, jak grzeje dłoń w oczekiwaniu na zakłęcie. Wiem, że nie wolno tego czynić. Władca Przestrzeni może już tylko czekać na swych siedmiu braci. Zmuszony do działania rozsypie się w pył. Ostatnią dozę mocy wykorzystał Itija – sti, przenosząc się z Pustyni Lodowej pod mury Irvion. Teraz Yorvillowi wolno jedynie tęsknić za połączeniem, tęsknić i mieć nadzieję, tak jak my. Tylko zakłęcie scalenia może przywrócić jego siłę, już jako części zjednoczonego na powrót Ayantialla. Lecz, choć mam obowiązek wierzyć, wiem, jak niewielka jest szansa. Zaginęło zakłęcie scalenia, rozsypały się po świecie odłamki Czarnego Kryształu. Nie ma chyba takiej siły, która zdołałaby zwrócić eneikom dar Trorr-uda. A tylko on może dać memu ludowi czas wielkości, on jest zdolny naprawdę otworzyć drogę do Oll-hirr. Piękna idea Zabójców Smoków jest jedynie marzeniem, żaden Niezwyciężony nie odbierze panowania xinxom w jaskiniach, a valom na Przedgórzu. I chociaż kładziemy głowy we wnętrzościach sług Storg-orha od tylu już pokoleń, daremna to ofiara, jeśli boski kamień, władca eneików, nie obejmie rządów na nowo.*

*Muszę wypełnić jeszcze jeden nakaz: każdy z kryształów, gdy znajdzie się w drodze, powinien spotkać najbliższego z braci. Kanon wiary głosi, że zakłęcie poznania utrwała nadzieję na ponowną syntezę Władcy Wszechrzeczy. Kamieniom nie wolno zapomnieć, iż są tylko częstkami*

*Czarnego Kryształu, usamodzielnionymi niegdyś dla ratowania go przed zagarnięciem przez Pana Pustyni – Storg-orha. Od czasu, gdy kapłan powiernik w chwili ostatecznej – kiedy roje xinxów zawładnęły klasztorem Ibbomi – użył klątwy zniszczenia, do dziś, każdy powiernik jednego z ośmiu musi dążyć do podtrzymania wiary w połączenie. Stąd, z Iserii, najbliżej mi do piątego – to Władca Ognia, Kawyos. Dzieli mnie od niego siedem dni wędrówki. Niby niedużo, gdyby nie pewna przeszkoda: te siedem dni spędzę na lodowej tafli zamrożonego Morza Wiatrów. Bowiem Kawyos znalazł schronienie u Yhorów, a ci zamieszkują Wyspy Stołowe.*

\*

Z dziedzińca dochodził szum wielotysięcznego **tlumu**. Dużo czasu miało jeszcze upłynąć do zwiastującego początek nowego zuaru wzej – ścia Rotha, a już główny plac zamku, wraz z okolicznymi ulicami i podwórcami, wypełniała gęsta ciżba głów. Bramy Irvion były otwarte i ciągle napływały nowe rzesze rycerstwa. Ciągnęli ze wszystkich prowincji Iserii. Stolica pękała od nadmiaru gości, mimo że poszczególne miasta i obwody, zwłaszcza te odległe, przysyłały jedynie kilkusobowe delegacje. Od dawna zabrakło już kwater w mieszczańskich i szlacheckich domach, jeźdźcy koczowali więc wprost na śniegu, rozstawiwszy rojowisko pstrych namiotów. Zewsząd dobiegało porykiwanie kisetów i wrzaski służby, a las różnobarwnych znaków rozplomienił mroczne mury, jakby chmury wiosennych ptaków obsiadły miasto w samym środku zimowej nocy. Nocy, która trwała już dwa kari i tyleż jeszcze miała trzymać świat w okowach mrozu i ciemności.

Teraz kwatery opustoszały, wymarły obozowiska. Kto żyw, spieszył w stronę dziedzińca, by zająć miejsce jak najbliższe podwyższenia. Na nim po raz ostatni zasiądzie złoty książę, aby wkrótce oddać tron władcom czerwonego zuaru. Przedtem jednak musi zobaczyć osąd swego czasu. Wydadzą go skierowane w górę lub wbite w ziemię miecze rycerzy, którzy tłoczyli się nieprzebranym morzem czap i hełmów, otuleni mglistym oparem tysięcy oddechów.

Itijasti oglądał to wszystko z okna, samotny z własnej woli w ostatnich chwilach władzy. Rachunek przeżytych dni miał już za sobą. Spojrzał w niebo. Chmury odsłoniły rozgwieżdżoną czerń, nad zachodni horyzont skłaniał się z wolna Jasti. To on, słoneczny ojciec, naprawdę będzie go sądzić. Tym tam, na dole, nic do tego. Im tylko zdaje się, że uczestniczą w misterium przekazania tronu, że czynnie wpływają na bieg historii. W rzeczywistości wszystko dzieje się tak, jak zaplanowali bogowie. A on jest bogiem. Jest prawdziwym synem złotego słońca, miał na to dowód. Jasti chroni go i daje moc.

Ale zanim odejdzie, musi jeszcze porozmawiać z synem. Na Hen – nastim spocznie ciężar zmagania o miejsce należne złotej dynastii jego potomków, zmagania o kontynuację władzy i religii. Wierzył, że Hennasti ma tyle sił, aby temu podołać. Gdy jego, Itiego, nie stanie, wyjdą z podziemia wierni wiarołomnej bogini, by przywrócić ją na piedestał. Syn księcia musi im stawić czoła, choćby niewielu wojowników zostało u jego boku. Jest jednak coś, co zastąpi armię, nawet gdyby wszyscy rycerze zwrócili się nagle ku Mau. To najważniejsza część jego schedy.

Wezwał pokój owca.

– Każ sprowadzić tu mojego syna – polecił.

Hennasti nie pozwolił na siebie czekać. Ostatnia była ku temu pora, aby ojciec przekazał mu tajemnice rodu. Ciekawość chłopca sięgała zenitu. Mgliście sobie wyobrażał owe fascynujące informacje, przeznaczone jedynie dla uszu patriarchy rodziny. Z pewnością musiały być fascynujące, ale czego mogły dotyczyć? Na to już brakowało mu fantazji. Wezwanie ojca sprawiło, że nagle poczuł się dorosły i ważny. Podążał więc tak szybko, na ile w jego mniemaniu pozwalała godność głowy rodu – gdy nikt nie widział, podbiegał nawet. Toteż kiedy dopadł w końcu drzwi ojcowskiej komnaty, nie potrafił uspokoić oddechu. I taki właśnie: zdyszany i płonący ciekawością, stanął przed obliczem księcia.

Itijasti spojrział z uśmiechem na syna, a było w nim tyleż radości, co niepokoju: jakże niedojrzały, ba, dziecinny wydał mu się ten ledwie pełnoletni chłopak.

– Podejdz tu do mnie – wezwał go do okna. – Popatrz – powiedział, gdy Hennasti wykonał polecenie. – Widzisz te tłumy? To jest siła zdolna utrzymać bądź obalić każdą władzę. Tym mocniejsza, że ślepa. Wymaga prowadzenia za rękę.

– Czemu o tym mówisz? – zdziwiony młodzieniec popatrzył na ojca.

– Bo musisz wiedzieć, że ten ich poprowadzi, kto szybciej i silniej tę rękę uchwyci.

– Przecież ciebie wielbią i wnoszą nad bogów.

– Dzisiaj. Jutro mnie nie będzie. Czy cześć dla posągów zastąpi obecność żywej osoby?

– Któż miałby cię zastąpić w świątyniach? Cała Iseria pada na twarz przed twymi wizerunkami. Jesteś bogiem, ojcze!

– Tak, jestem. Sam Jasti dał mi do tego prawo. Ale Mau nie poddała się. Ona tylko usunęła się na chwilę, by tym silniej upomnieć się o swoje prawa, gdy odejdę zmierzyć się z nią w niebieskich szrankach. Już dziś gromadzi siły, tu i na całym Przedgórzu. Wiesz, czym to grozi?

– Będzie wojna?

– Tak, jeżeli wcześniej nie zatriumfuje zapomniana już mądrość rasy. Bratobójcze walki to klęska dla walijskich plemion. Wrogowie, dziś upokorzeni i słabi, tylko czekają na taki moment.

– Cóż więc mam robić?

– Jest kilka rzeczy, które powinieneś uczynić. Traktuj to jak najważniejsze przykazanie mojego testamentu. Po pierwsze: nie wolno ci dopuścić do świętej wojny. Dlatego gdy stanie sprawa sukcesji złotej dynastii w Iserii, usuń się, oddaj prawo władzy staremu rodowi Jasti.

– Jak to? A co będzie z nami?

– Rada Wojenna ostatnio sugerowała powstanie kolonii na terenach Zagórza. Potrzebne będą dla niej władcze rody. Jeżeli Rada podtrzyma ów projekt, pójdiesz tam jako patriarcha księżęcej rodziny Jasti. Niech moi wyznawcy idą z tobą. Za górami nie dosięgnie was ani Mau, ani zwykła, pospolita zawiść.

– Przecież, jeżeli twoi czciciele mają pójść ze mną, w Iserii nie zostanie żywa dusza! Wszyscy cię wielbią!

– Pozornie, mój drogi – Itijasti z czułością przygarnął syna do piersi. – Gdy trzeba będzie wybierać, zobaczysz, jak niewielu zostanie przy tobie.

– Dlaczego tak jest?

– Póki żyję, nikt nie ośmiela się podnieść oczu. Potem podniosą nie tylko oczy, ale i dłonie.

– Dlaczego?

– Widzisz, od dziesiątków i setek ellarów Mau władała tym ludem ze świątyń i nieba, ona chroniła go w chwilach klęsk, przynosiła triumfy, karała i nagradzała. Żaden nowy bóg, choćby najsilniejszy, nie wykorzeni jej kultu od razu. Ellary upłyną, zanim w świadomości walów stanę się równy bogini przynajmniej na tyle, by zechcieli wybierać. Aby miał tę szansę, potrzebny jest pokój. Pokój dla Przedgórza i – przede wszystkim – dla tych, którzy przy mnie zostaną. Musisz wyjść mu naprzeciw, dlatego opuścisz Iserię, by pod osłoną Smoczyc Górn i Pustyni Śmierci pielęgnować iskrę, którą wzniciłem.

– Ciężko mi będzie...

– Wiem. Jest jeszcze drugi powód: przekaz Mau, zawarty w jej Świętych Tablicach, a będący żądaniem bogów starszych niż ona, głosił konieczność pojednania z tomami. Stworzyłem ku temu warunki: nie ma już Mocy – źródła zła i pogardy, którą żywiła ich rasa wobec nas. Musisz przenieść to posłanie w przyszłe pokolenia. Musisz dążyć do tego i dążyć muszą twoi synowie.

Jak to zrobić, nie wiem. Wiem natomiast, że czas nienawiści – sięgający wstecz tak daleko, że i Tablice o tym milczą – powinien się kiedyś zakończyć. Nie wiem, co stało się niegdyś między naszymi rasami, tak bliskimi sobie, że zdolne są nawet łączyć się krwią, powodu tego nikt dziś nie pamięta ani wśród tornów, ani wśród walów. Dlatego tobie powierzam ideę związania na powrót zerwanych dawno więzi. Tam, na Zagórze, nic nie stanie ci na drodze. Pewnym jest, że nie zrobisz tego ty, nie zrobią nawet twoje dzieci. Lecz to ty musisz zasiać ziarno.

Po tej przemowie zapadła cisza. Zamyślony Hennasti patrzył w ciemność nad dachami, jakby układał sobie to wszystko, co usłyszał od księcia. Po chwili odezwał się cicho:

– Zrozumiałem twe słowa, ojciec. Będzie, jak chcesz. Starzec pogładził jego czarną czuprynę.

– Cieszę się, że pojąłeś – powiedział. – Chcę ci jeszcze powiedzieć coś, co nie pozwoli wrogom zatriumfować nad tobą – podszedł do stojącej przy łóżu szkatułki i wyjął z niej nieduże zawiniątko. Podał je synowi.

– Co to jest? – Hennasti ostrożnie ujął w palce pakunek.

– Rozwiąż – polecił księżę.

Posłusznie spełnił życzenie ojca. Zdziwiony oglądał dwa przedmioty, z których tylko jeden wydawał się mieć sensowne przeznaczenie. Wziął w dłoń rękojeść haczykowatego sztyletu o ostrzu z ciemnego metalu. Spojrzał pytająco na księcia.

– Ten nóż to pamiątka po jednym z mych przyjaciół – powiedział Itijasti.

– Ma dziwny kształt – zauważył chłopiec, oglądając klingę pod światło.

– To nie jest zwykły sztylet. Trzymasz w dłoni święty garnag Zabójców Smoków. Od takich noży w labiryntach jaskiń pod Smoczymi Górami z rąk eneików giną xinxy.

– Skąd go masz? – Hennasti z szacunkiem popatrzył na sztylet.

– Miałem kiedyś kiseta. W jednej z potyczek straciłem go: został w obozie, gdy ja, niesiony czarami eneików, znalazłem się nagle wiele dni drogi od miejsca, gdzie go opuściłem. Wędrowaliśmy potem długo, pogodziłem się już ze stratą, gdy wierzchowiec niespodziewanie się odnalazł. Byliśmy wtedy w państwie Ceranów, w samym sercu gór, mieliśmy za sobą grozę przejścia przez jaskinie. I tam znalazł mnie mój kiset. Był straszliwie poraniony, stracił oko. To-sar, mój przyjaciel eneika, stwierdził, że zwierzę musiało samotnie przebyć labirynt, że toczyło walki z potworami podziemi. To-sar był Zabójcą i znał ich prawa.

Samotne przejście jaskiń nobilitowało kisetę w oczach eneików i czyniło go godnym wstąpienia w szeregi zakonu. Z pełnym ceremoniałem przyjęto więc zwierzę do Bractwa

Zabójców. Nadano mu imię Kirvi – ginn, to znaczy Pogromca Kirvi – tak zwą eneikowie jedno z monstrów zamieszkujących jaskinie. Ten nóż był właściwie własnością mojego kisetu. Powierzono mi go dla niego. Śmieszyło mnie wtedy to całe zamieszanie wokół rumaka, dziś jednak widzę, że miało głębszy, niż myślałem wówczas, sens. W każdym razie garnag został u mnie. Przypomina mi dawne czasy. Popatrz na jego ostrze – wskazał na brzeszczot. – Jest wykonane z metalu ngorhi. Ma tę szczególną właściwość, że reaguje na obecność xinxa. Widziałem to na własne oczy, gdy To-sar walczył ze smokiem. Ale to tylko cenna pamiątka, nie wiem, czy ma inne, poza pamięcią, znaczenie. Sięgnij głębiej, jest tam coś jeszcze. Hennasti wydobyl z zawiniątka niewielki, czarny prostokąt i podał go księciu.

– Nieliczni już żyją z tych, co widzieli sługi tej płytki – powiedział Itijasti. – Z ich pomocą zwyciężyłem żołdaków Durlocku pod Irvion i kilkakrotnie gromiłem uciekające kohorty ghotów, gdy opuścili je tornowie. Później moja armia skryła się w podziemiach zamku, a walowie o niej zapomnieli. Teraz nadszedł czas, byś przejął nad nią dowództwo.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – chłopiec niepewnie zerknął na ojca.

– Ów przedmiot zabrałem z piersi strażnika Wieży Życia, anasteula. Jego dotknięcie podda rozkazom twych myśli hufiec stalowych rycerzy.

– A więc stalowy hufiec istnieje naprawdę? Myślałem, że to tylko jedna z legend, które otaczały twoje zwycięstwa.

– Nie dam rady zejść po schodach, lecz jeśli zechcesz mnie ponieść, możesz ich zobaczyć – ksiązę wskazał boczne drzwi.

Hennasti wziął ojca na plecy. Skonstatował, że starzec waży zaskakująco mało. Z zapalonymi pochodniami ruszyli w dół. Mijali kolejne piętra, potem kilka kondygnacji piwnic, a Itijasti kazał iść wciąż niżej i niżej. W końcu stanęli przed niską, kutą z żelaznych prętów kratą.

– Gdzie jesteśmy? – Hennasti mimowolnie zniżył głos.

– To dawne sekretne lochy kapłanów – odparł ksiązę. – Ich istnienie zdradził mi swego czasu najwyższy kapłan, Giveen. Od jego śmierci nikt poza mną, i teraz tobą, o nich nie wie.

– Co się tu mieści?

– Kiedyś odbywały się tutaj tajemne misteria i rozmowy z Mau, trzymano tu również specjalnych więźniów, którzy narazili się kultowi, o innych rzeczach nie wiem. Giveen, uznając mnie za boga, oddał mi klucze od tego przybytku. Przydały się, gdy uznałem, że stalowy hufiec powinien zniknąć z oczu Iserów.



Książę z trudem otworzył zardzewiałą zasuwę. Weszli do środka.

Spadła na nich czarna, trzepotliwa chmura, tłukła po twarzach i barkach setkami drobnymi, ohydnie miękkich uderzeń. Zgasło światło pochodni wypuszczonej w panice przez Hennastiego. On sam skulił się przerażony pod murem, osłonił głowę rękami. Strach wydarł z jego gardła przenikliwy krzyk, bo owo czarne coś oblepiło go krociami kłujących uścisków, świdrowało uszy skrzekliwym piskiem setek małych gardzieli. Serce rozsadzało pierś wylęklym łomotem. Oglupiały umysł daremnie szukał furtki, którą mógłby uciec w rzeczywistość. Hennasti nic nie rozumiał, nie potrafił umiejscowić tej ruchliwej czarnej chmury, która go obsiadła. Naraz poczuł na twarzy gorący powiew. Od tego podmuchu puściły raptem maleńkie szpony. Niespodziewanie uwolniony otworzył oczy.

Itijasti stał nad nim wymachując pochodnią, a ponad rozchwianym kręgiem światła krążyły i w przerażeniu pierzchały przed ogniem chmary niewielkich, latających stworków. Hennasti usłyszał śmiech ojca.

– C.co to... było...? – wciąż przestraszony podniósł się z ziemi.

– Dobrze, że nikt cię nie widział. – Książę ocierał łzy wesołości. – Piękny widok przedstawia przyszły starszy rodu Jasti, kulący się ze strachu przed watahą griios!

Chłopca ogarnął wstyd. Mógł się tego domyślić, nie pierwszy raz je widział. Miały swe gniazda w licznych piwnicach i naturalnych podziemiach. Usprawiedliwiał go tylko fakt, że nigdzie nie było ich tak wiele.

– Obrzydlistwo! – ze wstrętem strącił zapóźnionego, wplątanego w poły płaszcza zwierzaka.

– Dlaczego one nie przesypiają przełomu?

– Pod ziemią jest wystarczająco dużo ciepła, by życie nie zamierało tu na tak wiele kari.

– Czym się toto żywi?

– Wszystko, co zamieszkuje lochy i jaskinie, pożera się nawzajem. Syty jest ten, który okaże się silniejszy.

Hennasti ujął ojca pod ramię i wolno ruszyli dalej. Nieprzyjemna to była wędrówka. Loch był zaniedbany, dawno nikt go nie odwiedzał. Wilgotny chłód ciągnął od murów, przenikał ubrania, oblepiał ciała mokrą, lepką papką. Ściany pokrywały liszaje pleśni, krople wody spływały powoli z narosłych przez czas długich solnych sopli. Z uczuciem ulgi stanęli przed zamkniętą masywnymi drzwiami furką.

Byli tam. Stali równymi szeregami w kamiennych wnękach, nieruchomi i milczący. Martwi.

Blask pochodni migotał na ich stalowych pancerzach, pod którymi nigdy nie były żywe serca. Mocarne kończyny zwisały bezwładnie wzdłuż pękatych, krępych tułowi, jakby w oczekiwaniu na oręż, którego przecież nie potrzebowały. Ich siła nie leżała w sprawności fechtunku. Oni byli niezniszczalni. Nie imały się żelaznych piersi pociski ni sztychy, nie gościł w nich strach ani euforia zwycięstwa. Stu dwudziestu rycerzy pozbawionych dusz. Zastęp, który budował, a potem chronił torneńską Wieżę Życia. Stalowy hufiec.

Zachwyty połączone z rozpierającą radością, że oto dano mu władzę nad największą potęgą Loinu, mieszał się w sercu Hennastiego z mimowolnym lękiem. Widok masywnych postaci budził trwogę, a gdzieś w podświadomości bezwiednie rodziła się przerażająca myśl, że olbrzymy mogłyby wymówić posłuszeństwo. Wiedział, że to niemożliwe. Tak długo przynajmniej, dopóki posiadać będzie czarną płytkę, w której zaklęto ich wolę.

– Piękni są – szepnął. Itijasti uśmiechnął się.

– Jeszcze piękniej wyglądają w boju.

– Trudno to sobie wyobrazić, są tacy wielcy i ociążali...

– Gdy prowadziłem szarżę, kiset dobywał ostatniego tchu, aby dotrzymać im kroku.

A wierzchowca miałem ściętego jak myśl.

Szli wzdłuż zamarłego szpaleru. Oglądali gigantyczne korpusy, patrzyli w bezokie twarze, których nigdy nie wykrzywił żaden grymas.

– Przystańmy na chwilę – poprosił nagle Itijasti. – Muszę odpocząć.

– Dobrze się czujesz, ojczu? – Hennasti z niepokojem spojrzał na pobladłe oblicze księcia.

Ten dyszał ciężko, ocierał z czoła grube krople potu.

– Już dobrze, zaraz przejdzie... To tylko starość – uśmiechnął się z trudem.

Hennasti pomyślał o dziesiątkach biegnących w górę schodów, które dzieliły ich od książących komnat.

– Czy jest stąd inne wyjście? – zapytał.

– Nie bój się, nie będziesz musiał nieść mnie z powrotem – starzec rozwiął obawy syna. – Nie myślisz chyba, że stalowi rycerze zeszli tu po sekretnych schodach z mojej sypialni? Z ostatniej wnęki – wskazał przed siebie – wiedzie korytarz, którego wylot znajduje się w skałach na wybrzeżu, w pobliżu wschodniej bramy. Zaczekam tu, ty zaś idź do zamku i sprowadź mi lektykę. Tylko pamiętaj, nie chciałbym, żeby ktokolwiek widział to wyjście.

\*

Jeżeli ktoś zdziwił się samotnej wyprawie księcia i jego syna poza mury Irvion, nie dał tego poznać po sobie. Od dawna Itijasti przyzwyczał swych podwładnych do akceptowania każdego, nawet najniezwy – klejszego pomysłu. Czas nie był zresztą odpowiedni dla dociekania przyczyn wycieczki starego władcy. Gorączka przygotowań do święta Trill osiągnęła szczyt. Jasti dotykał niemal linii horyzontu. Niebawem, gdy klepsydra uroni ostatnią kroplę wody czasu, nastąpi długo oczekiwana chwila: rozpoczęcie uroczystości przekazania władzy. Twarze zgromadzonego tłumu zwrócone były na zachód; złota iskra odchodzącego słońca przykuwała wzrok magnetyczną siłą. Valowie czekali.

W sali tronowej czekano również. Czekali lordowie, czekał pierwszy kapłan kultu Itiego, ze zniecierpliwieniem spoglądał na drzwi patriarcha rodu Rotha, przyszły regent – Othis, któremu czas dłużył się najbardziej. Czekano na jedyne z możliwych, którego brakowało wśród nich, ciągle jeszcze największego. Księcia.

Skrzypnęły wierzeje. Weszli obaj: Itijasti i jego syn, ośnieżeni, buchający mrozem. Złoty książę sprawiał wrażenie, że ubyło mu ze dwa kari: szedł rażno, jakby w ostatniej chwili panowania odzyskał utraconą dawno tężyźnię. Zatrzymał się przed kapłanem.

– Wybacz, czcigodny Dagganie, spóźnienie. To już ostatni raz.

– Nie przystoi, by bóg i władca usprawiedliwiać się przed swym sługą – Daggan skłonił się z uszanowaniem. – Zdążyłeś przecież – wskazał na klepsydrę. Z dna górnego naczynia wyciekały resztki cieczy.

– Czas więc zaczynać. Chodźmy, lordowie – książę skierował się ku drzwiom.

Owacja rycerstwa na widok orszaku zagłuszyła dostojny dźwięk gongu, który kończył zuar panowania księcia Itijastiego. Jego czas minął. Już tylko dla zachowania porządku ceremonii pozwolono mu zasiąść na iserskim tronie. I może dlatego, że nie słyszał tego dźwięku, nie odczuł tak mocno, że oto przestał być księciem. Był nawet rozczarowany. Ostatnio często widywał ów moment oczyma wyobraźni i zawsze jawił mu się on czymś niesłychanie ważnym, zamykającym epokę, niele – dwie kończącym życie. Zostało go przecież tak żałośnie mało... A teraz ta ważna chwila była już za nim, zaś on niemal tego nie zauważył!

Lordowie zajęli miejsca przed podwyższeniem, przy opuszczonym księciu pozostał tylko Daggan. Gwar ucichł. Kapłan skierował wzrok na zachód, gdzie przed chwilą zniknęła Jasti.

– Żegnaj, złoty Jasti! – zawołał, wznosząc ręce w górę. – Bądź nam gwiazdą przewodnią nocy, dzień oddaj czerwonemu bratu!

Zamilkł i spojrział na stojący poniżej tłum.

– Oto przed wami, rycerze – przemówił – staje ten, który prowadził was w promieniach słonecznego ojca do chwały i zwycięstwa. Z woli bogów narodził się w zbrodni poczęcia, by – ścigany przez prawo wielu krajów, z ojczystą Iserią na czele – przynieść ocalenie swemu narodowi i wszystkim ziemiom Przedgórza. Jemu też przypadł ten tron, niesławnie pozostawiony przez księcia Anutajasti. Czyn, którego dokonał, uwalniając Loin od Mocy, kreował go na boga. Współcześni widzieli pęknięte posągi Mau w świątyniach, gdy bogini zwalniała stolec pierwszej wśród Nieśmiertelnych. Wola Iserów i nakaz przeznaczenia umieściły na jej miejscu wizerunki Itiego. Pod tym imieniem jest odtąd czczony książę Itijasti w panteonie bogów-przodków. Oto odchodzi od nas val śmiertelny, by czuwać nad narodem z niebiańskich pałaców, unieśmiertelniony przez swe czyny. Najpierw jednak, zgodnie z tradycją valijskich plemion, przejść musi ocenę swego czasu, a dokonacie jej wy. Pytam więc, jak pytali kapłani przez setki przełomów: wypowiedzcie się, rycerze, którzy służyliście mu wiernie w chwilach triumfów i klęsk, a teraz macie prawo wydać wyrok; odpowiedzcie, czy schodzi w chwale, czy powinien zgasnąć razem z Jasti?

Wielką ciszę, w której przebrzmiały słowa Daggana, przerwał potężny zgrzyt, gdy tysiące mieczów opuszczało pochwy. Jak podnosząca się fala powędrował przez plac błysk ostrzy, wyciągniętych ku górze. I zaraz, zanim huknęły rogi, aby obwieścić chwałę zstępującego władcy, zagrzmiało jak wojenne hasło skandowane przez tysiące ust imię:

– I-TI-JAS-TI!!!

Książę podniósł się z tronu. Patrzył na rozkrzyczaną cizbę, na wzniesione triumfalnie głownie. Patrzył długo, a na brunatnych, pooranych zmarszczkami policzkach zalśniły wilgotne smużki. Lecz mimo wzruszenia, mimo wypełniającej sterane serce radości z tak jednoznacznego osądu, nie uszło uwagi księcia, że pośród lasu mieczów nad głowami jeźdźców zabrakło jednego. Sishastirro stał w pierwszym szeregu między patriarchami i patrzył mu prosto w oczy. U jego stóp drżał lekko miecz, zdecydowanym gestem wbity w ziemię.

\*

Koniec. Poza nim dni upokorzeń i szczęścia, klęsk i zwycięstw – wszystko. Nawet ta ostatnia, zamykająca jego losy chwila już minęła. Nie ma księcia Itijastiego, nad wschodnim horyzontem lśni krwi – ście Roth. Jego synom valowie powierzą rządy na czternaście kari, aż czerwony zuar zgaśnie z nadejściem jas, a jego kresem będzie Randia. Wówczas wrócą na trony

dzieci Jasti, obejmie go również jego... kto? Prawnuk...? Gdzie będzie ten tron...?

Przełknął kroplę goryczy, gdy wraz ze wzejściem Rotha raptem zapomniano o nim zupełnie. Jak gdyby nagle zniknął, jakby nigdy nie istniał. Schodził z podwyższenia opuszczony, zignorowany przez wielbiących go przed momentem rycerzy, bo czerwone słońce zablęskło na niebie, a na miejscu władcy siedział już regent Othis i przyjmował hołd tysiąca ostrzy. Hennasti dogonił go na schodach, lecz odprawił syna niecierpliwym gestem. Chciał teraz być sam. Ta samotność należała mu się, aby bez przeszkód dopełnić swój los. Jaki był? Co zdeterminowało właśnie taki jego przebieg? Nie miał przecież prawa przyjść na świat. Urodził się w czasie jas jako syn wasalnego jeźdźca z nadgranicznej prowincji. Urodził się w czasie zastrzeżonym dla narodzin władców o płomiennych włosach, wybrańców, których Jasti obdarowywał słoneczną aureolą, aby chronili poddanych przed Mocą tornów. Dlaczego kaprys bogów jemu również nadał ten przywilej? Grzech matki, a potem czas wychowania w pustelni dziwnego rycerza Besitiego, w ukryciu przed wzrokiem ciekawskich sąsiadów, przed donosem i niechybną śmiercią – to wszystko ukształtowało początek rewolty, której imię brzmiało: Itijasti.

Doskonale wiedział, że sam nie działałby nic. Mimo piętna, które nosił, zawsze miał przyjaciół. Vortar... Był z nim najdłużej: od pierwszych dni banicji prawie do samego końca. Uśmiechnął się, wspomniawszy starego zbója. Przygarnął go po niefortunnej zasadzce, gdy ów zamiast spodziewanych zdobyczy stracił tylko swych kamratów, a i sam omal nie przypłacił głową napaści na niepozornego młokosa z Iserii. Zginął w Martwym Lesie, poddał się wezwaniu nieczystych ikuas. Czy Itijasti mógł wówczas zapobiec tej śmierci? Czy bliskość Wieży Życia nie przyćmiła w nim troski o opętanego szeptem sług Moiru przyjaciela? Nigdy nie odpowiedział sobie na te pytania. Nikt nie mógł mu pomóc w znalezieniu odpowiedzi...

Był też To-sar, mały eneika o odważnym sercu. Zabójca Smoków został na zawsze we wnętrzu swej ostatniej ofiary. Bez niego Iti nigdy pewnie nie zdołałby umknąć prześladowcom, którzy ścigali go w imię czystości klanu słonecznych książąt. Kierowała nim zapewne wdzięczność za uratowanie życia, ale nie tylko. Eneika nosił w sobie jakąś ideę, zrodzoną z tajemnych wierzeń jego braci, ideę, której Itijasti nigdy, mimo starań, nie zdołał zgłębić.

A Jastihoreno? Złoty książę z Lornin poświęcił przynależność rodową, przywileje i szacunek bliźnich dla niepewnej przyjaźni z bękartem złotego słońca. Czy uczynił to dla zaspokojenia żądzy przygód? Czy dla niej złożył życie, osłaniając ucieczkę z kordonu tornów?

Pytania, pytania, pytania... Czy tam, dokąd zmierza, zdoła je rozwikłać?

Był w jego życiu jeszcze ktoś, kogo również złożył w ofierze swemu posłannictwu. I owa śmierć bolała go najbardziej. Nie wiedział do dziś, czy była świadomym gestem poświęcenia, czy też spowodował ją przypadek i niewiedza ofiary o skutkach jego działania. Ból był tym większy, że stracił to, co zakiełkowało w głębi duszy i po raz pierwszy zmusiło serce do żywszego bicia. Po raz pierwszy i chyba ostatni. Teraz już potrafił to nazwać: kochał Danaskee miłością pierwszą i najczystsza, której nigdy później nie doświadczył. Wiele kobiet przewinęło się przez jego życie. Jedna z nich obdarowała go dziećmi i towarzyszyła na książęcym tronie aż do swej śmierci. Lecz żadna z nich, nawet księżna Astine, nie potrafiła wymazać z jego serca wspomnienia o córce tornów.

Zza okna dobiegał śmiech i gwar. Nastął okres uctowania i zabaw, wieńczących uroczystości Trill. Potrważą zapewne do końca pierwszego dnia zuaru, który się właśnie rozpoczął. Tego dnia nie oddzieliła od poprzedniego noc, bowiem od dziś nocą nazwie się czas panowania Jasti. I z dnia na dzień Roth będzie potwierdzać słuszność takiego podziału. Będzie z wolna rosnać i coraz jaśniejszym blaskiem podkreślać różnicę w porach doby. To jeszcze potrwa, jeszcze wielu z tych, co dziś cieszą się siłą wieku średniego, odejdzie w niepamięć śmierci lub będzie dożywać swych dni w spokoju i trudzie starości. Lecz nadejdzie nieuchronnie. Śniegi spłyną na północ, świat będzie cieszyć się nowym życiem, nową młodością. Tak będzie, bowiem wszystko toczy się w odwiecznym cyklu przemijania, w następujących po sobie i przenikających się nawzajem mgnieniach rozbłysków i gaśnieć. A on jest częścią tego cyklu, jedną z niezliczonych faz, które pojawiły się i zniknęły, istnieją między początkiem i końcem lub oczekują swojej kolei w nieskończonym ciągu przyszłości. I właśnie nadeszła chwila, gdy powinien zgasnąć, by dać im szansę zaistnienia. Zgasnąć naprawdę, tak jak odszedł z życia i pamięci rodaków.

Odetchnął głęboko i dźwignął się z fotela. Czuł ból w piersiach. Od dłuższego czasu miewał nawroty choroby, do której nie przyznawał się nikomu, nawet najbliższemu. Wiedział wszak doskonale, iż żaden medykament nie może mu pomóc, nie wymyślono dotąd leku na starość. Podszedł do stojącego przy łożu kufra i otworzył go. Niecierpliwie wyrzucał bogate stroje, ozdoby i inne drobiazgi, które nagromadziły się przez okres, kiedy książę Itijasti był największym wśród panów księstwa. Aż dogrzebał się do dna. Znalazł, czego szukał. Pomięty, zniszczony i zmatowiały srebrny kombinezon. Wzruszenie ścisnęło mu gardło, gdy wydobył go ze skrzyni. Drżącymi rękami zrzucił książęce szaty. Stanął przed cynowym lustrem i popatrzył na

siebie tak odmienionego, jakby czas raptem zawrócił o setki seves. Oto stał przed nim val w połyskliwym stroju tornów, val, którego sylwetkę znały zastępy wrogów i kochały odrodzone iserskie pułki. Był ów kombinezon jego ubiorem wojennym, nakładał go zawsze, gdy szedł do boju, na znak swojego zwycięstwa nad złowieszczą Wieżą. Brakowało tylko lędźwiom znajomego ucisku siodła, rozkołysanego w rytm miękkiego galopu kisetu, i brakowało tego ciężaru na biodrach, który dawał pewność siebie – ciężaru miecza. Zawrócił do kufra.

Gładził swojską szorstkość pochwy, dotykał wytartej od długotrwałego używania rękojeści. Czuł rosnące pulsowanie krwi w żyłach. Młodniał z każdym uderzeniem serca. A potem znów ujrzał siebie w przymglonej tafli zwierciadła. I zrozumiał, że tylko jedna droga prowadzi w przeszłość, gdzie czekają przyjaciele, skąd wzywa go Danaskee. Wyszarpnął miecz z pochwy. Klinga zadźwięczała lekko i zamigotała w blasku ognia. Patrzył, jak lśnienie to kurczy się i gaśnie w miarę, jak zagłębiał ostrze w buchające krwią trzewia.

\*

Poławiacze glonów uiz po raz trzeci tej doby zmieniali stanowisko wiertni. Nie dopisywało im szczęście. Pierwszy odwiert, w miejscu najbardziej rokującym powodzenie, okazał się zupełnym nieporozumieniem. Warstwa lodu sięgała dna i nawet jeśli pierwotnie były tam zawiązki glonów, zmarzlina zniszczyła je całkowicie. Lecz niepowodzenia były ich chlebem powszednim, dlatego bez złości pozbierali narzędzia i przenieśli się na rezerwowe pole. Dopiero tu mogli mówić o prawdziwym pechu. Grot wiertła przebił taflę na trzydziestu łokciach i szedł coraz niżej, a kiedy już zaczęli cieszyć się sukcesem, obserwując bryzgi wyrzucanej przez spiralę wody i licząc brakujące do dna stopy, nagle okazało się, że dna nie ma. W miejscu spodziewanych połowów ziała szeroka szczelina, po wchłoniętych glonach nie został ślad. Trzeci odwiert w tym samym miejscu nie miał sensu – sieć uiz tworzyła nie – rozrywalną płataninę, która rozciągała się na olbrzymich powierzchniach. Jeżeli szczelina rozwarła się pod nią, cała kolonia glonów nieuchronnie ginęła w bezdennej czeluści. Musieli więc szukać zupełnie nowego łowiska, inaczej groził im powrót na Stinn-ag-He z pustymi rękami.

Zapuszczanie się w głąb pustkowiec zamarzniętego morza nie należało do bezpiecznych przedsięwzięć. Na gładkiej jak stół równinie szalały wichry i zamiecie, częste raptowne zmiany pogody uniemożliwiały orientację za pomocą gwiazd. To sprawiało, że nawet wytrawni poławiacze woleli wiercić lód w pobliżu wysp, chociaż cieśnina między lądem a archipelagiem dawała tym obfitszy plon, im bardziej oddalali się od brzegów. Jednak Kische-im i jego grupa,

rozdrażnieni dwukrotnym niepowodzeniem, zdecydowali się na ten krok. Zbyt wiele włożyli wysiłku w przygotowanie wyprawy, aby teraz wycofać się z niczym. A gdy już postanowili wejść w lodową pustynię, kierunek narzucił się sam: ekspedycja letnich badaczy łowisk zlokalizowała bogatą kolonię o pół dnia marszu na północ od Stinn-ag-He, tuż przy granicy wód terytorialnych należącej do walów Kologii.

Wędrówka nie była łatwa. Porywisty wiatr od zachodu ciął twarze igiełkami lodowych okruchów, gonił tumany zamieci nad skamieniałym morzem, szarpał skulone sylwetki eneików i ploszył ciągnącego sanie irmana. Chwilami poławiaczy ogarniało zwątpienie i byli gotowi zawrócić, lecz determinacja Kishe-ima i obraz martwych spojrzeń, którymi przywita puste tobogany głodująca wioska, dodawały odwagi. Parli więc dalej, podtrzymywani na duchu nadzieją, że tym razem wysiłek nie będzie daremny.

Pierwszy zauważył go Na-jin. Na śniegu czerniał na poły przysypany tłumok. W miarę jak zbliżali się do niego, nieruchomy łachman począł przybierać znajome kształty, a poławiaczy ogarniało coraz większe zdziwienie. Sięgnęło szczytu, gdy stanęli nad nim i spod pospiesznie odrzuconej warstwy śniegu wyłoniło się zastygłe w lodowy sopel ciało eneiki.

Ogrzewany i cucony, po długiej chwili zaczął dawać słabe znaki życia. Wiedzieli jednak, że żadne zabiegi nie odniosą rezultatu, jeżeli nie zajmie się nim zielarz. To oznaczało konieczność natychmiastowego powrotu do wioski. Stanęli przed wyborem: czy ważniejsze jest ratowanie życia jednemu nieznanemu, czy zapewnienie pożywienia rodzinnej osadzie. I pewnie dylemat ten rozstrzygnąłby się na niekorzyść obcego, gdyby Kishe-im nie znalazł na jego piersi srebrzystej igły i gdyby nie znał jej znaczenia. Wśród Vhorów z Wysp Stołowych nie istniał zakon Zabójców Smoków – nie było powodu do jego powstania. Tym większym szacunkiem wypiarze darzyli swych braci straceńców z górskich enklaw Loinu, tym bardziej podziwiali ich poświęcenie dla Oll-hirr. Zaś znaleziony eneika był nie tylko Zabójcą, tiris świadczył, że ściany jego celi zdobiło więcej niż jedno smocze ucho. I zapewne nie przypadkiem ów Niezwyciężony zdążył ku siedzibom Vhorów.

Po krótkiej naradzie poławiacze podzielili się. Trzej umieścili eneikę na toboganie i pospiesznie ruszyli z powrotem. Reszta, pod dowództwem Kishe-ima, podjęła wędrówkę w kierunku łowiska. Wieś czekała na uiz.

\*

Rahe-dasa obudził zapach dymu. Mała izdebka o wybitych skórąmi ścianach zasnutą była



aromatycznym, dusznym oparem z ziół. Poruszył się. Długi, przenikliwy dreszcz spłynął od karku po końce palców stóp. Dostrzegł ruch w ciemnym kącie po przeciwnej stronie izby. Z cienia wyłonił się stary eneika o pomarszczonej twarzy. Mamrocząc coś pod nosem, cisnął garść suszu w ogień paleniska, a potem podszedł do posłania i pochylił się nad leżącym.

– Obudziłeś się – powiedział, ni to pytając, ni stwierdzając fakt. Głos miał skrzypiący i niepewny, jakby jego krtani pokryła śniedz przeżytych kari.

Rahe-das chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł wydobyć dźwięku, kiwnął więc tylko potakująco głową. Nawet ten niewielki ruch kosztował go sporo wysiłku. Miał wrażenie, że skóra wyschła na nim i zeszywniała jak zasolona, a teraz kruszy się pod wpływem pracy mięśni.

– Nie ruszaj się, nie ruszaj... – mamrotał eneika. Podniósł z ziemi czarzę i napełnił ją płynem z dzbana. – Jeszcze ci Imratt zabrania ruchu... On, sługa leśnych cieni, którym Trorr-ud dał siłę leczenia, wie... Wypij napar z jego korzenia, a wrócisz rychło między żywych. Mróz cię chciał i śnieg cię chciał, tylko stary Edde-mgu nie pozwolił im cię zabrać. Wypij to, powoli. Gardło też musi ożyć.

Pierwszy łyk odczuł boleśnie, następne jakby rozpuszczały zastygłą skorupę, którą powleczone był przelyk. Ciepło rozpląnęło się z żołądka na całe ciało, rozpędziło stada mrowiących w żyłach żyjątek. Wracił.

– Gdzie jestem...? – wyszeptał z trudem.

– Ciiicho, nie mów... – starzec położył mu dłoń na ustach. – Nie wolno mówić. Poławiacze cię przynieśli z lodu. Jakie bogi wyгнаły cię na morze? Lód to śmierć, nawet dla przywykłych. Do mnie cię przynieśli, bo Edde-mgu potrafi prosić Trorr-uda o darowanie życia. Odważny jesteś albo głupi. Nie ma tak ważnej sprawy, która kazałaby iść z lądu na wyspy przez środek cieśniny.

– Doszedłem? – Zbyt wielu rzeczy nie wiedział, by słuchać gadania zielarza.

– Nie doszedłeś, Zabójco, nie doszedłeś. Znaleźli cię nasi, co wiercą za uiz. Gdyby nie oni, doczekałbyś końca ziroth jako karma dla ryb. Przypadek... A raczej wola Trorr-uda, widać zabrał Kishe-imowi glony na pobliskich łowiskach, żeby mógł odszukać cię. Ale – prosiłem – zamilcz, za długo oddech nie grzał ci krtani.

– Nic mi nie jest, już dobrze... Powiedz mi, co to za wieś?

– Dedn-yo. Biedna, mała osada na Stinn-ag-He. Teraz śpij – dodał, widząc cięższe powieki chorego. – Sen cię uleczy lepiej niż zioła. One zrobiły swoje, potęga daru życia drzemie w korzeniach Imratt. Teraz walcz sam.

Nie słyszał końca monologu, zapadł raptownie w czarną studnię. Roztrzepotane zmysły rejestrowały migotanie trwających ułamki chwili obrazów, których treści nie potrafił uchwycić. Między nimi był mrok, kłębił się nieskończenie zwojami czerni, oplatał strzępki chaotycznych snów. Gdy ocknął się ponownie, w izbie oprócz starca było jeszcze kilku innych. Siedzieli wokół ognia, cicho rozprawiali i kiwali potakująco głowami, gdy głos zabierał zielarz. Nie mógł zrozumieć, o czym mówią głosy nie docierały do jego posłania. A może to ów jednostajny szum w głowie nie pozwalał ich usłyszeć? Westchnął i przewrócił się na bok.

Eneikowie przerwali szept i zwrócili ku niemu twarze.

– Nie śpi – dobiegło go stwierdzenie, nie dostrzegł, przez kogo wypowiedziane.

– Czas już, żeby się obudził – rzekł Edde-mgu, wstając. Zbliżył się i kucnął na piętach u wezłowia. Położył choremu dłoń na czole, zajął w źrenice, potem przesunął końcami palców wzdłuż szyi. Silnie nacisnął skórę pod szczęką gdzie pulsem odzywała się tętnica, aż Rahedasowi pociemniało w oczach. Pokiwał głową mlaskając językiem i cicho mrucząc ni to zaklęcia, ni modlitwę, przeznaczoną demonom, czy bogom...? Potem zaczął się kłaniać, coraz niżej i niżej, a przy każdym skłonie rzucał za siebie szczyptę sproszkowanych ziół z głębokiego, glinianego naczynia. Rahe-das patrzył na owe poczynania z lekka przelękły, zapomniawszy o słabości. Chwilami nie wiedział, czy to już jawa, czy ostatni, poprzedzający jawę i mieszający się z nią sen.

Niespodziewanie Edde-mgu przerwał pokłony. Zerwał z chorego przykrycie i szarpnięciem za ramiona posadził go na legowisku. Rahe – das skulił się w sobie w przeczuciu bólu. Ze zdumieniem i ulgą skonstatował, że ból nie nadszedł. Jeszcze ostrożnie przeciągnął się, badając odruchy organizmu – słuchały go mięśnie i ścięgna, trochę odporne, lecz już jego, już posłuszne nakazom umysłu.

Starzec obserwował tę scenę, siedząc w kucki, znieruchomiały. Po chwili powiedział półgłosem:

– Chwała ci, o Imratt, boskie ziele! Oto znowu potwierdzasz potęgę swego panowania nad życiem śmiertelnych. Tobie powierzył Trorr-ud tę władzę, dał ci moc uzdrowicielską w królestwie ziół. Chwała ci, zielony królu!

Rahe-das chrząknął.

– Dzięki, Edde-mgu, za ocalenie. Przysłużyłeś się nie tylko mnie, zyskałeś udział w schedzie Trorr-uda.

– Być może... Nie mnie w to wnikać. Służę życiu, nic więcej. Tak kazał bóg-eneika.

– Zasłużyłeś na wdzięczność boga-eneiki nie tylko z powodu wypełnienia nadanej ci powinności. Jestem powiernikiem Yorvilla.

Edde-mgu spojrział na niego wzrokiem, w którym zaskoczenie mieszało się z szacunkiem i lękiem.

– To dlatego zmierzyłeś się z lodem... Święto w plemienu Vhorów: Yorvill odwiedza Kawyosa! Ale dlaczego teraz? Zima nie jest odpowiednim okresem dla takich wędrówek.

– Wiele kari Yorvill przebywał w obcych stronach, wreszcie zakon nakazał odebranie I serom Władcy Przestrzeni. Kamienie powinny spotykać się, aby o sobie nie zapomniały. Kawyos był najbliższym, obowiązek wymagał spełnienia misterium poznania. Dlatego ruszyłem przez cieśninę.

– Dotarli do nas wieści o pokonaniu Mocy przez wybranego spomiędzy walów. To jemu pomagał Yorvill? – domyślił się stary.

– Tak.

– Nie wiem, czy to dobrze, że jeden z ośmiu kamieni został skalany dotykiem profana, ale nie moja sprawa rozstrzygać. Żądaj, Niezwyciężony, takie twoje prawo, eneikowie Vhor wypełnią twoją wolę.

– Szanujecie przywileje Zabójców, to dobrze. Jestem Rahe-das-Geue i żądam: wskażcie drogę do miejsca, gdzie mieszka Kawyos.

– Wyspy Stołowe śpią teraz w objęciach śniegu i głodu. Tylko poławiacze wychodzą w morze, by ratować nas przed poddaniem się ich mocy. Nie dasz rady w takim stanie, przecież już wiesz, co potrafi lód. Zostań z nami, ziroth będzie z dnia na dzień łagodził zimę, odzyskasz siły i ty.

– Nie mogę. Straciłem dużo czasu, pora, aby Yorvill wrócił do domu.

– No cóż, żądałeś, Geue. Władcę Ognia znajdziesz na Daghrai-nne-Dia, w pałacu palatyna. Opiekuje się nim kapłan powiernik, Gath-osh.

– Kto jest teraz waszym palatynem, namiestnikiem Czarnego Kryształu?

– Władzę w imieniu Ayantialla sprawuje Bharh-dodd, syn wielkiego Rawe-guaha, który przed dwunastoma seves opuścił nas na zawsze.

– Jak trafić na Daghrai-nne-Dia?

– Stołeczna wyspa jest najdalej na południe wysuniętym lądem archipelagu. Ale skoro

postanowiłeś iść, nie pozwolimy ci błędzić w pojedynkę. To dzień i noc wędrówki, nie poradysz sobie sam. Jutro spodziewamy się powrotu poławiaczy, poproszę Kishe-ima, by towarzyszył ci w drodze. Nikt lepiej od niego nie zna lodowych szlaków.

– Dziękuję, zielarzu, to znacznie uprości sprawę. Nie wiem, jak mogę odwdziżyć się za taką uprzejmość.

– Myślę, że to my jesteśmy coś winni Zabójcom Smoków. Siedzimy na wyspach, mamy dobre stosunki z walami, pogodziliśmy się z następstwami przegranej wojny i powoli zapominamy o najważniejszym. Tylko wy pamiętacie jeszcze o Oll-hirr, krainie szczęścia, którą najeźdźcy zza morza odebrali eneikom. To Zabójcy sprawiają, że nie odeszła całkiem w sfery baśni i marzeń. Coraz mniej Vhorów przeżywa przełomy i być może niedługo jedno ze słońc nie będzie już czczone przez mój lud. Lecz łatwiej jest nawet wymierać, gdy żyje świadomość, że gdzieś w Loinie pamięć czasów świetności jest ciągle natchnieniem dzieci Trorr-uda.

– Tego możesz być pewien. Wierzę, że polegli w labiryncie nie padli daremnie. I choć droga do Oll-hirr ciągle jeszcze zamyka się przed nami, nadejdzie czas, kiedy znów zastępy Irgów, Ceranów i Urum wyjdą na równiny, żeby wezwać eneików do walki. Być może ta chwila jest bliższa, niż myślimy obaj.

– Jestem stary, Rahe-das. Wiem, że to tylko nadzieja, jednak lżej mi będzie dożyć ostatnich dni, kiedy obudziły ją twe słowa.

\*

Droga trwała nieco krócej, niż przewidywał Edde-mgu. Wyszli po północy, a przed wieczorem byli już u brzegów Daghrainne-Dia. Stary zielarz nie docenił odporności – raczej woli, aniżeli organizmu – ledwie przywróconego do życia przybysza. W dodatku Kishe-im był wysmienitym przewodnikiem, znał na pamięć wszystkie pułapki, jakie szykowała wędrowcom zmienna aura. Szli więc szybko. Zatrzymali się tylko raz, aby spożyć skromny posiłek. Gdy Roth pochylił się nad zachodnim horyzontem, grzali się już przy ogniu w chacie starosty przybrzeżnej osady.

Dalej Rahe-das miał iść sam, przewodnik musiał wracać do wioski. Odebrawszy zatem szczegółowe wskazówki, Irga ruszył wkrótce w drogę, choć Vhorowie szczerze mu to odradzali. Marsz był wytężony, ciała należał się odpoczynek. Nie znali jednak uporu Zabójcy. Twarda reguła zakonu budowała w braciach coś więcej niż hart mięśni i ducha.

Fortyfikacje Cevdor tonęły w zwałach śniegu. Ostrokół znaczył się na nim pierścieniem

niskich pali, łatwych do przeskoczenia, gdyby nie ziejąca po drugiej stronie przepaść – wewnątrz stolica była odśnieżona niemal do gołej ziemi. Zrezygnowano z odkopywania bramy; za linię umocnień schodziło się po prostu po drabinie. W tym stanie gród stanowił łatwą zdobycz dla każdego najeźdźcy, ale nie było śmiazków, którzy poważyliby się na taki czyn w warunkach przełomu. Jeszcze długo przyroda miała zapewniać bezpieczeństwo mieszkańcom. Dopiero z końcem ziroth spłyną śniegi i palisada znowu będzie chronić miasto.

Wywołał zdumienie swym przybyciem. Mimo późnej pory na centralnym placu zebrał się spory tłumek. Oglądano go jak dziw natury. Niemal każdy obywatel miasta próbował zamienić z nim choć kilka słów, ba – dotknąć go chociażby, jak gdyby dla upewnienia, czy nie jest zrodzoną w lodowej pustyni zjawą. Przepychając się przez ciżbę ku siedzibie palatyna, Rahe-das przyglądał się otaczającym go ene – ikom. Sprawiali przygnębiające wrażenie: wychudłe, nędzne postacie, przy których mieszkańcy nadmorskich osad stanowili okazy zdrowia. Tamtym było łatwiej – tutaj widocznie z rzadka docierały dostawy uiz, a przecież glony były podstawą zimowego wyżywienia wyspiarzy i ich zwierząt. I trudno było mieć pretensje do palatyna; żadna presja na poławiaczy nie mogła być w takich warunkach skuteczna. Niewesoły los spotykał Vhorów, których śniegi zastały w odległych od morza osiedlach.

Wiść o przybyżu dotarła do siedziby władcy wcześniej niż on sam. Drewniany pałac ożył, wiele pochodni oświetliło mroczną zazwyczaj budowlę. Palatyn już czekał, obudzony z pierwszego snu, którym uzupełniał niedostatki wieczery. Wydał polecenie, by sprowadzono nieznanego do jego prywatnych pokoi.

– Witaj, czcigodny Bharh-dodd – rzekł Rahe-das, stanąwszy przed nim. – Oby Trorr-ud pozwolił ci godnie sprawować namiestnictwo Władcy Wszechrzeczy.

– Witaj, wędrowcze. Nie jest słodką władza nad konającym ludem. Ale cóż za sprawa kazała ci przybyć do nas w tak niedobrym okresie?

– Jestem Rahe-das z plemienia Irgów. Szczęcę się przynależnością do Bractwa Zabójców Smoków. Wolno mi nazywać się Geue.

– Tym większa chwała spada na plemię Vhorów, jeżeli wita tak godnego gościa. Ważny musi być powód, który skłonił cię do podróży.

– Jest to powód najświętszy, dla którego jako Zabójca winienem nawet poświęcić życie. Bractwo uczyniło mnie powiernikiem odebranego valom Yorvilla. Zanim wróci do swej siedziby, święty obowiązek nakazuje kamieniom spotkanie. Nie mogłem sprzeciwić się pradawnej regule.

– Spotkanie... – Cień przemknął przez oblicze władcy. – No cóż, tradycja jest dla nas prawem. Żaden fakt nie może stanowić przeszkody, prawda?

Rahe-das popatrzył na palatyna. Uderzył go jakiś szczególny ton odpowiedzi.

– Co masz na myśli? – zapytał.

Bharh-dodd potarł dłonią czoło w geście znużenia.

– To nie twoje zmartwienie, Geue. Będziesz miał swoje spotkanie. Jutro zobaczysz się z powiernikiem Kawyosa. Odprawicie misterium poznania zgodnie z regułą. Twoja szaleńcza wyprawa nie może pójść na marne.

\*

– Zaczekaj tutaj – Gath-osh zniknął wśród zasp kryjących święte miejsce. Zostawił Rahe-dasa samego. Było ciemno, cicho i mroźnie. Niebo zasnuło się chmurami, prószył drobny śnieg. Na wprost niego, pokryte białymi czapami, bodły czerń trzy strzeliste, skalne iglice. Oto miejsce, gdzie mieszka boski kryształ, piąty z ośmiu. Takich miejsc jest w Loinie więcej – co najmniej cztery, o tylu wiedział. Niewiele informacji o losie szczątków Ayantialla docierało do szeregowych członków Bractwa, nawet Niezwycięzonych. Wszystkie te sanktuaria wyglądały tak samo lub prawie tak samo. Zwłaszcza jeden element miały wspólny, niezależnie od tego, gdzie umieszczono kryształ: owe trzy górujące nad okolicą smukłe wierzchołki. Threkhte-n-Uoso.

Gdzieś zza podstawy Zębów Góry wypłynęło cienkie, sine pasemko ni to mgły, ni dymu. Opar sączył się leniwie, rozpełzał po platformie długimi, zwiewnymi mackami. Za nimi kłębił się bezkształtny, gęsty obłok, niby stwór z zaświatów, który dotknięciami mgielnych kończyn ostrożnie bada nieznany teren przed sobą. Eneika prawie poczuł ucisk ciekawskiego pasemka, gdy oplotło mu łydki i przemieniło się na chwilę w krążący wokół kostek wir. Potem popęzło dalej, a mgła u stóp Rahe-dasa zgęstniała, zasnuła podłoże puszystą pokrywą. Miał wrażenie, że raptem oderwano go od ziemi; nie czuł pod nogami skały, jak gdyby opar oddzielił go od niej cięciem powyżej kolan. Zimny strumyk przemknął mu po plecach. Wzdrygnął się.

Nie zauważył, kiedy Gath-osh stanął przy nim. W dłoniach trzymał czarną, nieforemną bryłkę.

– Oto jest – szepnął.

– Czy znasz zakłęcie poznania? – Irga również mimowolnie zniżył głos do szeptu.

– Tak, przechowały je pokolenia powierników. Pamięć o nim pielęgnowały i przekazywały następcom od dnia zniszczenia Władcy Wszechrzeczy po dzień dzisiejszy.

Rahe-das sięgnął do sakwy. Zaskoczył go dotyk kryształu. Yorvill był ciepły, jakby mróz nie sięgał między zwoje płótna, w które go zawinał. Zbliżył dłonie do wyciągniętych palców kapłana. Usłyszał jego szept, kryształy zetknęły się na chwilę. Mrok rozbłysnął na krótko błękitną poświatą.

– To już? – zapytał. Oślepiiony błyskiem w dalszym ciągu wpatrywał się w pociemniałe i martwe okruchy.

Gath-osh pokiwał milcząco głową. Zamknął swój kryształ w dłoni. Odwrócił się i zanurzył w otulający iglice tuman.

Schodzili po kamiennych stopniach ku grodowi, każdy na swój sposób przeżywając powtórnie odprawione dopiero co misterium.

– Jakże rozbiegły się ścieżki eneików od czasu, gdy władał nami Ayantiall... – przerwał milczenie Rahe-das. – Dziś plemiona żyją w izolacji, jakby wstydziły się dawnej jedności, i tylko te kryształy jednoczą nas jeszcze w chwilach takich jak ta... O nich także wiemy coraz mniej; plemiona zazdrośnie strzegą swej własności. Zapominają, że to przecież fragmenty wspólnego dziedzictwa. Nawet gdyby odnalazło się zakłęcie scalenia, nie sposób zebrać kamieni w Ibbomi, by mocje wymówić. Znam miejsce pobytu zaledwie czterech, a przecież było ich osiem...

– O jakich kryształach wiesz? – zapytał Gath-osh.

– Yorvill i Kawyos są dziś tu, wiem jeszcze o Deuryonie, którym opiekuje się zakon u Ceranów, zaś Etaur-Władca Czasu przebywa w księstwie Urum.

– Jest jeszcze jeden. Mój poprzednik odnalazł go na wielkiej wyspie na południu – Ovili. W tamtejszych górach Urunth żyje zdziczałe niemal zupełnie plemię eneików Nearr. Są rozproszeni, nie mają własnego państwa, lecz Threkhte-n-Uoso pielęgnują jako ostatnie świadectwo przynależności do rasy. To dom czwartego, Unthena. Nie wiadomo, czy Władca Światła ma jeszcze moc zmiany, może czeka już tylko na scalenie. Podobnie, jak oba nasze...

– Tym staranniej trzeba je chronić – zauważył Rahe-das. Gath-osh zamilkł nagle. Zaskoczył Irgę wyraz jego twarzy.

– Co się stało? – zapytał.

– Powinieneś wiedzieć... Nigdy nie wskrzesimy Ayantialla, choćby nawet udało się poznać zakłęcie.

– Dlaczego?!

– Misterium poznania, które odprawiliśmy przed chwilą, było ostatnim w dziejach Kawyosa

i plemienia Vhor.

– O czym ty mówisz? – niejasne podejrzenie zrodziło się w umyśle Zabójcy.

– Widziałeś, w jakiej kondycji zimują Vhorowie? Wisi nad nami ostateczna klęska. Dlatego palatyn Bharh-dodd postanowił użyć kamienia dla przerwania zimy na wyspach. Kawyos to Władca Ognia, jemu podlega wszelkie ciepło.

– Ale przecież... w kryształach została tylko jedna doza mocy, a tę należy chronić, wymaga tego scalenie!

Kapłan uśmiechnął się niewesoło.

– Wytlumacz to palatynowi...

\*

– Chciałeś ze mną mówić – Bharh-dodd tym razem przyjął Rahedasa w wielkiej sali. Siedział na bogato rzeźbionym zydlu bez oparcia, w otoczeniu plemiennych dostojników i straży.

– Słyszałem, że zamierzasz użyć Władcy Ognia – Irga zlekceważył zupełnie ceremonialność posłuchania. – Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

Bharh-dodd uniósł się powoli ze stołka, jego twarz poczerwieniała od gniewu.

– Śmiesz dyktować, co mi wolno czynić, a czego nie? Rahe-das hardo spojrzął w roziskrzone złością oczy palatyna.

– Tak, czcigodny Bharh-dodd. Ośmielam się żądać poszanowania obowiązku, jaki wzięło na siebie twoje plemię, inne bojaźliwie zrzucając na zakon.

– Igrasz z życiem, eneiko – syknął Bharh-dodd. – Niewielu przeżyło mniej bezczelne słowa.

Pogardliwy uśmiech wykrzywił usta Zabójcy.

– Grozisz mi śmiercią, mnie, Niezwyciężonemu Geue? Sądysz, że się przełękne? Ja zaglądam jej w oczy częściej niż ty do miski z kaszą!

Jestem tu w imieniu Bractwa, które stoi na straży resztek eneickiej jedności, które krwawo o nią walczy w jaskiniach Smoczyc Gór. Kim jesteś, kacyku garści niedobitków, by mi grozić? Pamiętaj, w czym imieniu sprawujesz władzę!

Bharh-dodd zaniemówił. Stał milcząc, cała wściekłość spłynęła nagle z niego, jakby słowa przybysza odebrały jej siłę.

– Pamiętam o tym, Zabójco – rzekł po chwili zgaszonym głosem. – Pamiętam również, nad kim sprawuję tę władzę. Gdy pierwsze mrozy ścięły wody cieśniny, dwadzieścia tysięcy Vhorów witało nadejście traut. Czy wiesz, ilu zostało dzisiaj? Minęły dopiero dwa kari przełomu,



a w wioskach wegetuje już niespełna połowa tej liczby. Wegetuje, mając za mało, by żyć, za dużo, by umrzeć szybko i bez męki. Wyrzyj za okno. Widzisz tych eneików? To cienie żywych istot, ożywiane jedną tylko nadzieją: że wśród przekopanych wielokrotnie odpadków znajdą jeszcze coś, co pozwoli choć przez chwilę oszukać głód. Cały inwentarz trzymam pod strażą, próbuję sprawiedliwie dzielić to, co nam jeszcze zostało. W ciągu ostatniego kari w Cevdor przyszło na świat zaledwie pięcioro dzieci, z czego żyje tylko dwoje. Ja muszę użyć kryształu, choćby za cenę zdrady najświętszych wartości, bo niewielu pozostanie u schyłku ziroth, by te idee móc kultywować.

Zamilkł i opadł na siedzisko.

– Uważasz, że los jednego plemienia jest ważniejszy od przyszłości rasy? – zapytał Rahe-das.

– Muszę tak myśleć. Życie mego ludu ma dla mnie większe znaczenie niż pisany na wodzie powrót do Starych Krain. Choćby wyklął mnie za to cały eneicki ród, z zakonem Zabójców na czele.

Rahe-das zamyślił się na moment.

– Wiele jest słuszności w tych słowach – powiedział. – Ale twoja słuszność nie może być moją. Nie mogę cię zmusić do zaniechania świętokradztwa, mogę tylko prosić. Tego nie uczynię, bo znam odpowiedź. Myślę, że wiesz, na co się porywasz i jakie będą konsekwencje twego czynu.

– Aż za dobrze, eneiko. Ale oto oddaję ci mój tron, podejmij inną decyzję... I spójrz w oczy tym, którym pobrzękły ręce od kucia zlodowaciałej ziemi na groby bliskich.

– Ja to mogę zrozumieć, lecz moi bracia umierają w imię tych wartości, które chcesz pogwałcić. Wybacz, nie mogę być z tobą.

Zabójca skłonił się i nie zatrzymywany opuścił salę. Nikt już nic nie powiedział, lecz w spojrzeniach obecnych było więcej, niż pomieściłyby słowa.

\*

Śnieg skrzypiał pod stopami i był to jedyny dźwięk, jaki zakłócał ciszę nocy. Gdzieś tam, w dole, ukryte w ciemności, spało miasto. Nad palisadą pełgały ogniki pochodni: to strażę na nowo wydeptywały nieustannie zasypywany śniegiem krąg wokół warowni. Rahe-das szedł wolno po schodach, tych samych, które tego dnia już przemierzył, idąc na spotkanie Władcy Ognia. Teraz był sam, bowiem warunkiem powodzenia jego planu było zapewnienie sobie

samotności.

Mimo iż podjął tę wędrówkę i nie miał zamiaru wycofać się w połowie drogi, jego duszą nadal targła rozterka. Zasiała ją rozmowa z pala – tynem, a chociaż to właśnie ona legła u podstaw postanowienia, ciągle nie potrafił odrzucić argumentów władcy głodującego plemienia. Ajed – nak szedł, mimo wątpliwości, krok po kroku pod górę, bo znał swoje miejsce i wiedział, że to jemu historia przyzna rację. Cóż z tego, że wygląda ona inaczej z pozycji skazanego na zagładę ludu? Bo to on sam, świadomie, wyznaczył sobie rolę ich kata.

Zbliżał się do celu. Zza szczytu schodów wyłoniło się trójstrze Zębów. Na ten widok Irga przyspieszył. Wątpliwości usunęły się, zastąpiło je wyrachowanie. Wstąpił na platformę. Sanktuarium kryształu powinno być gdzieś tam, za iglicami, stamtąd przyniósł go kapłan powiernik. Ruszył ku nim szybkim krokiem.

Stał przed pionową, pokrytą reliefem ścianą, wykonaną z idealnie jednakowych, ciosanych prostokątnie kamiennych brył. Nigdzie ani śladu schowka. Domyślał się, że tu jest, ukryto go zapewne za jedną z płyt, lecz – którą...? Nic mądrego nie potrafił wymyślić, pozostawało metodyczne szukanie.

Wyjął garnag zza pasa i począł ostukiwać kamień po kamieniu, wsłuchując się w dźwięk uderzeń.

– Szukasz tego? – głos dobiegł go z tyłu.

Błyskawicznie skoczył w bok i przywarł do ściany, zastawił się nożem. Gath-osh stał przed nim, w dłoniach trzymał rozwinięty pakunek. Między połami rozpostartej skórki Rahe-das dostrzegł znajomy kształt. Rzutem oka ocenił szanse. Kapłan był bezbronny.

– To nie będzie rozsądne – uprzedził jego zamiar Gath-osh. – Mogę nie być sam.

– Skąd wiedziałeś? – Zabójca szybko zlustrował okolicę w poszukiwaniu znaku, który potwierdziłby słowa powiernika. Nic nie dostrzegł, lecz to nie był dowód.

– Nie jestem naiwny, Geue. Tacy jak ty nie ustępują łatwo.

– Co masz zamiar zrobić?

– A jak myślisz? – kapłan najwyraźniej kpił z niego. Lód ściał duszę Rahe-dasa. Zabił strach, zabił niepewność. Tak czuł się, gdy xinx toczył po nim swe cielsko, gdy brzuch potwora otwierał się pod cięciem garnaga.

Gath-osh musiał wyczuć niebezpieczeństwo, bo zmienił ton i pospiesznie dodał:

– Przypuszczasz, że jestem przeciw tobie?

– Nie wiem. – Irga nie miał ochoty na dyskusję. Czas uciekał.

– Gdybym chciał cię zatrzymać, byłbyś już martwy. Miałem na to mnóstwo okazji.

– A więc...? – W sercu Rahe-dasa zaświtała nadzieja.

– Wysłuchaj mnie. Od ellarów tacy jak ja strzegli kamienia w najcięższych terminach.

Wierzyli, że czynią słusznie, że nie ma wyższej wartości nad przywrócenie życia i władzy Ayantiallowi. Bywały już sroższe i głodniej sze zimy, a mimo to nie daliśmy wyczerpać mocy Kawyosa do końca. Ratował nas, póki było wolno go użyć, potem już tylko czekał, choć dookoła śmierć zabierała eneików. I władcy rozumieli to, bowiem siła dawnej jedności jeszcze w nich żyła. Bharhdodd jest inny, tak jak inni są dziś eneikowie Vhor. Bliżsi jesteśmy valom niż swoim, nie pragniemy już Oll-hirr. Tylko starcy pamiętają jeszcze potęgę idei, która pozwalała trwać na przekór zalewającej Loin nawale. Młodzi chcą przeżyć przełom, to jest najważniejsze. A Bharhdodd jest jednym z nich. Sam nie uchronię kryształu, jestem słabszy niż on, zbrojny w młoty swej straży. Twoje przybycie było dla mnie spełnieniem modłów, widowym znakiem łaskawości Trorr-uda. Dlatego tu jestem i mówię: zabierz kamień! Uchroń nadzieję przed zaślepieniem głodnych! Ja nie dożyję ferthu, śnieg i ciemność zamkną mi oczy, lecz wierzę, że ci, którym dane będzie grzać kości w promieniach Rotha – oni lub ich potomkowie – doczekają spełnienia owej nadziei.

Uwierzył mu. Powoli, jeszcze trochę nieufnie, zbliżył się i wziął podane zawiniątko. Poczuł wzruszenie. Od praellarów żadnemu eneice nie powierzono więcej niż jednego z okrucichów Ayantialla. Mgliste przypomnienie czegoś przeżytego jeszcze w klasztorze, w mroku sali Tajemnic Pierwszych, przemknęło wśród myśli i zgasło, zanim zdołał je uchwycić – cień zrozumienia Tajemnicy, której nie pojął, gdy objawiła się przed nim. Co to było? Z czym kojarzy się posiadanie Władcy Ognia? Czy źródłem niepokoju jest ten konkretnie kryształ, czy też coś innego? Powiernictwo obu...?

Zaskoczył go wyraz twarzy kapłana. Wyczytał w niej wszystko: mękę zdrady plemienia, wydany na nie wyrok, strach przed czasem, kiedy przyjdzie stanąć przeciw milczącej nienawiści Vhorów, przecucie klątwy i śmierci. Nie zdziwiłoby go to poświęcenie, gdyby miał przed sobą Zabójcę takiego jak on. Gath-osh był jednak tylko eneiką – zwyczajną, uwikłaną w codzienność, znękaną rozterkami, głodną istotą. To, że nosił kapłańskie insygnia, nie zmieniało niczego. Jego kapłaństwo nie wynosiło go w najmniejszym stopniu ponad powszedniość. Dopuszczał się zdrady; czyniła go wielkim czy strącała między zbrodniarzy? Kiedyś może osądzi go przyszłość,

lecz co z tego wynika dla niego dziś?

– Dziękuję – szepnął. Każde słowo więcej byłoby zbędne.

Gath-osh odwrócił się w milczeniu. Stał tak, patrząc ku szczytom Threkhte-n-Uoso, jakby zapomniał już o obcym, któremu przed chwilą podarował powierzony sobie skarb. Rahe-das raptem poczuł się intruzem.

Był już przy schodach, gdy dobiegł go odgłos tępych uderzeń. Obejrzał się.

Kapłan stał w rozkroku i z rozmachem kruszył młotem podstawę kamiennych iglic.

*\* niewielka – Ape to duże miasto, a niełatwo chodzić w środku zimy od domu do domu, nie wzbudzając podejrzeń. Zwłaszcza jeżeli jest się eneiką. I jeśli niedawno czynił to inny eneika. Oglupiały od kieratu irman zacząłby się zastanawiać.*

*Sądzę, że na Kologii zakończą pościg. Raczej nie wystarczy im śmiałości, aby wypuścić się na kontynent. Chociaż... perspektywa głodowej śmierci, lub jeszcze szybszej z ręki zawiedzionego palatyna, może wskrzesić w gwardzistach zdolność do najbardziej szalonych czynów. To byłoby niebezpieczne: wśród stepów Sorvii nie znajdę zbyt wielu miejsc, aby schronić się przed nimi. Jeśli rzeczywiście pójdą za mną aż tam, będę musiał wykrzesać z siebie cały spryt, bowiem w przeciwnym wypadku wielka nadzieja, obudzona teraz, zginie gdzieś pod zaspami na zawsze, a razem z nią zaginie słuch o eneice, który śmiał ją mieć.*

\*

Nie miał wyboru. Vhorowie nie zrezygnowali, na nic zdało się kluczenie i zmiana kierunku marszu. Nawet śnieżycą, w której pokładał nadzieję, że pozwoli zmylić pościg zasypując ślady, nie wyprowadziła w pole prześladowców. Byli coraz bliżej. Dlatego postanowił rozstrzygnąć rzecz ostatecznie.

Obszedł obóz wielkim łukiem. Zadanie miał ułatwione: od kiedy wkroczył w gęstwinę lasu Orla, pole obserwacji ścigających ograniczyły drzewa. Nie musiał się obawiać, że dostrzegą go z dala na równinie.

Gdy zapadli w sen, podkraść się pod samo obozowisko. Strażnicy nie byli zbyt czujni, Vhorowie nie mieli przecież podstaw, aby czegokolwiek się obawiać. Policzył ich: mile go zaskoczyło, że Bharh-dodd wysłał za nim jedynie siedmiu żołnierzy. Widocznie nie miał dotąd do czynienia z Zabójcami.

Strażników było dwóch. Jeden wolno krążył wzdłuż linii otaczających polankę krzewów i popatrywał sennie w czarny gąszcz; z tym nie powinien mieć kłopotów. Drugi miarowo kiwał

się nad ogniskiem, z trudem walcząc ze znużeniem. Chroniła go odległość i to stanowiło przeszkodę. Ale o tym jeszcze pomyśli, teraz należało zająć się pierwszym.

Sprawa była prosta nawet dla nowicjusza. Z Bractwa, oczywiście. Począł, aż żołnierz znajdzie się po przeciwnej stronie polanki, i bezszelestnie podpełznął na jej skraj. Stał na nogi, wtopił się w czarny kontur krzewu.

Żaden dźwięk nie zdradził dramatu. Strażnik wszedł w cień i już go nie opuścił. Może tylko lekki szelest ciągniętego po śniegu ciała zmącił nieco ciszę, lecz nie dobiegł do uszu drzemiącego przy ognisku gwardzisty.

Teraz tamten. Dopóki siedział na otwartej przestrzeni, nie było sposobu, aby go wyeliminować. Mógł czekać, aż żołnierza zaniepokoi nieobecność kolegi, ale siedzącego ogarniał sen, co nie wróżyło szybkiego rozstrzygnięcia. Musiał mu pomóc.

Na pierwszą śnieżną kulę, która wstrząsnęła krzewami, strażnik nie zareagował. Widocznie zmęczenie wzięło górę nad obowiązkiem czujności. Dopiero szmer osypującego się z gałęzi śniegu, gdy Rahe-das rzucił po raz drugi, wywołał odzew. Żołnierz podniósł głowę i popatrzył w mrok, skąd dobiegł go ów dźwięk. Potem rozejrzał się. W tym momencie musiał dostrzec nieobecność towarzysza, bowiem wstał i jeszcze raz czujnie zlustrował okolicę.

– Nde-is! – zawołał półgłosem.

Rahe-das przykrył usta rękawem i wydał cichy okrzyk. Gwardzista skierował wzrok w jego kierunku. Nic nie dostrzegł, wobec czego niepewnie ruszył ku zaroślom.

Teraz Zabójca musiał zaryzykować. Nie mógł dopuścić, by strażnik wszedł między krzewy. Nie zdołałby uniknąć walki. Cicho warknęła w powietrzu ciemna kreska noża. Żołnierz stanął jak wryty, po czym z westchnieniem osunął się na śnieg. Rahe-das odetchnął głęboko. W przypływie nagłej, wywołanej ulgą, słabości oparł się plecami o pień. Różne już widział umierania. Równie dobrze krzyk lub rżenie konającego mogło zwalić mu na głowę wyrwaną ze snu pozostałą piątkę.

Najtrudniejsze było za nim. Pozostało tylko dokończyć dzieła. Pierwszych trzech zabił bez trudu. Zdławieni silnym chwytem ginęli w ciszy, mając za przebudzenie zimny dotyk garnaga pod żebrami, tam, gdzie ostatni raz uderzyło serce. Kiedy pochylił się nad czwartym, spojrzały na niego przytomne, pytające oczy. W następnej sekundzie żołnierz zrozumiał. Przerażliwy wrzask rozbrzmiał w powietrzu i zaraz przemienił się w bełkotliwy charkot. Nóż Zabójcy utonął w ciele kolejnej ofiary.

Ostatni, którego wyrwał ze snu ów okrzyk śmierci, skoczył na równe nogi. Był jeszcze rozespany i półprzytomny z lęku. W dłoni ścisnął stylisko topora, chwycił go odruchowo, nie było w nim chęci walki. Rahe-das pojął to, gdy zobaczył jego oczy – wyczytał w nich tylko bezmiar przerażenia. Postąpił ku niemu. Żołnierz cofnął się, jakby odepchnęła go utrzymująca dystans powietrzna bariera. Stał tak chwilę, a jego ręce, tors, wreszcie całe ciało, poczęły dygotać w napadzie niekontrolowanej drżączki. Wypuścił topór i cofnął się jeszcze bardziej, a potem z panicznym rykiem rzucił się do ucieczki.

Zabójca nie gonił go, nie cisnął za nim nożem. Jak mógł mu zagrozić samotny, przerażony eneika? Jakiś czas słuchał odgłosów przedzierania się przez gęstwinę, po czym odwrócił się i niespiesznie odszedł w noc.

\*

Z końcem ziroth czas jakby przyspieszył. Seves gonił seves, a świat coraz prędzej parł ku nowemu życiu. Może sprawiło to stopniowe ustępowanie dziennego mroku? Roth rósł z doby na dobę, niemal dostrzegalnie zmieniał się z czerwonej iskry w jaskrawo błyszczącą kulę. Dni stawały się coraz jaśniejsze, znów powróciły świty i zmierzchy, między którymi rudawa szarość systematycznie ustępowała przed blaskiem słońca.

Razem ze światłem wróciło ciepło. Śnieg padał coraz rzadziej, częściej przeplatały go deszcze. Popłynęły lody; ocean tłukł o brzegi taflami kry, kruszył ją z potężnym chrzęstem. Na polach pojawiły się czarne płyty rozmięklej, parującej ziemi. Jakby Tua – obudzona przez słońce – oddychała głęboko, otrząsając się z resztek zimowego letargu. Pierwsze, nieśmiałe jeszcze i nieliczne ślady zieleni poczęły ożywiać coraz większe połacie wydzieranego śniegom stepu.

Potem nadeszły powodzie. Morze wezbrało, wylały rzeki. Wzniesione na skałach Irvion górowało nad potężnym rozlewiskiem niczym wyspa. Łodzie zastąpiły zaprzęgi; teraz często kursowały między bramami a sąsiednimi wzgórzami. Łączyły stolicę z budzącymi się osadami, odnawiały osłabione w okresie zimowania więzi. Ożyły wsie, grody, prowincje. Yalowie, wzorem przyrody, wracali do życia.

W taki to czas nadeszła oczekiwana od dawna chwila. Księżna Urothe powiła syna. Wieść tę roznieśli heroldowie po Iserii i radość zapanowała we wszystkich domach. Będzie miał czerwony zuar słonecznego księcia, którego włosy Roth rozjarzy w złotą aureolę. Co prawda za sprawą boskiego Itiego ów dar stracił już na znaczeniu – nie było Mocy, której musiała się przeciwstawiać rozjarzona słońcem czupryna – lecz przez ellary stanowił on o potędze

prawowitych władców i trzeba ellarów, aby zniszczyć siłę słonecznej charyzmy. Zresztą va – lowie wierzyli, iż moc wybrańców okaże się jeszcze potrzebna. Zamysł bogów, którzy im ją dali, nie mógł być tak mały. Kto wie, co jeszcze może książęca sfera, przed czym będą chronić swe narody synowie Obojga Słońc.

Regent Othis cieszył się wraz z innymi. Trochę mąciła ową radość myśl, że nie jego syn zasiądzie na książęcym tronie. Szczęśliwym ojcem został jeden z młodszych rodu, jego kuzyn, Egvoth. Nie zmieniało to statusu lorda Othisa, jednak nie umiał zapomnieć o porażce. Poza tym pozycja Egvotha, dotąd pułkownika książęcej chorągwi Rotha, wzrosła, a Othis nie lubił zmian w rodowej hierarchii. Zwłaszcza zmian w górę.

Wraz z narodzinami władcy nadszedł czas rozstrzygnięcia skomplikowanej sytuacji kraju. Fakt istnienia dwóch rodów Jasti był nieodwracalny, a w dzisiejszym kształcie państwa było miejsce tylko dla jednego. Podział kraju nie wchodził w rachubę, Othis miał inny plan. Nie swój właściwie, przedstawił go Garhorn jeszcze przed świętem Trill, a on przemyślał to podczas długiej zimowej nocy i dziś był pewien, że jest rozwiązaniem najlepszym. Dotąd jednak nie było mu wolno o tym decydować, dopiero przyjście na świat małego księcia zmieniło sytuację. W jego imieniu zyskał prawo nadania przywilejów czerwonej dynastii jednemu z wielkich rodów – takiemu, który zdecyduje się odejść z Iserii na Zagórze, by tam wspólnie z dziedzicami złotej gałęzi władców budować nowe państwo. Nie wiedział jeszcze, komu powierzyć to posłannictwo, a musiał się spieszyć: obdarowany prawem poczęcia ród będzie miał zaledwie niecałe sześć tygodni na spłodzenie czerwonego księcia. Złym znakiem byłoby zacykanie panowania od regencji.

Któremu z rodów przyzna się prawo założenia dynastii Rotha, zależeć będzie od decyzji, jakiemu patriarsze rodziny Jasti należy nakazać emigrację. Nie można popełnić błędu wysłania wspólnie wrogich sobie rodzin. Najlepiej jeśli odchodzący potomek złotych książąt – niezależnie, który z dwóch nim zostanie – sam wybierze paralelną rodzinę. W przyszłości z pewnością zmieszają krew, lepiej więc, by potencjalni krewniacy nie spojierali na siebie krzywo.

Kogo skazać na odejście? Tu Othis nie mógł kierować się sentymentem. Podejrzał, że żadna z rodzin dobrowolnie nie opuści Iserii, on będzie zmuszony wydać wyrok. Długo to rozważał i dziś był już zdecydowany. Za przyjętym rozwiązaniem przemawiały poważne argumenty: tradycja i więzy krwi ze starym rodem oraz wisząca nad granicą święta wojna. Othisowi było doskonale obojętne, czyj posąg ma zdobić świątynię. Musiał liczyć się z realiami. Valijskie państwa nie uznały schizmy czcicieli boskości Itiego, Mau nadal dzierżyła tam berło.

Nawet tu, w Iserii, za murami klasztoru Totoghi-Mau i w tajemnych kryjówkach ortodoksyjnych kapłanów, pielęgnowano dawną wiarę. Gdy armie wejdą na terytorium księstwa, opuszczą swe nory, a lud... lud pójdzie z nimi, przynajmniej duża jego część. Co to oznacza, Othis wolał nie myśleć.

Z drugiej strony, czy te argumenty przekonają Hennastiego? Ma takie same prawa do władzy jak jego adwersarz, a kult Itiego jest ciągle jeszcze w Iserii religią państwową. Gdyby trwał przy pozostaniu, rezultat może być tylko jeden: wojna. Othis miał nadzieję, że syn Itijastiego okaże się rozsądny. Znał go i lubił, i wiedział, że w przeciwieństwie do Sishastirro umysł ma lekki i potrafi zrozumieć. Tyle że kroplą, która przeleje dzban, może być testament jego boskiego ojca. Othis nie wiedział, co przekazał Itijasti swemu następcy. Nie wiedział tego nikt, prócz Hennastiego. Zaś on nie zdradził się dotąd ani jednym słowem.

Czas naglił. Postanowił porozmawiać z Hennastim.

\*

– Wzywałś mnie? – W drzwiach stanął wysoki młodzieniec o czarnych jak noc włosach. Othis przyglądając mu się kątem oka, stwierdził, że jest bardzo podobny do ojca. Oczywiście z czasów zanim siwizna oprószyła głowę księcia bielą starości. Tak zapamiętał Itiego z dzieciństwa, gdy jako niedorostek ujeżdżał młode kisety pod jego surowym okiem. Itijasti zawsze był mu ojcem. Próbował pewnie wynagrodzić w ten sposób straty, jakie ród Rotha poniósł w obronie Iserii. A teraz on musi odplacić jego synowi niewdzięcznością...

– Usiądź – wskazał mu miejsce przy sobie. – Chciałbym porozmawiać.

– O czym? – spytał Hennasti, sadowiąc się w fotelu.

– Nie domyślasz się? – Othis wolał uniknąć wyjaśnień. Hennasti popatrzył na niego i pokiwał głową.

– Chyba wiem... Jaką powziąłeś decyzję?

– Jeszcze żadnej. Najpierw chciałem poznać twoje zdanie – skłamał gładko.

– Moje zdanie? – zdziwił się młodzieniec. – To należy do ciebie. Nawet nie wiem, jak chcesz rozwiązać ten problem.

– Powiem ci. Kiedyś, jeszcze za czasów twojego ojca, padła propozycja utworzenia kolonii na Zagórze.

– I będą potrzebni władcy – domyślił się Hennasti. – Chytrze...

– To nie chytryść, to rozważa. Taka jest alternatywa wojny domowej.



– Ja jej nie wywołam.

– Wiem, chłopcze. Lecz oprócz ciebie jest jeszcze Sishastirro i gromadzące się w lesie Orla wojska Sorvii, Berlanu i paru innych krajów, którym nie podobał się twój ojciec na boskim tronie.

– Czy to moja wina?

– Nikt tu nie mówi o winie. Jest sprawa dwóch dynastii Jasti i jest sposób, aby ją rozwiązać.

– To mnie przewidziałeś jako tego, który opuści Iserię?

Ten młodzian był zadziwiająco bystry. Othis postanowił więcej nie kluczyć.

– Zgadłeś. Nie traktuj tego jak wygnania, wiesz, że mam wobec twojej rodziny dużo sympatii i dług wdzięczności niespłacony ojcu... Jednak jest to jedyne wyjście, jeśli mamy uniknąć rozdarcia. Wierzę bowiem w twój rozsądek.

– Dlaczego nie w rozsądek Sishastirro?

– Dlatego, że znam was obu. Hennasti wstał.

– Winszuję daru przekonywania – powiedział zimno. – Masz na wszystko odpowiedź. Musisz jednak wiedzieć, że na nic byłyby twoje zgrabne riposty, gdyby nie wola ojca. Jemu zawdzięczaj swój dyplomatyczny sukces.

– To znaczy, że zgadzasz się? – W Othisa wstąpiła nadzieja. Nie mógł uwierzyć, że poszło tak gładko.

– Już powiedziałem. Mam jednak pewne warunki.

– Spełnię je w miarę możliwości.

– Spełnisz je, jeżeli to ja mam odejść.

– Jakie to warunki?

– Po pierwsze: prawo poczęcia czerwonego księcia nadasz rodowi Garhorna.

– Dlaczego właśnie jemu? – zdziwił się regent. – To możny ród, lecz masz przecież bliższych przyjaciół.

– To moja sprawa.

– Zgadzam się. A drugi warunek?

– Nowe państwo nie uzna zwierzchnictwa Iserii. Nasze rody będą władać wolnym krajem.

\*

Niewielu obserwowało wymarsz wygnańczych karawan. Może ciężko było przyznać się Iserom do rezygnacji z entuzjastycznie wyznawanego ongiś kultu, może nie śmieli spojrzeć

w oczy najwierniejszym. Nikt zresztą nie nazwał ich nigdy wygnańcami, nikt nie traktował ich w ten sposób, gdy gotowali się do drogi. Osadnicy, koloniści – tak określano ich w rozmowach, a przecież wisiała nad nimi atmosfera wypędzenia.

Tabor był liczny i zbrojny, choć niewiele tu było rycerskiej dyscypliny. Stało się tak, ponieważ Hennasti i Garhorn, a raczej już Hornoth, bo takie imię przybrał obdarzony przywilejem regeneracji starszy nowego rodu Rotha, zdecydowali, że decyzję o wyjeździe każdy podejmie sam. W efekcie jedynie jeźdźcy z książęcej chorągwi Jasti prawie w komplecie zadeklarowali wierność rodowi. A chociaż wśród pozostałych dominowały czarno-żółte barwy dawnego pułku Hornotha, niemal jedna trzecia dotychczas mu wiernych postanowiła zostać. Do opuszczających Irvion dołączyły grupy rycerzy z innych chorągwi, mieszczanie i kilkunastu kmieci z pobliskich wiosek. Pociągnęły za sznurem jezdnych liczne wozy rycerskich rodzin. Wszyscy trochę bezładnie, w nastroju przygnębienia i smutku wyjeżdżali z miasta. Ciężko było rozstawać się z rodzinnym krajem, by szukać nowej ojczyzny w nieznanym, cieszącym się złą sławą stronach.

Wody wokół stolicy opadły, a coraz śmielsze promienie Rotha podsuszyły ziemię, tabor posuwał się więc dość żwawo. Przystawano z rzadka, gdy któryś z wozów, wyjechawszy nieopatrznie z kolein, grzązał w błocie. Wozacy z sąsiednich zaprzęgów solidarnie wyciągali go wówczas i karawana ruszała dalej wśród porykiwania irmanów i przekleństw powoźczych.

Pierwsza noc zastała ich w stepie. Tabor zjechał z gościńca na szczyt wzgórza, dzięki wyniesieniu nad okolicę nieco suchszego niż otaczająca je równina. Walowie ustawili wozy w kręgi i poczęli gotować się do spoczynku. Regent Hornoth osobiście wyznaczył posterunki straży – tak na wszelki wypadek, bo znajdowali się jeszcze w rodzinnych stronach, zaś aura nie sprzyjała działaniom zbójceckich band. Hennasti doglądnął przygotowań rodziny, po czym poszedł odszukać Daggana. Znalazł go siedzącego na kamieniu i wpatzonego w ciemny horyzont na południu.

– O czym myślisz? – spytał, przysiadając obok.

– O tych, którzy tam zostali – kapłan skinął dłonią w kierunku, z którego przybyli.

– Żałujesz?

– Widzisz, jestem stary, a stare drzewa trudno przyjmują się na nowym podłożu.

– Twoją glebą jest wiara walów w słuszność naszej religii. Nie wyrwano cię z korzeniami, zabierasz tę glebę ze sobą, a ufam, że przybędzie jej w miarę przemierzania kraju. W Irvion wiele

względów złożyło się na to, że musieliśmy odejść. Prowincje nadal czczą posągi Itiego.

– To prawda, lecz w obliczu klęski kultu, której jesteśmy symbolem, ubędzie wyznawców, a ci, którzy pozostaną wierni, nie zawsze zdecydują się na opuszczenie ziemi ojców. Nie licz na garnące się do nas tłumy.

– Nie musi być nas wielu. Garść ziarna wystarczy, żeby na przyszłość dać obfite plony.

– O ile tej garści pozwoli się paść w urodzajny grunt. Myślisz, że łatwo dotrzemy na Zagórze?

– Któż mógłby nam przeszkodzić?

– Teraz, gdy Mau w glorii i chwale wraca do świątyń Iserii, iskra ortodoksji bez trudu może rozpalić płomień fanatyzmu. Nie zapominaj o stojących na granicy armiach. To dobre wsparcie dla zwolenników ostatecznych rozstrzygnięć.

– Othis mnie zapewniał...

– Regent Othis zrobił swoje. Jego plany nie muszą być planami tych, którzy przez całe kari trwali w ukryciu, a teraz triumfalnie wracają.

– A zamiar stworzenia nowego państwa na gruzach Durlocku?

– Czy jesteś przekonany, że po myśli stronnictwa Mau jest powstanie nowego księstwa, w którym czei się inne bóstwo? Bóstwo, które w dodatku uzurpuje sobie prawo do miejsca na czele panteonu i spycha ich boginię do podrzędnej roli... To zarzewie przyszłych wojen. Nie po to Iseria zniszczyła jedno imperium, aby na jego zgliszczach pozwolić budować nowe.

– To przecież mój ojciec, przeciw którego boskości tak zajadle gardłują, pokonał Durlock. Zasłużył sobie na tron. Gdyby nie jego czyn, wielbiono by dziś w Iserii bóstwa tomów, jeśli takowe mają. Gdzie była Mau, kiedy Iti niszczył Moc? A pęknięte posągi? Czy bogini sama nie przyznała się do porażki?

– Mnie nie musisz przekonywać, przecież jestem kapłanem. Chcę tylko, byś uświadomił sobie, co nas czeka. Nie sądzę, iżby pozwolono nam bez przeszkód opuścić Iserię.

Hennasti zamyślił się.

– Jest coś, co może nam to ułatwić – powiedział po chwili.

– Cóż takiego?

– Dowiesz się niedługo. Na razie mam prośbę: gdy zapadnie noc, opuść tabor. Dopilnuj, by nikt się o tym nie dowiedział.

– Co chcesz zrobić?

– Muszę wrócić do Irvion. Coś tam zostawiłem.

\*

Ciężkie wrota uchyliły się ze skrzygnięciem. Hennasti wszedł i zapalił pochodnię. Uniósł ją nad głowę, światło rozpełzło się po zakamarkach lochu.

Stali, czekając znaku. Patrzył przez chwilę na stalowe korpusy i znów poczuł to samo wzruszenie, jak wtedy, gdy był tu z ojcem. Dziś Itijasti nie żyje, a on jest panem milczących rycerzy. Oto armia, której niestraszni fanatycy spod chorągwi Mau, niewrażliwa na oręż ni czary.

Nie zastanawiał się dłużej. Wszedł na zewnątrz i wydobyl z sakwy płytkę. Myśl spotęgowana jej tajemną siłą, pomknęła w mrok korytarza. Zgrzytnęły zastale przeguby, drgnęły żelazne kolana. Stalowe potwory z hukiem i chrzęstem poczęły wychodzić na świat. Opuszczały podziemia, w których nigdy unieruchomił je rozkaz poprzedniego pana.

Hennasti wskoczył na kiseta. Spojrzał jeszcze na wznoszące się nie opodal mury uspiętej stolicy i ścisnął piętami boki zwierzęcia.

Jeśli ktokolwiek w Irvion zwrócił uwagę na niezwykajny hałas, który dochodził spomiędzy nadbrzeżnych skał, nie starczyło mu odwagi, by dociekać jego źródła. Miasto drzemało, nieświadome tego, że oto odchodzi gwardia, której swego czasu zawdzięczało ocalenie.

Stalowy hufiec kroczył przez noc. Hennasti jechał na czele, upajając się poczuciem niezwyklej, nieograniczonej władzy nad ślepo posłusznymi rycerzami. O takich mógł marzyć każdy wódz: karni i nie – zwyciężeni. Niech Daggan śpi spokojnie.

Nie chciał, aby ktoś z taboru ich zobaczył. Lepiej, żeby nie wiedzieli – wieści rozchodzą się niezbadanymi ścieżkami, nie mógł ręczyć za wszystkich. Dlatego nie wprowadził hufca do obozu. Zostawił swe stalowe wojsko w zagajniku pod wzgórzem. Nie sposób było ich tam dostrzec, zaś on z łatwością mógł nimi kierować, nie ujawniając tego przed towarzyszami. Wrócił do obozu niezauważony. Tabor kryły ciemności, tylko w kręgu kapłańskich wozów jaśniał nikły płomyk kaganka. Lecz zanim Hennasti ułożył się do snu, zgasł i on, i nic już nie mąciło głębokiej czerni nocy.

\*

Niezauważenie na północnym wschodzie zza horyzontu wyłoniły się górskie szczyty. Początkowo były ledwo widocznym, poszarpanym pasemkiem, nieco tylko ciemniejszym od szarej, jednorodnej płachty wysokich chmur, która powlekała niebo. Potem, w miarę jak ubywało dzielącej od nich drogi, rosły i potężniały, aż zawisły złowieszczym grzebieniem niemal nad

głowami wędrowców. Równocześnie od zachodu powiało zapachem morza. To oznaczało, że tabor opuszcza step. Stanęli u wylotu Gardła.

Ów wąski pas ziemi między Morzem Sertą a Górami Smoczymi i ciągnącą się dalej Pustynią Śmierci od dawien dawna był terenem najza – cieklejszych wojen. Naturalny bastion smoczyczych szczytów chronił Ise – rię od północy, zatem jedyna dostępna droga, którą wrogowie z Zagórza mogli przedostać się na południe, wiodła właśnie tędy. Przez ellary Gardło stanowiło najbardziej płynną granicę w Loinie. W konfliktach trwających całe pokolenia co rusz zmieniał suwerena. To przechodziło z rąk Iserów pod panowanie Durlocku, to znów po czasie znacznym tysiącami śmierci powracało do Iserii. Wojna toczyła się tu nieustannie. Jej początek sięgał czasów, gdy spośród snujących się po Zagórze watah dzikich Minnow i plemiennych stad ghotów wyłoniło się niespodzianie stworzone przez torneńskich odszczepieńców imperium Mocy. Dopiero ów wyklęty przez własną rasę niepozorny val o świętokradczym imieniu Itijasti położył jej kres. Dokonał czynu, który zmienił bieg dziejów. Zgasła Wieża Życia, Moc odeszła w niebyt. Wraz z nią odeszło niemało tornów, śmiercionośna strefa szoku sięgnęła podówczas aż po północne krańce Torivii. Imperium, pozbawione nagle jednoczącej je siły, rozpadło się z dnia na dzień. We władanie zwycięskim Iserom oddano nie tylko Gardło, lecz i całą, dotąd tajemniczą i groźną, krainę za Urtem. Powróciła w granice ojczyzny legendarna twierdza Cobi, wslawiona wieloma heroicznymi obronami traconych na rzecz wroga granic. Od ostatniego złotego przełomu okupowały ją wojska Durlocku. Teraz pojawiła się szansa, że przestanie być straceńczą placówką, wielokroć rzucaną na pożarcie agresorom. Iserowie wkraczali na Zagórze. Czy Cobi będzie grodem, który zjednoczy dwa zwaśnione odłamy plemienia? To zależy będzie tylko od nich samych.

Tabor sunął wolno, wił się niby olbrzymi wąż śladem dawnego gościńca. Urósł znacznie od czasów, gdy niewiele ponad cztery tysiące wygnańców opuszczało Irvion. Teraz liczył prawie dziesięć tysięcy dusz, w przeważającej masie niższego stanu. Szlachta nie garnęła się doń zbyt licznie. Pod tym względem Daggan nie pomylił się; tylko najwierniejsi rycerze odważyli się porzucić rodowe siedziby dla niepewnego losu w nieznanym kraju. Zbrojny tron taboru stanowili wojownicy, którzy szli z nim od stolicy. Ledwie trzystu, z reguły najuboższych, powiększyło szeregi armii przyszłego księstwa, zaś w liczącym wraz z nimi dwa i pół tysiąca mieczów korpusie tylko półtora pułku stanowiło zorganizowaną siłę. Poza książęcą chorągwią rodziny Jasti i przerzedzonym mocno czarno-żółtym reszta tworzyła zbieraninę bez wodzów

i ordynku, z której dopiero czas i spokój mógł uczynić załóżek wojska.

Na szczęście do tej pory nie było powodu do sięgania po broń. W mijanych osadach częściej witał ich smutek i pełne poczucia winy uśmiechy niż wrogość lub niechęć. Krzepiło to wędrowców, bowiem doszły ich słuchy o organizowanych tu i ówdzie polowaniach na wyznawców zdetronizowanego boga. Widać Mau nie wystarczył triumf wygnania nieprzyjaciół. Bogini, przez swych hołdowników, szukała zemsty.

W nagonkach na wiernych bogowi Itiemu zaczęto widywać obcych zbrojnych. Nie nosili znaków rodowych ani plemiennych. Jedynym, co ich odróżniało od tubylczego rycerstwa, były wierzchowce. Nie znalazło się w Loinie wielu, którzy tak jak Iserowie potrafiliby dosiadać drapieżnych kisetów. Iserom zaś duma nie pozwalała używać pod wierzch rogatych irmanów, stąd łatwo dało się rozpoznać wśród rodzimych obce chorągwie.

Złe wieści napływały do taboru coraz częściej. Przynosili je ocaleni z pogromów, którym udało się ująć prześladowcom, docierały dzięki życzliwym na popasach i podczas przemarszu przez mniejsze osady i kolonie. Wywoływały zmarszczkę troski na czole regenta Hornotha, bowiem przybywało ich wraz z wchodzeniem karawany w głąb kraju. Jakby koncentrowały się przed jej czołem w rosnące stężenie nienawiści. Aż dziw, że dotąd nie zetknęli się bezpośrednio z jej źródłem. Jedynymi dowodami prawdziwości informacji bywały napotykanne czasami ciała ofiar wzmagającego się fanatyzmu.

Myślał o tym i Hennasti, choć właściwie nie miał obowiązku zajmowania się bezpieczeństwem taboru. To należało do dzierżącego władzę. Moralny nakaz wypływał z poczucia winy. Zawinił pochodzeniem z krwi boga, a to obligowało bardziej niż jakakolwiek inna forma wyniesienia. Każdemu wolno było zmienić przekonania, uznać dobrowolnie lub pod przymusem wyższość innej idei, każdemu – nawet władcy i kapłanom. Jemu – nie. On musiał trwać przy unieśmiertelnionym duchu ojca, choćby miał zostać jego ostatnim wyznawcą. Dlatego czuwał – w dzień jako pułkownik swego regimentu, w nocy wiodąc śladem karawany inny zastęp.

Spał niewiele, nie miał czasu na sen. Od chwili gdy wyprowadził hufiec z podziemi, żył niby w transie, bez wytchnienia. Podtrzymywało go na siłach wywołane nadmiarem wysiłku podniecenie. Prawie nie opuszczał siodła. To szedł z pułkiem w awangardzie, to biegł na tyły pochodu, kiedy należało podprowadzić bliżej jego dyskretną straż.

Tej nocy uczynił to samo. Zaraz po zapadnięciu zmroku, gdy wśród wyprzęgniętych wozów

rozbłysły ogniska, zostawił siostry pod opieką służby, a sam ruszył śladem przejścia karawany.

Stalowy hufiec zostawił w zaroślach nad strumieniem, nieco na zachód od gościńca. Zwykle nie prowadził rycerzy traktem. Im było wszystko jedno, a wzbudzałyby tylko niepotrzebną sensację w walijskich osadach. Nie potrzebował rozgłosu, wieść o zastępie mogłaby dotrzeć do niepowołanych uszu. Jeszcze nie czas, by jego wojownicy pokazali swe oblicze.

Dotarł do brodu i zjechał z gościńca. Kiset człapał wolno po rozmięklej łące. Z wyraźnym obrzydzeniem stawiał łapy w błocie nadbrzeżnego mokradła. Hennasti śmiał się w duchu, widząc, jak zwierz co rusz pochyla łeb ku ziemi, po czym wykręca pysk w jego stronę i odsłania potężne kły w pełnym pretensji grymasie. Ponieważ jeździec nie reagował, wierzchowiec z rezygnacją szedł dalej, okazywał tylko niezadowolenie mrukliwymi sapnięciami. Hennasti rozumiał swego rumaka. Sam również wolałby teraz spać bezpiecznie w taborze, zamiast tłuc się po ciemku przez bagna.

Widok nikłej poświaty na południu byłby pewnie przeoczył, gdyby nie kiset. Zwierzę raptownie stanęło i – wyprężone jak struna – poczęło, wężąc, wciągać głęboko powietrze w nozdrza. Spojrzał wzdłuż linii jego wyciągniętej szyi i wtedy go zobaczył. Od razu domyślił się, co oznacza. To był blask kilkuset ognisk wielkiego obozowiska.

Nie mógł tego zlekceważyć. Nie mógł odejść, odwrócić się plecami do grożącej z oddali niewiadomej. Bo że była w owym migocącym skupisku światła groźba, nie miał wątpliwości. Musiał sprawdzić, kto w tak wielkiej sile obozuje w pobliżu taboru i czy podejrzenia, które powziął, są słuszne. Trącił kolanami kisetu.

W połowie drogi między potokiem a obozowiskiem zatrzymał się i zsiadł. Tu mógł natknąć się na rozstawione strażę. Wprowadził wierzchowca w zarośla, po czym, uwiązawszy go, ruszył dalej pieszo.

Już po pierwszych krokach postawionych na błotnistej ziemi przekonał się, jak błędny podjął decyzję. Nie miał doświadczenia w podchodzeniu nieprzyjaciela, robił więcej hałasu niż nawykłe do skradania się za zwierzyną łapy drapieżnego kisetu. Powinien był o tym pomyśleć, gdy decydował się na działanie. A teraz, zanim zdołał zastanowić się nad jakimś planem, krzewy wokół niego zniecka ożyły. Został otoczony przez pół tuzina zbrojnych. Bezmyślnie wpatrywał się w ich ciemne sylwetki i ogarniał go strach. Nie zareagował, kiedy bez jednego słowa założono mu więzy, bez oporu pozwolił się poprowadzić w stronę ognisk.

Obóz był olbrzymi. Wiedziono go pomiędzy tłumem rycerstwa i czeladzi, czuł na sobie

tysiące zaciekawionych spojrzeń. Patrzył w zarośnięte oblicza, niesamowite w pełgającym świetle płomieni, ponure i dzikie. Zdawały się wywodzić wprost z bajek o zbójach, którymi w dzieciństwie straszły go opiekunki. Towarzyszyła mu cisza. Rozmowy gasły przed konwojem i rozbrzmiewały na nowo dopiero po jego przejściu, co potęgowało jeszcze wrażenie nierealności i grozę tego przemarszu przez bezmierny, ruchliwy ocean ognisk, zwierząt, żelaza i walów. Wydawało mu się, że śni, że lada moment obudzi się bezpiecznie w swoim wozie i będzie spoglądać na jaśniejące wschodem niebo, że z ulgą otrząśnie się z nocnego koszmaru... Nie obudził się. Gdy postawiono go przed grupą siedzących kręgiem rycerzy, ostatecznie pojął, że to nie sen. Zobaczył, jak spomiędzy nich wolno wstaje lord Sishastirro.

– Kogóż to bogowie zsyłają nam w gościnę? – usłyszał jego drwiący głos. – Wybrałeś, Hennasti, niezbyt odpowiednią porę dla składania wizyt. No i uprzedzić trzeba było, przyjęlibyśmy cię godniej, z czcią należną synowi Itiego.

Kpina zawarta w tych słowach niespodziewanie przyniosła uspokojenie. Poczł wracającą odwagę.

– Czy w zwyczajach twego rodu leży przyjmowanie gości w więzach? – zapytał. – Nie widzę wokół ciebie takich, którym nie przyniesie hańby ponizanie godniejszych niż oni.

– Potraktowano cię, jak sobie zasłużyłeś. Godność należy się tym, którzy potrafią ją cenić. Przyszedłeś jak zbój i jak zbója cię ujęto. Ale docień, że prawdziwa wielkość potrafi zdobyć się na wspaniałomyślny gest, nawet wobec bękartiego potomka. Zdjąć mu więzy – Sishastirro rzucił polecenie eskortie.

– Ty mówisz o godności? – strach minął bezpowrotnie, jego miejsce zajęła duma, podsycana jeszcze desperacją. – Czy ta oto armia, w której niewielu widzę Iserów, a którą właśnie zbójcekim sposobem wiedziesz naszym śladem, jest świadectwem honoru wielkiego rodu? Zbyt wiele krwi jest na waszych mieczach, by wolno ci było uczyć mnie tej cnoty.

– Nie obrazisz najlepszych sług Mau, za mały jesteś na to. Sztandar bogini przywiódł tutaj wybranych spośród rycerstwa Loinu, aby położyli kres przeniecierzej idei. Szczęśliwe fatum zesłało właśnie ciebie w nasze ręce. Dostąpisz zaszczytu obejrzenia końca jej istnienia. I będziesz ostatnim w kolejce do zespolenia z waszym bogiem. Jest w tym pewien symbol, czyż nie? – pogardliwy uśmiech wykrzywił usta Sishastirro.

Co miał uczynić? Pozostać biernym świadkiem szykowanej przez wroga rzezi? Wśród tysiąca naraz wylęgłych myśli nie znalazł ani jednej, która wskazałaby właściwą drogę. Został



skazany na bierność, i to w chwili gdy był najbardziej potrzebny swym braciom. Będzie przyglądać się ich płynącej krwi, a w końcu bezbronny zginie jak pozostali wygnańcy. Jak umiera się z duszą wypełnioną bezsilnością i rozpaczą?

– Dlaczego nas niszczysz? – zapytał cicho. – Przecież wygrałeś, odchodzimy z Iserii.

Nie otrzymał odpowiedzi. Sishastirro usiadł ponownie. Gestem nakazał strażnikom odprowadzenie więźnia.

I właśnie wtedy, gdy szedł między żołnierzami eskorty, ścigany ironicznymi okrzykami rycerzy, spłynęło nań olśnienie. Aż dziw, że dotąd na to nie wpadł, że pozwalał pomiatać sobą i kpić. Dysponował przecież mocą zdolną wdusić im drwinę z powrotem do gardła. Sięgnął pod opończę i wymacał na piersi płytkę.

W oddali, skąd wielki obóz jawił się jedynie łuną na horyzoncie, poruszyły się zarośla nad strumieniem. Poczęły się z nich wyłaniać ciemne, zwaliste kształty. Jeszcze wolno, niepewnie, zwracały się na południe, skąd biegło wezwanie. Głuchy, metaliczny chrobot zmaćcił nocną ciszę, gdy nabierając szybkości, runęły stalowym taranem przez mrok ku żółtawej poświacie.

Pierwsze usłyszały hałas rozstawione wokół obozu strażę, lecz zanim ich alarm podniósł wojowników na nogi, skrajne ogniska już gasły tłumione przez ciała miażdżonych walów. Nie próbowali się bronić. Nikt nie był w mocy powstrzymać szerzącej się błyskawicznie paniki. Skotłowały się tłumy uciekinierów, przeraźliwe krzyki tratowanych wnet zagłuszyły łomot pracujących wskroś ciżby żelaznych rycerzy. Dzwoniły kruszone na monolitach ich korpusów miecze desperatów, którzy straceńczo rzucali się naprzeciw śmierci i usiłowali odeprzeć niesamowitą, niezniszczalną lawinę. A oni szli, posłuszni rozkazowi, gniotąc i obracając w proch wszystko, co stało na ich drodze.

W centrum obozu, wokół namiotów dowódców, próbowano zorganizować opór. Lordowi Sishastirro udało się zebrać swą rodową chorągiew, do której dołączyły nieliczne oddziały obcych, w większości Sorwów. Pospiesznie stawiano barykady z wozów i ciężkiego sprzętu, zapalano umieszczone na nich kotły z olejem skalnym. Gdy stalowy hufiec dotarł do fortyfikacji, powitała go ulewa strzał.

W najmniejszym stopniu nie zaszkodziło to torneńskim gigantom, nie zauważyli nawet rozpaczliwego ataku. Ich impet wygasł dopiero po zetknięciu z zaporą. Na krótko jednak: idący dotąd w zwartym szyku rycerze rozsypali się wzdłuż barykady i już w wielu miejscach rozbrzmiały straszliwe uderzenia ich pancernych pięści. Runęły zgruchotane konstrukcje,

grzebiąc licznych obrońców pod zwałami drewna i stali. Na nic zdały się ciosy młotów i toporów, żadna broń nie miała się ich pancerzy. Lunęły wreszcie w dół ogniste strugi, jednak wśród żołnierzy nie było już spokoju. Płonący olej rozlewał się po ziemi, ogień począł trawić wozy, nie czyniąc większej krzywdy upiornym wojownikom.

Ledwie jeden kocioł trafił wprost w cel. W mgnieniu oka wyniosła postać rycerza rozgorzała niczym pochodnia, aż żar bijący od niej zmusił walów do cofnięcia się. Okrzyk triumfu zamarł jednak na ich ustach, oto bowiem płonący stwór obrócił się wokół osi i chwiejnie ruszył przed siebie. Wzniósł oba ramiona, z których wytrysnęły raptem oślepiające zielone smugi. Rycerz zamiótł nimi dokoła, a wszystko, co owionął seledynowy blask – namioty, wozy, wierzchowce, zbrojni, żywi i martwi – zmieniło się w kłęby burego dymu. To był koniec. Bo chociaż krocząca, śmiertcionośna żagiew zwała się w końcu w błoto i już tylko drgała w rytm konwulsyjnych, owadzych ruchów grzebiących ziemię kończyn, jej akcję, jak na komendę, podjęli pozostali. Sto zielonych piorunów pomknęło w tłum pierzchających, unicestwiło ich w mgnieniu oka, nie zostawiło nawet godnych oplakania i pogrzebu szczątków.

Hennasti obserwował przebieg bitwy, stojąc pośrodku wzniesionych wokół barykad. Strażnicy zostawili go, zapomnieli o nim wszyscy. A jego ogarnęła euforia i przerażenie. Tak wspaniałego w swym okrucieństwie widoku nie dane mu było dotąd oglądać, niewielu chyba kiedykolwiek widziało taką walkę. Gdy zajaśniały zielone płomienie, entuzjazm zgasł, wyparła go trwoga. Moc jego armii zaskoczyła go nie mniej niż ginących masowo wrogów. Poczł, że traci nad nimi panowanie, że nie będzie umiał zatrzymać niszczycielskiej nawały i szczeźnie tu razem ze wszystkimi, zgnieciony przez wyzwoloną nieświadomie siłę. Do tej pory miał szczęście; kilka razy poczuł na twarzy gorący powiew jasnych strug, które mijały go nieledwie o włos. Nagle coś szarpnęło go od tyłu. Odwrócił się. Za nim stał Sishastirro.

– To ty, prawda...? – wy dyszał mu w twarz patriarcha.

Był w strasznym stanie: podarte, nadpalone ubranie dymiło jeszcze od ledwie ugaszonego żaru, z osmolonej twarzy oczy błyskały szaleństwem i grozą.

Hennasti bez słowa skinął głową.

– Zatrzymaj ich, słyszysz, zatrzymaj...! – piskliwym szeptem Sishastirro wyrzucał z siebie słowa, chwyciwszy za ramiona niedawnego więźnia. – Nie pozwól, żeby zabili wszystkich, na moce Zrana, zatrzymaj ich!

Patrzył jak skamieniały na skamlącego dostojnika obezwładniony nagle dziwną niemocą,

a Sishastirro osunął się na kolana.

– Nie pozwól... błagam...! – Raptem jego twarz stężała w grymasie strachu. Patrzył na coś za plecami młodzieńca.

Hennasti odwrócił się i zastygł w bezruchu. Kilka kroków przed sobą zobaczył olbrzymią, lśniąco krwawo w blasku pożaru postać, która sunęła wprost na nich. Nie był zdolny do żadnego czynu. Sparaliżowany lękiem obserwował zbliżającego się rycerza. Czuł przywartego całym ciałem do swych kolan w spazmatycznym odruchu Sishastirro i słyszał jego zwierzęcy krzyk. A olbrzym kroczył ku nim z uniesionymi ramionami, w których złowrogo czemiały pokryte kopciem otwory. Już piętrzył się nad ich głowami potężny pancerz, już poczuli gorąco rozgrzanych blach. Hennasti zamknął oczy.

Minęła długa chwila, zanim odważył się ponownie je otworzyć, niemal zaniepokojony przedłużającym się oczekiwaniem na śmierć. Stalowy rycerz zatrzymał się, opuścił ręce. Potem pochylił się jakby w ukłonie i, już wyprostowany, znieruchomiał.

Hennasti miał wrażenie, że budzi się ze snu. Z niedowierzaniem patrzył na otaczające go pobojowisko, na oddalające się czoło rzezi – bo już nie bitwy – na skulonego, roztrzęsionego lorda Sishastirro, wreszcie na górę żelaza, co przed chwilą złożyła mu wiernopoddańczy hołd. I poczuł zmęczenie.

Czarny prostokąt wysłał hasło. Olbrzymy zatrzymały się w pół kroku śmiertelnego żniwa. Zadudniły ciężkie stąpnięcia. Wracaly do swego pana, pozwalając ocalić życie tym przerażonym, marnym istotom, które w panice szukały ratunku w mrocznych pustkowiach stepu.

Hennasti trącił butem rozdygotaną kupkę łachmanów u swych stóp.

– Wstań – powiedział. – Już po wszystkim.

Sishastirro podniósł głowę. Wzrok miał błędny, jak gdyby przekroczył barierę, która dzieliła go dotąd od przepaści obłąkania.

– Wstań – powtórzył Hennasti. – Jesteś wolny, możesz odejść. Jeszcze nie wierząc, Sishastirro podniósł się z wolna i ruszył przed siebie. Oglądał się co chwila i zatrzymywał w niepewnym marszu, aż wreszcie, jakby do opętanego szaleństwem umysłu dotarły słowa Hennastiego, odwrócił się i pobiegł. Potykał się, chwiejnie zataczał, aż noc skryła rozwiane połę jego płaszcza.

\*

To będzie ostatnia wojna i nie wolno nam jej przegrać. Jeśli ulegniesz, pozostanie czekać, aż

bogowie ześlą następną szansę, bowiem rasa musi przetrwać, niezależnie od ofiar. Czy gotów jesteś na takie ryzyko?

Rahe-das spojrział na szczelinę w murze, przez którą wpadało do komnaty wąskie pasemko słonecznego światła. Wirowały w nim drobinki kurzu, bezładnie trącały się nawzajem i ginęły w otaczającym smugę półmroku. Żaden ruch we wnętrzu smugi nie był w stanie zmienić kierunku promienia, który wdzierał się śmiało w ciemność komnaty.

– Znasz przecież odpowiedź – rzekł. – Dałem ją, zanim zapytałeś. Była w owych kamieniach, które dziś spoczywają w sanktuarium Bractwa.

Mom-udi odwrócił się od ściany i popatrzył na niego. Potem skinął głową.

– Spodziewałem się takich słów. Świadczą, że Trorr-ud dobrze wybrał wykonawcę swej woli. Masz już jakiś plan?

– Nie myślałem o tym. Prawdę mówiąc, nie wiem, od czego zacząć.

– Wobec tego posłuchaj, co uradziliśmy wraz ze Strażnikami Tajemnic. Podejdz tu – mistrz skierował się w stronę stojącego pod przeciwległą ścianą stołu. Rahe-das spostrzegł rozłożoną na nim białą płachtę mapy. – Rozważyliśmy dwie wersje. Obie trudne, choć każda z innego powodu. Zacznę jednak od czegoś innego: abyś miał jasny obraz, musisz wiedzieć, czego i gdzie szukać. Otóż, jak wiesz, kamieni było osiem. Sześć z nich jest w posiadaniu plemion żyjących dziś w różnych stronach kontynentu: Deuryon-Władca Wody schronił się u Ceranów, Etaur-Władca Czasu – u eneików Urum, Władca Ziemi-Geen jest pod opieką plemienia Nissków. Unthen, który rządzi światłem, zawędrował wraz ze szczepem Nearrów na Ovilę. Wiemy o nim niewiele, Nearrowie żyją w zupełnej izolacji, zdziczali i rozproszeni. Dwa są u nas.

– A co z pozostałymi dwoma?

– To jest sprawa, która kładzie cień na całym zamierzeniu. Brakuje Dessirha-Władcy Życia i panującego nad myślą Llagolla. Oba zaginęły: pierwszy wraz z wybicciem plemienia Virlinn podczas wojny z valami, co do drugiego rzecz jest jeszcze bardziej zagadkowa. Był w posiadaniu Tshiuenów, którzy zamieszkiwali obrzeża Pustyni Śmierci. Plemię to wymarło, jego resztki rozproszyły się po Zagórze. Nikt nie wie, co stało się z Władcą Myśli, a przypuszczenia kierują nas ku pustyni.

– Storg-orh...?

– Oby plotka kłamała... Ale to zadanie na później. Na razie musisz odzyskać te, o których wiemy na pewno.

– To nie będzie łatwe, żadne plemię nie pozbedzie się kryształu bez przymusu.

– Na tym polega twoja misja. Jak przekonasz powierników, to twoja sprawa. Musisz poradzić sobie sam. – Mom-udi uderzył dłonią w mapę. – Wracajmy do początku. Jak mówiłem, proponujemy dwie drogi. Jedna prowadzi do Ceranów, druga na Ovilę. Tę drugą utrudnia pogoda, na Morzu Wiatrów szaleją sztormy. Najlepiej byłoby odłożyć eskapadę do pierwszych dni ferthu, gdy wysoki Roth uspokoi gniewną wodę. A że czas nie czeka, nasuwa się trasa pierwsza. Przeciw niej przemawia tylko jedno: musiałbyś iść jaskiniami.

– Cóż z tego? Przecież nie pierwszy raz.

– Zapominasz, kim jesteś? Tytuł Geue nakazuje wyzwanie do walki trzeciego smoka, nie wolno ci unikać starcia. Jeżeli zginiesz, plan runie.

– Nie uniknę walki, nawet jeśli popłynę najpierw na Ovilę. Kiedyś będę musiał przebyć tę trasę.

– Powinieneś zdecydować sam. Nie chcę ci nic narzucać, aby nie ingerować w los. Kiedy wyruszysz?

– Jak najszybciej. Poczynię tylko niezbędne przygotowania i przemyślę pierwsze posunięcie.

– Pójdiesz sam?

– Jeśli pozwolisz, chciałbym zabrać ze sobą Dedhi-vera.

– Jego? To podrzędny brat. Niczym dotąd się nie wykazał.

– Służy mi wiernie od wielu ti. Poza tym jest bratem czekającym, nie ma więc obowiązku walki z xinxem. Gdybym poległ, ocali to, co uda się nam zdobyć.

– Pójdzie z tobą chętnie? Wolałbym go nie zmuszać.

– Już się zgodził.

Mom-udi uśmiechnął się nieznacznie.

– Byłeś pewien, że zakon przystanie na twój projekt?

– Czy mogło stać się inaczej? – W słowach Rahe-dasa tyle było niezachwianej pewności, że mistrz nie powiedział już nic więcej.

\*

*Czy wiedziałem, że właśnie na mnie zakon złoży cały ciężar misji? Teraz wydaje się to oczywiste, lecz gdy wspomnę nastrój, który towarzyszył mi przez ciągnący się przeraźliwie czas oczekiwania, niewiele znajduję w nim owej pewności. Nie wiem również, czy mnie ona dziś raduje... Spodziewałem się raczej, że Ława z większym entuzjazmem podchwyci mój zrodzony*

w śniegach Wysp Stołowych zamysł. Są ostrożni, co mnie nie dziwi, może tylko rozmiar tej ostrożności, ale to już wyłącznie sprawa miejsca, z którego się patrzy – mnie to wszystko dotyka bezpośrednio. I konsekwencje są tylko moim udziałem. Rozumiem, że oni muszą myśleć na innym niż mój poziomie, szerzej i bardziej sceptycznie, bowiem ryzyko jest duże, a efekt może być żaden, lecz zakon to siła tak wielka, że ogólnikowe obietnice wydają się i żalosne, i śmieszne. Ja nie żądałem armii ani worków cyny – bardziej potrzebuję mocnego, moralnego wsparcia. Szczerego zaangażowania... A cóż ofiarował mi Mom-udi? Taką pomoc mogę uzyskać bez jego deklaracji. Jestem wszak Geue, moim przywilejem jest żądanie. Chciał być sprytny, lecz chyba niezbyt się starał, jeżeli od razu przejrzałem jego grę. Narzucono proste reguły: działam na własną rękę z cichym błogosławieństwem zakonu. Jeśli wygram, wkroczą moi patroni, jeżeli nie... no cóż, Bractwo przywykło do ofiar. Umieszczą mnie między wielkimi z przeszłości, zaraz za To-sarem, i będą głosić potomnym chwałę jeszcze jednego bohatera, skromnie przemilczając własny w tym udział.

Dość goryczy, jeszcze nie raz wróci nieproszona. Muszę pomyśleć o drodze. Zdecydowałem się: jadę, a raczej płynę, na południe. Wolę mieć za sobą morskie podróże i błędzenie po nieznanymi wyspach. To jeden z najtrudniejszych elementów planu. Wieści o Unthenie mam niewiele więcej niż o kryształach, które zaginęły. Nie wspominam nawet o tajemnicy zaklęcia scalenia, to już mnie przerasta. Niech zajmą się tym kapłani, bliższa im jest natura boskiej magii niż mnie. Przywykłem raczej do wiary w moc garnaga. Gdzieś tam w zakamarkach ich ksiąg znajdzie się pewnie echo owego czaru, który jednoczy kryształy w postać Ayantialla, lub chociaż strzęp śladu, dający podstawy dla podjęcia poszukiwań. Nie znam się na tym, nie wiedziałbym nawet, czego szukać. Dlatego z czystym sumieniem będę mógł powiedzieć: zdobyłem dla was kamienie, moja rola skończona. Jeśli oczywiście je zdobędę... Zapędziłem się chyba za daleko. Nie pora jeszcze na takie rozważania, zwłaszcza że pojmuję ogrom przedsięwzięcia, jego niebotyczny wymiar, niemal nie do objęcia przez samotnego fanatyka, jakim staję się z własnego wyboru, choć niezupełnie zgodnie z wola.

Dedhi-ver milczy na temat perspektyw naszej eskapady, od czasu gdy zdałem mu sprawozdanie z rozmowy z czcigodnym Mom-udi-Diie. Nie daje po sobie poznać, lecz wiem, że także liczył na więcej. Mimo to nie komentuje, przyjął rolę podwładnego, za co jestem mu wdzięczny; dość mam swoich rozczarowań i trosk. Zejść już z tej drogi nie mogę, dlatego unikam wszelkich aluzji i pytań, na które mógłbym udzielić odpowiedzi wzbudzającej również moje,

*zepchnięte na dno świadomości przez nawał bieżących spraw, obawy. On to chyba rozumie, bo jedynym tematem rozmów między nami są praktyczne problemy dotarcia na Ovilę i odszukania Władcy Światła, jakby zakon ze swą drzemiącą, a odmówioną nam, siłą przestał nagle istnieć. Coś w tym jest, jakaś głębsza prawda. Przecież tak naprawdę nie zakon jest tu najważniejszy.*

\*

Potężne, długie fale biegły ze wschodu na zachód. Pieniste grzbiety spinały ginący we mgle i deszczu horyzont efemerycznymi, białymi wstęgami. Pojawiały się i ginęły, i znowu pojawiały, pędziły z wiatrem niczym wielotysięczny tabun niewidzialnych jeźdźców, który w szaleńczym galopie przemierza morskie pustkowia. Łódź brnęła z wysiłkiem naprzeciw rozbuchanemu stadu grzywaczy, walczyła z zalewającą pokład kipiela. Jej dziób zapadał się pod uderzeniami skotłowanych bryzgów, wiatr wściekle szarpał zrolowany na rei żagiel, ostro zacinała ulewa. Załoga – trzech eneków w wytartych, sztywnych od soli kapotach, z głęboko nasuniętymi na oczy sztormowymi kapturami – zacięcie walczyła z nawałnicą. Czynili wszystko, co było można uczynić dla ocalenia statku, ale niewiele już mogli. Jedyne, co udawało się jeszcze zdziałać na zagubionej wśród żywiołów łupince, to utrzymać ją dziobem pod falę, a i ten manewr kosztował marynarzy mnóstwo morderczego wysiłku.

Oprócz nich na łodzi znajdowało się dwóch pasażerów. Nawet niewprawne oko marynarza potrafiło rozpoznać w nich emisariuszy zakonu Zabójców. Dopóki morze było spokojne, siedzieli, milcząc, pod zadaszeniem na rufie, okutani w opończe ze skór kuarów, które chroniły ich przed lodowatą bryzą. Kiedy rozszalał się sztorm, wystraszyli się nie na żarty i stracili nieco głowy. Starali się pomóc załodze w zmaganiach z żywiołem. Próbowali wybierać gromadzącą się nieustannie na dnie wodę, walczyli ze zrywaniem przez wiatr linami, lecz ich nieporadne usiłowania jedynie przeszkadzały marynarzom. Wreszcie usadzeni warknięciem szypra, wrócili pod daszek, skąd trzęsąc się z zimna, już tylko obserwowali pracę żeglarzy.

A widać było coraz wyraźniej, że walka jest przegrana. Na nic szły wysiłki; daremnie wyteżano mięśnie, napinano ścięgna. Morze zwyciężało. Dziób krypy po każdym uderzeniu fali coraz mocniej odchyłał się za nią i nie nadążał z powrotem, chociaż słabnące ramiona napierały na ster. W końcu, po kolejnym ciosie rozjuszanej wody, pękł z hukiem rumpel. Łódź, zdana na łaskę żywiołu, pomknęła na grzbiecie fali, aż ta w grzmocie spienionych gejzerów zapadła w otchłań. Nad nią zaraz wyniosła się następna i także runęła w dół, skrywając pod sobą pokonaną barcę.

Wieczność minęła, zanim łódź ukazała się znowu. Spomiędzy zmierzwionego odmętu wychynął okaleczony kadłub bez masztu i steru, ze sterczącymi żałośnie ułamkami drążków, które do niedawna podtrzymywały dach na rufie. Na pokładzie nie było widać nikogo; zniknęli pasażerowie i załoga, tylko jakieś złachmanione szczątki turlały się między burtami. Wrak ciężko wspiął się na szczyt fali i znów popędził na oślep. Niesiony siłą sztormu bezwolnie powtórzył długi sus wodnego wału. Kiedy i ten wywinął się, a potem, w kolejnej fazie, ponownie stał się górą, na powierzchnię, niczym wypiętrzona wysepka, wyłoniło się brzuchate, przecięte kręgosłupem stępki dno. Tak wyglądał triumf oceanu.

Opętany taniec zwyciężonego statku trwałby pewnie jeszcze długo, do ostatecznego pogrążenia jego resztek w głębinie, gdyby na drodze rozpedzonych fal raptem nie stanął potężny bastion czarnych skał. Górowały nad szturmującymi je zawzięcie biało-grzywymi watahami niczym wyciągnięta ku niebu pięść olbrzyma. Ten niewzruszony gład, który powstrzymał sztorm, stał się równocześnie wykonawcą ostatecznej egzekucji łodzi. Rzucona nań całą mocą spiętrzonej wody roztrzaskała się na szczapy i ład, miał przynieść ocalenie, przeistoczył się w jej grób.

\*

Blask. Jaskrawość płynęła znikąd. Kłuła źrenice szpilami pękających błysków. Zostawały po nich rozlewające się powoli krwiste koła o postrzępionych brzegach. Koła rosły jednostajnie, wzajemnie się przenikały i wreszcie rozmywały, by zrobić miejsce następnym, powstałym jak one z bólu biczowanych światłem powiek. Otworzył oczy.

Ulewa lśnienia zaatakowała ze wzmożoną siłą, sprawiając, że zamknął je na powrót. Przewycięzył drętwość karku i odwrócił głowę. Miliardy ostrych kolek stopiły się w jeden potężny spazm bólu. Jęk wyrwał się z ust bez udziału świadomości, był instynktowną reakcją organizmu na gwałt wymuszonego poruszenia. Zupełnie już otrzeźwiony Rahe-das powtórnie uchylił powieki i ostrożnie zerknął ku górze, skąd bił ów rzęsiasty blask.

Leżał na wznak na piaszczystej plaży. Niebo było czyste, stojący w zenicie Roth zalewał świat kaskadą jaskrawego światła. Czuł, jak od dołu opływa go wilgoć. Łagodne fale omywały jego nogi, sięgały – gdy wzmagało się ich wolne tętno – do pasa i wyżej, ku rozgrzanej słońcem piersi. Wsparł się na rękach i usiadł. Ciągłe bolało. Odpoczywał jakiś czas, rozglądał się bezmyślnie wokoło. Ogarnął go bezwład, nie miał ochoty na następny wysiłek. Nabierał przekonania, że mógłby tak przesiedzieć pozostałą część życia: bez ruchu, tępo wpatrując się w płaszczyznę wydm. I poczuł zadowolenie. W oszołomieniu zdało mu się, że na tym polega



osiągnięcie absolutnej doskonałości, całkowitego oczyszczenia, które jednoczy doczesną powłokę z nieskończonością. Nie myśleć, nie myśleć o niczym, trwać – oto cel, nieosiągalny dotąd, bo nieświadomiony. A jednak myśli natrętnie wracały, cisnęły się nachalnie w protestujący coraz słabiej mózg: wspomnienie szaleństwa żywiołów, pamięć beznadziei, gdy nie można już było nic uczynić. Poza czekaniem na cud, obraz walącej się na nich ściany wody, echo ostatniego, rozpaczliwego krzyku-czyjego? Wspomnienia... Potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z siebie ich niemal fizyczny, oblepiający dotyk.

Usunęły się. Spojrzenie eneiki powędrowało wzdłuż ruchomej linii piany, na której łamała się żółtoszara jednostajność plaży. Coś zakłócało monotonię krajobrazu, jakaś ciemna skaza, uosobiona kpina z panującej wokół doskonałości. Popatrzył na to z niechęcią, zły za skłócenie porządku, tego zharmonizowanego z jego błogostanem, pejzażu. I dopiero teraz dotarło do niego. Zerwał się, nie bacząc na ból, i ruszył w stronę owego tłumoka, kołysanego miarowym oddechem fali.

To był Dedhi-ver. Rahe-das rozpoznał go jedynie po odzieży. Młody Zabójca leżał z twarzą w piasku, oblepiony zieloną miazgą wodorostów i szlamu. Zdawało się, że uszło zeń życie, uległo gniewnemu bóstwu oceanu, a ocalał tylko pusty, martwy zewłok. Kiedy jednak Rahe-das odwrócił go i wyciągnął na plażę, lekki jęk wydobył się z krtani topielca.

Przewyciężył własną słabość i zabrał się do przywracania Dedhi – verowi życia. Udało się. Po długotrwałych zabiegach towarzysz otworzył oczy. Następnie usiadł na piasku i trochę nieprzytomnie rozejrzał się wokół.

– Gdzie... jesteśmy...? – wychrypiał.

– Gdybym to wiedział... – westchnął Rahe-das. – Ocknąłem się niedawno, wyrzucony jak ty przez fale. Jak się czujesz? Powinniśmy obejrzeć to miejsce dokładniej.

– Już lepiej... Muszę tylko... chwilę posiedzieć. – Wygląd Dedhi-vera nie potwierdzał jego zapewnienia. Rahe-das z niepokojem popatrzył na jego siną twarz. Błędny wzrok i z trudem wymawiane słowa świadczyły, że wciąż odczuwa skutki przymusowej kąpieli.

– Potrzebujesz odpoczynku – stwierdził. – Wstań, pomogę ci przejść pod skarpę – wskazał na zamykający plażę od południa zrąb piaszczystego urwiska.

– Zostaniesz tu – wysapał, sadzając Dedhi-vera na ziemi, gdy wreszcie tam dotarli. Całą drogę włókł go za sobą. Towarzysz bezwładnie leciał mu przez ręce, słaniał się na miękkich nogach. Na piasku za nimi pozostał głęboki ślad. – Pójdę zobaczyć, czy nie ocalał ktoś jeszcze.

Dedhi-ver kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Nie miał siły odpowiedzieć. Opadł na plecy i ciężko dyszał, co jakiś czas spazmatycznie kaszłąc. Rahe-das przyjrzał mu się uważnie. Po chwili stwierdził, że oddech chorego stopniowo się uspokaja, skinął więc ręką na pożegnanie i ruszył przed siebie.

Nie bardzo wiedział, w którą stronę ma się udać. Pas wydm ciągnął się na wschód i na zachód. Na wschodzie zawijał się ku południu i ginął za postrzępionym nawisem podmytego przez wysoką wodę brzegu. Zachodni jego kraniec ograniczała wyniosła grupa czarnych skał, które wcinały się w morze niczym gigantyczny falochron. Postanowił, że pójdzie w stronę owych głazów. Nie kierował się żadnym szczególnym motywem. Kamienne olbrzymy były jedyną rysą w monotonnym pejzażu, punktem zaczepienia dla oczu, i może to skierowało tam jego kroki. Szedł, brodząc po kostki w miążkim piasku. Wkrótce miał go za koszulą, we włosach, w ustach... Podmuchy wiejące od morza bryzy wzbijały w powietrze drobny pył, który wciskał się wszędzie. Bose stopy eneiki zanurzały się w podobnym do drobnej, równoziarnistej kaszki podłożu, delikatne ziarenka pieściły skórę ciepłym, miękkim dotykiem. To było przyjemne. W znacznym stopniu równoważyło uciążliwość takich samych okruszków, skrzypiących w zębach.

Do podnóża wzniesienia dotarł solidnie zmęczony. Droga trwała dłużej, niż oceniał na początku, kiedy obserwował ją z oddali, i skały były większe, bardziej strome, mroczne. Uświadomił to sobie, gdy wspiąwszy się na pierwsze głązy, popatrzył za siebie. Mimo płaskiej równiny plaży nie dojrzał stąd Dedhi-vera.

Wchodził coraz wyżej. Miał nadzieję dostrzec z wysoka jakiś znak, że załoga barki wyszła cało z katastrofy. Wdrapał się na szczyt.

Roztoczył się przed nim widok bezkresu morza, pustego i tak spokojnego, jakby jego niedawna furia była tylko wytworem koszmarnego snu. Brzeg po drugiej stronie skalnego cypla tworzyło rumowisko kamieni rozsypanych między nagimi skałami, które piętrzyły się stromo nad wodą. Fale tłukły wściekle o pochylone nad nimi głązy, lizały je bryzgami piany. Rahe-das poczuł na wargach słony posmak rozpylonej wodnej mgiełki. Jednostajny, mocny szum wypełniał powietrze. Wśród tej nieustannej gadaniny morza raz po raz słyhać było miarowe westchnienia cofającej się od brzegu fali. Naturalny mur cypla odgradzał owo królestwo chaosu od spokojnego ładu plaży, był równocześnie zaporą dla nieskończonego, grzmiącego dźwięku. Tam, w oazie piasku, morze szumiało inaczej: łagodniej, ciszej, pokorniej. Tutaj jego głos był

szyderyczym wyzwaniem dla królującej wokół ciszy.

W dole, u podstawy granicznej skały, Rahe-das dostrzegł resztki łodzi. Skruszone, wyzbyte dawnej funkcji odłamki desek, belki, jakieś niezidentyfikowane sprzęty kołysały się w rytm fali i bezskutecznie usiłowały dobić do brzegu, wyrwać się z objęć wody. Ta jakby z nich drwiła: łudziła co chwila bliskością ładu i zaraz, cofając się, bezlitośnie odbierała szczątkom ostatki nadziei.

Zaczął ostrożnie schodzić. Skały po tej stronie były śliskie od wilgoci, dlatego z namysłem wybierał miejsce dla postawienia stopy. Mimo to nie uniknął upadku. Raptem wymknęła mu się z dłoni wygładzona przez wodę krawędź, nogi rozjechały się na oslizłej obłości i poleciał w dół, objając się o skalne występy niczym worek.

Wylądował na wysuniętej nad wodę półce, poobijany, nie mogąc złapać tchu w ściśnięte boleśnie żebrami płuca. Jęknął głośno i usiadł. Czuł się, jakby przekłusowało po nim stado dzikich irmanów. Spojrzał w górę. Cud, że jeszcze żył: miejsce, z którego spadł, wznosiło się nad nim o dobrych trzydzieści stóp. Nie był pewien, czy wszystko ma całe. Ból pełzał falami po ciele, nie pozwalał się umiejscowić. Poruszył rękami, potem nogami. Złamania nie było, przynajmniej nie czuł go na razie, kończyny miał sprawne. Ucisk w piersiach mógł równie dobrze pochodzić od pękniętego żebra, jak od solidnego potłuczenia. Nie chciał w to wnikać. Póki nie stracił sprawności ruchu, uznał się za zdrowego. Zagryzł wargi, aby stłumić ból, i podjął wędrówkę na nowo.

Łódź, a raczej to, co z niej zostało, znalazł pod załomem. Krawędź przesłaniała widok z góry, to dlatego dostrzegł wcześniej tylko rozrzucone na wodzie odłamki. Obraz był przerażający: strzaskany kadłub tkwił wciśnięty między dwa bloki, trzeci, podobny kamiennemu ostrzu, przebił dno i wzywał spomiędzy sterty połamanych bali. Pod burtą, kurczowo wczepione zastygłymi palcami w łuk wręgi, leżało skulone ciało szypra. Nie musiał sprawdzać, czy żyje. Głowa marynarza była niekształtnym skrzepem krwi, mózgu i bielejących okruchów kości.

Nie opodal odkrył zwłoki drugiego członka załogi. Kołysały się na wodzie wśród kamieni. Zsunął się ze skały i, brnąc po pas, ruszył ku nim. Nie łudził się, że znajdzie w nich choćby ślad życia. Nie mógł jednak zrezygnować, nie upewniwszy się ostatecznie.

– Nie musisz tam iść – z góry, spomiędzy głazów, dobiegł go głos. – On nie żyje, sprawdzałem.

Odwrócił się. Marynarz, ostatni z trójki, siedział na ziemi pod wielkim nawisem. U jego stóp

leżał worek ze sztywnej skóry.

– Udało ci się – stwierdził marynarz. Wstał i zszedł nad wodę.

– Nie tylko mnie, Dedhi-ver ocalał również. Zostawiłem go po tamtej stronie cypla, na plaży.

– Rahe-das przyjął wyciągniętą rękę i wdrapał się na stromy brzeg.

– Nie wyglądasz najlepiej. Widziałem, jak spadałeś, dziwne, że możesz się poruszać.

– Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej? Sądziłem, że nikogo tu nie ma.

– Byłem po drugiej stronie tej plaży. Nie chciałem krzyzczeć, żebyś nie popełnił błędu przy schodzeniu. Gdy spadłeś, ruszyłem do ciebie, zanim jednak przedostałem się tutaj, ty wychodziłeś już z łodzi i szedłeś do Gea-una – eneika wskazał na topielca.

– Trzeba ich pochować – rzekł Rahe-das. – Nie możemy zostawić ich rybom i ptakom.

– Nie bardzo jest gdzie – marynarz rozejrzał się dokoła. – W tych skałach nie wykopiesz dołu nawet na stopę.

– Wyciągniemy ich wyżej i przykryjemy kamieniami.

Z trudem wynieśli ciała na brzeg i kolejno przeciągnęli je na zbocze, gdzie wielkich kamieni było mniej. Tam usypali dwa kopce, na ich szczytach zatknęli kawałki desek ze statku – znak, że kryją zwłoki poległych w walce z gniewem demona wód.

Kiedy siedzieli wsparci plecami o skałę i odpoczywali po pracy, Rahe-das powiedział:

– Trorr-ud darował życie nam obu, a nie znamy się jeszcze. Jak cię zwa?

– Jestem Immi-wu. Pochodzę z plemienia Irgów. A ty?

– Noszę imię Rahe-das. Jesteśmy synami tego samego szczepu.

– Jesteś Zabójcą Smoków? – zapytał Immi-wu. Rahe-das skinął potakująco.

– Domyśliłeś się – stwierdził.

– Wiedzieliśmy wszyscy. Szyper pewnie więcej, on odbierał zlecenie tego rejsu. Spotkałeś się już z xinxem?

– Tak, nawet z dwoma – uśmiechnął się Rahe-das. – I co?

– Głupio pytasz, przecież żyję.

– To znaczy... Jesteś Geue!

– Jestem.

Immi-wu zamilkł i pełnym podziwu wzrokiem obrzucił swego towarzysza.

– Jak myślisz, gdzie nas przyniosło? – Rahe-das zmienił temat.

– Sądzę, że to Ovila lub któryś z lądów archipelagu Geza. Zanim nastał sztorm, byliśmy na

wysokości zachodniego krańca wielkiej wyspy.

– To znaczy, że bylibyśmy u celu?

– Niby tak, lecz jak stąd wrócić? Łodzi już nie mamy...

– Mieszkają tu przecież walowie. Immi-wu spojrzał pobłaźliwie na Zabójcę.

– Widać od razu, żeś nigdy tu nie był. Wielcy nagoskórzy z Ovili to nie ci sami, co na kontynencie. Oni nie znają cywilizowanych eneików, lepiej nie leźć im w łapy.

– Jakoś sobie poradzimy, mam tu coś do zrobienia. Ponieważ nie ma już ani twego patrona, ani łodzi, czy zechcesz mi towarzyszyć?

– A co zamierzasz zrobić?

– Dowiesz się w swoim czasie. Na razie wiedz, że zamierzam odszukać tutejszych eneików.

– To nie będzie łatwe. To są dzikusy. Rozproszyli się po górach Urunth i okolicznych lasach.

Walowie polują na nich jak na zwierzęta.

– Polują? – zdziwił się Rahe-das. – Po co?

– Trzymają ich w charakterze niewolników. Nearrowie łatwo dają się oswoić.

– Skąd to wszystko wiesz? Przecież wedle twych słów nie mogłeś ot, tak sobie przyglądać się tutejszym obyczajom. Podzielilibyś los tubylców.

– Masz rację. Byłem tu raz, jak tylko spłynęła kra, i ukrywaliśmy się przez cały czas. Nawet nie wiem, co szyper tutaj załatwiał. To, co powiedziałem, wiem od niego, ja niewiele zobaczyłem. Dokładnie mówiąc nic, cały czas siedzieliśmy w pieczarze nad morzem. Szyper wychodził sam, przeważnie nocą.

– Tak, to utrudnia moje zadanie – rzekł Rahe-das po chwili milczenia. – Ale wypełnić je muszę. I cieszę się, że zechciałeś mi pomóc.

– Prawdę mówiąc, wybór mam niewielki – uśmiechnął się Immi-wu.

– Od czego zaczniemy?

– Najpierw trzeba upewnić się, czy jesteśmy na Ovili. Gdyby to była któraś z wysepek archipelagu, sprawa nie wyglądałaby tak dobrze.

– W jaki sposób to stwierdzić?

– Jedyne, co możemy zrobić, to podkraść się pod najbliższą walijską osadę i spróbować czegoś się dowiedzieć. Gorzej, jeśli trafiliśmy na wyspę niezamieszkaną.

– Wobec tego chodźmy. Musimy jeszcze zajść po Dedhi-vera. Mam nadzieję, że czuje się już lepiej. Nie był w najlepszej kondycji, gdy go zostawiłem.

– Będziemy wspinać się na te skały? – spytał Immi-wu, kiedy wstali szykując się do drogi.

– Wolałbym tego uniknąć. Ominiemy je od południa. Nadłożymy nieco drogi, lecz nie mam już ochoty na wspinaczkę. Po tamtym upadku czuję każdą kostkę.

Ruszyli. Skalisty brzeg wznosił się tu łagodnie, kamienne złomy zostały z tyłu. Po pewnym czasie wyszli na trawiastą równinę z ciemniejącym na południowym wschodzie lasem. Skierowali się na wschód. Szli po młodej trawie wśród kęp obrzuconych ledwie wykwitłym listowiem krzewów i rzadkich skupisk nagich jeszcze drzew. Wkrótce minęli skałę i znaleźli się na wysokości piaszczystego brzegu. Zbliżyli się do krawędzi skarpy. Aby odszukać Dedhi-vera, dalej musieli iść jej skrajem. Towarzysz Rahe-dasa leżał gdzieś u podnóża urwiska. Dlatego eneikowie bacznie przyglądali się plaży i nie zwracali uwagi na otoczenie. Gdyby nie przypadkowy rzut oka Immi-wu, pewnie przeoczyliby ciągnący się od zachodu wąski, ciemny pas ziemi, jakby smugę na gładkiej płaszczyźnie łąki. Ów pas wił się łagodnymi zakolami, często ginął w zagajnikach i chaszczach i stopniowo zbliżał się do morza. Marynarz wskazał go Rahe-dasowi. Chociaż byli jeszcze daleko, od razu odgadli jego przeznaczenie. To była droga.

– Jedno już wiemy na pewno – powiedział Zabójca. – Ta wyspa jest zamieszкана.

Immi-wu przytaknął. Tak wyraźny ślad kolein o tej porze zuaru nie mógł świadczyć o krótkim pobycie żywych istot na wyspie.

– Sprawdzimy, dokąd biegnie? – zapytał.

– Później, najpierw odnajdźmy mego towarzysza – odrzekł Rahe-das.

– Wielkie szczęście, że trafiliśmy na tę drogę. Zaprowadzi nas do osady.

– Gościniec ma to do siebie, że służy podróżnym – zauważył marynarz. – Lepiej chyba nie spotkać żadnego z nich.

– Jak dotąd nikt się nie pojawił. Nie sędzę, żeby panował tu duży ruch. Ale będziemy ostrożni, pamiętam, co mi opowiadałeś.

Dedhi-ver oczekiwał w miejscu, gdzie Rahe-das go zostawił. Ujrzawszy ich na brzegu skarpy, pomachał radośnie ręką. Dostrzegli jego gest. Przyspieszyli kroku i wkrótce znaleźli się wprost nad jego głową. Tu okazało się, że sprawa nie jest taka prosta.

– Jak do niego zejdziemy? – Immi-wu z zakłopotaniem popatrzył w dół stromego urwiska.

– Nawet jeśli jakoś je pokonamy, nigdy nie uda się nam wyjść tędy na górę. Dedhi-ver wymaga pomocy – Rahe-das podrapał się po głowie.

– Co zrobimy? – marynarz najwyraźniej nie miał żadnej koncepcji.

– Powinniśmy poszukać łagodniejszego stoku. Chyba nie cała skarpa jest tak wysoka. Dedhi-ver! – Rahe-das pochylił się nad urwiskiem.

– Idziemy poszukać zejścia, zostać na miejscu. Lepiej się czujesz?

– Tak, już całkiem dobrze! – odrzyknął Dedhi-ver. – Idźcie, poczekam tu na was. Cieszę się, że ocalał ktoś jeszcze oprócz nas – dodał.

– A co z pozostałymi?

– Niestety – dotarła do niego odpowiedź Immi-wu. – Z całej załogi tylko mnie się udało.

– Ruszajcie, chciałbym się stąd wydostać. Zapachniało tu grobem – poprosił Dedhi-ver ponuro.

– Dokąd? – Immi-wu popatrzył pytająco na Rahe-dasa. Chodźmy wzdłuż brzegu, dalej stok skręca na południe, może tam coś znajdziemy.

Za zakrętem skarpa obniżała się. Krzewy porastały tu gęsto jej skraj, ich wiotkie gałęzie kołysały się nad pochyłością jak kurtyna.

– Tędy nie przejdziemy – stwierdził Rahe-das, gdy próby przedarcia się przez gęstwinę spelzły na niczym. – Obejdziemy je, może dalej krzaki będą rzadsze.

– Opuśćmy się po gałęziach – zaproponował marynarz.

– Wolałbym znaleźć coś pewniejszego, pomyśl o Dedhi-verze. Po co później szukać podejścia? Zróbmy to od razu.

– Jak chcesz – Immi-wu nie upierał się. – Powinniśmy się jednak pospieszyć, dzień ma się ku końcowi.

Istotnie, Roth przemierzył już niebo i zawisł czerwoną kulą nad horyzontem. Czas płynął nieubłaganie, Rahe-das nawet nie przypuszczał, że tak długo już przebywają na obcym lądzie. Kiedy ocknął się na plaży, było niewiele po południu, pamiętał bijącą z zenitu jasność.

Poszli skrajem zarośli. Zagajnik był spory, coraz bardziej oddalali się od wybrzeża.

– Może jednak zawrócimy? Bogowie wiedzą, jak daleko jeszcze trzeba będzie iść – Immi-wu przystanął.

– Nie warto, popatrz, droga! – Rahe-das przywołał towarzysza, który pozostał trochę z tyłu.

Ciemny, wyjeżdżony przez wozy pas przecinał łąkę i ginął wśród krzewów.

– Pójdziemy nią, na pewno wyprowadzi nas za te chaszczce – zdecydował Zabójca.

– Poczekaj, coś słyszę – marynarz powstrzymał go gestem. Z głębi zagajnika dobiegł do ich uszu tętent.

– Jezdni! – Rahe-das cofnął się gwałtownie.

– Uciekajmy w krzewy!

Nie zdążyli uskoczyć. Na drodze pojawiły się irmany. Tuzin odzianych w surowe skóry jeźdźców kłusował prosto na nich. Widok eneików wyraźnie ich zaskoczył, ale na krótko. Jadący na czele krzyknął coś głośno i wierzchowce runęły galopem. Jeźdźcy rozsypali się w półkolistą tyralierę.

Eneikowie jak umówieni rzucili się wstecz, każdy w innym kierunku. Rahe-das skoczył w krzewy. Sprężyste gałęzie odbiły go z powrotem, upadł oszołomiony. Gdy wstawał z ziemi, poczuł na ramionach ucisk rzemienia. Zanim powalony brutalnym szarpnięciem padł ponownie, zdążył jeszcze zobaczyć, jak za gnającym równiną Immi – wu cwałuje trzech walów, a nad ich głowami wirują pętle arkanów. Usłyszał jego krzyk – widzieć już nie mógł, wleczony za irmanem po trawie – i domyślił się, że rozpaczliwa ucieczka zakończyła się fiaskiem. Zostali ujęci.

– A to ci niespodzianka – usłyszał nad sobą wypowiedziane po valijsku słowa, kiedy zakończyła się szaleńcza jazda. – Eneikowie na wybrzeżu! Piękny prezent mamy dla lorda Tuna!

– Ciekawe, skąd się tu wzięli? Ich tereny kończą się w lasach Beagg. Do tej pory nie ośmielali się ich opuszczać – do pierwszego głosu dołączył drugi.

– Na nasze szczęście zmienili obyczaje – zaśmiał się chrapliwie pierwszy wal. – Wiesz, ile cyny trzeba by tu wydać na takiego kosmatego parobka? Majątek wpadł nam w ręce!

Rahe-das wykręcił szyję i spojrzał w górę. Leżał wśród stojących kręgiem walów, nie opodal dostrzegł skulonego Immi-wu. Pochylało się nad nim dwóch brodatych osobników.

– Rozwiążcie nas – powiedział po valijsku. – Nie uczyniliśmy nic złego.

Dwaj rozmówcy odwrócili się w jego kierunku. Na ich twarzach malowało się zdumienie. Poruszenie zapanowało też między pozostałymi, którzy dotąd stali w milczeniu.

– Coś takiego! To umie gadać po naszymu! – Jeden z brodaczy podszedł do niego i końcem ciżmy przewrócił go na plecy. – Widziałeś już gadającego Nearra, Duttas?

Drugi brodacz pokręcił przecząco głową.

– Oni tylko szwargocząpo swojemu, Mirhiti. Nie słyszałem, żeby komuś udało się nauczyć eneikę naszej mowy, najwyżej paru słów, by rozumiał polecenia.

– Nie jestem Nearrem – warknął Rahe-das. – Przybyliśmy z Loinu.

– To w Loinie są gadający eneikowie? Niemożliwe, uszczypnij mnie, Duttas, chyba śnię! –



szyderczo odparł Mirhiti. – Morze Wiatrów przebyliście w pław, czy wierzchem na ptakach? A może przyniosły was wichry? Takie karzełki nie cięższe przecież od piórka!

– Przyłynęliśmy łodzią. Sztorm ją zatopił.

– To i żeglować potraficie? Cuda, cuda prawdziwe! No, dość tego! – Mirhiti spoważniał. – Zabieramy ich do zamku. Za obu, w dodatku znających mowę, lord Tun nieźle zapłaci.

– Słuchaj, może on mówi prawdę? – Val imieniem Duttas niepewnie zerknął na Rahe-dasa. – W opowieściach o Loinie często występują eneikowie. Niegdyś były nawet wojny z nimi.

– Nie wierz temu! Zresztą, gdyby nawet tak było, to skąd raptem wzięliby się tutaj? Nawet nasi żeglarze nie odwagzyli się jeszcze wyjść w morze. To czas sztormów.

– Mówił, że przeżyli katastrofę... – Duttas nadal miał wątpliwości.

– Wierzysz w jego słowa? Na miejscu tego karła pewnie gadałbyś podobnie. Skąd nagle u ciebie takie skrupuły? Jeśli nie chcesz, sam ich dostarczę Tunowi. Więcej będzie dla mnie.

– Nie, nie! – pospiesznie zaprzeczył Duttas. – To tylko takie dziwne: usłyszeć valijskie słowa z gardła włochatego dzikusa.

– Pewnie zbiegł z niewoli. Ktoś zadał sobie niemało trudu, aby go wyuczyć. Tym lepiej dla nas, nie trzeba będzie tresować go od początku.

– Nie jestem niewolnikiem! Wypuście mnie! – krzyknął Rahe-das. Nikt już go jednak nie słuchał. Uwiązano arkany do siodła i orszak ruszył, wiodąc za sobą obu niefortunnych jeńców.

\*

Dedhi-ver czekał długo. Niepokoił się. Już dawno zapadła noc, iskra Jasti przemierzyła dwie trzecie swej drogi, a eneików nie było. Do tej pory nie ruszał się z miejsca, gdyż najpierw liczył na ich rychłe przybycie, a potem nie mógł z powodu ciemności. Czuł się zresztą podle, wolał nie ryzykować zasłabnięcia: przysporzyłyby tylko towarzyszom dodatkowych kłopotów. Kiedy jednak świt zabarwił na różowo niebo na wschodzie, a Rahe-dasa nie było, postanowił wyjść mu naprzeciw.

Dźwignął się z trudem i powoli ruszył wzdłuż skarpy. Nie próbował nawet wspiąć się na nią, wiedział, że to ponad jego siły. Dwudziestosto – powa piaszczysta stromizna była nie do pokonania nawet dla eneiki w pełni sił, a cóż dopiero dla niedoszłego topielca, w dodatku poobijanego i roztrzęsionego gorączką.

Roth wychylił się nad linię morza, gdy dotarł do obwisłych gałęzi, które opadały ze szczytu urwiska. Przez chwilę rozważał szanse wdrapania się po nich, skarpa była tu niższa, jednak

zrezygnował i ruszył dalej. Za zakrętem plaża zwężała się do kilku stóp, skarpa zmieniała się w brzeg i obniżała wyraźnie. W końcu był zmuszony wejść do wody, lecz to go nie powstrzymało: urwisko załamywało się przed nim w niski nawis, na który mogło wspiąć się nawet dziecko. Przyspieszył kroku.

Był coraz bardziej niespokojny. Przecież Rahe-das i jego towarzysze powinni byli znaleźć to miejsce jeszcze przed wieczorem, nie było tak daleko. Chyba że owe krzewy, które wcześniej minął, zatrzymały ich i zmusiły do nadłożenia drogi. Wszedł na trawę i skierował się z powrotem. Wdrapał się na łagodne wzniesienie. Z jego szczytu dostrzegł zagajnik i drogę. Zatrzymał się i zamyślił. Jeżeli Geue i marynarz szli od strony lądu i napotkali tę przeszkodę, z pewnością musieli skorzystać z owej przesieki. Nic nie usprawiedliwiało opóźnienia, wszak idąc drogą, mogli znacznie szybciej ominąć chaszczę i wyjść na łąkę za nimi. Nigdzie ich jednak nie było. Coś musiało się stać. Jego lęk wzmógł się jeszcze, gdy dojrzał świeże ślady irmanów. Zapomniał o słabości; pobiegł gościńcem w głąb zagajnika.

W lot domyślił się przebiegu zdarzeń. Zdeptana, stratowana kopytami trawa, kilka połamanych gałęzi, ślady wleczenia czegoś po ziemi, świadczyły o najgorszym: eneikowie zostali schwytani. Przez kogo? Znalazł kilka odcisków skórzanych cizem, poza tym irmany... To musieli być valowie. Dlaczego jednak napadli na jego towarzyszy? Owszem, wiedział, że valowie nie pałają sympatią do jego rasy, lecz nigdy, od dobrych paru ellarów, nie było w Loinie poważniejszych animozji między przedstawicielami obu gatunków. A tu nie znalazł żadnego znaku świadczącego o choćby chwili dialogu, który mógł być przyczyną konfliktu. Najwyraźniej eneików napadnięto bez przyczyny, związano i powleczono gdzieś traktem. Co miał teraz uczynić? Tylko jedno: ruszył gościńcem na zachód śladami kopyt irmanów, między które wplatał się sznureczek odcisków dwóch par małych, bosych stóp.

\*

Już cztery dni krążył wokół grodziska, próbując w jakiś sposób skontaktować się z Rahe-dasem. Jak do tej pory jego wysiłki nie przynosiły efektów. Kilkakrotnie widział obu swych towarzyszy, gdy pędzono ich w grupie nędznych, brudnych eneików o dzikim wyglądzie na pobliskie pola, gdzie sadzili bulwy gija. Niewolników pilnował oddział uzbrojonych i wyposażonych w długie baty valów, którzy nieustannie krążyli wokół zagonu. Nie mógł nawet marzyć o kontakcie; w mgnieniu oka dołączyłby do towarzyszy. Nie wiedział, co dzieje się z robotnikami, gdy po pracy znikają za palisadą. Nie miał możliwości sprawdzenia. Był bardzo

ostrożny. Gdyby wpadł w ręce walów, pewnie już na zawsze pozostałby na wyspie i musieli żyć w upodleniu do końca swych dni. A może właśnie tam, wewnątrz zabudowań, kryła się szansa wolności dla uwięzionych? Tylko jak się tam dostać?

Drobiazgowo analizował zachowanie strażników i więźniów, rozkład dnia grupy poza grodem, rejestrował w pamięci wszystkie, na pozór nieznaczące fakty. Któryś z nich mógł okazać się kluczem, którego szukał. Zauważył na przykład, że żołnierze z eskorty nie rozróżniają swych podopiecznych. Często ich mylili i wściekali się, że na rozkaz reaguje nie ten, który powinien. Był to ważny szczegół, choć na razie Dedhi-ver czuł tylko niejasno, że może się przydać.

Grupa niewolników pracowała w polu od rana do zmroku z przerwą na posiłek, który około południa trzech eneików dostarczało dwukołowym wozem, zaprzężonym w starego, wyliniałego irmana. Wyglądali lepiej niż pracujący w polu, jako kucharze cieszyli się widać większymi względami właściciela. Czy w oczach wartowników byli równie podobni do siebie jak zatrudnieni w polu? Czy odróżniali się jedynie odzieżą...? Plan, który zaświtał mu w głowie, był bardzo ryzykowny, lecz czy dokona czegośkolwiek, jeżeli będzie tylko krył się po krzakach?

Było ich trzech, co stanowiło poważne utrudnienie. Jednego mógł przekupić, zastraszyć, zabić wreszcie. Jak postąpić z trzema, na razie nie wiedział. W dodatku na działanie zamykające odwrót mógł sobie pozwolić tylko podczas końcowej akcji, a przecież nie wyobrażał sobie, że nawiązanie kontaktu z Rahe-dasem zakończy sprawę. Nie mógł długo udawać kuchcika, rzecz wydałaby się szybciej, niż by chciał. Podejrzane było też zaufanie, jakim walowie darzyli tych trzech; nigdy nie było przy nich straży. Wejście z nimi w układy mogło okazać się niemożliwe, a nawet niebezpieczne. Ale nie potrafił wymyślić nic innego, dlatego czekał na stosowny moment.

Nadarzył się dwa dni później. O tej samej co zwykle porze z bramy wyjechał znajomy wózek, lecz eneików było tylko dwóch. Postanowił sprawdzić, czy mógłby stać się owym trzecim. Przyczaił się wśród okalających drogę krzewów. Wkrótce usłyszał turkot kół i człapanie irmana. Kiedy wóz wytoczył się z zakrętu, wyszedł na środek traktu.

Na jego widok powożący zdarł gwałtownie wodze. Wóz stanął. Przerażeni eneikowie tępo wpatrywali się w nieoczekiwaną przeszkodę. Dedhi-ver podszedł bliżej.

– Witajcie, eneikowie – powiedział.

– Ktoś... ty? – wyjąkał starszy, siedzący z tyłu na pokrywie kotła ze strawą.

– Dedhi-ver, Zabójca Smoków – przedstawił się Irga.

– Jaki zabójca...? Ty... wolny eneika? – mamrotał stary, rozglądając się w popłochu. – Uchodź... złapią cię...! Uchodź...!

– Ty odpowiadasz za ten wóz? – zapytał Dedhi-ver.

– Zbieg... Nie chcę... odejść... Odejść do wolnych... na południe... Tu śmierć lub niewola... – ciągnął zagadnięty, jakby nie słyszał pytania.

Dedhi-ver jednym susem przeskoczył burtę wozu i znalazł się przy eneice. W jego dłoni błysnął garnag.

– Zamilcz i słuchaj! – trącił ostrzem trzęsący się podbródek starego. – Parę dni temu ujęto moich przyjaciół. Są tutaj, pracują przy sadzeniu gija. Muszę porozmawiać z jednym z nich. Zwie się Rahe-das. Pomożesz mi.

– Rahe-das...? Jest tu taki... Dziwny eneika... i ten drugi: Immi-wu... Tyś ich przyjaciół? Po coście tu przybyli, tu eneika to rab bez duszy... Nic nie poradzisz, uchodź, ratuj własną skórę... – dotyk noża przywrócił kucharzowi nieco przytomności.

– Sam wiem, co czynić. Od ciebie żądam pomocy.

– Pomóc...? Ja? Ja niewolnik, panie, ja nic nie mogę...

– Nie gadaj tyle, szkoda czasu. Posłuchaj: jutro znów będziecie tylko we dwóch. Przywieziesz mi ubranie tego trzeciego. Będę twoim pomocnikiem.

– Ale...

– Nie przerywaj! Zrobisz, jak kazałem. I pamiętaj, jeśli zdradzisz, zabiję. Potrafię to uczynić, zapewniam cię. Teraz jedź i przypadkiem nie zapomnij: jutro czekam w tym samym miejscu. Porozmawiam tylko z Rahe-dasem i nie będę ci więcej sprawiać kłopotów. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, panie...

– Jedź już – Dedhi-ver zeskoczył na ziemię. – Nikt nie może powziąć żadnych podejrzeń.

Patrzył, jak wóz znika wśród drzew ze zdumiewającą szybkością, gdy wzięło się pod uwagę wiek irmana. Woźnica wyduszał ze zwierzęcia ostatni dech, jakby goniły ich demony. Zresztą niewolnikom Dedhi-ver zapewne wydawał się czymś w rodzaju upióra, stąd ich paniczna ucieczka była zupełnie zrozumiała. Oby tylko strach nie stłumił w nich rozsądku...

Na szczęście obawy okazały się płonne. Nazajutrz zjawili się punktualnie, i chociaż ciągle patrzyli na Zabójcę z zabobnym lękiem, mówili przytomniej i z sensem. Właściwie liczba mnoga była tu nieodpowiednia: na pytania Dedhi-vera odpowiadał wyłącznie starszy, młodszy

siedział, milcząc, na koźle i starał się nawet nie spoglądać na intruza. Zgodnie z żądaniem przywieźli brudne, jednoczęściowe odzienie, uszyte z twardej, niewyprawionej skóry. Ze źle skrywanym obrzydzeniem Irga założył owe łąchy, następnie schował swoje ubranie pod gałęziami krzewu. Zostawił jedynie pas, za który – zapięty na gołe ciało – zatknął garnag. Potem nabrał w dłonie błota z koleiny i wysmarował twarz i ręce. Miał nadzieję, że zbytnio nie różni się teraz wyglądem od nowych kompanów. Wskoczył na wóz obok starego.

– Jedziemy! – rozkazał.

Woźnica strzelił lejcami i irman ruszył. W drodze nie rozmawiali. Dedhi-ver bacznie obserwował obu Nearrów, ale poza wystraszonymi, rzucanymi ukradkiem spojrzeniami nie dostrzegł nic, co by zwiastowało ich ewentualną nielojalność. Teraz pozostało sprawdzić, w jakim stopniu walowie rozróżniają eneików. Sprawdzić na sobie.

Na widok zbliżającego się wozu jeden ze strażników przytknął do ust swistawkę. Przenikliwy dźwięk sprawił, że poczęły prostować się pochylone plecy niewolników, zadźwięczały odrzucane narzędzia. Eneikowie nadciągali gromadą ku przybyłym, którzy właśnie zdejmowali z wozu dwa buchające parą kotły. Karnie sformowali kolejkę, nadstawili wyciągnięte zza pazuch drewniane miski po skąpo wydzielaną wodnistą breję o nieokreślonym kolorze i podłym zapachu. Ten i ów zerkał na majstrującego przy kole Dedhi-vera i w ich oczach na krótki moment zapalał się błysk zdziwienia, lecz zaraz gasł pod maską bezmyślności.

Strażnicy nie dostrzegli nic.

Rahe-das i Immi-wu byli jednymi z ostatnich. Geue zbliżał się do kotła z pochyloną głową. Dedhi-ver już szykował się do dania bratu jakiegoś sygnału, bowiem zdało mu się, że ten nie zauważy jego obecności i odejdzie, kiedy napotkał jego spojrzenie spod opuszczonego czoła. Uniósł lekko dłoń. Rahe-das opuścił powieki, nieznacznie skinął głową. Odeszli na ubocze i usiedli w przydrożnym rowie.

Gdy zakończono wydawanie stawy, stary kucharz napełnił miski swych pomocników. Dedhi-ver wziął swoją i, niby to wypatrując dogodnego miejsca, niepostrzeżenie zbliżył się do Irgów. Przykucnął nie opodal i zaczął powoli jeść, spoglądając leniwie dokoła.

– Znalazłeś nas – dobiegły go ciche słowa Rahe-dasa.

– Jak mogę pomóc? – zapytał półgłosem.

– Tutaj, na polu, to niemożliwe. Musisz przyjść do grodu. Czy masz rysik?

– Zostawiłem w ubraniu...

– To nic, zdobęde kawałek węgla drzewnego. Jutro tutaj, gdzie siedzę, znajdziesz plan zamku ze stanowiskami straży. Weźmiesz go, gdy odejdziemy.

– Rozumiem.

– Daj mi jeszcze dwa dni. Jest tu eneika, który coś wie o Unthenie. Niełatwo z nim rozmawiać, to dzikus... Może będę musiał zabrać go ze sobą.

– Nie narobi hałasu?

– Moja w tym głowa, żeby nie... Czekamy na ciebie nocą trzeciego dnia. Postaraj się, Dedhiver, pokaż, na co stać Zabójcę. To sprawdzian dla czekającego.

– Będę, Geue. Czy masz swój garnag?

– Zabrali mi go – zgrzytnął zębami Rahe-das.

– Gdzie jest?

– Wziął go rycerz imieniem Mirhiti. Na planie zaznaczę jego dom.

– Dobrze, najpierw pójde tam. Masz jeszcze jakieś życzenia?

– Bądź ostrożny. Oni co prawda nie zetknęli się dotychczas z eneikami z kontynentu, ale przezorność to cnota na każdą okazję.

– Postaram się, panie.

– Idź więc, kucharze gotują się do drogi. Nie przychodź tu za dnia, tym niewolnikom nie można ufać. To, że udało ci się nakłonić ich do współpracy, dobrze świadczy o twoich umiejętnościach, lecz nie rób tego więcej. Oni urodzili się w niewoli, są lojalni wobec lorda Tuna, swego pana.

– Mogą zdradzić?

– Jeśli nie uczynili tego do tej pory, chyba już nie. Oby nie... Musimy mieć nadzieję.

– Idę. Bądź zdrow, Rahe-das!

– Niech Trorr-ud strzeże twej ścieżki, bracie.

Dopędził ruszający już wóz i wdrapał się na kozioł. Widział, jak strażnicy strzelaniem z batów spędzają niewolników na pole, jak znów pochyłają się karki, idą w ruch zbrojne w motyki dłonie. Długi szereg zgarbionych postaci podjął swą mozolną, beznadziejną robotę, która dla wielu nie będzie mieć końca.

Palisadę przebył łatwo, straże nie były zbyt czujne. Zeskoczył z drewnianej kładki po drugiej stronie i skrył się w głębokim cieniu ostrokołu. Na wprost widniała ciemna bryła domostwa lorda Tuna, zapamiętał ją z planu. Za nią, po lewej, znajdzie zagrodę dla wierzchowców, a dalej barak

niewolników. To zadanie na później. Skierował się w prawo, gdzie wzdłuż częstokołu stały rzędem zabudowania służby i rycerstwa z lordowskiej drużyny. Piąty z kolei dom był tym, którego szukał.

W pobliżu zaskowyczał hang. Jakby w odpowiedzi dołączyło do niego kilka następnych, żalonym jazgotem przerywając ciszę nocy. Dedhi-ver zastygł w bezruchu. Poczł wzbierający w gardle strach. Na śmierć zapomniał o hangach, a przecież wiedział, że walowie zawsze trzymają ich mnóstwo. Teraz tylko brakuje, żeby jakiś ciekawski wartownik zechciał sprawdzić, co podnieciło zwierzęta. Z wyciągniętym nożem przywarł plecami do szorstkich pni.

Jazgotanie przybrało na sile. Hangi wyczuły intruza i coraz natarczywiej sygnalizowały o tym swoim panom. Usłyszał nad głową ciężkie stąpanie strażnika. Po chwili rozległ się jego głos: wal rzucił głośne przekleństwo i wrzasnął na zwierzęta. Były karne; hałas umilkł jak ucięty nożem. Żołnierz burknął jeszcze coś pod nosem, czego już Dedhi-ver nie dosłyszał, po czym oddalił się wolnym krokiem.

Eneika zaśmiał się bezgłośnie. Nie było mu wesoło, nerwowym chichotem rozładował tylko wewnętrzne napięcie. Z trudem opanował drżenie, którym ciało odreagowało uczucie ogromnej ulgi. Trrr-ud wysłuchał jego zaklęć, niebezpieczeństwo usunęło się z drogi. Nie chciał prowokować losu po raz drugi. Czym prędzej podjął wędrówkę.

Domostwo rycerza Mirhiti było jednym z okazalszych. Trzema susami dopadł frontonu i ponownie zamarł, wtopił się w mrok. Cisza, tylko miarowe kroki straży dobiegały go z wysoka. Podpełznął do drzwi. Były solidne, okute mosiężnymi hufnalami i wzmocnione sztabami, nie do pokonania bez hałasu. Tutaj nic nie zwojuje, należy poszukać innego wejścia. Z kolei zajął się oknem. Już po pobieżnych oględzinach nabrał pewności, że sforsowanie go nie sprawi poważniejszych kłopotów: skrzydła nie domykały się, między nimi widniała szpara wystarczająco szeroka, aby zmieścić w niej ostrze noża.

Haczyk odskoczył z cichym brzękiem. Dedhi-ver znieruchomiał na chwilę i zbliżył ucho do framugi. Nic nie usłyszał, żaden odgłos nie dobiegł ze środka. Delikatnie trącił skrzydło okna, przytrzymał je palcami. Otworło się bezgłośnie. Droga stała otworem.

Eneika wślizgnął się do wnętrza. Panowała tu nieprzenikniona ciemność. Światło gwiazd i Jasti ledwie zaznaczało się jaśniejszym prostokątem na podłodze, poza tym nic nie widział. Zacisnął mocno powieki, aż zawirowały pod nimi mroczne koła. Gdy je uchylił, czerń nie była już tak głęboka. Dostrzegł linie desek podłogi, zarysy sprzętów, ciemną plamę wejścia

naprzeciwko. Nie było tu nikogo, widocznie trafił do któregoś z pomieszczeń gospodarczych. Podeszedł do drzwi. Nie były zamknięte; ledwo pchnął je lekko, otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Znalazł się w sieni. Była jeszcze ciemniejsza, jednak wzrok szybko przyzwyczajał się do mroku. Czarne wnęki trojga drzwi odróżniały się załamaniem równych rzędów bierwion – dwoje naprzeciw, jedno po prawej. Te ostatnie były wejściowymi, musiał wybrać spośród pozostałych.

Jego wzrok spoczął na niekształtnej kupce pod progiem z lewej strony. Przypominała wypełniony czymś worek, tyle że raczej nie kładzie się pełnych worków u wejścia do komnaty. Przyglądał mu się przez chwilę, gdy nagle „worek” poruszył się i coś zamamrotał. Dedhi-ver zdrętwiał. To był śpiący val. Decyzję podjął błyskawicznie. Bezszelestnie zbliżył się do śpiącego. Wykonał równocześnie dwa gesty: jedną dłoń mocno zacisnął na jego ustach, drugą trzykrotnie zagłębił nóż w ciało, raz za razem: w gardło i dwukrotnie w serce. Val sprężył się gwałtownie, po czym zwiotczał. Eneika poczuł na palcach ciepłą wilgoć.

Teraz już wiedział, które wejście jest właściwe. Przekroczył zwłoki i dotknął metalowych okuć. Drzwi były zamknięte od środka. Wrócił do komnaty, którą przed chwilą opuścił, i obejrzał zamek. Była to prosta drewniana zapadka, gdyby udało się wcisnąć nóż w szczelinę przy framudze, mógłby podważyć ją ostrzem. Cofnął się.

Szpara była, lecz zbyt wąska; garnag się w niej nie mieścił. Ze – struganie drzwi nie wchodziło w rachubę, były okute metalową listwą. Pozostawała framuga. Ostrożnie, starając się robić jak najmniej hałasu, Dedhi-ver począł ją skrobać. Drewno było dość miękkie, a garnag przeznaczony do znacznie oporniejszej materii: skóra smoka nie miała sobie równych wśród ciał stworzonych boską ręką. Ostra klinga stopniowo ścinała drobne drzazgi, żłobiła coraz głębszą rysę. Wolno szło. Czuł spływające po karku zimne strumyki potu.

Po długiej chwili mozolnej pracy spróbował jeszcze raz. Garnag wszedł z oporem, lecz deszczułka zapadki znajdowała się trochę wyżej i nóż nie sięgał. Teraz zaczął naciskać ostrze to w górę, to w dół, poszerzając szparę. Wkrótce koniec noża dotarł do zapadki. Dedhi-ver skierował go ukośnie w górę i podnosząc oburącz mocno szarpnął. Zamek odskoczył.

Pośrodku komnaty stało drewniane łoże wymoszczone słomą i zasłane skórą. W poświacie, która płynęła z okna, eneika dojrzał na nim dwie śpiące istoty – mężczyznę i kobietę. Nie mógł ryzykować ich przebudzenia. Poszło łatwo, tak jak z tamtym na progu. Żadne nie poczuło, że umiera.



Rozejrzał się po komnacie. Stało tu kilka skrzyń i kufrów różnej wielkości. Nie dbał już o zachowanie ciszy. Począł je kolejno otwierać i wyrzucać z wnętrza góry ubrań, ozdób i innych przedmiotów, którym przyjrzeć się nie miał czasu. W trzeciej z rzędu znalazł to, czego szukał. Leżały na samym wierzchu, na stercie mieczów i kołczanów pełnych strzał, zawinięte w płócienną szmatę: sakwa Rahe-dasa, sztywny marynarski worek i ciemny, haczykowany sztylet. Święty garnag.

Opuścił dom tak jak wszedł: przez otwarte wcześniej okno. Nikt się nie obudził, nikogo nie zaniepokoiły dość ciche zresztą odgłosy krwawej wizyty. Dopiero świt miał ujawnić jej rezultat, wtedy sprawca będzie już daleko. Jeżeli oczywiście powiedzie mu się druga, ważniejsza część planu.

Kryjąc się w cieniu zabudowań, ruszył w stronę domostwa lorda Tuna. Z planu, który sporządził mu Rahe-das, wyczytał, że pierwsze wewnętrzne stráže znajdzie przy czworakach eneików. Wartownika krążącego wokół wierzchowców chciał ominąć, przeciw sobie będzie miał jeszcze dwóch. Jeden czuwał na zewnątrz, przy wrotach baraku, drugi na galerijce w środku. Musieli zginąć, stwierdził to bez emocji. Po rzezi w siedzibie rycerza Mirhiti następne zabójstwa nie miały już tak przerażającej wymowy. Tamci byli pierwszymi, których zabił w życiu, bowiem, choć szkolony w klasztorze, nigdy dotychczas nie brał udziału w żadnej akcji ani przeciw smokom, ani jakimkolwiek innym istotom. Tej nocy z pospolitego sługi zakonu, czekającego jak setki mu podobnych na spotkanie z xinxem, przeobraził się w prawdziwego brata Zabójcę. A chociaż to jeszcze nie xinx padł pod jego garnagiem, choć w hierarchii zakonu czekającym pozostał nadal i pewnie na długo, ów chrzest miał znaczenie dla jego przyszłości. Już nigdy nie miał służyć możniejszym braciom, awansował do miana wojownika. Na xinxą też przyjdzie czas.

Podpełznął w poblize ogrodzenia. Strażnik właśnie oddalał się ścieżką, odwrócony doń plecami. Dedhi-ver wyczekał, aż skryje go mrok, i trzema susami znalazł się pod ścianą pomieszczenia niewolników. Brama wejściowa była po przeciwnej stronie. Miękkim krokiem, uginając kolana i płynnie przenosząc ciężar z pięt na palce, eneika pobiegł za węgiel. Przyłgął do nieokorowanych pni i znieruchomiał. W ciszy rozlegał się tylko daleki szelest kroków wracającego wartownika. Ruszył dalej tuż przy ścianie. Dotarł do jej końca i ostrożnie wyjrzał.

Dwa kroki od niego siedział na ziemi drugi strażnik. Patrzył przed siebie i kiwał się miarowo. Co pewien czas, odpędzając senność, pocierał oczy wierzchem dłoni. Obok niego leżała długa włócznia, miecz położył na kolanach. Kamień rzucony ręką Dedhi-vera pofrunął nad głową

żołnierza i głucho stuknął w krokiew. Strażnik drgnął. Spojrzał w górę. Nic nie dostrzegł, lecz dziwny hałas zaniepokoił go. Wstał, ujmując włócznię, i niepewnie zrobił krok w stronę, skąd dobiegł tajemniczy dźwięk. Dedhi-ver miał na wprost siebie jego szerokie plecy.

Warknęła rozcięta wirującym ostrzem ciemność, garnag wbił się po rękojęść. Val z głośnym świstem wciągnął powietrze w płuca, charknął krótko i upadł na twarz. Jego stopy drgnęły, rozgrzebały piasek.

Teraz Zabójca działał szybko. Głos ginącego, choć cichy, mógł dojść do uszu któregoś z wartowników. Odsunął zasuwę i całym ciężarem napał na wrota. Otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem. Wpadł do środka i rozejrzał się błyskawicznie. Duża hala była podzielona na boksy, z których wychylały się rozespane, zdziwione twarze eneków. Z prawej zobaczył schody na galerię, okalającą pomieszczenie na wysokości jakichś dziesięciu stóp. Zbiegał z nich właśnie val z mieczem w ręce. Na widok Dedhi-vera jakby się zawahał i to go zgubiło. Znow furknął nóż. Wartownik z łomotem stoczył się po stopniach.

– Łańcuch! – usłyszał z głębi baraku.

Odwrócił się i zobaczył w jednym z boksów Rahe-dasa. Zza jego ramienia wyglądał Immi-wu. Geue wskazywał dłonią wzdłuż przyległej do boksów ściany. Skoczył tam. Ujrzał biegnący przez wszystkie stanowiska długi łańcuch, który przewleczono przez zakute na nogach niewolników kajdany. Łańcuch zamknięty był na kłódkę.

– Gdzie jest klucz? – zawołał.

– Ma go wartownik z galerii. Szybko, pospiesz się! Zaraz będą tu żołnierze!

Kłódka odskoczyła z brzękiem. Dedhi-ver wyszarpnął łańcuch i oswobodził więźniów. Rahe-das wyskoczył z boks. Wspólnie z Immi – – wu wywlókł stamtąd jakiegoś obdartusa.

– Rozkuj nas! – zażądał.

Dedhi-verowi trzęsły się ręce, gdy szukał właściwego klucza. W końcu kajdany opadły. Towarzysze byli wolni.

Otoczył ich nagle rozkrzyczany tłum. Niewolnicy pojęli, co się stało. Rzucili się do wyjścia, nie zważając na łańcuchy. Rozdzwoniona, wrzeszcząca tłuszcza parła ku bramie, plątała się w pętach, przewracała i tratowała. Z naprzeciwka wyciągały się ku niej dłonie ciągle uwiązanych. Chwytały przebiegających eneków za ręce, za nogi, za poły kaftanów.

Wrota gwałtownie otworzyły się na całą szerokość. Naprzeciw gnającego na oślep tłumy stał w zwartym szyku oddział zbrojnych w miecze walów. Niewolnicy jakby ich nie widzieli. Masa

ciał runęła wprost na nadstawione ostrza i chociaż dla wielu był to ostatni krok, eneiko – wie złamali ordynek straży. Tłum szeroką strugą wylał się na plac przed barakiem.

– Mój garnag! – rzucił Rahe-das, gdy minął ich strumień zbiegów. – Teraz pędem za nimi, póki strażnicy jeszcze się nie otrząsnęli. Zabieramy tego tutaj – wskazał na szamoczącego się w objęciach marynarza eneikę, którego również ogarnął amok wolności.

Wybiegli na podwórze. Od strony pałacu Tuna migotały pochodnie: nadciągały posiłki.

– Tędy! – skoczyli w prawo, w cień baraku. Wkrótce niezatrzymywani znaleźli się pod ostrokołem. Wbiegli na kładkę. Tu Rahe-das jednym pchnięciem pozbawił życia zabiegającego im drogę strażnika i już byli przy blankach.

Schodzili jeden za drugim po surowych pniach palisady, wpijając palce w korę i kurczowo chwytając każdy występ drewna. Na górze został jeszcze tylko Rahe-das ze swym jeńcem. Ten najwyraźniej nie miał ochoty pójść w ślady poprzedników, bo po chwili usłyszeli głos Irgi:

– Łapcie go!

Ledwie zdążyli przygotować się na jego przyjęcie, eneika z wrzaskiem zwałił się im na głowy. Upadli wszyscy trzej, skłębieni w płataninę ciał. Zanim pozbierali się z ziemi, Rahe-das był już na dole.

– Uciekamy!

Ujęli pod pachy oszołomionego Nearra i ruszyli biegiem. Niedługo potem skryły ich krzewy, a za plecami uciekających, za grzebieniem ostrokołu, cichły z wolna odgłosy łowów.

\*

Piąty świt zapalił niebo czerwonym blaskiem, gdy dotarli do lasu Beagg. Jak wzrokiem sięgnąć, rozciągał się przed nimi ciemny, zieleniejący pierwszym listowiem zbity gąszcz. Strzelały ponad nim wysmukłe piki hinnirów, pęczniały rozłożyste korony galii i stożkowatych, przysadzistych lienanów. Ich pnie ginęły w kłębowisku gałęzi wszechwładnie panujących wśród poszycia krzewów simalu, obsypanych obficie żółtawym kwieciem. Powietrze dźwięczało tu jednostajnym, wysokim brzękiem: nieprzebrane chmary owadów buszowały w kwiatach. Z owego tła wybijały się ostre pogwizdywania hiijudihe, czasem rozskrzeczało się stadko uqirri, sapnął gdzieś basowo kuar. Puszcza odżywała po ciężkim śnie długiej zimowej nocy.

Rozłożyli biwak na skraju lasu. Należał się im solidny odpoczynek. Od chwili ucieczki nie przystanęli nawet na tyle, aby spożyć posiłek. Teraz padali jak nieżywi w miękką trawę, nie dbając o bezpieczeństwo ani wygodę. Nawet dzikiego więźnia nie trzeba było pilnować, był

bowiem wyczerpany bardziej niż Irgowie. Wiele ti niewoli mocno osłabiło jego kondycję.

Słońce stało wysoko, gdy letargiczne odrętwienie poczęło ich opuszczać. Pierwszy wstał Rahe-das. Popatrzył na leżących bez ruchu towarzyszy, pokiwał głową i, mruczając coś do siebie, ruszył w las. Postanowił nazbierać chrustu, zanim pozostali wędrowcy dojdą do przytomności. Gdy zniknął w krzakach, niemal równocześnie ocknęli się Dedhi-ver i marynarz. Tylko Nearr jeszcze się nie ruszał, choć oczy miał otwarte i wlepione bezmyślnie w niebo.

Immi-wu trącił siedzącego obok Zabójcę.

– Nie ma Rahe-dasa – zauważył.

– Widzę. Pora zabrać się za przygotowanie obozu. Zostaniemy tu pewnie ze dwa dni, czeka nas jeszcze długa wędrówka. No i z tym tu wypada pogwarzyć – Dedhi-ver wskazał brodą Nearra. – Jeszcze nie wiemy, dokąd się udać.

– Rahe-das kilkakrotnie z nim rozmawiał, w grodzie i na polu. Coś tam pewnie z niego wyciągnął. Ale powiedz mi wreszcie, o co tu chodzi? Czegoś szukamy, tyle wiem, lecz czego? Po co nam ten dzikus?

– Geue ci nie powiedział? – Ani słowa.

– Wybacz, Immi-wu, skoro on milczy, ja również muszę. To sprawa zakonu.

– Możesz mu powiedzieć. – Rahe-das wyłonił się z zarośli z naręczem suszu. – I tak jesteśmy skazani na siebie na tej wyspie. Zrozumiałby prędzej czy później, choćby nie wiem jak strzec tajemnicy. Immi-wu, chociaż nie należy do Bractwa, jest przecież eneiką, a nasza sprawa dotyczy nie tylko Zabójców. Trzymamy w dłoniach nić nadziei całej rasy. Jednak musisz wiedzieć – zwrócił się do marynarza – że, jeśli wrócimy na kontynent, długo będziesz skazany na nasze towarzystwo, być może na zawsze. Nasze zadanie tutaj się nie kończy, spełniamy fragment olbrzymiej misji. Jeżeli teraz cię wtajemniczymy, pozostaniesz do końca. Czy godzisz się na to? Immi-wu wzruszył ramionami.

– Myślisz, że się zawaham? Obudziłeś moją ciekawość, dopiero teraz nabieram ochoty na tę awanturę. Gadaj śmiało!

– Chodzi o Unthena.

– A więc dobrze słyszałem... Tę waszą rozmowę, na polu. Co zamierzasz zrobić?

– Zabrać go.

– Zabrać?! – Immi-wu wytrzeszczył oczy na Zabójcę. – Po co? Planujesz świętokradztwo!

– To nie świętokradztwo – odparł Rahe-das. – Nadszedł czas.

– Jaki czas? Kamienie są własnością eneickich narodów i nie wolno im ich odbierać!

– Widzisz? Już nie pamiętasz, nikt nie pamięta, że tworzyły jedność i że obowiązkiem jest jej przywrócenie!

– Ależ... to szaleństwo! Połowa przecież dawno zaginęła!

– Mylisz się – głos Rahe-dasa był znów spokojny. – Nie wiemy jedynie o dwóch, reszta jest wśród eneików. Dwa z nich złożyłem już w klasztorze w Lan. Unthen będzie trzeci.

– Coś takiego! Myślisz, że się uda?

– Nie wiem. Ale muszę próbować. To ja rzuciłem tę myśl, gdy przyniosłem do Lan Yorvilla i Kawyosa.

– Czujesz się na siłach?

– Nie mam odwrotu. Jestem Tym, Który Otwiera Drogę do Oll-hirr. A to jest Droga.

– Rahe-das, on ucieka! – okrzyk Dedhi-vera przerwał rozmowę. Obaj jednocześnie odwrócili głowy. Nearr biegł w stronę lasu. Jego skulona sylwetka śmigła już wśród pierwszych krzewów. Jeszcze moment i zniknie w gęstwinie. Rzucili się za nim. Zatrzeszczały łamane gałęzie, gdy przedzierali się przez chaszczę, usiłując nie stracić zbiega z oczu. Ich wysiłek poszedłby pewnie na marne – Nearr był zadziwiająco zwinny – gdyby nie szczęśliwy traf: w pewnej chwili noga uciekiniera ugrzęzła w wykrocie, a on sam runął na ziemię jak długi.

W mgnieniu oka byli przy nim. Chwycili Nearra mocno pod pachy i postawili na nogi. Nie bacząc na rozpaczliwe szamotanie i dzikie okrzyki, powiedli go z powrotem.

– Trzeba będzie go wiązać, inaczej nie upilnujemy – wydyszał Immi-wu, ocierając pot z czoła. – On się chyba nie pali do zbawiania eneików, co?

– Przekona się do nas – zapewnił Geue. – Na razie jest przerażony, ale to minie. Uspokój się, przyjacielu – zwrócił się do schwytanego. – Nie chcemy uczynić nic złego.

– Zbrodniarzu... Chcesz ukraść Unthena, zbawcę... Chcesz oddać dusze Nearrów złym mocom, pozbawić opieki boskiego kamienia! – Twarz niewolnika wykrzywił grymas gniewu.

– Głupi jesteś – stwierdził spokojnie Rahe-das. – Z całego wyvodu rozumiałeś tylko to jedno.

– Gor-oni przejrzał twoje knowania! Głupi był wówczas, gdy dał się ciągnąć za język. Teraz Gor-oni mądry, nigdy nie dowiesz się, gdzie spoczywa Władca Światła!

– Zapamiętałeś się w złości, odebrała ci rozum. Posłuchaj spokojnie, co mam do powiedzenia. Po pierwsze: wiem już wystarczająco wiele, żeby obejść się bez twojej pomocy.

Potrwa to może dłużej, ale na pewno dopnę swego. Jak sobie może przypominasz, nie mam innego wyjścia. Po drugie: pamięć masz krótką a wdzięczność to widać obce pojęcie dla Nearrow. Jesteś mi winien wyzwolenie, to do czegoś zobowiązuje. Beze mnie gnąłbyś w niewoli do końca swych dni, żaden kamień-zbawca nie dałby ci wolności. Uczyniłem to ja. Po trzecie: jesteś brudnym, prymitywnym dzikusiem, ale przecież eneiką Czy nigdy nie słyszałeś o szczęśliwych czasach jedności? Czy znasz słowo Ayantiall?

Gor-oni zerknął na Zabójcę spode łba. Coś tam działo się pod jego skołtunioną grzywą.

– To bardzo dawne czasy – burknął. – Trorr-ud podarował kamień eneikom, a oni poddali się jego władzy. Ayantiall, tak brzmiało imię kamienia.

– Czy wiesz, czym jest Unthen? To syn Ayantialla, jego drobny okruch. Pomyśl trochę, chciałbyś powrotu dawnych czasów? A może odpowiada ci rola niewolnika potężnych valów? Przybyłem tu, aby zrobić krok ku urzeczywistnieniu powtórnego scalenia Władcy Wszechrzeczy, żeby również twoje plemię mogło przyłączyć się do wielkiej rodziny dzieci Trorr-uda, które będą szczęśliwie władać Starymi Krainami. Unthen was nie zbawi, to może uczynić jedynie Ayantiall! Masz szansę przyczynić się do tego, a ty...? W podzięcie nazywasz mnie zbrodniarzem.

– Ayantiall rządziłby światem? I wygnałby valów z Ovili?

– Nie tylko z Ovili, całe Przedgórze to dziedzina eneików.

– Co to: Przedgórze?

– No tak, dla ciebie świat to ta wyspa... – smętnie stwierdził Rahedas. – Za Morzem Wiatrów leży olbrzymia ziemia zwana Loinem. Żyją tam liczne plemiona eneików, które wiele ellarów temu zaborczy, nagoskórzy valowie wyparli z ich dziedzictwa. Zagarnęli nasze najlepsze ziemie, naszą ojcowiznę, kazali kryć się po górach i nieurodzajnych pustkowiach. Nadchodzi chwila, gdy upomnimy się o swoje. Chyba nie chcesz, aby Nearrowie pozostali na uboczu, gdy będą się ważyć nasze losy?

– Nearrowie słabi, valowie potężni... Co może jeden kamień?

– Widać nie wiesz, jaka moc tkwiła we wnętrzu Czarnego Kryształu. Wszystkie żywioły były jego sługami, nie istniała potęga większa niż on.

– Dlaczego więc został zniszczony?

– To długa historia... Ayantiall władał wszystkim, co doczesne, nie sięgał w domenę sił spoza świata. To one, chcąc zagarnąć go dla siebie, zmusiły kapłanów do ostatecznego kroku. Tylko dzięki zniszczeniu kryształu Storg-orh pozostał jedynie tym, czym był zawsze: Panem Pustyni

Śmierci. Lepiej było zrujnować jedność, niż oddać się xinxom i ognistym meduzom. Potem przybyli walowie, a eneikowie nie byli już zdolni do przeciwstawienia się ich potędze. Ponieśliśmy klęskę, po niej we władanie Storg-orha poszły Góry Smocze. Paszcze xinxów odcięły niedobitkom eneików dostęp do Starych Krain. Ale idea nie umarła, jej dzieckiem jest zakon Zabójców Smoków. Przecieramy szlaki w labiryncie jaskiń, walczymy z ich mieszkańcami, nie pozwalamy, by smoki zamknęły je dla nas na zawsze. I pielęgnujemy tęsknotę do dawnej potęgi, nie bacząc, że umiera w duszach pogodzonych z losem współplemiencow. Przypadek – a może woła Trorr-uda – sprawił, iż oto zjawiała się szansa. Zakon to zrozumiał, czas, by pojęli również pozostali eneikowie.

Zamilkł i popatrzył w oczy Nearra. Nie dostrzegł już w nich nienawiści i lęku.

– Gor-oni pomoże ci – usłyszał ciche słowa.

Rahe-das uśmiechnął się z ledwie wyczuwalnym triumfem.

– Wiedziałem – powiedział.

\*

Po niezliczonych dniach przedzierania się przez dziewicze ostępy wieś wydała się nierzeczywista, nieprawdopodobna w tym miejscu, do którego nie prowadziła żadna droga – nawet ścieżki znane były tylko tubylcom. Określenie mianem wsi pięciu lichych glinianych chatynek, wciśniętych w obrys maleńkiej polanki wśród zbitego gąszczu, przyklejonych niczym gniazda iwe do lesistego stoku góry, też było jakby na wyrost. Ot, malutka kolonia, niby większe obejście, zamieszkała przez nieliczną, nieledwie rodzinną wspólnotę. Wrażenie zamkniętej, wspólnej zagrody pogłębiały jeszcze sznury rozwieszonych do suszenia pierwszych młodych ziół, które opasywały polankę dusząco wonnym potrójnym kręgiem.

Przywitał ich wściekły skowyt wychudłego hanga, który wypadł spomiędzy zabudowań i trzymając się w bezpiecznej odległości, głośno oznajmiał swoje oburzenie niespodziewanym najściem. Na ów sygnał wychyliły się z chat kudłate głowy, z zarośniętych, chudych twarzy spojrzwały na intruzów oczy pełne nieufności i strachu. Eneikowie wyszli z zarośli na polanę i zatrzymali się. Gor-oni wysunął się na czoło. Unosząc dłoń nad głowę w powitalnym geście, zawołał:

– Ug-dda!

Powtórzył swój okrzyk jeszcze dwukrotnie, zanim ze stojącej Pośrodku chaty wyłonił się siwy, zgarbiony starzec. Zrobił dwa kroki w kierunku przybyszów i także stanął. Przyglądał się

im spod niskiego czoła.

– Witaj, Ugg-dda, Gor-oni przyprowadził gości! – wykrzyknął Nearr na jego widok.

– Gości... – cienko zapiszczał tubylec. Gdyby nie powaga chwili, ten dźwięk rozśmieszyłby Irgów. – Rzadko mamy tu gości... Po co oni tutaj?

Gor-oni szybko zbliżył się do niego. Powiedział coś cicho, ale nie dosłyszeli co. W efekcie stary odwrócił się i pochyliwszy głowę zniknął w chacie. Przewodnik skinął na Irgów, po czym poszedł w jego ślady.

– Idziemy? – Immi-wu popatrzył pytająco na Rahe-dasa.

– Zaproszono nas... – ten wzruszył ramionami i bez wahania podążył za Nearrami.

Buchnęło im w twarze zatęchłe, skisłe powietrze chyba nigdy nie – wietrzonej nory. Weszli do ciemnego pomieszczenia. Dopiero po chwili dostrzegli tłące się popioły wygasłego paleniska i cienie kilku osób siedzących wokół niego.

– Który to Rahe-das? – dobiegł z kręgu znajomy pisk.

– Ja – Rahe-das postąpił krok do przodu.

– Dlaczego szukasz Unthena? – padło kolejne pytanie.

– Kim jesteś, że wolno ci pytać? – odparował hardo.

– Nie wiesz? Jestem Ug-dda.

– Wybacz, do krainy Irgów nie dotarła sława twego imienia – Rahedas prychnął pogardliwie. Czuł wzbierający gniew. Musiał go poskromić, nie tak prowadzi się rozmowy, nawet z dzikimi. – Przybywamy z daleka, nie znam hierarchii Nearrów – dodał łagodniejszym tonem.

– Ug-dda pilnuje ścieżki Threkhte-n-Uoso przed stopami intruzów. Od wielu kari jej strzeże, jak strzegł jego ojciec, ojciec ojca, wszyscy przodkowie, jak będzie strzegł syn. Nikt nie zagrozi Unthenowi, póki chroni go ród Ug-dda. Dlatego Rahe-das odpowie, a potem Ug-dda zadecyduje.

– Powiedział ci przecież Gor-oni.

– Co rzekł Gor-oni to sekret jego ust i moich uszu. Rahe-das ma własny język.

– Czy tobie powierzono Władcę Światła? Rozmawiać mogę tylko z powiernikiem.

– Pilnuję Drogi. Czy to mało?

– Nie będę zwierzać się każdemu napotkanemu eneice. Do mnie należy decyzja, komu powiedzieć.

– Powiedziałeś Gor-oni.

– A więc wiesz i ty. Po co powtarzać przed tyloma słuchającymi?



– To rodzina Ug-dda, jego następcy oraz inni synowie i córki. Mają prawo słyszeć.

– Ty tak uważasz.

– Bo to ja znam ścieżkę prowadzącą do Zębów Góry. Zirytował go upór starca. Tym bardziej, że choć wbijał spojrzenie w mrok, dotąd nie zdołał go odszukać wśród ciemnych sylwetek wokół żaru. Mógł być każdą z nich.

– Posłuchaj – rzekł gniewnie. – Eneikowie z kontynentu mają dość upodlenia. Mnie uczyniono wykonawcą ich woli, czy myślisz, że upór byle leśnego kacyka zdoła zawrócić mnie z drogi?

Starzec nie odpowiedział. Nie dał odczuć, że uraził go ton Zabójcy, w ogóle nic nie dał odczuć – w wypełnionej niepewnością ciszy jakby zniknął z nieruchomego, milczącego koła. Ale był, odezwał się, zanim zdążyli pomyśleć, że więcej go nie usłyszą:

– Ug-dda już wie.

– Cóż więc wymyśliłeś? – Rahe-das przerwał ciszę, która znów zapadła po owym stwierdzeniu.

– Loin daleko, co obchodzą Nearrow mrzonki eneików z Loinu? Unthen jest darem Trorr-uda, on polecił Nearrom go strzec, on oddał potęgę światła władzy plemienia z wyspy Ovili. Jeżeli Ug-dda pozwoli profanom choćby spojrzeć na jego święty szlif, Nearrowie przepadną w otchłani potępienia.

– Bredzisz, eneiko! – krzyknął oburzony Rahe-das. – Dano wam Unthena, abyście przechowali go do takiej chwili jak ta, co nadchodzi! Tylko Ayantiall ma moc władzy, a bez Unthena nigdy się nie odrodzi!

– Ayantiall... to kłamstwo, nigdy nie istniał żaden Ayantiall! Nigdy nie istniała jedność, nigdy, nigdy... – głos starca załamał się i ścichł. Gdy rozbrzmiał na nowo, znów była w nim pewność:

– Ug-dda zdecydował. Rahe-das i jego towarzysze odejdą zaraz z osady Par-i. Z nikim nie będą rozmawiać, pójdą, skąd przyszli, a Nearrowie zapomną. Nikt więcej nie wymówi imienia Władcy Wszechrzeczy niosącego śmierć w progi eneików. Tak postanowiłem.

– Ojczy...! – rozpaczliwy krzyk Gor-oni zadźwięczał głucho.

– Zamilcz! – Ug-dda podniósł się z wolna. – Jeszcze ja jestem strażnikiem ścieżki! Gdy obejmiesz po mnie schedę, będziesz prowadził do kamienia całe procesje, ja nie pozwalam! I nie ścierpię nieposłuszeństwa! Ty zaś bacz, abyś zamiast zostać strażnikiem, nie zajął miejsca

powiernika!

\*

– Zrezygnujemy? – rzucił pytanie Dedhi-ver, nie kierując go do nikogo. Dotyczyło wszystkich, z nim samym włącznie.

Odpowiedzi nie otrzymał. Nie spodziewał się jej – jaka mogła być? Siedzieli na kamieniach na skraju ciągnącego się powyżej linii lasu gołoborza i przyglądali się krajobrazowi dzikiego pustkowia. Nie bardzo umieli pojąć do końca to, co się stało. Zostali wypędzeni i to w chwili, gdy wszystko zdawało się układać jak najpomyślniej. Dzięki szczęśliwemu w ostatecznym rozrachunku przypadkowi wpadli w niewolę, gdzie spotkali Gor-oni. Mimo wcześniejszej wrogości łatwo udało się im przeciągnąć Nearra na swoją stronę i przebyć szybko i bez przygód puszcę Beagg i pogórze. A potem Ug-dda i komplikacje, w wyniku których, zamiast kończyć wyprawę, znaleźli się niemal w punkcie wyjścia. Bez przewodnika i planu. Lecz i bez odwrotu.

– Pójdziemy w góry – powiedział Rahe-das. – Threkhte-n-Uoso nie mogą być daleko, skoro Ug-dda nazywał siebie strażnikiem ścieżki, która ku nim wiedzie. Może z wysoka dostrzeżemy iglice? Tam gdzie je widywałem, nie były małe.

– A jeżeli nie...? – odezwał się Immi-wu. – Ów przekłety staruch wcale nie musiał tam chodzić, a droga do Zębów może przecinać pół masywu.

– Co to za funkcja: strażnik ścieżki? Nigdy nie zetknąłem się z takim określeniem – Dedhi-ver zwrócił się do Rahe-dasa.

– Pewnie jakaś tutejsza, ostatecznie kontaktów z Nearrami prawie nie było od wojny z valami, mają własne zwyczaje i hierarchie.

– A co z powiernikiem? Myślisz, że go spotkamy?

– Zapewne mieszka gdzieś w górach... – Rahe-das zadumał się. – Pamiętacie, jak on to powiedział? O powierniku...

– Odniosłem wrażenie, że kamieniem rządzi ów strażnik, a powiernik jest czymś gorszym... – przypomniał sobie marynarz.

– Chyba nawet coś więcej: jak gdyby powiernictwo Unthena było wyrokiem, nie zaszczytem – Dedhi-ver mówił z wahaniem. Popatrywał na Rahe-dasa, szukając u niego potwierdzenia swego wniosku. – Jakby zostawało się nim za karę.

– Może taka funkcja nie istnieje?

– Chyba jest, ze słów Ug-dda wynikało to wyraźnie, lecz coś nie jest w porządku, Dedhi-ver

ma rację – zgodził się Rahe-das.

– Sprawdzimy to – marynarz wstał gotów do drogi.

– Jeżeli rzeczywiście Zęby wzniesiono w tej okolicy... Te góry nie wyglądają na małe.

– A czy jest inne wyjście? – pytanie Rahe-dasa pozostało bez odpowiedzi. Nie było miejsca na wahanie, bo choć droga przed nimi mogła prowadzić donikąd, nie mieli innej.

Ruszyli ku szczytowi. Gołoborze ciągnęło się daleko, aż po zielony pas hal okalających skaliste zwieńczenie góry. Pochyłość wznosiła się łagodnie, stromiała dopiero powyżej rumowiska, by przejść w końcu w prawie pionową, kamienną ścianę, tam, gdzie kończyły się łąki.

Stanęli pod nią przed wieczorem. W zapadającym szybko zmierzchu nie było nadziei na znalezienie podejścia, postanowili więc odłożyć poszukiwania do rana. Rozsiedli się wokół ogniska zmęczeni i głodni.

Od czasu pobytu w Par-i nie mieli nic w ustach, a minęły już dwa dni, jak opuścili osadę. Od tamtej chwili przedzierali się przez las, początkowo bez celu, potem już świadomie pod górę. I jakoś żaden z nich nie pomyślał o zdobyciu pożywienia. Teraz, gdy sama przyroda wymusiła na nich odpoczynek, głód odezwał się ze wzmożoną siłą. Niestety, pod szczytami ani na żywność, ani na wodę liczyć nie mogli. Może gdyby było jaśniej, znaleźliby jakieś jadalne zioła lub spróbowali odnaleźć źródło. Zapadł jednak mrok i pozostało czekać do rana, tłumiąc głód snem.

Pokładli się więc szybko i szybko zasnęli. Tylko Rahe-das patrzył jeszcze w gwiazdy. Leżał na wznak z otwartymi oczami i wsłuchiwał się w nocne głosy. Zmęczenie rozlewało się po całym ciele, usypiał.

Już w półśnie, na granicy, gdzie jawa i pierwsze śnienie mieszają się w spojoną własną, wewnętrzną logiką całość, dostrzegł cień, który przesłonił granat nieba na styku ze skałą. Jakby na jej poszarpanej krawędzi zatańczył nagle strzępiasty kłęb. W pewnym momencie wydało mu się, że rozpoznaje znajomy kształt, lecz sen był silniejszy. Już po tamtej stronie, pośród nierealnych marzeń, przemknęła myśl, że to, co widział, było... głową. I zaraz ją zobaczył, wedle prawa materializacji życzeń w świecie snu: tańczącą, oderwaną od tułowia, żyjącą samoistnie, kudłatą głowę eneiki.

\*

Ranek zawisł nad skalną granią, lecz u jej podnóża ciągle jeszcze panowała ciemność. Obudzili się zziębnięci i mokrzy od rosy. Długo nie udawało się rozpalić ognia – zgromadzony

susz ociekał skroploną z nawilgłego powietrza wodą. Kiedy już grzali się przy trzaskających i buchających kłębam dymu płomieniach, czekając, aż zagotuje się w miedzianym kubku zebrana z liści odrobina ożywczego płynu, Rahe – das powiedział nagle:

– Miałem dziwny sen.

– Sen? – spojrzeli po sobie zaskoczeni niespodziewanym wyznaniem, niezwykle w ustach powściągliwego zazwyczaj Zabójcy.

– Śniła mi się głowa.

– Jaka głowa?

– Sama głowa, bez tułowia. Kołysała się tam, nad krawędzią skały – Rahe-das wskazał piętrzącą się nad nimi ścianę – a potem oderwała się i spłynęła w dół. Krążyła nade mną w jakimś pląsie, wlepiła we mnie wzrok i wreszcie znikła, chyba odfrunęła... lub wtopiła się w kamień, nie pamiętam. Później nie śniło mi się nic, ale wspomnienie tej głowy tkwiło we mnie przez całą noc.

– Co może znaczyć taki sen? – zapytał Immi-wu, zaciekawiony opowiadaniem.

– Nie wiem. Czuję w tym groźbę i to bardziej materialną, niżby wynikało z bzdurnego majaku. Ta twarz... jakbym ją gdzieś widział, krótko, lecz najzupełniej realnie... Nie wiem, co myśleć, nie daje mi to spokoju.

– Szyper znał się na snach, szkoda, że nie ma go z nami. Na pewno umiałby wyjaśnić – westchnął Immi-wu.

– Kiedy ja nie odebrałem tego jak sennego zjawiska. Cały czas mam wrażenie, że widziałem ją naprawdę!

– To się zdarza. Sam, pamiętam, miałem taki sen. Potem długo nie wiedziałem, czy już się obudziłem, czy śnię nadal.

– To nie to samo... – Rahe-das pokręcił głową. – Takie sny miewa każdy. Ten dzisiejszy był inny... Nie potrafię powiedzieć, na czym polega różnica, lecz ona jest i to mnie gnębi. Ale zejdzmy z chmur. Czekają nas duże wysiłki, musimy przygotować się do wspinaczki.

– Rozejrzyjmy się najpierw stąd, może nie będzie trzeba wchodzić na skały. Niedługo podniesie się mgła w dolinie i widoczność powinna być niezła – marynarz z niechęcią spojrział w górę.

Życzenie Immi-wu nie spełniło się. Dolina u stóp wzniesienia po brzegi była wypełniona lasem, z którego tu i ówdzie sterczały pojedyncze skałki, lecz żadna, nawet przy olbrzymiej dawce dobrej woli, nie przypominała choćby z grubsza charakterystycznej, smukłej, trój –

iglicznej sylwetki Threkhte-n-Uoso. Pozostawała droga na szczyt.

Zabrała im pół dnia. Kosztowała obdarte do krwi dłonie i kolana. W końcu osiągnęli krawędź grani i oto leżała przed nimi kotlina, ciemniejąca lasem jak tamta po przeciwnej stronie góry. Lecz spotkał ich zawód: błdziły nad nią kłęby poszarpanych chmur, z rzadka, w prześwitach tylko uchylając zasłonę, by ukazać skrzętnie skrywany mrok pod sobą. Stanęli na brzegu urwiska. Pod stopami mieli mlecznosiwe, zbałwanione kłębowisko, które szybko przesunęło się wzdłuż masywu i wylewało nadmiar bieli w zwiewnych pasemkach na zachodnią stronę przez siodła przełęczy. Gdzieś w dole, pod poduchą rozpędzonych obłoków, kryły się może upragnione iglice, które miały być nagrodą za trud całej eskapady. Może były na wyciągnięcie ręki, może tuż poniżej, może za najbliższym załosem... A oni tkwili w miejscu i nie mogli zrobić kroku, bo mógł okazać się krokiem w przepaść i oddalić, miast przybliżyć, upragniony cel. Ten widok miał w sobie coś symbolicznego: to, co przed nimi, krył bezcielesny, nieprzenikniony woal.

– Niech hangi pożą te przekłete chmury! – w głosie Immi-wu nawet nie było gniewu.

– Co teraz? – Dedhi-ver przysiadł na piętach i wyciągnął dłoń przed siebie, jakby chciał pogłodzić mglistą mierzwę pod nogami.

Rahe-das nie odpowiedział. Oglądał coś wśród kamieni na przeciwległym skraju małego płaskowyzu, który wieńczył wierzchołek góry. Po chwili usłyszeli jego wołanie:

– Podejdźcie tu!

Zbliżyli się posłusznie. Geue wpatrywał się w szczelinę między dwoma głazami, porośniętą na brzegach kępkami mchu i rachitycznej trawy. Nie od razu dostrzegli, co zwróciło uwagę ich towarzysza.

Pierwszy zorientował się Dedhi-ver:

– Ktoś tu leżał! – dotknął świeżej, ciemniejącej warstewką torfu wyrwy w zielonym dywaniku na ścianie szczeliny.

– I to całkiem niedawno – odrzekł Rahe-das. Wskazał na zgniecione, lecz nie połamane pasemka trawy. – Był tu wczoraj, chyba wieczorem, inaczej te źdźbła zdążyłyby się podnieść.

– Może to zwierzę? – Immi-wu próbował znaleźć inne wytłumaczenie niż to, które nasuwało się wszystkim.

– Tutaj, na szczycie? Tu mógłby dostać się tylko ptak, a to nie są ślady ptaka – Geue ukląkł, a potem położył się w szczelinie i wystawił głowę poza krawędź urwiska. Ślad na ziemi dokładnie pokrył się z obrysem ciała.

- Rzeczywiście, to nie ptak – mruknął marynarz.
- Czy wiecie, co jest poniżej? – Rahe-das ciągle leżał, patrząc w dół wzdłuż stoku.
- Tfu, od rana sypiesz zagadkami – Immi-wu wcisnął się w szczelinę i stanął nad Zabójcą.

Wychylając się ostrożnie spojrzął znad jego głowy. – Nasze obozowisko!

Rahe-das wysunął się z rozpadliny.

- Mój sen... – powiedział z namysłem. – A więc to był mój sen!
- Jak to? – Dedhi-ver spojrzął na niego zdziwiony.
- Widziałem go, to znaczy jego głowę. Tego, który tu leżał!
- Co za bzdury, popatrzyła na ciebie, a potem odfrunęła? – parsknął śmiechem Immi-wu.
- Głupiś, przyjacielu – spokojnie stwierdził Rahe-das. – Mówiłem ci, że już zasypiałem.

Nigdy nie zdarzyło ci się śnić dalszego ciągu jawy zapamiętanej tuż przed zaśnięciem? Teraz jestem pewien: widziałem głowę kogoś, kto nas stąd obserwował. To był eneika.

- Poznałeś go?
- Widziałem tylko zarys, było ciemno, ale odniosłem wrażenie, że jest mi znajomy.
- Kto to był? Gor-oni, Ug-dda...?
- Nie, żaden z nich. Kształt głowy musiałem widzieć przelotnie i, to dziwne, nie potrafię skojarzyć jej z żadnym ciałem!

- Nie znamy tu nikogo więcej...
- Zaraz... pamiętacie? Weszliśmy do wioski...
- Hang nas obskakiwał...
- ...z chat wyglądali eneikowie i co widzieliśmy? Tylko ich głowy!
- Myślisz, że to któryś z nich?
- Jestem pewien! To dlatego nie kojarzę całej sylwetki! Widzieliśmy same głowy!
- To znaczy...
- To znaczy, że nas śledzą, od początku.
- I wiedzą już, że nie zrezygnowaliśmy...
- Dziwne, że jeszcze żyjemy – powiedział półgłosem Immi-wu, rozglądając się dookoła.

– Boją się. To przecież dzicy. Wysłali za nami jednego, by poznał nasze zamiary. Pewnie teraz wrócił do wioski, aby zawiadomić resztę. A to świadczy, że jesteśmy na dobrej drodze, inaczej śledziłby nas nadal.

- Skąd wiesz, że tego nie uczyni? Mógł spłoszyć się, gdy zobaczył, że wspinamy się na górę.

Zaczeka, aż sobie pójdziemy i podążymy naszym...

– Spójrzcie! – Dedhi-ver przerwał marynarzowi w pół zdania.

Stał nad zrębem, pod którym niedawno przewalały się szare obłoki. Nie było po nich śladu, wzrok swobodnie sięgał ku przeciwległemu krańcowi kotliny. A tam, pomniejszone przez odległość, kłuły niebo trzy ostre, kamienne szpikulce.

\*

Gor-oni podążał wytrwale śladem obcych, a z nim sześciu najlepszych wojowników wioski. Od momentu gdy ich początkowo chaotyczna marszruta coraz wyraźniej zaczęła zwracać się ku Rann-nia, nabrał pewności, iż odkrycie Zębów Góry jest jedynie kwestią czasu. Były widoczne dla każdego, kto podjąłby trud pokonania góry. Dlatego, kiedy obcy wyszli z puszczy na gołoborze, wysłał za nimi Mav-etta – młodego, bystrego chłopca, doskonale znającego las. Nikt tak jak on nie umiał podchodzić zwierza, nikomu z taką łatwością nie przychodziło wtapianie się w tło ostępów, gdy trzeba było zniknąć z oczu nieprzyjaciela. Na otwartej przestrzeni samotny zwiadowca miał więcej szans, grupę łatwiej wykryć. Gor-oni zapadł więc na skraju gęstwiny i czekał. Najpierw odprowadził wzrokiem malejące sylwetki intruzów, potem nie widział już nic, lecz wiedział, że za ich plecami przemyka wśród kamieni ktoś jeszcze.

Nie czuł wyrzutów sumienia, że ściga tych, którym niedawno sprzyjał, ba – zaraził się ideą, dał się omotać gładkimi słowami ich przywódcy, Rahe-dasa. Wyrocznią był ojciec, wielki strażnik Ug-dda, i do niego należało ostatnie słowo. Ojciec wiedział lepiej, co jest korzystne dla Unthena, i skoro uznał, że kamień powinien zostać u Nearrów, to Gor-oni przyjął ten wyrok za własny. Jemu nie wolno mieć innego zdania niż strażnik, bo ojciec posiadał mądrość wielu pokoleń strzegących ścieżki, a on miał ją przejąć i przekazać dalej, gdy i jego czas dobiegnie końca. Był wszak następcą.

Dlatego nie zaprotestował, kiedy Ug-dda polecił wojownikom pilnować przybyszów i zabić, gdyby trafili na ślad. Pokornie i bez szemrania objął dowództwo drużyny. Bowiem chociaż serce nadal wypełniała wdzięczność za darowaną wolność, od uczuć ważniejszy był ojcowski nakaz. Tak go wychowano w owej wiosce, której misją była wieczna straż u początku ścieżki, a spośród mieszkańców wywodzili się jej czcigodni strażnicy i wyklęci powiernicy kryształu. Wieś Par-i od ellarów służyła Władcy Światła i tak powinno zostać na zawsze.

Świtało, gdy wrócił Mav-ett. Z jego twarzy Gor-oni wyczytał wszystko, zanim tamten zdążył się odezwać.

– Widzieli – usłyszał potwierdzenie swych domysłów.

Obejrzał się na wojowników. Stali gotowi do drogi, choć nie padł żaden rozkaz. Uśmiechnął się. To naprawdę byli najlepsi wojownicy. Nieważne, że oprócz nich w wiosce żyli jedynie starcy i podrostki. Wojownicy z Par-i zawsze byli najlepsi.

Kiedy dotarli na szczyt, nie znaleźli tam już nikogo. Gor-oni nie zmartwił się, wiedział, że obcy nie będą czekać. Nie sposób było pomylić trasę: białe iglice Threkhte-n-Uoso wyraziście ją wytyczały. A że znał las jak własną chatę, miał pewność, iż dotrze pod nie znacznie wcześniej niż zmuszeni do przedzierania się przez chaszczę simalu, nieobeznani w terenie eneikowie z kontynentu. Zdąży jeszcze odnowić zapasy powiernika, bo i taką nieprzyjemną misją obarczył go ojciec. Zwykle należało to do rodziny, lecz ponieważ Gor-oni i tak zmierzał w te strony, Ugdda litościwie uznał, że można nieco ulżyć doli krewnych wyklętego. Więc zdąży to jeszcze uczynić, a potem założył sidła na najgrubszą zwierzynę, jaką los pozwolił mu dotąd upolować.

\*

Ścieżka ukazała się niespodzianie, kiedy Irgowie już mieli dość zmagania z kłębówiskiem kolczastych gałęzi. Sądziło się, że przeliczyli się z siłami, zakładając osiągnięcie celu przed wieczorem, gdy wśród obsypanego kwiatami i przepojonego oszałamiającym zapachem gąszczu pojawił się nikły, ledwie widoczny przesmyk. Wił się szeroko, omijał wykroty i zapadliska i ciągle wracał ku linii wytyczonej przez niedawno przebyte górskie pasmo oraz wschodni kraniec kotliny, gdzie na zboczu – widoczne chwilami nawet stąd, z gęstwiny – wznosiły się trzy skalne kolumny. Nie mogło być wątpliwości, że ścieżka wiedzie w ich kierunku. Wkrótce znaleźli tego potwierdzenie: po kilku krokach Rahe-das zatrzymał eneików i wskazał na ziemię.

– Ślady – powiedział.

Podeszli bliżej. Na wilgotnej ściółce widniały odciski bosych stóp.

– Są przed nami – stwierdził Immi-wu.

– Jak dawno tędy przeszli? – Dedhi-ver, przysiadłszy nad tropem, końcami palców badał obrys śladu.

– Niedawno – odpowiedział Rahe-das. – Będą tam wcześniej niż fity – Nie znamy krótszej drogi, a dalsza szarpanina z simalem zwiększy tylko ich przewagę.

– Co proponujesz?

– Pójdziemy za nimi. Teraz, gdy już wiemy, że są, nie damy się zaskoczyć.

– Nie mamy broni, prócz waszych garnagów. Dwa noże nie zrównoważą przewagi młotów



czy toporów. I mogą jeszcze mieć łuki – zauważył marynarz.

– A my spryt. Poza tym uzbroimy się trochę. Na szczęście nie brakuje tu materiału na piki.

Wyszukanie trzech odpowiednio mocnych, długich i prostych kijów nie zajęło dużo czasu. Za pomocą garnagów Irgowie szybko uczynili z nich groźną broń – zastrugane z obu końców drągi przemieniły się we włócznie o dwóch grotach. Podobnych, okutych tylko żelazem lub mosiądzem, powszechnie używały regularne oddziały eneickiej armii.

Od razu poczuli się lepiej.

Ruszyli dalej, ostrożnie, świadomi grożącego niebezpieczeństwa. Tamci byli liczniejsi, Ugdda nie zaryzykowałaby niepowodzenia i z pewnością nie oszczędza swych podwładnych. Atutem przybyszów był tylko fakt, że odkryli to wcześniej, niż Nearrowie się spodziewali. Tyle musiało im wystarczyć.

Zmierzchało, gdy dotarli do zbocza kotliny. Przed nimi ukazała się skalista rozpadlina, niby głęboko wyżłobione koryto wyschłego strumienia. Wznosiła się stromo ku krawędzi i rozcinała jednolity gąszcz simalu ukośną szramą. Ścieżka prowadziła wprost w nią. Wysoko w górze, gdzie koniec jaru sięgał grani, ciemniały niewyraźne, smukłe kształty. Idący w przodzie Rahe-das zatrzymał się.

– Co o tym myślicie? – wskazał mroczny wlot rozpadliny.

– Jeśli miałbym zasadzić się na kogoś, to tylko tutaj. To chyba jedyna droga... – Immi-wu popatrzył na brązowo-żółtą stromiznę, która otaczała wąwóz. Nie przejdziemy, wystrzelajanas tu bez trudu. Nie muszą nawet podejmować walki, trzy celne łuki załatwią sprawę – poparł go Dedhi-ver.

– W dzień... – rzucił obojętnie Rahe-das.

Obaj towarzysze jednocześnie zwrócili głowy ku niemu.

– Masz jakiś plan? – zapytał Dedhi-ver.

– Nie... tylko myślę, że zasadzka może udać się jedynie wtedy, gdy widzi się przeciwnika.

– A zbliża się noc... – zrozumiał Immi-wu.

– Właśnie.

– Co z tego? Nie znamy tej ścieżki. Oni są u siebie i na pewno nie pierwszy raz biorą udział w górskich podchodach – Dedhi-ver z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Widzisz inny sposób? – marynarz był już zdecydowany. – Nie, ale...

– A jeśli założymy, że oni myślą tak samo? – wpadł mu w słowo Rahe-das.

– To znaczy...? – zainteresował się Immi-wu.

– Jeżeli przyjmiemy, że Nearrowie zdają sobie sprawę, iż w ciemnościach możemy przejść niezauważeni, to pomyślmy, co powinni uczynić...?

– Muszą wiedzieć, że to dla nas jedyna szansa – dodał Immi-wu.

– Jeśli więc nie zjawimy się ani tej, ani następnej nocy, chyba nie będą czekać w nieskończoność.

– Wyślą zwiadowcę.

– Zwiadowca zniknie...

– Wyślą kolejnego lub ruszą się wszyscy.

– Wówczas my na nich poczekamy.

– Będą ostrożni, jeżeli zwiadowcy nie wrócą – wtrącił Dedhi-ver.

– Ten jar jest równie niebezpieczny dla nich, jak dla nas. W dodatku, jeżeli rzeczywiście tam są, nie będą mieli innej drogi. Muszą iść dnem wąwozu.

– Pod warunkiem, że jest to rzeczywiście jedyna droga. – Dedhiver wyraził wątpliwość tylko dla zasady. On również zdał sobie sprawę, że to ich największa szansa. Jeżeli nie potwierdzą się założenia Rahedasa, pozostanie próba przedarcia się desperackim atakiem, na powodzenie którego raczej nie było nadziei. No, mogli jeszcze zawrócić...

Weszli w wąwóz. Panowała tu już zupełna ciemność, tylko w górze, nad krawędziami zboczy, jaśniał granatowo wąski pas wieczornego nieba. Kamienista ścieżka pięła się między stromymi ścianami, pełnymi załamów i pęknięć. Nad głowami idących wisiały odspojone szczapy skały, które jakby tylko czekały, aby zwalić się w dół, gdy cokolwiek zakłóci ich chwiejną równowagę.

Nie chcieli zapuszczać się za daleko, wojownicy Nearrow mogli oczekiwać gdzieś w pobliżu. Na pierwszym zwężeniu Rahe-das pokazał na przegradzające szlak rumowisko.

– Tutaj – powiedział szeptem.

Skryli się między kamieniami i zamarli w bezruchu. Czekał ich teraz olbrzymi wysiłek, większy niż najmozolniejsza praca: nieruchome, bezsenne czekanie.

\*

Pierwszy zjawił się tuż przed świtem, gdy Irgowie mieli za sobą noc, dzień i kolejną noc czuwania. Szedł tak cicho, że Immi-wu, ukryty najwyżej, zauważył go, kiedy ten mijał go w odległości trzech kroków. Właściwie widział go wcześniej, tylko działał się z nim coś

dziwnego: jakby wyłączyły się zmysły, jak gdyby zastygły wraz z ciałem. Nie, nie spał, po prostu przestał rejestrować bodźce z otoczenia, nie reagował na nie. Teraz z trudem odwracał głowę za przechodzącym, usiłował śledzić jego ruchy i, trzeźwiejąc, modlił się w duchu, aby towarzysze nie przegapili go tak jak on – ostrzec ich już nie mógł. Jednak Zabójcy byli widocznie twardsi: usłyszał cichy szelest i prawie równoczesny, wysoki krzyk. Zobaczył, jak wojownik Nearrow padł, uderzył głową w kamień i nie poruszył się więcej.

Rahe-das i Dedhi-ver wyszli z rumowiska na ścieżkę.

– Immi-wu! – marynarz usłyszał ciche wołanie.

Poszedł do nich pełen poczucia winy. Sam się przecież ofiarował jako obserwator. Ufał w swoje siły; życie go wszak nie oszczędzało, morze nie jest dla miękkich, a tu...

– Spałeś? – w głosie Rahe-dasa nie było wyrzutu. Pochylony nad zabitym odwiązywał właśnie kołczan z jego pleców.

– Nie... Nie wiem, co się ze mną stało. Wpadłem w jakiś trans, jak gdyby mózg mi zdrętwiał!

Rahe-das kiwnął głową.

– To normalne. Potrzeba wiele ćwiczeń woli, by trwać tak długo nieruchomo i nie zasnąć.

– O mało mnie nie nadepnął, a ja nie mogłem się ruszyć!

– Jak czujesz się teraz? To jeszcze nie koniec, może nawet nie połowa; musimy poczekać na pozostałych... Chcesz, to zmieni cię Dedhi-ver? On przeszedł szkołę ogaani, każdy w Bractwie ją przechodzi. Czekanie to sztuka, nowicjusze uczą się jej prawie całe kari.

– Dam sobie radę – Immi-wu postanowił poprawić nadszarpniętą reputację. – To już się nie powtórzy, możesz mi wierzyć.

Rahe-das uśmiechnął się nieznacznie.

– Dobrze, spróbuj. Tylko pamiętaj, że tym razem błąd może kosztować więcej. Jeśli nadejdą wszyscy...

– Dam sobie radę – powtórzył marynarz.

– Teraz odpocznij i zjedz coś – Rahe-das przysiadł na kamieniu i otworzył sakwę. – Mamy chwilę spokoju. Nearrow nieprędko zaniepokoi nieobecność zwiadowcy. Aha, weź ten łuk, przyda ci się. Umiesz strzelać?

– Oczywiście – Immi-wu wziął bron z rąk Zabójcy. – Nawet dość dobrze.

– Na pewno będziesz miał okazję to udowodnić. Trochę się prześpij. Obudzimy cię, kiedy będziesz potrzebny. Potem znowu się postarasz zmienić się w skałę.

Tym razem nie dał się zaskoczyć. W przedwieczornym zmierzchu najpierw dojrzał jednego, jak przemykał po stoku niczym cień, a zaraz potem drugiego po przeciwnej stronie ścieżki. Cicho ćwierknął. Near – rowie byli czujni – jeden z nich, ten, który skradał się bliżej marynarza, przystanął i szybko się rozejrzał. Ale nocnych grajków tsikko często słyszało się na Ovili, choć pora była trochę zbyt wczesna; ich koncert rozpoczynał się zwykle po północy. Near na szczęście nie zwrócił na to uwagi, bowiem podjął ostrożną wędrówkę wśród kamieni, jak gdyby nic się nie stało.

Immi-wu pozwolił im przejść. Wiedział, że Zabójcy, ostrzeżeni jego sygnałem, już na nich czekają. Patrzył za Nearami założywszy strzałę na cięciwę łuku, tak na wszelki wypadek, bo nie wierzył, że współnicy mogą zawieść. Jeszcze chwila i zobaczył dwa błyski. Noże pomknęły do celu. Uśmiechnął się z podziwem. Bracia Zabójcy działali precyzyjnie. Podniósł się, by zejść ku leżącym już nieruchomo ciałom, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch za sobą. Odwrócił się błyskawicznie i w tym momencie oszołomiło go silne uderzenie w kark.

Oczy zasnuła mu czerwona mgła. Upadł na ziemię. Poczuł, że świadomość mrowiącym dreszczem ucieka w niebyt.

Ocknął się, gdy było już zupełnie ciemno. Nie odczuwał bólu. Był tylko odrętwiały, nie mógł się poruszyć ani wydobyć głosu. Coś silnie uciskało go w kark, jakby ściągała mu skórę jakaś olbrzymia narośl. Pulsowało w niej mocne tętno, od którego ciało nabrzmiwało rytmicznie niby od nadmiaru tłoczzonej krwi. Przeraził się: dokoła panowały mrok i cisza. Wydało mu się, że pozostawiono go samego, porzucono na pastwę dzikich hangów. Poczuł, że musi coś zrobić, dać znak, że żyje, inaczej ta ciemność będzie świadkiem jego żalosnej, bezbronnej agonii. Jęknął.

– Oho, nasz przyjaciel przychodzi do siebie – usłyszał głos i szelest nad głową.

W polu widzenia pojawiła się sylwetka Rahe-dasa. Zabójca stanął nad leżącym.

– Jak się czujesz? – zapytał. – Solidnie ci się dostało. Miałeś szczęście, że nie trafił cię w głowę. Młot rozbiłby ci czaszkę.

– Co... to... było...? – wystękał Immi-wu.

– Twój błąd, przyjacielu. A po trosze i nasz – odpowiedział Rahedas. – Nie domyśliłeś się, że wraca cały oddział, a ci dwaj to tylko wysłana przodem czujka. Muszę przyznać, że ja również o tym nie pomyślałem. Ale najbardziej ucierpiałeś ty, dałeś się podejść jak młokos.

– A... wy?

– Gdy zginęli zwiadowcy, Nearów zostało tylko czterech. Z tyloma można sobie poradzić.

Jeden uciekł, to był chyba Gor-oni, reszta już pochowana.

– Nic... się wam... nie stało?

– Dedhi-ver odniósł lekką ranę, dźgnięto go piką w żebra. Gorzej z tobą. Wygląda, że złamali ci obojczyk. Kto wie, czy to uderzenie nie naruszyło także płuc, bo krwawisz z ust.

– Czuję się... jakbym... cały opuchł...

– Bo tak jest, kark masz jak irman. Mówiąc prawdę, nie wygląda to najlepiej. Opatrzyłem cię, ale to za mało. Dedhi-ver zna się na ziołach, rano pójdziemy czegoś poszukać. Teraz poleż spokojnie i nic już nie mów. Nasza wyprawa skomplikowała się trochę, jutro zdecydujemy, co dalej. Nie nadajesz się do wędrówki, a długo tu zostać nie możemy. Nearrowie nie...

Dalszego ciągu Immi-wu już nie usłyszał. Świat odpłynął raptownie, a jego pochłonęła ciemność.

\*

Rahe-das wspinał się po ścieżce wijącej się coraz bardziej stromo. Szedł sam. Immi-wu był poważnie chory, musiał zostawić go pod opieką Dedhi-vera. Ukryli się w grocie, którą znalazł Dedhi-ver podczas wyprawy po zioła. Była sucha i przestronna, a co najważniejsze, niewidoczna z wiodącego ku Zębom Góry szlaku. Mieli w niej czekać na powrót Rahe-dasa, postanowiono bowiem, iż Geue sam uda się do sanktuarium Władcy Światła. Teraz, gdy na drodze nie stali już zbrojni strażnicy, pozostało przekonać powiernika o obowiązku oddania Irgom kamienia. Do tego nie potrzebował pomocy.

Niewiele drogi miał do przebycia; trójzab Threkhte-n-Uoso kłuł niebo tuż nad jego głową, lecz nie łudził się, że dotrze tam przed południem. Ostatni odcinek ścieżki stopniowo przemieniał się w prawie pionową ścianę. Wspinaczkę umożliwiały napotymane co jakiś czas zwały skalnych bloków. Jakby celowo zrzucono je z góry, aby wtajemniczonym ułatwić podejście.

Tuż pod granią kończył się pas krzewów, które poniżej gęsto porastały brzegi rozpadliny. Wyżej były już tylko gołe skały. Strzeliste ostrza wyrastały wprost z nich. Przywodziły na myśl rozczapierzone, smukłe, białe palce, sięgające z głębi ziemi ku obłokom. Z bliska sprawiały wrażenie większych, niż były w rzeczywistości. Rahe-das nie potrafił odpędzić instynktowej obawy, że z wolna pochylają się nad przepaścią i lada chwila runą, grzebiąc śmiałka, który odważył się tu przyjść. Wiedział, że to złudzenie, że to obłoki wywołują efekt ruchu potężnych iglic, lecz sugestia była tak silna, że odruchowo wtulił głowę w ramiona. Ze wzmożoną energią podjął wspinaczkę. Zapragnął jak najszybciej wyzwolić się z objęć ogarniającego go strachu, gdy

patrzył w dół za siebie i kiedy spoglądał w górę.

Południe zastało go pod okapem wieńczącym wylot jaru. Wysunięta nad ścieżką szeroka, spłaszczona półka przegrodziła drogę i udaremniła dalszą wędrówkę. Pokonanie jej wydawało się niemożliwe, chyba że przemieniłby się w owada. Zaczynało ogarniać go zniechęcenie, gdy uświadomił sobie, że owadami nie byli także Nearrowie. Przecież i oni tędy chodzili. Gdzieś tam, na wierzchołku, mieszkał powiernik kryształu, który musiał jeść, pić i czasem odezwać się do kogoś. Omiótł wzrokiem wiszący nad głową głaz. Gładką, wyslizganą płaszczyznę na prawo od niej sca, gdzie stał, przecinało czarne pęknięcie. Nawet niedaleko, tyle że dzieliło go od niego z dziesięć kroków płaskiej, pionowej ściany. Dołem płaszczyzna załamywała się, tworząc szeroki na pół stopy występ. Przybliżył się i ostrożnie postawił na nim nogę, a potem, przytulony do skały, począł wolno posuwać się w stronę szczeliny.

Niespodziewanie okazało się, że nie jest to takie trudne. Nad występem odnalazł małe wnęki dla stóp, zaś na wysokości piersi szereg zagłębień doskonale pasujących do dłoni. Ktoś zadał sobie wiele wysiłku, aby te ułatwienia nie były widoczne ze ścieżki. Gdyby ktokolwiek trafił tu przypadkiem, nie znalazłby przejścia i pewnie zniechęcony zawróciłby. Rahe-das nie trafił tu przypadkiem. Dlatego szedł teraz uczepony pionowej płaszczyzny, wisząc jak owad nad kilkoma – stostopowym urwiskiem i z łatwością odszukując stabilne, dobrze rozmieszczone punkty oparcia. Po kilku chwilach dotarł do szczeliny. Była szersza, niż przypuszczał, kiedy przyglądał się jej ze ścieżki. Wsunął się w ciemne, wilgotne wnętrze. W górze nad nim jaśniała smuga nieba. Namacał nogą stopień, a dalej następny i następny.

Wy dostał się na tonący w słońcu płaski taras, opasany kręgiem dziwacznych, grzybiastych skałek. Wyglądały jakoś nienaturalnie w otoczeniu ostrych, poszarpanych turni. Jakby sztucznie wstawiono je – obłe, wygładzone przez wiatr i deszcz – między ostrokątne bloki, których nie naruszyła niszczycielska moc natury. Spośród nich, naprzeciwko szczeliny, którą Zabójca przed chwilą opuścił, piętrzyły się wysmukłe kolumny Threkhte-n-Uoso.

Rahe-das uczuł dreszcz emocji. Zdumiał się; zdawało mu się dotąd, że zdążył oswoić się z wrażeniami, jakich dostarczała mu jego misja. Widocznie zbliżenia z dziećmi Ayantialla nie były przeżyciami, do których można przywyknąć.

Przeszedł przez taras i zapuścił się między kamienne grzyby. Doszedł do podstawy Zębów i nagle zatrzymał się. Zaskoczył go niezwykle widok: tuż za iglicami, przyklejony niemal do ich podstawy, wznosił się duży, wykonany ze skalnych płyt, regularny prostopadłościan. Tego

elementu nie było w żadnym ze świętych miejsc, które Irga odwiedzał.

Obejrzał budowlę ze wszystkich stron. Trzy ściany były gładkie i ślepe. Dopiero w czwartej, tylnej, Rahe-das na wysokości głowy zobaczył ciemny, wąski otwór. Zbliżył się i zajrzał do środka. Początkowo nic nie dostrzegł, dla nienawykłych oczu mrok był nieprzenikniony. Ale już po chwili zaczął rozróżniać w głębi pomieszczenia niewyraźne kształty. Wydało mu się, że coś się tam poruszyło. Wspiąwszy się na palce wsunął głowę do środka.

Cofnął się jak oparzony. Na wprost niego ukazała się blada, potworna twarz okolona skołtunionymi włosami. Boleśnie uderzył potylicą w obramowanie otworu i oszołomiony przewrócił się na ziemię. Patrzył z niedowierzaniem na wyzierającą z wnętrza budowli upiorną maskę, z której spoglądały na niego płonące, obłąkane oczy. Jej usta poruszały się szybko, ni to w spazmatycznym oddechu, ni w bezgłośnie, niezrozumiałej mowie.

– Ktoś... ty? – wykrztusił z trudem. Gardło miał suche, jakby wdychał żar paleniska.

Nie otrzymał odpowiedzi. To coś – upiór czy eneika – ciągle patrzyło na niego, przewiercało go wzrokiem na wylot.

– Ktoś ty? – powtórzył już pewniej. Poczuł, że wraca odwaga. Strach to przecież uczucie niegodne Zabójcy Smoków, nawet wobec upiora.

– As-daunn, powiernik... – dobiegł go cichy głos. Myślał, że się przesłyszał.

– Kto? – spytał jeszcze raz, podnosząc się z ziemi.

– Powiernik kryształu...

– Jesteś powiernikiem Unthena?! – nie mógł w to uwierzyć. Spodziewał się wszystkiego, sens słów Nearrow, gdy mówili o powierniku, dawał do myślenia, ale to...

– Powiernikiem... – jak echo powtórzył eneika.

– Dlaczego jesteś zamknięty?

– To obowiązek powiernika... As-daunn strzeże daru Trorr-uda...

– Zamurowany?!

– Tak kazał bóg-eneika... Ojcowie strzegli i dziadowie... dawno, całe ellary... Strażnicy dbają... wodę noszą i jadło... Ścieżki pilnują Przed intruzami... A As-daunn strzeże...

– O czym mówisz, nieszczęsny? Trorr-ud kazał gnić powiernikowi w zamurowanym lochu? Powiernictwo to najszczytniejsza funkcja, to kapłaństwo!

– Trorr-ud dał Nearrom Władcę Światła i kazał strzec... pilnie strzec, by nikt nigdy nie dotknął jego świętego daru. I nikt go nigdy nie skala, Nearrowie znaleźli sposób...

– Czy wiesz, co mówisz? To bluźnierstwo przeciw boskim prawom! Nie Trorr-ud dał wam ten kamień, to tylko część, odłamek boskiego Ayantialla. On był darem boga-eneiki. Nearrowie otrzymali Unthena na przechowanie, aby mogła się ziścić idea scalenia zniszczonego przez siły zła Władcy Wszechrzeczy. Czy naprawdę nic o tym nie wiesz?

Spojrzenie powiernika uciekło w bok, jakby spłoszone słowami Rahe-dasa. Eneika długo milczał.

– To kłamstwo... – wyszeptał w końcu. – To zbrodnia... Nie wolno tego powtarzać... To zakazana legenda! – zamilkł. – Skąd znasz tę legendę, obcy? – zapytał niespodziewanie po chwili. – To tajemnica powierników, tylko my w nią wierzymy. Strażnicy nie wierzą... Nie jesteś powiernikiem, nie jesteś strażnikiem, skąd ją znasz?

– Tajemnica powierników?... Coście zrobili z najświętszą relikwią, z podstawą wiary eneików... Kłamstwo? Legenda? Zbrodnia?! Tym jest dla was Ayantiall? Bajką z przeszłości, w którą można wierzyć lub nie? Teraz rozumiem, co Ug-dda... Nie jesteście godni, by mienić się eneikami, bando prymitywnych zwierząt! – zabrakło mu tchu. Siedział ze spuszczoną głową i bezmyślnie patrzył na żwir pod stopami.

– Kim jesteś, obcy? – zapytał As-daunn. Podniósł głowę.

– Jestem Rahe-das, Zabójca Smoków. Przybyłem z Loinu.

– Z Loinu? – nagły błysk zapalił się w oczach powiernika. – Po co? Spojrzał na wynędziałe oblicze Nearra, rozjaśnione i pełne oczekiwania.

– Nadszedł czas... – powiedział dobitnie.

– Czas... Więc to my, powiernicy, znaleźliśmy prawdę... Nie strażnicy... Nie oni! My! – Okrzyk uwięzionego odbił się echem wśród skał. Głowa zniknęła na moment, po czym ukazała się znowu. – Uwolnij mnie, słyszysz, obcy? Uwolnij!

Rahe-das zerwał się na nogi.

– Jak?

– Tu, pod otworem, ściana jest cieńsza... Mur świeży, tędy wprowadza się powiernika, a potem zamuruje. Tutaj... – szeptał gorączkowo powiernik.

Irga wyszarpnął zza pasa zdobyczny młot.

– Odsuń się! – z rozmachem uderzył w brzeg otworu. Mroczna cela była niemal pusta. Po prawej dostrzegł legowisko ze zgniłej słomy, a naprzeciwko kamienny postument. Na lewo piętrzył się stos krótkich, splątanych gałęzi, przetkanych jednakowej wielkości krągłymi



kamieniami. Zaciekawiony podszedł bliżej.

To nie były gałęzie. I nie kamienie. Leżała przed nim sterta brązowych kości, spomiędzy których szczyrzyły zęby dziesiątki czaszek.

– Co to jest? – zapytał, ogarnięty zgrozą.

– Chodź, chodź, kamień czeka... – Nearr szarpnął go za rękaw. – To powiernicy... Nie ruszaj, tam pod spodem... tam ostatni... Chodź już!

Dopiero teraz zidentyfikował ów słaby, nieuchwytny zapach, unoszący się nad zwałowiskiem. Fetor rozkopanego grobu, z nie do końca rozłożonym ciałem. Cofnął się gwałtownie. Poczł wzbierające mdłości.

– Unthen czeka... – usłyszał ponaglenie powiernika. Odwrócił się. As-daunn stał przy postumencie, w dłoni trzymał skórzany woreczek.

– Zabierz go, obcy, niech wróci do braci... Nadszedł czas...

Irga ostrożnie wziął sakiewkę, starając się nie dotknąć pokrytych ropiejącymi wrzodami rąk powiernika.

– Jeszcze zakłęcie... – Nearr nachylił się ku niemu. – Niech odejdzie razem z kryształem...

– A co z tobą? – spytał.

– Ja... tu muszę... Tu moi przodkowie – As-daunn wskazał na stos szkieletów. – Oni teraz szczęśliwi, ich jest prawda... I ja... Oni wierzyli, wszyscy wierzyli, choć to zbrodnia wierzyć. As-daunn doczekał... Teraz może umrzeć.

Podszedł do legowiska i położył się.

– Idź już, Rahe-das – powiedział.

Wyszedł na zewnątrz. Słońce świeciło jasno, przeganiało wspomnienie tego, co przed chwilą przeżył. Jak gdyby przekroczył granicę dwóch światów.

Rozwiązał worek. Zabłąkany promyk Rotha wpadł do środka i rozjaśnił refleksiem czarną bryłkę Unthena.

\*

– Spalimy wieś – powiedział ponuro Rahe-das.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odezwał się Immi-wu z posłania. – Wzbudzimy tylko nienawiść, będą nas ścigać. Lepiej idźmy na wybrzeże, czas się stąd wydostać. Masz już przecież, co chciałeś.

– Ukarzemy bluźnierców – Zabójca jakby go nie słyszał. – To nasz obowiązek.

– Przecież to nie ich wina, nie oni to wymyślili. Tak ukształtował się kult Unthena, ukarzenie ich przodków!

– Nie mieszaj się do tego, to sprawa moja i Dedhi-vera. Musimy strzec czystości wiary, od tego jesteśmy. I nie nam zastanawiać się, czy jest to sprawiedliwe. Trorr-ud osądzi.

– Aleja... także nie wiem... – wtrącił cicho Dedhi-ver. Rahe-das zachnął się wzburzony.

– Jesteś Zabójcą, Dedhi-ver, nie zapominaj o tym! – warknął. – Zresztą, gdybyś tam był...

Zapadło milczenie. Przerwał je Rahe-das:

– Immi-wu zostanie tutaj. To dobre miejsce, nikomu nie przyjdzie do głowy szukać w pobliżu Zębów Góry. Postaraj się wyzdrowieć przynajmniej na tyle, by móc iść. Dedhi-ver zostawi ci zioła do okładów i gotowy napar. Wiesz już, jak go stosować, będziesz leczył się sam. Lepiej, żebyś był sprawny, prawdopodobnie trzeba będzie uciekać. Nie wrócimy wcześniej niż za siedem, może osiem dni, czasu jest więc wystarczająco dużo.

– Zastanów się jeszcze, Geue...

– Dość! – Rahe-das przerwał mu stanowczo. – Wyjdziemy jutro o świcie. Jeśli za dziesięć dni nas nie będzie, nie czekaj, ruszaj na wybrzeże. Może uda ci się opuścić wyspę.

– Dziesięć dni? Niewiele zostawiasz sobie rezerwy, Rahe-das.

– Wystarczy. Nie musisz się obawiać, jeżeli wszystko pójdzie, jak należy, zdążymy na pewno. Aha, żywność masz tutaj, gorzej z wodą. Zrobiłem bukłak, zostawimy ci go. Gdy skończy się w nim woda, będziesz musiał iść do strumienia. Oszczędzaj ją więc, dopóki nie zdołasz wstać. Teraz śpijmy, dość dyskusji.

– Nie podoba mi się to wszystko – mruknął do siebie marynarz, gdy towarzysze ułożyli się do snu. – Skąd w nim tyle nienawiści?

\*

Sześć dni minęło, odkąd Zabójcy opuścili jaskinię. Immi-wu czuł się znacznie lepiej, po części dzięki ziołom Dedhi-vera, które stosował sumiennie według jego wskazań. Po części, gdyż główną zasługę Immi – – wu mógł przypisać sobie, a raczej swemu młodemu i silnemu organizmowi. Od dwóch dni wychodził przed jaskinię, skąd kierował wzrok ku północy – najpierw mimowolnie, potem z niepokojem. Ciągle nie mógł doczekać się świadectwa, że wyprawa Rahe-dasa osiągnęła cel. Gdyby bowiem im się powiodło, zobaczyłby to od razu. A niebo nad lasem wciąż było czyste.

\*

Ogień! Pomarańczowe, zwinne języki buchały snopami iskier; las grzmiał hukiem pękających pni, trzaskiem łamanych gałęzi, jęczał głosami palonych żywcem zwierząt, tętnił paniczną ucieczką tych, którym się udało. Woń pożaru: duszący, dławiący oddech swąd zetlonych roślin i spalonych ciał. Dym burym obłokiem otulał pogorzelnisko, po którym przeszły niszczycielskie płomienie. Las w morzu żywiołu.

Wśród pierzchających stad nie było nienawiści, stłumiło ją uczucie strachu i chęć przeżycia. Tu obok siebie gnali na oślep drapieżcy i ich ofiary, a między nimi rozumne istoty, które dotąd mieniły się władcami tego lasu. Teraz nawet one – a może przede wszystkim one – stanęły bezradne w obliczu oszalałego ognia, przed którym ratunkiem była tylko ucieczka.

Pożar ogarniał las ognistym kręgiem, rozprzestrzeniał się na podobieństwo kolistej fali. Krąg załamywał się, gdy czoło ognia docierało do nagich skał, wypaliwszy uprzednio otaczające zieleń. Komu udało się dotrzeć do skalistych grzbietów, ten mógł uważać się za ocalonego. Na tych nagich wyniosłościach, na graniach otaczających dolinę, skupiły się zbiegłe z pożogi stworzenia, by z bólem i strachem obserwować zagładę rodzinnej puszczy. I widziały, jak front płomieni przesuwają się łukiem po zboczach, jak zostawia za sobą czarną, dymiącą pustynię, jak osiąga przeciwny horyzont pod kanciastą linią szczytów i nasycony, ociężały z przejedzenia z wolna zamiera, pochłonawszy wszystko, co mógł strawić jego ognisty brzuch.

Dwaj eneikowie siedzieli wśród kamieni i ciężko dyszeli po morderczym wysiłku. Spoglądali za siebie, na drogę, którą przebyli, uciekając przed ogniem, do niedawna kwitnącą i zieloną, a teraz przemienioną w posępne, otulone dymem popielisko. Pożar wygasiał. Jeszcze tliły się nagie kikuty drzew, co jakiś czas buchały płomieniami sterty spalonych gałęzi, lecz gorejąca ściana, która do tej pory sunęła przez dolinę, rozpadła się na skraju gołoborza. Obok nich przemykały zwierzęta: ogłupiałe, wyzbyte lęku. Wbrew instynktowi niemal ocierały się o nogi swych najpotężniejszych wrogów. Eneikom jednak ani w głowie była myśl o łowach.

– Tego chciałeś? – głucho zapytał Dedhi-ver, nie odwracając głowy. Rahe-das nie zareagował od razu. Nieruchomym wzrokiem patrzył w dal na czarną plamę spalonego lasu.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – powiedział po chwili. – Ja wiem, że to nie miało sensu, wiedziałem od początku. Coś we mnie rośnie, im bardziej zagłębiam się w to wszystko, im bardziej zbliżam się do ostatecznego celu. Tego nie było, gdy odzyskiwałem Yorvilla. Zaczęło się na wyspach, u Vhorów. I rośnie cały czas... Już nie ma we mnie tolerancji, za coraz mniejsze uchybienia wobec idei Ayantialla jestem gotów zabijać. I mam świadomość, że to jeszcze nie

koniec, przecież zdobyłem dopiero trzeci kamień... Co będzie, gdy przyjdzie mi zdobyć następne? Boję się, że poddam się bez reszty tej nienawiści, że zupełnie nade mną zapanuje, a to może zniweczyć plan. Tak, wiem o tym doskonale, i co z tego? Ona jest silniejsza ode mnie...

Dedhi-ver spojrzał na niego zaskoczony.

– Więc to tak? Myślałem...

– Będziesz mi potrzebny, bracie – przerwał mu Rahe-das. – Czuję, że teraz wiele może zależeć od ciebie. Gdyby zaślepiło mnie kiedyś do końca, ty przejmiesz moją misję. Będę się starał zachować trochę dystansu. Jeśli zdołam, zawsze cię uprzedzę. W przeciwnym wypadku musisz działać sam. Bardzo na ciebie liczę, Dedhi-ver, nie wolno nam zmarnować szansy...

– To może być trudne... Jeżeli pozwolisz opanować się nienawiści do wszystkiego, co stanie ci na drodze, także mnie uznasz za wroga. Co wtedy?

– Nie wiem, Dedhi-ver, nie wiem... Zostawmy to przyszłości. Chodźmy już, Immi-wu nie będzie czekać, sam mu to nakazałem.

Eneikowie powstali z ziemi i szybko ruszyli na południe.

\*

Wiatr zataczał koła na pogorzelsku, wzbijając wiry popiołów. Kręcił nimi wśród zwęglonych pni, omiatał z czarnego pyłu kikuty rusztowań, z których ogień zdarł poszycie. Chmura popiołu przesłaniała czasem klęczącą pośrodku spalonej wioski usmoloną i oblepioną błotem istotę. Gor-oni wrócił tu, jak tylko wygasły płomienie. Czego chciał? Wszak nie mógł już znaleźć tutaj nikogo; ci, którzy tak jak on mieli nogi szybsze niż pożar, rozproszyli się po górach, pozostałych pochłoniął żywioł. Gor-oni nie przyszedł, by ich szukać. Wrócił ukorzyć się przed Trorr-udem.

Był winien. Czuł na sobie ciężar odpowiedzialności za to, co się stało. Jego sprzeniewierzenie ściągnęło na wieś gniew boga-eneiki. Jak mógł tak łatwo odrzucić prawdy przodków, które wpoił mu jego czcigodny ojciec, Ug-dda? Jak mógł uwierzyć przybłędzie, przyjąć za prawdziwą legendę, którą głosił – legendę tożsamą z kanonem wiary powierników? Rozgniewał boga. Na nic zdała się późniejsza uległość ojcu, bowiem nie uczynił tego z wewnętrznego przekonania, lecz z nawyku podporządkowania patriarsze rodziny. W duchu wierzył Rahe – – dasowi, nakaz ojca nic tu nie zmienił. Na dodatek nie wykonał zadania. Dał się pobić, pozwolił obcym zdobyć ścieżkę, otworzył im drogę do Unthena. Oddał go... I Trorr-ud postanowił udowodnić przenie – wiercy, kto ma rację. Udowodnił, że wiara we wskrzeszenie

Ayantialla jest bluźnierstwem, udowodnił w straszny sposób: ogniem. Gor-oni nie wątpił, że wybuch pożogi, która zniszczyła Par-i i całą dolinę, był efektem gniewu Trorr-uda. A jednak, jak na ironię, właśnie Gor-oni zdołał umknąć. Dlatego wrócił, uświadomiwszy sobie, iż boski gniew nie wygaśnie, dopóki nie dosięgnie prawdziwego winowajcy. Wrócił, aby umrzeć.

Wstał. Rozejrzył się wokoło. Okolica niezbyt nadawała się do wypełnienia tego, co sobie postanowił. Nieliczne wypalone drzewa sterczały z pogorzeliska, żadne z nich nie mogło mu służyć pomocą. Ruszył przed siebie, brodząc po kostki w miałkim, gorącym pyłe. Pod stopami z trzaskiem pękały zwęglone gałęzie, pomiędzy których gdzieś sączyły się smużki siwego dymu. Podeszwy miał poparzone, lecz nie czuł bólu. Szedł ogarnięty jednym pragnieniem: skończyć jak najszybciej, poddać się wyrokowi Trorr-uda. Stał pod grubym pniem galii, pokrytym popękana, czarną korą. Tak, to drzewo było odpowiednie. Rozłożyste, nagie gałęzie wisały nisko, bez trudu mógł się na nie wspiąć.

Nie zawahał się. Usiadł okrakiem na konarze, odpasął linę, którą był przewiązany, po czym umocował ją przed sobą. W pętlę na drugim końcu włożył głowę, zaciągnął sznur. Potem stanął na równe nogi i oparł się plecami o pień. Spojrzył na północ. Chmury płynęły nisko, zasłaniały widok.

– Wybacz, Trorr-ud! – zawołał i skoczył.

Gałąz ugięła się pod ciężarem, lecz wytrzymała. Dopiero gdy kopiące powietrze nogi zwisły bezwładnie, pękła z hukiem i ciało runęło w dół, wzbijając tuman popiołu.

\*

Morze lekko pluskało o kamienie u ich stóp. Eneikowie siedzieli w kucki pod nawisłymi gałęziami krzewu i patrzyli w bezkresną, szarą dal. Odpoczywali. Dotarli na wybrzeże dopiero po dwóch tercjach seves, gdyż bez przewodnika droga bardzo się wydłużyła. Długo błądzili po ostępach lasu Beagg, potem szukali nadmorskich siedzib walów. Tylko ich znalezienie dawało nadzieję na opuszczenie Ovili: musieli zdobyć łódź, a tych używali tutaj wyłącznie nagoskórzy. Wreszcie znaleźli nieduży, lecz ruchliwy port i sporą osadę. Najważniejsze zaś, że jej mieszkańcy: rybacy, marynarze, kupcy posiadali wielu niewolników. Po okolicy kręciło się mnóstwo eneików, którzy pracowali jako tragarze i posługacze przy statkach, kutrach i barkach. Dzięki temu Irgowie mogli wtopić się w tłum robotników bez zwracania uwagi portowej straży.

Plan uknuli po drodze, wyłonił się z wielu mniej lub bardziej wykonalnych wersji. Już tutaj, śledząc z ukrycia życie osady, dopracowali szczegóły. Oczywiście w takim stopniu, w jakim było

to możliwe – wiele zagadek musiało poczekać na rozwiązanie w praktyce, w akcji. Aby go wykonać, mieli znowu stać się niewolnikami. Ryzykowali wiele. Nie wiedzieli, czy walewie znają liczbę zatrudnionych w porcie robotników, czy rozróżniają ich, czy też, jak w zamku lorda Tuna, eneikowie są masą bez twarzy i tożsamości. To właśnie stanowiło nieunikniony element ryzyka.

Postanowili wejść do osady przed świtem, gdy zmęczenie zacznie kleić powieki strażnikom. Ukryją się wówczas na przystani, wśród stert lin, skrzyń i rozciągniętych niczym koronkowe kotary sieci, i poczekają, aż wybrzeże zaludni się pracowitym tłumem. Łódź mieli upatrzoną; wąskokadłubowe, zwinne czółno z żaglem kołysało się przycumowane do końca wychodzącego w morze pomostu. Przeszkodę stanowił wartownik, który nieustannie spacerował wzdłuż mola. Usunięcie go w biały dzień było raczej niemożliwe, tak jak niemożliwe było porwanie w tym czasie łodzi. W mgnieniu oka mieliby na karku tabun ścigających. Z kolei odwlekanie ucieczki do zmroku czyniło nieomal pewnym ujawnienie, że są tu obcy. Opanowanie czółna musiało odbyć się szybko i w sposób udaremniający pościg. Rahe-das znał taki sposób.

Wieczorem przenieśli się pod skrajne zabudowania osady. Ruch już zamarł, tylko od czasu do czasu uliczką wolno przechodził zbrojny patrol. Przycupnęli w ciemnym kącie między dwoma barakami. Stos skórzanych worów chronił ich przed zbyt bystrych oczami przechodzących drogą, za plecami mieli kawałek pustej, płaskiej łąki, przylegającej do zagajnika, w którym ukrywali się przez ostatni dzień. Czas płynął niespiesznie, jakby chciał wystawić na próbę ich cierpliwość. Lecz eneikowie cierpliwość mieli we krwi, zwłaszcza ci dwaj, których zakonna służba polegała na hartowaniu woli. Wszak Bractwo czekało zawsze, od pokoleń, od wielu, wielu ellarów...

Minęła północ, Jasti już zawisł złotą kropką nad zachodnim horyzontem. Jeszcze chwila i skryją go drzewa, a ciemność się pogłębi. Czas oczekiwania minął półmetek; każda, nawet najbardziej rozciągnięta sekunda przybliżała jego nieuchronny koniec. Teraz owe chwile wlokły się najbardziej, przynajmniej dla Immi-wu, który, choć jak każdy eneika potrafił opanować zniecierpliwienie, jednak nie miał wprawy Zabójców. Tęsknie spoglądał to na gwiazdy odmierzające czas powolnym, prawie niedostrzegalnym ruchem, to na chylącego się coraz niżej Jasti. Odetchnął, gdy maleńkie, odległe słońce schowało się wreszcie za widnokregiem. Ów widomy znak, że czas nie stanął w miejscu, że – chociaż przeraźliwie wolno – ciągle biegnie naprzód, poprawił mu znacznie samopoczucie. Miał wrażenie, że ta jedna sekunda, w której Jasti zniknął z nieboskłonu, była krótsza niż jej nierychliwe siostry. Znow zapatrzył się w gwiazdy

tajemniczo mrugające doń z wyciętego przez dachy skrawka czarnego nieba...

Silny szturchaniec przywrócił mu przytomność.

– Nie śpij! – usłyszał tuż przy uchu szept Rahe-dasa. Otrzeźwiony rozejrzał się dokoła. Mrok nie był już tak głęboki, musiał przespać szmat czasu. Zganił się w duchu za brak wytrwałości, tym bardziej że obaj Zabójcy tkwili na swych miejscach, jak gdyby znużenie nie osłabiało ich organizmów.

Rahe-das podniósł się i ostrożnie wyjrzał zza worków na ulicę.

– Chyba już czas – szepnął, zerknąwszy w obie strony. Irgowie wysunęli się z zaułka na drogę. Żwawo przemknęli wzdłuż pustej uliczki, kryjąc się pod ścianami zabudowań. Było pusto, widać zgodnie z przewidywaniami patrolujący osadę strażnicy odpoczywali w swej wartowni. Dopiero gdy znaleźli się na nabrzeżu, dostrzegli pierwszych walów. Żołnierz na pomoście stał nieruchomo, wsparty na włóczni. Na brzegu, na dnie przewróconej łodzi, siedziało jeszcze trzech. Ich ciche głosy dobiegały aż tu, do miejsca, gdzie pośród rozrzuconych sprzętów ukryli się eneikowie.

– Może spróbujemy teraz? Nie ma ich wielu, w dodatku nie spodziewają się ataku... – szepnął Immi-wu.

– Nie mamy szans. Spójrz, od wejścia na molo dzieli nas ze sto kroków odkrytej przestrzeni, zauważą nas natychmiast i podniosą alarm. Nawet jeśli ich pokonamy, nie ujdziemy pościgowi, po co ryzykować? – Rahe-das stanowczo odrzucił propozycję marynarza.

– Myślisz, że w dzień będzie łatwiej?

– Na pewno łatwiej będzie wejść na pomost, a potem... Już moja w tym głowa, żeby z dnia uczynić noc, wiesz przecież...

– Jesteś pewien, że zadziała...?

– Masz moje słowo.

\*

Wraz ze wstającym Rothem port ożył. Na nabrzeżu zjawili się pierwsi robotnicy pod eskortą zaspanych strażników. Kolumna szła powoli, żołnierze ziewali i przeciągali się leniwie. Niewolnicy rozpoczęli załadunek przycumowanej nie opodal dużej wiosłowej barki. Wkrótce przystań zamrowiła się jak co dzień. W pobliżu ukrytych Irgów przysiadła grupka eneików, którzy zabrali się do naprawiania porwanych sieci. Kilku z nich obojętnie zerknęło na obcych, po czym odwrócili głowy i jak gdyby nigdy nic zajęli się swoją robotą. Rahe-das wymownie

spojrzał na towarzyszy.

– Nie wywołujemy sensacji – powiedział półgłosem.

– Lepiej nie leżmy tutaj dłużej, nasza bezczynność może kogoś zaciekawić. Tu nikt nie próżnuje – odrzekł Immi-wu.

– Weźmiemy te paki i zaniemiemy na barkę. Tam jest największe zamieszanie, łatwiej zniknąć i będziemy mieli bliżej do mola. – Posłusznie wykonali polecenie Rahe-dasa. Objuczeni pakunkami bez trudu wmieszali się w długi wąż tragarzy. Nie obudzili podejrzeń nielicznych znudzonych wartowników. Pracowali sumiennie jakiś czas. Kursowali między stertą skrzyń a statkiem i bacznie się rozglądali, wypatrując okazji. Jednak pomost był pusty. Żaden eneika nie zbliżał się do cumujących tu kutrów i łodzi.

Sytuacja zaczynała się komplikować, bowiem kończyły się ładowane na barkę worki i skrzynie i wkrótce mogło zabraknąć pretekstu do przebywania w pobliżu mola. Gdyby załadunek dobiegł końca, trudno byłoby wyplątać się z grupy tragarzy, strażnicy z pewnością odzyskają wigor, gdy trzeba będzie zagonić niewolników do innych zajęć. Rahe-das dał znak przyjaciółom. Z wolna poczeli wycofywać się spomiędzy pracujących, szukając wzrokiem bezpiecznego miejsca. Byli już na samym końcu szeregu, gdy wzmógł się ruch przy pomoście. Zjawili się ich niedawni, latający sieci, sąsiedzi. Nieśli ich całe naręcza i szli prosto na molo.

Irgowie natychmiast ruszyli za szeregiem. Ostatni z idących obejrzał się zdziwiony, lecz popchnięty lekko przez Rahe-dasa prędko odwrócił się i podążył za swymi kamratami. Po chwili byli już na pomoście. Grupka niewolników skierowała się ku uwiązanemu pośrodku szpaleru stateczków kutrowi.

– Idziemy dalej – nakazał szeptem Geue i pewnym krokiem ruszył przed siebie.

Immi-wu wypuścił trzymany koniec sieci z dłoni i podążył za Zabójcami. Raptem poczuł palące smagnięcie wzdłuż pleców.

– Dokąd? – usłyszał za sobą głośny okrzyk. Obejrzał się przestraszony. Strażnik stał trzy kroki za nim, wywijając korbaczem.

– Do roboty, śmierzdziele! – ruchem bata wskazał kuter, na który niewolnicy ładowali sieć.

Immi-wu rozejrzał się w panice. Zobaczył zmrożone twarze swych towarzyszy, a za nimi zbliżającego się powoli wartownika, tego, który dotąd z końca pomostu obojętnie przyglądał się załadunkowi. Poczul pustkę w głowie.

– Na co, u Zranna, jeszcze czekacie? – Strażnik podniósł bat do kolejnego uderzenia.



Coś świsnęło Immi-wu nad głową. Val wypuścił korbacz i chwycił się za pierś, z której sterczała rękojeść garnaga. Z wyrazem zdziwienia na twarzy ukląkł, a potem zwałił się na bok. Pracujący eneikowie zastygli w pół gestu. Immi-wu zobaczył, jak strażnik na pomoście, zaskoczony, przystaje na chwilę, a potem wyszarpnąwszy miecz z pochwy z krzykiem rusza ku nim. I zobaczył jeszcze, jak Rahe-das wyciąga z sakwy skórzany woreczek, jak w jego ręce pojawia się czarny przedmiot i usłyszał przenikliwy okrzyk Zabójcy:

– Asharh!...

A potem nie widział już nic. Czerń spadła na świat – czerń tak nieprzenikniona, że nagle stracił poczucie kierunków. Wydało mu się, że niespodzianie uwiązł w matowym, czarnym bąblu, izolującym nie tylko od znanej przestrzeni, lecz także od wszystkiego, co dotąd określało jego w niej miejsce: od czasu, ciężaru własnego ciała, pojęć góry i dołu...

Poczuł silną dłoń na swoim nadgarstku.

– Chodź! – usłyszał głos Rahe-dasa.

Potykając się o nierówności pomostu marynarz pobiegł na oślep za ciągnącą go ręką. Coś głośno plusnęło, czyjeś – Rahe-dasa, a może Dedhi-vera – dłonie ujęły go w pasie i poleciał w dół. Wylądował na drewnianej ławeczce między burtami. Łódka zakołysała się mocno, gdy spadł na nią ciężar jeszcze dwóch ciał. To Zabójcy, domyślił się. Czółnem szarpnęło i Immi-wu poczuł, że płyną – Żagiel! – ktoś szturchnął go w plecy. – Ocknij się, odpływamy!

– Nic nie widzę! – krzyknął bezradnie.

– Wzrokiem go będziesz stawiał? Co z ciebie za marynarz? Powinieneś mieć to w palcach! – chyba Dedhi-ver wcisnął mu linę w dłoń.

Natychmiast przypomniał sobie o swym fachu. Rzeczywiście, tu, na wodzie, nie potrzebował wzroku. Przynajmniej na razie. Płótno zało – potało w górze i Immi-wu poczuł szarpnięcie liny. Żagiel wypełnił się wiatrem, łódź pomknęła w ciemność. Za rufą utonął w mroku rozkrzyczany, oszalały z przerażenia port.

\*

*Znowu piszą. Coś jest w tych żółtawych, sztywnych płachtach, co wciąga mnie jak rzeczny wir. Zapelniam je owadzim kładem sphywających z pióra znaków, rosną w coraz większy stos, a ja wiem, że już się od nich nie uwolnię – pisanie stało się moim nalogiem. Dziękuję Trorr – udowi za przezorność, którą mnie natchnął; nim wyruszyłem na podbój Ovili, zostawiłem moje zapiski w klasztorze. Jego zasługa w tym, iż oto znów mogę zasiąść w mojej celi, aby przy świetle*

kaganka spisać wszystko, co przeżyłem.

Udało się. W tych dwóch słowach można zamknąć całą tę długą i niezwykłą wyprawę. Udało się, zdobyłem Unthena. Kiedy o tym myślę, doświadczam dziwnego uczucia. Po raz pierwszy uświadomiłem je sobie, gdy Kawyos drzemał w mojej sakwie. Jakby spływała na mnie potężna, oślepiająca moc. Ona każe widzieć tylko jeden cel bez względu na trudy i ofiary, które muszę ponieść. Wtedy na Wyspach Stołowych nie było to jeszcze tak wyraźne, a może to ja instynktownie bronilem się przed poddaniem się owej mocy i wolałem nie wiedzieć o jej źródle i ogarniającym mnie, obezwładniającym przymusie działania.

Ten przymus nie uznaje przeszkód, nakazuje walczyć z nimi z bezwzględnością, która mnie zdumiewa. Zaległo się to w sercu i rośnie – tak właśnie: rośnie, czuję, jak rozpiera mnie od wewnątrz swym pęczniącym istnieniem. Dokładnie tak, jak to przedstawiłem Dedhi-verowi w chwili szczerości, kiedyśmy ledwie uszli z życiem z pożaru wywołanego na rozkaz tego czegoś w mojej duszy. Nie wiem, czy pojął. Może potraktował to jak przenośnię, rodzaj opisu trudnego do zdefiniowania uczucia, ale powiedziałem mu prawdę. Nie, jeszcze nie jest tak, że wyparło to ze mnie me własne Ja, jeszcze mam poczucie swojej tożsamości. Lecz co będzie dalej? Czy tajemnicza, niewidzialna roślina, która za pożywkę dla swych korzeni wzięła moją świadomość, pozwoli pozostać w niej resztkom tej jaźni, z którą się urodziłem? Czy też wypełni mnie całkowicie, przemieni moje ciało w bezwolne narzędzie, służące spełnieniu jej jedyne go pragnienia? Nie wiem. Wiem za to, że przeciwstawić się temu już nie mogę.

Wiele rzeczy zdarzyło się podczas mojej nieobecności. Nie doceniłem zakonu, a raczej mistrza Mom-udi. Wyrządziłem mu nawet krzywdę posądzeniem o cynizm, to nic, że tylko mi wiadomą. Mom-udi nie próżnował: wieść o zamiarze połączenia części Ayantialla dotarła niemal do wszystkich eneickich narodów. Byli tu Ceranowie. Ich zakon łączy się z nami, oddaje kamieniom brata – Władcę Wody. Zabiorę Deuryona po drodze, wyruszam bowiem wkrótce na północ. Postanowiono, że miejscem, gdzie kryształy mają oczekiwać scalenia, będzie Ibbomi – pradawny klasztor, skąd zaczęła się wędrówka szczątków Władcy Wszechrzeczy po świecie. Tam mają wracać, aby spełniło się marzenie pokoleń eneików. Mają wracać w mojej sakwie... Nie pozwolę odebrać sobie tej misji, nie mogę, choćbym nawet chciał. Zabieram ze sobą wszystkie trzy dotąd odnalezione: Yorvilla – zwycięzcę Mocy, Kawyosa – uchronionego od zniszczenia przez skazanie na śmierć plemienia Vhorów, i wreszcie Unthena – wyzwolonego z niewoli zwyrodniałego kultu. Unthena, który ocalił mi życie. Użyłem go wtedy z wielkim lękiem. Nie

*wiedziałem i nie wiem dotychczas, ile mocy jeszcze w nim drzemie. Budził się przecież dwukrotnie: raz, by odebrać światło, i powtórnie, by je przywrócić... Niedługo dołączy do nich Deuryon, a potem powędrujemy dalej, na spotkanie Etauora i Geena.*

\*

Hennasti nie mógł się nadziwić, jak łatwo walowie zdomowili się w nowej ojczyźnie. Wielki obóz koczowników na jego oczach zmieniał się w rozległe miasteczko drewnianych domków, szybko rosnące wokół opustoszałego Morv. Dziwił się też, jak niewielu skorzystało z opuszczonych domostw, których dawni właściciele uciekli za odchodzącą armią, niejednokrotnie pozostawiając cały dobytek. Nie korzystano nawet z gotowego budulca, który poniewierał się na licznych rumowiskach zniszczonych podczas zimy budynków, jak gdyby Iserowie nie chcieli pamiętać o poprzednich mieszkańcach grodu.

On sam zajął wraz z rodziną duże obejście na skraju miasta, które niegdyś zapewne należało do bogatego Minna. Dom był nienaruszony przez czas i kompletnie wyposażony, zaadaptowanie go dla potrzeb nowych mieszkańców nie sprawiło więc kłopotu. Nie opodał zamieszkał lord Hornoth ze swymi bliskimi, a nieco dalej grupka kapłanów z Dag – ganem na czele. Szykowano się na wielkie święto: pani Otharo, najmłodsza kobieta regenta Hornotha, wkrótce spodziewała się rozwiązania. Czas był po temu najwyższy, ziroth szybko zbliżał się do końca. Była to ostatnia szansa na przyjście na świat czerwonego księcia, bo chociaż kilka innych kobiet z rodu także oczekiwało dziecka, żadna z nich nie zdąży urodzić przed początkiem ferthu. Gdyby więc Otharo nosiła w łonie dziewczynkę, powstające księstwo zostałoby bez władcy na długi czas panowania czerwonego rodu. Nie zmartwiłoby to z pewnością Hornotha, tak niespodziewanie obdarzonego przywilejem regencji, którą nie zdążył się jeszcze nacieszyć. Zmartwiłoby za to panią Otharo, albowiem straciłaby okazję zostania księżną matką.

Po pierwszym okresie, gdy walowie trzymali się razem, na obcym terenie pewniej czując się w gromadzie, nadchodził czas szukania własnego miejsca na objętej w posiadanie ziemi. Coraz więcej rodzin, zwłaszcza kmiecych, opuszczało tabor, by wybrać skrawek pola i zacząć życie, do jakiego przywykły. Było to zjawisko pożądane: im większą połać kraju zajmą iserskie osady, tym dalej będzie można zakreślić granice państwa. Lecz aby utrzymać je w owych granicach, należało dać ludowi coś, co go zjednoczy. Inaczej rozjadą się po Zagórze lub wrócą do Iserii i pozostawią samotną wysepkę skupionych wokół Morv osadników na pastwę Minnow, ghotów oraz każdego, kto miałby ochotę zawładnąć resztkami wychodźczego taboru. Takim czynnikiem może być

narodzenie prawowitego władcy. Nic tak nie zespala poddanych, jak zajęty prawnie tron.

Tak w zarysie przedstawiała się sytuacja ziemi, którą byli zmuszeni uznać za swoją. Hennasti obserwował to wszystko jakby z boku. Tylko częściowo czynił tak z własnej woli. Od czasu tamtej bitwy, gdy nie udało się utrzymać w tajemnicy istnienia stalowego hufca, Isero – wie ku jego zdziwieniu i rozżaleniu odsunęli się. Bez manifestacji, lecz wystarczająco wyraźnie, by poczuł się opuszczony i samotny. To było niesprawiedliwe, przecież ich chronił. Bez stalowych rycerzy niewielu towarzyszy wygnańczej niedoli uniosłoby głowy ze spotkania z oddziałami Sishastirro. Powinni być wdzięczni.

Jednak nie byli. Władza nad niesamowitą chorągwią wyłączyła Hennastiego poza tę społeczność, która pozostała wierna kultowi jego ojca i odpowiedziała na wezwanie syna. A przecież to właśnie niezwyciężonej armii stalowych rycerzy Iti zawdzięczał zwycięstwo i panowanie. Ta sama armia w rękach jego potomka objawiła się valom jako złowroga siła, źródło przeczuwanych komplikacji. Jak bowiem traktować rodzinę, książęcą wprawdzie, lecz jednak nie u władzy, która dysponowała potęgą stawiającą ją ponad wszelkim prawem? Tak to odbierali Iserowie i Hennasti nie mógł się im dziwić. Jednak rozumieć, nie znaczy zaakceptować. Stąd bolesne poczucie krzywdy i jeszcze gorsze – osamotnienie. Wśród valów – wśród ruchu, pracy, walki, zaangażowany bez reszty – był sam. Nawet Daggan uległ cichej presji i odrzucił przyjaźń, która wiązała ich od czasów dzieciństwa młodego lorda, kiedy to kapłan wprowadzał go w tajniki władzy i wiary. Już nie wiedli długich wieczornych rozmów, ich stosunki stały się oficjalne. I nawet nie zdążył dowiedzieć się, dlaczego Daggan na pytanie, kogo widziałby na czerwonym tronie, doradził mu swego czasu Garhorna.

Musiał coś z tym zrobić. Wyjścia były trzy: odda hufiec rządzącemu rodowi, usunie go z oczu Iserów bądź odejdzie z Morv razem z nim. Pierwszego nie brał pod uwagę, nie miał zamiaru czynić prezentu z ojcowej schedy. Trzecie byłoby klęską nie tylko osobistą również całej idei. Dlatego wybrał to drugie, choć z niechęcią myślał o pozbyciu się wiernego oddziału. Nagle zrozumiał motywy, jakie kierowały niegdyś ojcem; czyż nie z podobnych powodów musiał zamknąć hufiec w podziemiach?

Należało znaleźć odpowiednie miejsce. Początkowo myślał o opuszczonym mieście tornów. Iserowie bywali tam z rzadka, było bowiem rewirem opanowanym przez ghoty i rządziło się prawami wygłodniałej dżungli. Wolał jednak nie ryzykować. Oprócz ghotów i stad dzikich hangów w Morv niczym pustelnicy żyli pojedynczy Minnowie, jakimś zrzędzeniem losu

pozostawieni tutaj przez uchodzących pobratymców: zgubione ongiś w zamieszaniu dzieci, wypędzeni parobcy, kalecy i obłąkani. Powierzenie takim strażnikom pieczy nad stalowymi rycerzami nie było najlepszym pomysłem. Dlatego ostatecznie postanowił, że znajdzie kryjówkę z dala od valijskich siedzib, gdzie nie będą narażeni na ciekawość i niechęć.

Takim miejscem był las nad Urtem. Nikt tam nie chodził. Bagniste ostępy odstraszały śmiałków, do tego rozpanoszone ghoty i zła sława tych okolic... Tak, to było doskonale schronienie dla jego armii.

A więc postanowione. Jutro... nie, pojutrze wyruszy ze swym wojskiem na wschód. Znajdzie pustkowie, gdzie nawet zdychający hang nie zajrzy, i tam ich zostawi. Niech czekają na lepsze czasy. Pójdzie jak zwykle nocą, taka to już ich pora... Czuł, jakby wybierał między czymś, co kojarzyło się z niepokojem czasów ojca, a uznaniem – czego? Własnego miejsca w społeczeństwie, stabilności? Czy po prostu zwykłej potrzeby bycia między nimi? I już wybrał, choć wciąż nie wiedział, czy dobrze.

W komnacie zrobiło się ciemno. Nawet nie zauważył, kiedy zaszło słońce i mrok wlał się do domu przez poczerniałe okna. Płomienie paleniska rozzóciły kamienne ściany, trzeszczały i huczały cicho. Umilkły codzienne odgłosy domu, nadchodził czas spoczynku. Hennasti lubił tę porę, jej spokój i ciszę, jej spowolniony czas, tak różny od dziennych, mknących szybko godzin. To czas na myślenie, na podsumowania i plany.

Skrzypnęła brama. Usłyszał niewyraźny głos pachółka i czyjaś nie – głośną odpowiedź. Zaciekawiony wyjrzał na podwórze, lecz nic nie zobaczył w ciemności. Słyszał tylko szczęk uprząży i człapanie odprowadzanego wierzchowca. Ktoś przyjechał. Komu mógł przyjść do głowy pomysł odwiedzin o tej porze? – zdziwił się w duchu. W ogóle rzadko go odwiedzano, a cóż dopiero po zmroku.

Za drzwiami rozległy się kroki. Po chwili w szparze ukazała się rozczochrana głowa sługi.

– Panie, gość do ciebie.

– Gość? – zdążył jeszcze zapytać, gdy drzwi otworzyły się na całą szerokość i na progu stanął potężny, zwałisty val.

– Witaj, lordzie Hennasti! – zagrzemiał tubalnie, wkraczając do komnaty.

– Aghveri? – Hennasti zerwał się z ławy. – Skąd ty tutaj?

– A tak, Agłweri, Aghveri! Nie spodziewałaś się, co? – olbrzym opadł z sapnięciem na zydel przy ogniu. – Każ przynieść coś do jedzenia, dwa dni nie miałem nic w ustach – wyciągnął dłonie

nad płomieniem i zatarł je zamaszycie. – Co za przekłeta kraina, gdzie was tu przyniosło? Żeby Aghveri na starość musiał tłuc kości po jakichś zakazanych bezdrożach...

– Zaraz dostaniesz... – Hennasti skinął na pachołka. – Cóż cię tu przywiodło, stało się coś?

– Pozwolisz, że najpierw zjem? – Aghveri sięgnął do przyniesionej misy. Rwąc zębami wielkie kawały mięsa, spoglądał spod oka na lorda, który niecierpliwie krążył po izbie.

– Uff! – sapnął po chwili i odłożył ogryzioną kość. – Tego mi było potrzeba! Głowa zaraz lepiej pracuje.

– Powiesz teraz? – Hennasti stanął przed nim.

– Powiem, powiem – kapitan zrzucił z ramion szary płaszcz i poluzował pas. Wyraźnie bawiła go ciekawość gospodarza.

– Aghveri, nie drocz się ze mną! Ktoś cię tu przysłał?

– Powoli, panie, nic się jeszcze nie stało! Nikt mnie nie przysłał, wręcz przeciwnie...

– Jak to?

– No... Iseria musi poszukać sobie nowego kapitana szarych.

– Rzuciłeś służbę?

– Podła służba, to i trzeba było rzucić.

– Nie rozumiem, zdezerterowałeś? Ty?

– Ano, na to wygląda. Tylko w Irvion jeszcze o tym nie wiedzą. Hennasti popatrzył na niego badawczo.

– Aghveri, co się dzieje w Irvion?

– Gdyby działa się dobrze, nie zobaczyłbyś mnie tutaj – odparł kapitan. – To już nie Iseria, to zrobaczywiałe irmanie łajno!

– Sishastirro? – domyślił się Hennasti.

– Ten chłystek panoszy się w kraju, jak chce. Uwięził Othisa i obwołał się regentem!

– Przecież Sishastirro jest z rodu Jasti! To świętokradztwo!

– Jak się ma za plecami dwadzieścia sorvskich chorągwi, świętokradztwo staje się prawem.

On to czyni z imieniem Mau na ustach.

– Ale... jest jeszcze młody książę...

– Miałby obawiać się dziecka? Trzyma je z matką siebie, a młodszy z rodu Rotha skaczą dokoła niego jak marionetki.

– Odważył się i na to?

– To nie wszystko – Agłweri wstał. – Wiesz, skąd się tu wziąłem? On mnie wysłał do Minnow.

– Do Minnow?!

– Właśnie. Domyślasz się, po co? Hennasti pokiwał głową.

– A więc doszło i do tego... – powiedział po chwili. – Dla zemsty gotów nawet zdradzić...

– Czy to pierwszy raz? – kapitan uśmiechnął się gorzko. – On tym żyje.

– To dlatego... Wiele poświęciłeś, Aghveri, nie wiem, jak się za to odpłacę.

– Nie musisz, i tak nie wytrzymałbym tam dłużej. Ukręciłbym mu w końcu łeb, a to by mi raczej nie uszło na sucho. Poza tym... ja się chyba nie nadaję na kapitana tej szarej zgrai, za miękki jestem. Przywiązałem się, Hennasti. Za długo służyłem twojemu ojcu, by przestawić się w drugą stronę.

Agłweri opuścił głowę i zamilkł. Widać było, że niełatwo mu przyszły te słowa. Jak gdyby nie do końca zdołał stłumić w sobie świadomość złamania przysięgi.

– Dziękuję ci... – Hennasti położył mu dłoń na ramieniu. – Nie gryź się, czasem zdrada bywa szlachetniejsza od wierności. Iti to osądzi, jemu przecież pozostałeś wierny.

– Nie pocieszaj mnie, to łatwe. A ja nie potrzebuję pocieszenia, tylko jasnej sytuacji wokół siebie.

– Tu także nie wszystko jest takie jasne...

– A co? Zaczynają się swary?

– Nie aż tak, ale... Tracę przyjaciół, Aghveri.

– Dlaczego?

– Pamiętasz stalowy hufiec?

– No jakże, Itijasti nim dowodził. – Teraz jest mój.

– Czekaj, czekaj! Rozumiem... To oni pobili Sishastirro? Były plotki o klęsce, on je usilnie zwalczał, a i mnie nie chciało się wierzyć, by ktoś mógł pokonać taką siłę. Sishastirro ściągnął do Iserii połowę rycerstwa z Przedgórze, a tu nagle klęska... No, no, to i Minnow nie musicie się obawiać?

– Chyba musimy, kapitanie. Przez ten hufiec Iserowie patrzą na mnie spode łba.

– Nie w smak im, że wyrastasz ponad całą tę zbieraninę?

– Właśnie.

– Hmm... Co masz zamiar zrobić, oddać ich Hornothowi?

– Nie – w głosie Hennastiego zabrzmiało zdecydowanie. – Chcę ich ukryć, jak ojciec. Poczekają aż władza wróci do mojego rodu.

– Może i słusznie – powiedział wolno Agłveri. – Tylko... co z Minnami i armią Iserii? Będzie wojna, lordzie Hennasti.

– Nie wiem... Jeżeli staną się potrzebni, zawsze mogę ściągnąć ich z powrotem. Teraz muszę odzyskać miejsce wśród swoich.

– Brzmi to rozsądnie. Gdzie ich ukryjesz?

– Mogę ci zaufać? Aghveri wzruszył ramionami.

– Twój ojciec mi ufał.

– Powiem ci – zdecydował się Hennasti. – Zresztą lepiej, żeby wiedział ktoś jeszcze. Jeżeli coś mi się przytrafi, słuch o nich nie zaginie. Jest ktoś z tobą?

– Mam tu pięciu szarych. Wybrałem pewnych, nie obawiaj się.

– To dobrze, wolałbym nie wtajemniczać nikogo stąd. Chcę wyprowadzić hufiec nad Urt.

W pojedynkę to trochę niebezpieczne.

– Niezłe miejsce – przyznał Aghveri. – I niedaleko...

– Dlatego je wybrałem.

– Kiedy chcesz wyruszyć?

– Pojutrze nocą.

– Całe szczęście – kapitan westchnął z ulgą. – Myślałem, że pogonisz nas bez odpoczynku.

– Nie bój się, odpoczniesz i ty, i twoi walowie – roześmiał się Hennasti. – Jak mógłbym nadwerężyć siły najwierniejszego z przyjaciół? Każę przygotować ci posłanie, musisz odpocząć, a jutro pójdziemy do Hornotha. Zdasz mu relację z tego, coś mi tu wyjawiał.

Hennasti podszedł do drzwi i krzyknął na służbę.

– Coś za łatwo wierzysz w bezinteresowną przyjaźń, chłopcze – mruknął do siebie Aghveri.

– Masz szczęście, żeś trafił na mnie...

\*

Wysoko nad głowami kołysały się z szumem korony hinnirów. Poszycie, na skraju rzadkie i wątłe, gęstniało w miarę zagłębiania się w leśną głuszę, nie pozwalając na szybki marsz. Wkraczali w rejony, gdzie chyba nigdy nie stanęła noga wala, gdzie władaly dzikie zwierzęta, gdzie prym wiodły krwiożercze, na poły rozumne ghoty. Te – ponownie zdziczałe po upadku imperium, które zdołało uczynić z nich armię – panowały teraz wszędzie: na stepach i w lasach,



wśród bagien i w opuszczonych osadach. To im valowie będą musieli wydrzeć tę krainę, jeżeli nikt inny nie zgłosi do niej pretensji. A wyglądało, że chętnych będzie wielu.

Teren stawał się nierówny, już nie tylko chaszczce utrudniały wędrówkę. Coraz liczniejsze wykroty, rozpadliny i jary przecinały drogę kolumnie i nawet torujący przejście stalowi rycerze musieli zwolnić, bowiem i oni byli bezradni wobec głębokich gliniastych dołów o stokach najeżonych potężnymi korzeniami zwałonych drzew.

Nikt ani nic ich nie niepokoiło. Liczny zastęp z rumorem przeciskający się przez mateczniki wypłoszył mieszkańców lasu z najbliższej okolicy. Właściwie mogli zostawić hufiec już tutaj, na pewno nikt by go nie znalazł. Lecz Hennasti kazał iść dalej, ciągle był niezadowolony, ciągle szukał pewniejszej kryjówki. Aż wreszcie, po dwóch dniach morderczej walki z puszcza, trochę nieoczekiwanie rozlała przed nimi swe wody szeroka, leniwa rzeka. Las schodził na sam jej brzeg, sięgał korzeniami ciemnego, prawie stojącego nurtu. W zasięgu wzroku nie było choćby skrawka płaskiego brzegu. Jak okiem sięgnąć, ściana drzew okalała rozlewisko niczym stromy, brązowo-zielony kanion, jakby wypłukany w dziewiczym borze przez cierpliwy prąd Urtu.

Hennasti zatrzymał kisetą. Czarny prostokąt na jego piersi wysłał rozkaz. Żelazny oddział posłusznie stanął w miejscu.

– Tutaj – powiedział do Aghveriego. Wskazał na porośnięty krzewami okap. Woda wypłukała tu głęboką wnękę, nad którą zwieszały się ku brzegowi gęste, splątane warkocze pnączy.

– Miejsce niezłe, tylko czy musieliśmy iść aż tak daleko? – burknął kapitan. – Minęliśmy ze dwadzieścia podobnych.

– Tu na pewno nikt ich nie odkryje. Za Urtem ciągnie się pas lasu zwany pograniczem, a dalej zaczyna się Pustynia Śmierci. Ojciec niegdyś był w tych stronach, opowiadał mi. Już za czasów imperium unikano ich jak zarazy, cóż dopiero teraz. Będą tu bezpieczni – Hennasti powiódł wzrokiem po długim szeregu nieruchomych sylwetek.

– No, dobrze już, wprowadź te potwory pod nawis i ruszajmy stąd. Ja również czuję się tu nieswojo – Agłweri wyraźnie wzdrygnął się, jakby przeszedł go dreszcz.

– Nie bój się, dzielny wojownika – uśmiechnął się kpiąco Hennasti. – Pogranicze leży za Urtem, pustynia tutaj nie sięgnie. Przenocujemy w pobliżu, dziś jest już za późno, by wracać. Lepiej wędrować za dnia, nocą las nie jest bezpieczny. Rycerze zostaną i sami będziemy musieli uważać na siebie.

– Twoja wola, lecz Mau... to znaczy Iti mi świadkiem, że wolałbym już potykać się nocą z ghotami, niż spać w pobliżu pustyni.

– Mówiłem ci, że pustynia zaczyna się kawał drogi stąd za rzeką. Nic nam tu nie grozi, a zawsze bezpieczniej nocować u boku stalowych rycerzy.

Hennasti wprowadził hufiec za zieloną kurtynę pnączy. Gdy zniknęli w głębi pieczary, przyjrzał się uważnie ich kryjówce.

– Całkiem dobrze – ocenił. – Nikt nie pozna, że coś się tu kryje.

– Co zrobisz z tym? – Agłweri wskazał na płytkę.

– Chyba zabiorę ze sobą... Lepiej nie zostawiać jej tutaj – odpowiedział Hennasti. – Gdyby ktoś ich nawet odnalazł, nic bez tego nie zdziała – pogładził czule płaski przedmiot na piersiach.

Aghveri popatrzył na niego przeciągle.

– Każę moim poszukać miejsca na nocleg – rzekł wreszcie. Ruszył ku stojącej nie opodal grupce walów w szarych opończach.

Powiedział coś do nich cicho i jeźdźcy zniknęli w gęstwinie. Kapitan wrócił do Hennastiego.

– Zaczekajmy tutaj – zaproponował. – Szarzy wszystko przygotowują.

Wkrótce jeden z nich wynurzył się z gąszczu.

– Jest miejsce – powiedział krótko.

Podążyli za nim. Jeździec wyprowadził ich na niedużą polankę, suchą i płaską, porośniętą niską, ostrą trawą. Dwaj szarzy krzatali się, przygotowując legowiska z gałęzi, pośrodku płonęło już małe ognisko.

Rozsiodłali kisety.

– Puścimy je nocą na łowy – powiedział Agłweri. – Zaoszczędzimy suszone mięso dla nas.

– A gdzie dwaj pozostali twoi rycerze? – zainteresował się Hennasti. – Nie widzę ich tutaj.

– Rozglądają się po okolicy. Wolę mieć pewność, że nic nam nie grozi. Licho wie, jakie niespodzianki szykuje las nieproszonym gościom.

– Boisz się? – Hennastiego zdziwił ton starego kapitana. Lękliwi raczej nie służą w formacji, którą do niedawna dowodził.

– Nie obrażaj mnie, panie. Ostrożności nigdy za wiele, trochę już w życiu widziałem.

Rozmowę przerwał gwałtowny szelest gałęzi. Ktoś szybko przedzierał się ku nim. Po chwili na polanę wypadł szary wojownik.

– Co się stało, Ragg? – Aghveri żywo zbliżył się do niego.

– Kapitanie... łodzie! – rycerz wskazał za siebie.

Bez słowa pobiegli za nim. Ukryci w gąszczu patrzyli na rzekę, na której – jedna za drugą – wylaniały się zza zakrętu płaskie, szerokie barki. Było ich kilkanaście i ciągle nadpływały nowe. Sylwetki wioślarzy pochylały się miarowo, ich ramiona rozgarniały wodę równymi pociągnięciami wiosel.

– Kto to jest? – szeptem zapytał Hennasti.

– Popatrz na ich ubiory – Aghveri wycodził słowa przez zęby. Jego oczy zwężyły się w szparki, a potężną postać sprężyło napięcie.

Hennasti osłonił oczy przed odbłaskami zachodzącego słońca i spojrział na najbliższą łódź, która przepływała właśnie obok ukrytych w krzakach Iserów. Załoga była odziana w srebrzyście lśniące stroje.

– To są...

– ... tornowie – dokończył za niego Aghveri.

\*

Czy groziło im nowe niebezpieczeństwo? Czego tutaj szukali tornowie, tak daleko od swych krain? Bylibyż to potomkowie władców Durlocku? A może owi bezplemienni, zamieszkujący północne rejony pogranicza...? Hennasti nie wiedział, co ma o tym myśleć. Pospiesznie wracali do Morv, wysławszy w ślad za łodziami dwóch szarych, aby z ukrycia śledzili ich wędrówkę. Należało jak najprędzej zawiadomić Hornotha o niespodziewanym najściu i coś postanowić.

Ghoty przyszły nocą. Las wokół jeźdźców nagle zaroił się i z rykiem opadła ich dzika chmara. Przestraszony kiset Hennastiego przypadł do ziemi i krótko chrapnąwszy szarpnął się do tyłu. Rycerz usłyszał okrzyk Aghveriego, a potem szczęk dobywanych mieczów. Szarzy zeskoczyli z siodel. Ich zwierzęta, przeraźliwie rycząc, runęły naprzeciw atakującym stworom. Za nimi uderzyli valowie. Ciemność zakotłowała się cieniami walczących. Hennasti dostrzegł dokoła siebie czarne, rozwarte paszcze, wyciągały się ku niemu łapy zbrojne w kije. Ciął mieczem na oślepi, po czym spiął kiset. Rumak stanął dęba i, mierząc pazurami w majaczącą przed nim sylwetkę, wyprysnął w górę. Hennasti poczuł wstrząs, do jego uszu dobiegł wrzask konającego potwora. A kiset, podniecony zwycięstwem, już wpijał kły w gardło następnej ofiary. Rycerz zdał sobie sprawę, że dłużej nie utrzyma się na grzbiecie walczącego coraz zapamiętałej zwierzęcia. Puścił wodze, wyrzucił stopy ze strzemion i skoczył przed siebie. Spadł wprost w objęcia kosmatej maskary, która chwyciła go mocno ramionami, razem potoczyli się po

ziemi. Poczul na twarzy wstrętny oddech għota. Potwór usiłował sięgnąć kłami do jego szyi. Wyrwał się z uścisku. Sięgnął do pasa i dobył noża. Wepchnął ostrze w bok napastnika, raz i drugi, a potem napał na nie z całej siły. Uścisk zelżał. Stracił zwiotczale nagle ciało, zerwał się na nogi. Znajdował się poza centrum bitwy, widocznie podczas zmagania z przeciwnikiem obaj wyturlali się z kręgu walczących.

Ocecił wzrokiem sytuację. Agłweri i jego dwaj walowie stali bok w bok, osłaniając nawzajem swoje plecy, i rąbali z zimną krwią napierające għoty. Trzeciego z szarych nie było widać. Nie opodal kłębiły się w krwawych zapasach cztery kisety, nieco dalej jego własny wyłaniał się co chwila z przykrywającej go żywej sterty, zaciskał zęby na ciele kolejnego wroga i, chrapiąc, zanurzał się w nią na nowo.

Hennasti zrozumiał, że muszą ulec. Drżącymi rękoma sięgnął do sakwy i wydobył krzesiwo. Gałąź nie chciała się zapalić, w końcu buchnęła krótkim płomieniem. Rzucił ją na stos iglastego suszu. Ogień przygasł, a potem wystrzelił wysoko w fontannie iskier.

Żar szybko pełzył po trawie, obejmował pole walki czerwonym sierpem. Tuman gryzącego dymu skłębił się między drzewami i wolno począł wchłaniać sylwetki walczących.

Bitwa nagle zamarła. Għoty odskoczyły od swych ofiar, nie bacząc na ciosy mieczów, a potem z pełnym przerażenia wrzaskiem zaczęły umykać w gęstwinę.

Hennasti wybiegł na stratowaną przesiekę.

– Aghveri! – zawołał na widok ruszających ku niemu walów.

– Aha, to twoja sprawka! – usłyszał okrzyk kapitana. – Bardzo dobrze, lecz zmiatajmy stąd, zanim ogień przypiecze nam zadki!

Pobiegli ku wierzchowcom. Już z siodła Hennasti zobaczył rozszarpane zwłoki jednego z rycerzy. Odwrócił głowę. Temu walowi pomoc nie była potrzebna. Pognali galopem w mrok, a ich śladem skoczył po chwili kiset z pustym siodłem na grzbiecie. Za plecami Iserów las rozhuczał się wzbierającym głosem pożaru.

\*

– Twierdzisz, że to byli tornowie? – Hornoth z namysłem patrzył w ziemię. – Mogliście się omylić.

– Agłweri nigdy się nie myli – kapitan uprzedził odpowiedź Hennastiego. – Zwłaszcza jeśli widzi coś na własne oczy. Płynęli w dół rzeki. Będziemy wiedzieli więcej, gdy wrócą zwiadowcy.

– A co robiliście w tamtych stronach? – regent podniósł głowę i spojrzął patriarsze złotej rodziny prosto w oczy. Hennasti postanowił nie kłamać.

– Zabrałem stąd stalowy hufiec – powiedział, odwzajemniając spojrzenie.

Hornoth kiwnął głową.

– Tak myślałem. Dobrze, że słyszę o tym od ciebie. Możesz mi powiedzieć, dlaczego?

– Nie wiesz? – Hennasti wzruszył ramionami. – Bardzo kochałeś moich rycerzy?

– To prawda, nikt ich nie kochał. W innej chwili tylko bym ci przyklasnął. Lecz teraz, gdy Sishastirro zważuje się z Minnami, i do tego jeszcze ci tornowie... Zostawiłeś nas bez obrony, Hennasti.

– Oni zawsze mogą wrócić. Mam to. – Hennasti włożył rękę do sakwy. Nagle jego twarz wykrzywił grymas przestachu. Począł gorączkowo szperać w torbie, potem wyrzucać z niej wszystko. Gdy spojrzął znów na obecnych, wyczytali w jego wzroku straszną pewność.

– Płytką... Zgubiłem ją!

Zrobiło się cicho. Rycerze patrzyli na niego z niedowierzaniem, jakby prawda, którą właśnie usłyszeli, jeszcze do nich nie dotarła.

– Jesteś pewien? – szeptem zapytał Aghveri. Hennasti bez słowa pokazał pustą torbę.

– Jak...?

– Chyba w tym przeklętym lesie, musiała mi wypaść...

– Czy bez niej nic nie da się zrobić? – odezwał się Hornoth.

– Nic – Hennasti z rezygnacją machnął ręką. – Oni słuchają tylko jej.

Regent podniósł się z fotela.

– Będziemy szukać – powiedział stanowczo.

Nie znaleźli. Sześćdziesięciu walów przez osiem dni przerzucało gałązkę po gałązce: nad Urtem, na pogorzeliisku, na całym szlaku aż do Morv. Płytki nie było.

– Jest w tym palec przeznaczenia – orzekł w końcu Hornoth, nakazując przerwanie poszukiwań. – Widać bogowie postanowili, że musimy radzić sobie sami.

Wracali przygnębieni, prawie nie odzywali się do siebie. Kiedy Morv wyłoniło się zza horyzontu, Aghveri raptem zatrzymał wierzchowca..

– Jeźdźcy – powiedział, wskazując na południe.

Spojrzeli za jego ręką. Na tle zamglonej linii lasu dostrzegli dwie małe figurki.

– Kto to może być? – zapytał Hornoth.

– To chyba moi – kapitan osłonił dłonią oczy i przypatrzył się uważnie.

– Późno wracają – zauważył Hennasti. – Nie było nas kawał czasu, a oni dopiero teraz...

– Musieli pewnie dużo widzieć, inaczej już dawno byłiby z powrotem. – Agłweri skierował kisetą ku nadjeżdżającym.

Jeźdźcy zbliżali się szybko. Wkrótce dotarł do nich Aghveri, zatrzymali się na dłuższą chwilę i widać było, że rozprawiają czymś z ożywieniem, jednak z ich gestykulacji niewiele można było zrozumieć. Zwiadowcy i kapitan wkrótce ruszyli w kierunku czekających walów, a pośpiech, z jakim to czynili, świadczył, iż wiozą ważne nowiny.

– Założyli osadę – wysapał Agłweri, gdy dołączyli do kolumny.

– Osadę? – Na twarzy Hornotha odmalowało się zaskoczenie. – Tornowie?

– Dobili do brzegu dość daleko stąd, jakiś dzień jazdy w kierunku bagien. Założyli obóz, a potem zaczęli ścinać drzewa i stawiać domy, takie dziwne, okrągłe. Robili konstrukcje z pni i wznosili kamienne ściany. Nie buduje się w taki sposób tymczasowej siedziby.

– Tutaj, w Morv, także pełno kulistych kopuł, tyle że nie kamiennych, a z jakiegoś szkliwa. Widocznie tornowie mają zwyczaj budowania w formie koła. To by znaczyło, że chcą tu pozostać? – regent popatrzył wyczekująco po twarzach towarzyszy.

– Ale po co? – Hennasti zamyślił się. – Czy szarzy coś podsłuchali? – zwrócił się do Agłweriego.

– Niewiele. Tornowie prawie nie rozmawiają ze sobą a jeżeli nawet, to ich języka nikt w Loinie nie zna. Zazwyczaj porozumiewają się jakoś inaczej. Ale ci czasem mówili, i to po walijsku, co mnie trochę dziwi. Z tego, co zdołali usłyszeć zwiadowcy, wynika jeszcze jedna ciekawa rzecz: to nie są tornowie z Durlocku ani z pogranicza. Oni nie są nawet z Torivii.

– Wobec tego...?

– To są Shonnowie.

Takiej wiadomości nikt się nie spodziewał. Królestwo Shonnów leżało przecież na drugim końcu świata! Co zmusiło tornów z północy do wędrówki przez całe Zagórze, wędrówki długiej i niebezpiecznej, wśród ludów żądnych zemsty bądź zdezorientowanych po zniszczeniu Wieży Życia? Jak przyjąć ich na tej ziemi, bo przecież prędzej czy później musi dojść do spotkania? Przyjaciele to czy wrogowie? Na odpowiedź musieli jeszcze poczekać.

## CZEŚĆ DRUGA

### PAN PUSTYNI

– Oto jest – mistrz Ziz-tta wyciągnął dłonie w kierunku Rahe-dasa. Na płóciennej szmatce błysnął matowoczarny, pochylony stożek.

– Czy nie powinniśmy odprawić misterium poznania? – Irga z trudem odpędził chęć ujęcia Deuryona w palce.

– Po co? – Ziz-tta skrzywił się lekceważąco. – Nie trzeba już oszukiwać się zastępczym obrzędem kontaktu. Czyż wkrótce nie zetkną się wszystkie? Na zawsze...

– Jeszcze do tego daleka droga – westchnął Rahe-das. – Władca Wody dołączy jako czwarty, potem może Geen, Etaur... A dalej? Dessirh i Llagoll zaginęły, nie ma żadnych śladów. Nie ma zaklęcia scalenia, jak mam działać?

Ziz-tta położył kryształ na kamieniu i odwróciwszy się spojrział w górę, ku szczytom Threkhte-n-Uoso.

– Może nie jest tak źle, jak sądzisz – rzekł. – Może zdołam ci pomóc.

– W jaki sposób? Czy coś wiesz?

Mistrz oderwał wzrok od iglic Zębów Góry i popatrzył w milczeniu na swego gościa.

– Zdobądź Władców Ziemi i Czasu i czekaj na mnie w Ibbomi – powiedział wreszcie po długiej chwili. – Wówczas się dowiesz.

– Czy to możliwe? Myślałem, że już nikt...

– Chodźmy – Ziz-tta podniósł Deuryona i otulił szmatką. – Czekają ci? długa droga, musisz odpocząć.

– Nic mi teraz nie zdradzisz?

– Zdobądź Etaura i Geena – powtórzył Ziz-tta, kierując się ku schodom.

Rahe-das wrócił do celi podniecony rozmową z mistrzem cerańskiego zakonu. Nie faktem otrzymania Deuryona, a właśnie ową rozmową lub raczej niespodziewaną nadzieją, którą obudziła. Co on wie? Tajemniczość Ziz-tta mogła oznaczać, że ma on ważne informacje, ale i być zwykłą pozą, chęcią podkreślenia swej roli w świętej misji. Dlaczego żąda przede wszystkim zdobycia kryształów, o których wiadomo najwięcej? Dobrze, że nie każe mu tutaj wracać; miał jednak prawo dojść do wniosku, że klasztor jest najlepszym miejscem dla

ujawnienia tak ważnej wiadomości. Rahe-das nie mógł pozwolić sobie na częste wędrówki pod Smoczymi Górami – zwiększały prawdopodobieństwo napotkania xinxa. A on musiał – wbrew regule klanu – unikać spotkania. Nie wolno mu ryzykować zakończenia misji w brzuchu potwora.

Musi poradzić się Tajemnic. Może zostanie dopuszczony do tej, która wiąże się z jego sprawą? A jeśli nie, to pojmie więcej, zdobędzie jakąś wiedzę. Tajemnica zawsze może pomóc w działaniu, wzbogacić o część tej mądrości, której wyrozumować nie sposób. To przywilej kasty Geue; zażąda jego spełnienia.

Strażnicy czekali. Nie byli aż tacy domyślni; wcześniej wysłał Dedhi-vera, aby ich uprzedził. Wszedł pewnym krokiem do komnaty i stanął przed nimi. Oddzielał go długi stół, okryty czarną materią, na której wyhaftowano symbole Tajemnic Pierwszych. Powiódł wzrokiem po twarzach starców. Czekal na ich słowa.

– Żądałeś Tajemnicy, Rahe-das-Geue – siedzący pośrodku przełożony Ławy nachylił się w stronę przybysza. Na jego piersi błysnęła podwójna igła tiris, należna klanowi Diie.

– Tak, czcigodny Anth-oi.

– Czego oczekujesz?

– Wskazówki.

– Tajemnice nie udzielają wskazówek. One ofiarują poznanie.

– Wiem, Diie. Nie przyszedłem tu po przepowiednię. Potrzebuję siły i pewności, że idę we właściwym kierunku.

– Na to wolno ci liczyć. Bowiem choć nigdy nie wiadomo, jaką Tajemnicę zdołasz osiąść, zawsze wiąże się ona z twoim losem. Można rzec: poszerza twój umysł w kierunku, w którym zmierzasz... lub powinienesz zmierzać.

– Rozumiem to, czcigodny – Rahe-das skłonił się powtórnie, z trudem tłumiąc zniecierpliwienie. Nie miał ochoty słuchać pouczeń, nie pierwszy raz żądał dostępu do Tajemnicy. Lecz nie można obrażać Ławy lekceważeniem słów jej zwierzchnika.

– Udasz się teraz do komnaty Tajemnic. Sługa już czeka. Ostatnie wskazówki otrzymasz od niego – Anth-oi powstał zza stołu. W ślad za nim podnieśli się trzej pozostali kapłani. Bez słowa, nie zwracając już uwagi na Rahe-dasa, wszyscy trzej opuścili salę przyjęć.

– Panie... – usłyszał za plecami cichy głos. Odwrócił się. Stał za nim niepozorny, chudy eneika w postrzępionym kaftanie. – Mam zaprowadzić cię do komnaty – wyjaśnił, widząc



pytanie w oczach Rahe-dasa.

Zbliżył się do wiszącej wzdłuż ściany kotary i odsunął ją. Ich oczom ukazały się wąskie, zamknięte żelazną sztabą drzwiczki. Przewodnik z wysiłkiem uniósł sztabę, po czym wszedł w ciemność za drzwiami. Krótki nieoświetlony korytarz przebyli szybko. Wkrótce znaleźli się przed bliźniaczą furtką, również solidnie okutą. Ceran trzykrotnie w nią zapukał. Na ów sygnał drzwi uchylły się ze skrzypieniem i w szparze pojawiła się głowa.

– Rahe-das? – padło pytanie.

– Przybyłem – odpowiedział.

– Wejdz, Geue. Wszystko gotowe. – Furta otwarła się szerzej. Sługa komnaty dał znak przewodnikowi i ten wycofał się z ukłonem. Rahe-das wszedł do środka.

– Byłeś już tutaj? – sługa podreptał za nim. Był stary i utykał na lewą nogę. Tu widocznie nie przywiązywano wagi do sprawności piastującego tę funkcję, przeciwnie niż u Irgów. Rahe-das skrzywił się z dezaprobatą. Co będzie, jeśli zasłabnie przy świętym ogniu? Ten zgrzybiały kaleka nie zdoła mu pomóc.

– Tu nie. Poznawałem Tajemnice w Lan – odpowiedział, kierując się w stronę kamiennego znicza.

Palenisko było jeszcze ciemne i zimne. Rahe-das poczuł ostrą woń oleju.

– Roznieć ogień – polecił.

Sługa przytknął pochodnię do znicza. Kamienna misa buchnęła wysokim płomieniem, czarny kłęb kopcia poszybował ku górze.

– Możesz odejść – Rahe-das ukląkł, potem przysiadł na piętach.

– Wiesz, jak masz postępować? Patrz tylko w ogień... – starzec wygasił pochodnię w kubie w wodą i pokuśtykał do drzwi. – Będę tu obok, gdyby coś...

Idź już.

Usłyszał skrzypnięcie zawiasów i wierzeje zatrzasnęły się głucho. Został sam.

Znicz płonął równym, jasnym ogniem. Popatrzył na drżący lekko płomień. Jakoś nie potrafił skupić się na nim, jakby nie był dostatecznie przygotowany. Czyżby przyszedł tu pochopnie? Nakierował myśli na czekające go zadania. Nie powinien tego robić, nie należy nic sobie sugerować, Trorr-ud sam wyznacza zakres poznania, ale czuł się roz – kojarzony, a przecież Tajemnica powinna dotyczyć właśnie tego... Nic się nie działo. Płomień nie zmienił kształtu ani barwy, dalej widział w jego świetle zakamarki komnaty Tajemnic. Dlaczego?... Przecież jest tyle

rzeczy, których nie wie! Bóg-eneika nie zostawi go chyba samego wobec celu, który przed nim postawił... Co znaczy to milczenie?

Rozejrzał się po sali. Nadal wszystko było jak przedtem: pusta komnata bez sprzętów, tylko garniec z wodą przy wejściu i postument ze zniczem. Jego świadomość mieściła się w ciele, żadna myśl nie wnikała do niej. Nie zapadła ciemność, nie spłynęło nagle światło; jedynie cisza tak głęboka, że słyszał jednostajny szum płomienia. Może Tajemnica Ciszy? Poruszył ręką, potarł nią ubranie. Usłyszał szelest materiału, a więc nie...

– Tu jestem – powiedział głośno. Ciche echo odbiło się od pustych ścian.

– Jestem tutaj, na Storg-orha, czy o mnie zapomniano?! – krzyknął, zrywając się z klęczek.

A może coś przeoczono? Może ten stetryczały sługa komnaty czegoś zaniedbał? Tak, na pewno tak było, przeklęty staruch... Podbiegł do drzwi.

Starzec siedział za progiem z głową opartą na dłoni. Na widok Rahe – – dasa wyprostował plecy i wsparłszy się o ścianę począł z wysiłkiem wstawać.

– Witaj wśród tych, którzy wiedzą więcej – powiedział.

– Bredzisz, głupcze! Nie było wtajemniczenia, coś musiałeś sknocić! – krzyknął Irga. Chwyił Cerana za kaftan i potrząsnął nim z wściekłością.

Sługa złapał jego dłonie i z niespodziewaną siłą rozgiął zaciśnięte palce. Popatrzył dziwnym wzrokiem na rozgniewanego Zabójcę.

– Czy wiesz, jak długo tam byłeś? – powiedział wolno.

– O czym ty... – Rahe-das wyszarpnął rękę z uścisku.

– Mija drugi dzień, jak zamknąłem drzwi komnaty Tajemnic Pierwszych.

Początkowo nie zrozumiał.

– Łżesz! Przecież dopiero co... I nic się nie stało, pojmujesz? Nic! Starzec pokręcił przecząco głową.

– Nie wychodzi się stąd bez Tajemnicy. Ona w tobie jest.

\*

*Co mi powiedział Trorr-ud? Czy milczenie też jest informacją? Czemu wobec tego owa tajemnica nie ma imienia? Zawsze po dopuszczeniu wie się, co bóg-eneika pozwolił poznać... Niewiedza jako wiedza... Bezimienna Tajemnica... Co to wszystko znaczy? Przecież przede mną jest tylko jedna droga i wszystko, czego mógłbym dowiedzieć się z Tajemnic Pierwszych, musi jej dotyczyć! To przecież takie proste: uda się lub nie. Innego wyjścia nie ma. Czemu więc milczysz,*

*o boski Trorr – – udzie? Dlaczego nie przemówiłeś?*

\*

– Coś małowmowny zrobił się nasz Geue – powiedział półgłosem Immi-wu, nachyliwszy się do ucha Dedhi-vera. Ten zerknął na idącego przed nimi Rahe-dasa i, kładąc palec na ustach, zwolnił kroku.

– On był w sali Tajemnic Pierwszych – odpowiedział szeptem. – To od tego czasu się zmienił.

– Czegoś się dowiedział – stwierdził marynarz. – I chyba niezbyt pomyślnego, jest ponury, jakby Trorr-ud zabrał mu umiejętność śmiechu...

Długa kolumna eneików posuwała się wzdłuż koryta rzeki płynącej zakolami wśród wzniesień pogórza. Góry Smocze zostały z tyłu i groźnym cieniem przesłaniały południowy widnokraj. Krótki odcinek jaskiń przebyli bez kłopotów i teraz wędrowali pod bezchmurnym niebem, otoczeni zielenią pagórków, ciesząc się słońcem i śpiewem ptaków. To zawsze był powód do radości, gdy opuszczało się podziemia i szło dalej ze świadomością, że skały, ciemność i xinxu oddalają się z każdym postawionym krokiem.

Byli w krainie Urum, właściwie księstwie, bo tak tutejsi władcy na valijską modłę nazwali swe państwo. Książęce tytuły nie zmieniły jednakże faktu, że pozostali jedynie palatynami, namiestnikami Trorr-uda, a raczej zesłanego niegdyś przez niego wszechwładcy eneików, boskiego Czarnego Kryształ. Mieli dzierżyć to namiestnictwo do czasu, aż okrucy kamienia połączą się i Ayantiall na powrót obejmie władzę nad światem. Taka była idea eneickich palatynatów i żadne samozwańcze godności zmienić tego nie mogły.

Mistrz Ziz-tta ofiarował Rahe-dasowi pomoc: pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych Zabójców Smoków pod dowództwem Sebb-oam-Geue – zręcznego wojownika i doświadczonego wodza. Mieli chronić go w drodze oraz czuwać nad kryształami w Ibbomi, kiedy Irgowie wyprawia się po następne. Nie był to liczny oddział, zwłaszcza że należało go później podzielić na straż w Ibbomi i eskortę na szlaku do Nissków. Rahe-das był jednak wdzięczny i za tyle; wędrowka przez Zagórze nie była łatwym przedsięwzięciem.

Nikt ich dotąd nie niepokoił. Graniczną wartownię zastali pustą, podobnie jak pierwsze osiedla. Rahe-das nie miał pewności, jak przyjmie go władca Urum. U schyłku minionego zuaru księstwo stanęło po stronie Durlocku. Stąd wzięła się wrogość w stosunkach z Ceranami, najbardziej ortodoksyjnymi przeciwnikami wszelkich napływowych nacji Loinu – tak walów

z Przedgórza, jak i rządzących Durlockiem, Torwią i Królestwem Shonnów tornów, a z nich zwłaszcza tych pierwszych: panów złowieszczego imperium Mocy. Po upadku Durlocku Urumowie wrócili do swych siedzib i wszelki słuch o nich zaginął. Nie nawiązali zerwanych kontaktów z górskimi plemionami eneików, a do niedawnych sprzymierzeńców – rodaków znad Morza Nissków – mieli za daleko. Toteż Rahe-das obawiał się spotkania z nimi. Nie troszczył się o siebie, lecz o wypełnienie posłannictwa. Tu bowiem mieszkał Etaur.

Po trzech dniach przerywanej krótkimi popasami wędrówki stanęli nieopodal Worh. Dopiero tutaj, blisko stolicy, wsie były zamieszkane, za to tak gęsto, jakby Urumowie za wszystkich stron księstwa przenieśli się w te okolice. Z niewiadomych powodów szukali schronienia w pobliżu książęcej siedziby. To było dziwne, wszak ich armia uniknęła klęski, wycofując się w porę po upadku imperium. Czyżby zima przełomu tak dotknęła to plemię, że zmuszone było szukać ratunku u pala – tyna w centralnym grodzie?

Nocowali w stojącej na uboczu opuszczonej zagrodzie. Kiedy wstał Roth, okazało się, że ich swobodna podróż właśnie dobiegła końca. Immi-wu, który pierwszy wyszedł z chaty, cofnął się gwałtownie do środka.

– Mamy gości – powiedział.

Rahe-das podszedł do okna. Zagrodę otaczał szczelny pierścień zbrojnych w łuki wojowników.

– Żołnierze Urum – stwierdził. – A gdzie twoi wartownicy, Sebboam? – zapytał stojącego za nim Cerana.

Twarz górala nabiegła krwią.

– Pożaluj, że zrodziła ich matka – warknął.

– Nie wiadomo, czy jest jeszcze kogo karać – zauważył Immi-wu.

– Do okien! – Sebb-oam rzucił komendę swym podwładnym. Ci nie czekali na dalsze rozkazy. Dwudziestu Zabójców w mgnieniu oka zajęło pozycje pod trojgiem okien i drzwiami.

Rahe-das wyrzwał na podwórze. Z uchylonych wrót sąsiedniej szopy, gdzie nocowała reszta oddziału, sterczało kilka włóczy. Tam również dostrzeżono niebezpieczeństwo.

– Bić się z nimi nie będziemy – zdecydował. – Po pierwsze są w przewadze, a po drugie przybyliśmy tu w innym celu. Sięganie po garnag to najgorsze, co moglibyśmy uczynić.

Uchylił drzwi i wysunął się za próg. Wyciągnął ręce przed siebie na znak pokoju i ruszył ku Urumom.

Szereg wojowników drgnął, sto łuków zwróciło się w kierunku idącego. Rahe-das przeszedł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się.

– Witajcie, Urumowie! – krzyknął głośno. – Irga Rahe-das, Zabójca Smoków z tytułem Geue, pozdrawia walecznych żołnierzy dzielnego plemienia!

Przed kordon łuczników wysunął się wojownik w narzuconej na ramiona skórze kuara.

– Tu nie miejsce na ceremonialne powitania – powiedział. – Po co przybyłeś i dlaczego prowadzisz ze sobą oddział dzikich Ceraanów?

– Kim jesteś, eneiko? – zapytał Rahe-das. – Chciałbym wiedzieć, kto zaszczyca mnie rozmową. Masz się za bardziej cywilizowanego niż ci tam, w szopie, a zdarzyło ci się zapomnieć o zasadach grzeczności. Podałem moje imię, chciałbym poznać twoje.

– Jestem setnik Dezzieh-vado. Czy to cię zadowala?

– Dowodzisz tymi eneikami?

– Tak i chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje pytania.

– Idę z ważną misją do waszego palatyna. To nie jest sprawa dla twoich uszu.

– Nie mamy tu palatyna – sprostował gniewnie Urum. – Giuao-temh nosi tytuł księcia.

Irga zacisnął zęby, aby stłumić cisnącą się na usta odpowiedź. Nie warto było pogarszać sytuacji z powodu tytułarnych różnic.

– Szlachetny Giuao-temh, wasz władca, jest jedynym, któremu mogę zdradzić cel mego przybycia. Czy zaprowadzisz mnie do niego?

– Znam sposób, byś powiedział i mnie – Dezzieh-vado uśmiechnął się drwiąco. – Po co chodzić tak daleko?

Tego już Rahe-dasowi było za wiele.

– Uważaj, eneiko – powiedział ściszym głosem. – Masz przed sobą pięćdziesięciu Zabójców. Moja cierpliwość także ma granice, nie przekraczaj ich.

– Grozisz? – zaśmiał się wojownik.

– Ostrzegam.

Było coś w głosie przybysza, co kazało setnikowi zaprzestać kpin.

– Twierdzisz, że przybyłeś w pokoju, lecz wiesziesz zbrojny oddział – rzekł już łagodniej. – A może oni wszyscy mają sprawę do księcia Giuao-temha?

– To moja eskorta – odparł Rahe-das. – Księstwo Urum jest etapem na mojej drodze, ceraanские Bractwo Zabójców Smoków użyczyło mi wojowników dla ochrony przed

niebezpieczeństwami podróży przez Zagórze.

– Wybierasz się dalej? – wiadomość zaciekała Dezzieh-vado. – Tam nie ma już czego szukać, imperium Durlocku zmieniło się w królestwo ghotów i dzikich zwierząt. I prędzej czy później wpadnie w ręce valów. Nie znajdziesz tam nic, co byłoby warte narażania życia.

– Zaprowadź mnie do pa... do księcia – Rahe-das nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję. Setnik zastanowił się.

– Dobrze – rzekł. – Ale tylko ciebie. Wojownicy Ceranów zostaną tutaj.

– Nie chcę iść sam. Pogódźmy się: wezmę ze sobą czterech eneików.

– Dwóch.

– Niech i tak będzie – zgodził się Irga. – Ale zagwarantujesz mi, że nikt nie będzie Ceranów niepokoił.

– Bądź pewny. Postaram się, aby oni również nie niepokoił nikogo.

Mały konwój przybył do Worh po południu. Trzej Irgowie, eskortowani przez dziesięciu żołnierzy, różnym krokiem podążali wąskimi uliczkami grodu w stronę widocznej z daleka siedziby księcia. Zaciekawieni mieszkańcy odprowadzali wzrokiem nieoczekiwanych gości, nie śmieli jednak zbliżyć się do nich, widząc groźną postawę towarzyszących Zabójcom wojowników.

Miasto miało kształt nieregularnej gwiazdy, której ramionami były zbiegające się ku środkowi ulice, obramowane rzędami parterowych, w większości drewnianych domków. Tu i ówdzie trafiały się budowle z kamienia, własność możniejszych obywateli. Centrum zbudowano na wzniesieniu i otoczono ostrokołem z grubych pni galii. Nad nim górowało piętro i dach wielkiego gmachu. Nietrudno było się domyślić, że właśnie tam rezyduje boski namiestnik, książę Giuao-temh – władca plemienia Urum.

Bramę zastali otwartą i oddział, po okrzyknięciu się strażom, wkroczył na dziedziniec. Z naprzeciwka zbliżył się odziany w kolczugę ene – ika. Dezzieh-vado z szacunkiem pochylił głowę.

– Bądź pozdrowiony, czcigodny Nanna-ove. Przyprowadziłem...

– Ty jesteś Rahe-das? – eneika, ignorując setnika, zwrócił się do Irgi. Zabójca skłonił się.

– Tak, czcigodny.

– Chodź ze mną, książę czeka. – Nanna-ove odwrócił się i szybko ruszył w stronę budynku.

Rahe-das z wahaniem popatrzył na towarzyszy. Urum, jakby wyczuł jego wątpliwości,

zatrzymał się.

– Oni też – rzucił, nie odwracając głowy.

Bez słowa podążyli za nim. W sieni Nanna-ove wskazał ławę pod ścianą.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział. – Księżę was wezwie. Posłusznie usiedli, zaś ich przewodnik zniknął za drzwiami.

– Znają nas – mruknął Dedhi-ver po wyjściu Uruma.

– To mnie zbytnio nie dziwi – odparł Rahe-das. – Wieści mistrza Mom-udi musiały dotrzeć i tutaj.

– Jak myślisz, będą kłopoty?

– To nie ma znaczenia. Z kłopotami czy bez musimy odzyskać kamień.

– Kłopoty już się zaczęły – wtrącił Immi-wu. – Znowu zostaliśmy sami.

– Oni nie kochają się z Ceranami. Można było przewidzieć, że nie dopuszczą do włóczenia się po kraju zbrojnej drużyny górali – odpowiedział Rahe-das.

– Ale to nas pozbawia obrony...

Immi-wu nie dokończył. Drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich Nanna-ove.

– Wejdźcie – powiedział.

Znaleźli się w przestronnej sali, której strop wspierał się na czterech rzędach drewnianych kolumn, pomalowanych w czarno-czerwo – nie pionowe pasy. Ściany komnaty były tak szczelnie wybite skórą, że trudno było ustalić, jakiego budulca użyto do ich wzniesienia. Wszędzie, na kolumnach i ścianach, wisiały wojenne i myśliwskie trofea oraz broń: łuki, topory, zdobywcze valijskie miecze i kusze, rogi irma – nów, sznury pazurów kuara i wreszcie długi rząd nadzianych na włócznie, wysuszonych głów. W milczeniu Irgowie przyglądali się tej koszmarniej dekoracji, a skurczone, zmięte twarze odpowiadały im spojrzeniem pustych oczodołów. Wśród zbrązowiałych czaszek, powleczonych pomarszczoną skórą, wyróżniały się ubrane w srebrne kaptury głowy tornów. Nie było ich wiele, lecz świadczyły, że nawet synowie nieba niegdyś ulegali wojownikom Urum. Oprócz nich dostrzegli kosmate czerepy eneików, valijskie o bezwłosych obliczach, a także szczerzące kły, zwierzęce pyski ghotów. Niektóre musiały być bardzo stare: skóra na nich popękała, a włosy poczęły wypadać, odsłaniając wylinia – ły placki. Trofea wiszące najbliżej wejścia pochodziły zapewne z ostatniej wojny; jeszcze wyglądały naturalnie, a wiele z nich zdobił jakby grymas agonii. I wszystkie należały do walów.

Między rzędami kolumn stali w zwartych szeregach żołnierze z przybocznej drużyny księcia.

Byli dobrze uzbrojeni, jak wszyscy wojownicy plemienia Urum; ich broń miała groty i ostrza z metalu, najczęściej brązu, stalowe i brązowe garnagi tkwiły za pasami. Stanowili przeciwieństwo biednych i prymitywnych Ceranów, którzy dotąd powszechnie stosowali kamień na młoty i topory, kosztownego stopu używając tylko na klingi swych tradycyjnych noży. Widać było, że Urumowie częściej niż ich rodacy z gór kontaktują się z innymi rasami, może nawet tak często jak Irgowie – stal mogła pochodzić tylko z handlu z valami, eneikowie nie wytapiali jej sami. Tu, na Zagórze, od ella – rów żyło tylko jedno valijskie plemię: Minnowie podlegli torneńskim władcom Durlocku. Dopiero ostatnimi czasy dochodziły słuchy o wkroczeniu na ich terytorium zwycięskich Iserów. Większość obcych przedmiotów musiała zatem pochodzić właśnie od Minnów. Eneikowie Urum pozyskiwali je, w zależności od stanu aktualnych stosunków, siłą targu lub garnaga.

Szpaler zbrojnych ciągnął się od wejścia pod przeciwległą ścianę, gdzie w otoczeniu kilku dostojników siedział eneika ubrany w czarną, powłóczystą szatę. Jego siwą głowę zdobiła – według valijskiego zwyczaju – miedziana obręcz, atrybut władzy książęcej. Wspierał się na smukłym czekanie. Splótłszy dłonie na jego lśniącym srebrzyście kolcu, zataczał nim niewielkie kółka.

– Podejdźcie bliżej – usłyszeli jego głos.

Pomaszerowali między czwórszeregiem gwardii, pod grotami włóczni i spoglądającymi sponad nich czerepami zabitych wrogów. Zatrzymał ich gest władcy.

– Który z was jest Rahe-das-Geue? – spytał Giuao-temh.

– Ja. – Rahe-das wystąpił przed towarzyszy.

Książę, przekrzywiwszy głowę, obrócił ku niemu spojrzenie.

– Ty... – powiedział z zastanowieniem. – Nie myślałem, że jesteś tak młody.

– Młodość to zaleta, nie wada – odparł Zabójca. – Zwłaszcza w tym, co robię.

– Wiem, wiem... Nie żyjemy na pustyni, wiadomości docierają tu czasem.

– Wiesz zatem, po co przybyłem.

– Oczywiście. Mistrz waszego Bractwa postarał się o to. Bo to jego sprawka, prawda? – książę uśmiechnął się.

– Twoja przenikliwość budzi szacunek, czcigodny.

– I pewnie chciałbyś dowiedzieć się, co o tym myślę?

– Każdy eneika, któremu bliska jest idea Oll-hirr, musi myśleć tak samo.



– To znaczy: tak samo jak ty?

– Zapewne tak.

– Skromność nie należy do twoich zalet, w przeciwieństwie do młodości. Ale masz rację, pamięć o dawnych czasach i Władcy Wszechrzeczy nie powinna umrzeć. A jeśli istnieje możliwość ich wskrzeszenia, rezygnować bez walki nie wolno.

– Dzięki za te słowa – Rahe-das pochylił głowę. – Żal, iż nie wszyscy tak rozumują. Odwiedziłem niemało krain zamieszkałych przez plemiona eneików i tylko nieliczni podzielali twoje zdanie.

– Eneikowie zapominają... – w głosie księcia zabrzmiał smutek.

– Nie wszyscy. Ty, panie, jesteś tego dowodem.

– Nie musisz silić się na uprzejmość, wiem dobrze, jak wygląda sytuacja. Urumowie są po twojej stronie, możesz żądać, Geue.

– Zwróć kryształ. Giuao-temh wstał.

– Kierujesz żądanie w niewłaściwą stronę. Ja nie dysponuję Etaurem – powiedział.

– Domyślam się, lecz z pewnością możesz wydać polecenie powiernikowi.

– Nie mogę. Kamienia tu nie ma.

– Jak to: nie ma? Gdzie wobec tego jest?

– Boski kryształ spoczywa, podobnie jak u was, w klasztorze Zabójców Smoków.

Jego słowa zaskoczyły Rahe-dasa.

– Macie tu zakon? Nie wiedziałem...

Książe nie odpowiedział od razu. Popatrzył chmurnie na stojącego przed nim Irgę, po czym rzekł po długiej pauzie:

– Jest klasztor, daleko stąd, w miejscu, gdzie Wielki Urt wypływa z gór na niziny. Ale niełatwo tam dotrzeć.

– Dlaczego?

– Kraj jest wyludniony, widziałeś przecież. Zabójcy zostali tam sami. A po drugiej stronie rzeki rozciąga się Pustynia Śmierci.

– Widziałem opustoszałe wioski, lecz nie znam powodu...

– Wszyscy Urumowie skupili się wokół Worh. Stało się to wtedy, gdy armia biła się z Iserami, w ubiegłym zuarze. Pustynia obudziła się.

– Jak to?

– Ogniste meduzy przekroczyły Wielki Urt. Pojawili się też sahani – widmowi jeźdźcy. Eneikowie uciekli tutaj, do wideł Wielkiego i Małego Urtu, gdzie słudzy pustyni nie docierają. Tam został tylko klasztor. Nie wiem, czy jeszcze istnieje.

Rahe-das poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wzbierała w nim zajadła, nieprzejednana nienawiść do wszystkiego, co uchylało Ayan – tiallowi, ta sama, która kazała mu zabijać.

– Wydaliście kryształ na łup pustyni?!

– Wojsko było w Iserii, mówiłem. Zresztą, cóż może uzbrojony nawet eneika przeciw sile Storg-orha?

– Mielście obowiązek chronić Etaura!

Giuaio-temh postąpił krok do przodu. Jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Rahe-dasa.

– Nie krzycz na mnie, Zabójco – powiedział spokojnie, jedynie drgające mięśnie szczęk zdradzały tłumione wzburzenie. – Nie ja rządziłem wówczas Urumami, byłem wtedy dzieckiem. A Zabójcy odmówili opuszczenia klasztoru, wiem to od ojca.

Irga z wysiłkiem pohamował gniew i siłą woli zmusił się do spokoju. Istotnie, Giuaio-temh nie mógł odpowiadać za winy przodków.

– Pójdę tam – zdecydował. – Dasz mi przewodnika?

Książę pokiwał głową, a na jego ustach znów pojawił się uśmiech.

– Dam przewodnika i wojowników dla ochrony.

– Za wojowników dziękuję, mam cerańskich Zabójców.

– Zbrojnych nigdy w nadmiarze, chociaż przeciwko monstrom pustyni nie działają wiele. Lecz obecność większej grupy oddała niebezpieczeństwo; niewolnicy Storg-orha unikają atakowania licznych oddziałów.

– A, właśnie – wymieniłeś nazwę, której nie znam. Kim są sahani?

– Po raz pierwszy pojawili się pod koniec traut. Nazwano ich widmowymi jeźdźcami, bo najczęściej przybierają postać valijskich rycerzy na irmanach lub kisetach. Zdarza się czasem, że wyglądają jak srebrni tomowie, a bywają też podobni do eneików... To widma, Rahe-das. Strzały przenikających ciała niczym powietrze, nie czynią im najmniejszej krzywdy. A oni zabijają. Wielu naszych położyło głowy, ani razu nie udało się ich pokonać.

– Skąd się wzięli? Wiemy o meduzach, o xinxach, innych sług Pan Pustyni nie miał, a tu nagle jeźdźcy..?

– Mówią że wypluwają ich ogniste meduzy – wtrącił Nanna-ove. – Że wychodzą z płomieni.

- Zawsze było odwrotnie: żywych pochłaniały ogniste kręgi.
- A teraz wyrzucają martwych... – Giuao-temh spojrział wymownie na Zabójcę.
- Myślisz, że to... ci sami? – szeptem zapytał Rahe-das.
- Może...
- Jeżeli tak jest, to wyobraź sobie, księżę, jaką armię posiada dziś Storg-orh! Już tyle ellarów meduzy tańczą po obrzeżach Pustyni Śmierci.
- I ujawnia ją teraz... Dlaczego? – Księżę w zamyśleniu potarł kosmaty podbródek.
- Jeszcze nie wiem, czcigodny – rzekł powoli Rahe-das – Ale to zaczyna układać się w całość.
- Co masz na myśli?
- Nie potrafię ci tego wyjaśnić... takie skojarzenie... Wszystko, co dzieje się wokół wskrzeszenia Ayantialla, wiąże się z aktywnością Storg-orha.
- Nie rozumiem. Powiedz, co wiesz.
- Jeszcze za wcześnie, jeszcze czegoś mi brakuje. Ale myślę, że nadchodzą trudne czasy, księżę.

\*

Eneikowie szybko maszerowali w stronę gór, znów wyraźnie widocznych na horyzoncie. Rozciągnięta kolumna składała się z trzech członów: otwierało ją dwudziestu Urumów, których oddał Rahe-dasowi księżę Giuao-temh, za nimi kroczyli trzej Irgowie w towarzystwie Sebb – oama i dowodzącego Urumami setnika Dezzieh-vado, pochód zamykał oddział Ceranów. Rahe-das świadomie dokonał takiego podziału, wołał uniknąć zatargów między wojownikami wrogich sobie plemion. Również na postojach obie grupy obozowały osobno, ignorując się nawzajem. Nawet wspólny cel wyprawy nie przełamał niechęci. Dawali jej wyraz także obaj dowódcy, którzy idąc wraz z Irgami, trzymali się od siebie z daleka, choć jako podlegli jednemu wodzowi starali się tego nie okazywać.

Wędrówka przebiegała spokojnie. Mimo to eneikowie czuli się nieswojo, coraz trudniej przychodziło odpędzić nie wiadomo dlaczego narastającą depresję i nieuzasadniony lęk. Może powodem tym była towarzysząca im od samego Worh, oddzielona nurtem rzeki szara, kamienista równina. Ciągnęła się po zamgloną linię na zachodzie, gdzie stykała się z niebem. To tam było źródło przygnębiających myśli, które mimowolnie opadały idących niemal materialną falą, otulały niewidzialnym obłokiem.

Wielki Urt przepołowił kraj na dwie części. Stanowił jednocześnie granicę odrębnych światów: tego na wschodzie, żyznego i niegdyś licznie zamieszkanego, pełnego zieleni i zwierzyny, i tego, który widzieli po drugiej stronie: martwego, nieożywianego najmniejszym poruszeniem. Pustego, bladego nieba nigdy nie przeciął tam żaden ptak, na kamienistej glebie nie zostawiło śladów żadne zwierzę. Była to dziedzina Storg-orha, siedziba złych mocy, których nie ujarzmili władający Tuą bogowie. A wielu z nich podejmowało taką próbę: i Trorr-ud ze swymi sługami, i valijscy bogowie, liczni i silni, i tajemnicze bóstwa tornów, i najpotężniejszy, ukryty pod kamienną skorupą, stworzony i zesłany przez Trorr-uda, Ayantiall. On był najbliższy zwycięstwa. To on wypędził Zło na ten pustynny skrawek Zagórza, zamknął je tu na wiele ellarów. To terytorium, oddane we władzę Zła, narody Loinu zgodnie nazwały jednym imieniem, chociaż ten, który nim rządził, różne nosił miana. Eneicki Storg-orh, valijski Zrann czy tomeński Vion Grahu to był on – Pan Pustyni. Jego królestwo we wszystkich językach zwano Pustynią Śmierci.

Krajobraz począł się zmieniać. Łagodne dotąd pagórki wznosiły się coraz stromiej. Coraz bystrzejszy nurt rzeki płynął teraz głęboko w dolinie, poniżej wypłukanej skarpy wschodniego brzegu. Jej wierzchołkiem przemieszczał się długi wąż eneików. Droga stawała się uciążliwa. Po długich podejściach coraz krótsze odcinki wiodły w dół, a potem ścieżka przeginała się w kolejne, jeszcze wyższe wzniesienie na podobieństwo wielkich, wypaczonych ze starości schodów. Na porośniętej bujną trawą ziemi niby szaro-biała wysypka wyrastały kikuty zmurszałych skałek. W końcu, gdy zmierzch zaczął ogarniać niebo od wschodu, a po czerwonej kuli Rotha pozostała tylko purpurowa luna, pod stopami idących zahurkotały kamienie. Trawiaste pogórze skończyło się raptownie i eneikowie wkroczyli między gigantyczne bloki szarej skały, które ciągnęły się nieregularnym murem po obu stronach rzeki. Przed nimi, a raczej nad ich głowami, przyklepione do urwistego zbocza czerniały wieczornymi cieniami mury starej twierdzy. Wędrówka dobiegała końca.

Do klasztoru wiodła wąska ścieżka, pnąca się zakosami pod górę. Podążyli nią pospiesznie, aby dotrzeć do celu przed zapadnięciem nocy. Ścieżka ginęła co chwila wśród głazów, potem wyłaniała się z cienia kilkadziesiąt kroków dalej lub załamywała raptownie w przeciwnym niż dotychczas kierunku. Te zakręty, wycięte w litej skale, kryła już głęboka ciemność. Zanurzali się w nią ze strachem, który potęgował się, w miarę jak gęstniał mrok na otwartej przestrzeni i niebie.

Szli w milczeniu. Ciszę mącił tylko brzęk blaszanych łusek na kara – cenach Urumów i lekki stukot skórzanych cerańskich łapci. Klasztor ginął w mroku. Tam, gdzie przedtem widzieli skruszone blanki, migotał słaby płomyk latarni – znak, że życie jeszcze tu nie zamarło. Noc rozgościła się wśród skał na dobre.

Aby nie pogubić się w mroku, eneikowie połączyli się w łańcuch, chwyciwszy jeden drugiego za pasy lub poły opończy. Rahe-das poruszał się prawie po omacku. Widział przed sobą plecy Sebb-oama i czuł na karku zdyszany oddech Immi-wu. Miał wrażenie, że oprócz marynarza wlecze wszystkich idących za nim Ceranów. Pas, który kurczowo ścisnął następujący mu na pięty towarzysz, wrzynał się w brzuch, gniołła żebra rękojeść garnaga. Przyciśnięte do ciała ostrze nagle poczęło grzać mu skórę. Czuł to ciepło przez płócienny kaftan coraz mocniej, intrygowało go, nie potrafił dojść jego przyczyny. I raptem zrozumiał. Gorączkowo wyszarpnął nóż. Klinga ze świętego metalu ngorhi jarzyła się rubinowym blaskiem, który pełził od rękojeści ku wierchołkowi. Rahe-das patrzył na to oniemiały, a światełko spłynęło z ostrza niczym kropla i rozjaśniło ciemność na czerwono. Już płynęło następne, za nim jeszcze jedno i jeszcze... Garnag pulsował regularnym rytmem purpurowych rozbłysków, ostrzegał.

– Co się stało? – usłyszał szept Immi-wu, zaciekawionego niespodziewanym postojem.

Bez słowa pokazał nóż.

– Świeci?! – zdziwiony marynarz wykonał gest w kierunku garnaga, lecz jego ręka zamarła w połowie drogi. Rahe-das wskazał na skupionych za nimi Ceranów. Spod ich kaftanów, migocąc dziesiątkami błysnięć, płynęło takie samo światło.

– Xinx! – Dedhi-ver przepchnął się przez otaczający towarzyszy krąg. – Mój garnag świeci! – zamilkł, ujrawszy migocące pasy Zabójców.

– Czy on mówi prawdę? – spytał Dezzieh-vado. – Czy rzeczywiście jest tu gdzieś xinx? – trwożnie rozejrzał się po mrocznych zakamarkach zbrocza.

– Garnag obudził się... – rzekł Rahe-das przyciszonym głosem. – Lecz xinxy od dawna nie opuszczają podziemi, nie spotyka się ich na otwartej przestrzeni!

– Czemu więc świecą wasze noże?!

– Nie wiem... – Geue bezradnie popatrzył na twarze otaczających go eneików. – Naprawdę nie wiem...

– Spójrzcie! – głośny okrzyk Dedhi-vera zwrócił uwagę wszystkich. Irga wskazywał przed siebie, na biegnącą powyżej ścieżkę. Leżące na niej kamienie świeciły słabym blaskiem, który

szybko się wzmagał i zaczynał już razić oczy. Napłynęła fala ciepła. W eneików bił gorący podmuch jak z głębi rozpalonego pieca, powietrze drżało Wokół gorących głazów i brakowało tylko płomieni... Nie, już były! Tańczące języki wypełzały z ziemi, łączyły się w buchającą żarem ścianę. Urosły ponad okoliczne skałki, a potem zawinęły się jak od uderzenia wiatru i oto przed eneikami poczęło krążyć potężne, ogniste koło.

– Meduzy! – z trwogą zawołał ktoś z tyłu.

Eneikowie rozpierchli się z krzykiem, skoczyli między kamienne bloki. Rozległ się przeraźliwy wrzask – to któremuś ziemia umknęła spod stóp i poleciał w ciemność przepaści. Inni nawet się nie obejrzeli. Wylękli, kryli się w szczeliny, wciskali w załomy, kurczowo przywierali do skał w złudnej nadziei, że będzie to dostateczne schronienie przed ogniem.

Rahe-das nie ruszył się z miejsca. Jak zauroczony patrzył na taniec ognistych meduz. Płomienny pierścień wirował coraz szybciej. Rósł. Między jego podstawą a ziemią powstawała luka: ciemna, wygasła szczelina, jak gdyby ogień odrywał się od podłoża. Wtem eneika pojął, co niezwykłego było w wirującej jaskrawości, o której tyle słyszał, którą znał tak, jakby stykał się z nią wielokrotnie. Płomienie były z dołu do góry, jak z ogniska. A przecież wiedział, że meduzy płoną odwrotnie: szczytem ognia na dół! Dlaczego teraz przywróciły swym płomieniom zgodny z naturą kierunek?

Krąg wyraźnie unosił się. Już był ponad wierzchołkami skał, wyrwa pod nim buchała czarnym dymem. Coś się tam poruszało, jakieś sylwetki wyłaniały się ze smolistych kłębow, sylwetki znajome, niepokojąco realne. Już widział: trzech walijscy jeźdźcy w pancerzach błyskających refleksami wirującego powyżej ognia, dosiadający wielkich, rogatych irmanów. Wyjechali z dymnego obłoku i zatrzymali się. Byli około dwudziestu kroków od niego, widział ich wyraźnie. I dojrzał coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Jeźdźcy nie mieli twarzy. Pod talerzowymi hełmami, za opuszczonymi siatkami ze stalowych kółek, nie było nic. Nie mógł stwierdzić, czy mają ciała, cała reszta skryta była pod zbrojami i odzieżą, nawet dłonie okrywały nabijane blachą rękawice. Widział natomiast przerażającą, niesamowitą pustkę nad mosiężnymi obrożami kołnierzy, pustkę czymś jednak wypełnioną. Siatki oblepiały ją podczas ruchu, jakby chroniły niewidzialne oblicza. Ich szczegóły rysowały się wypukłościami na przylegających szczelnie osłonach. Ścisnął mocno rękojeść garnaga, a nóż płonął równomiernym blaskiem, jak wtedy, gdy napierał nań pełznący xinx. Odruchowo podniósł klingę na wysokość twarzy i skierował ją w stronę stojących nieruchomo widm.

Na ten widok jeźdźcy drgnęli. Zawrócili wierzchowce w lewo, w kierunku dotykającej ścieżki pionowej ściany i jeden za drugim wjechali w nią, jakby była z powietrza. Po chwili nie został po nich ślad, zaś krąg ognistych meduz z olbrzymią prędkością uniósł się w przestworza i zniknął wśród gwiazd.

\*

– Oblegają nas – stwierdził ponuro mistrz zakonu. Siedzieli przy palenisku w jego celi. Tylko oni dwaj: Bave-tio i Rahe-das. Pozostali odpoczywali w przydzielonych komnatach po trudach wędrówki i przeżyciach ostatniej nocy. Na dworze świeciło, lecz wedle słów mistrza Bave-tio dzień nie przynosił zmiany sytuacji klasztornej twierdzy. Byli oblężeni. Otaczały ich złowrogie siły, przeciw którym na nic zdała się broń, nie skutkowały modły. I niezrozumiałym było, dlaczego klasztor jeszcze trwa, dlaczego nie uległ mocy Zła napierającego zewsząd. Cały kraj pod górami był w jego władaniu. Pozostał tylko ten skrawek za murami, dotąd z niepojętej przyczyny niedostępny dla dzieci Storg – orha. A przecież to on był celem inwazji, Zabójcy wiedzieli o tym od dawna. Widmowi jeźdźcy pojawiali się teraz wyłącznie tutaj, porzuciwszy opustoszałe po wypędzeniu stałych mieszkańców ziemie Uru – mów. Krążyły wśród skał ogniste meduzy. Docierały pod same wały, gdzie zapadały się pod ziemię, nie próbując ich sforsować. Od czasu do czasu wypluwały ze swego wnętrza sahanów. Ci podchodzili pod bramę i trwali jak posągi, nie zważając na wysyłane ku nim kamienie i strzały, jakby oczekiwali na otwarciu wrót przez znękaną załogę.

Nie zjawiali się często, lecz ich obecność czuło się stale.

Co mogło spowodować aktywność Storg-orha? Inwazja Zła miała jakiś cel, a mieścił się on właśnie tu, w klasztorze. Rahe-das myślał o tym od chwili spotkania jeźdźców. Wyszli mu naprzeciw, czuł, że to jego mieli tu powitać, nie czyhali na łatwy łup w postaci przerażonych żołnierzy. Cofnęli się przed świętym garnagiem, lecz przecież z pewnością nie zrezygnowali i napotka ich jeszcze. Musiało być coś wspólnego między nim a tutejszym zakonem.

I było. Okruchy Ayantialla.

– Sądysz, że Storg-orh wie? – zapytał Bave-tio z lękiem.

– Przeczuwałem od dawna, jeszcze nie mając dowodów. Otoczył mnie jakby sferą nikkzemności, narzuca mi odruchy, jakich nigdy we mnie nie było. Myślałem, że to Ayantiall, że Czarny Kryształ domaga się scalenia za wszelką cenę, ale jego przecież jeszcze nie ma... To także nie wpływ Trorr-uda, on nigdy nie mieszał się w sprawy śmiertelnych tak bezpośrednio. Do

tego milczenie Tajemnic. To musiał być znak od boga-eneiki, ostrzeżenie, którego nie pojąłem. Przyjdzie nam zmierzyć się z najpotężniejszym wrogiem, czcigodny. Sam nie podołam i nie pomoże tu siedemdziesięciu wojowników, którymi dysponuję. Musimy zjednoczyć siły: powiernicy, kapłani, Zabójcy... Zwłaszcza teraz, gdy przybywa kryształów i wkrótce zostaną złożone w jednym miejscu. Wówczas należy spodziewać się najgorszego.

– Wynika z tego, że Pan Pustyni chce zawładnąć Czarnym Kryształem.

– A przynajmniej zdobyć jak najwięcej jego szczątków. Inaczej poczekałby, aż odzyskamy wszystkie.

– Czyżby znał zakłęcie scalenia?

– Kto dziś może wiedzieć, co padło łupem xinxów w czasie zagłady Ibbomi? Księgi kapłanów zaginęły.

– Co będzie, jeśli maje Storg-orh?

– Odnajdę je – rzekł z mocą Rahe-das. – Choćbym miał pójść po nie do jego królestwa.

Bave-tio spojrział na niego z szacunkiem.

– Mierzysz wysoko. Obyś sięgnął...

– Muszę – Rahe-das podniósł się ze stołka. – Chodźmy do Zębów Góry, czas, abyś przekazał mi kamień.

Wyszli na taras. Po lewej stronie od wejścia wąskie, kręte schody pięły się stromo ku szczytowi góry. Skierowali się do nich.

– Kiedy wyruszysz? – spytał Bave-tio, pokazując drogę gościowi.

– Jak najprędzej, jeszcze dzisiejszego wieczoru. Jeżeli domyślamy się słusznie, Storg-orh zechce zapobiec wywiezieniu stąd kryształów. Po raz pierwszy ma ich tyle w jednym miejscu i w zasięgu ręki. Im szybciej opuścimy klasztor, tym większa szansa na zaskoczenie go. Nie spodziewa się, że porzucimy bezpieczne schronienie.

– Nie wiem... Ja na jego miejscu poczekałbym, aż zgromadzisz wszystkie. Gdyby zdecydował się odebrać je teraz, nikt już nie próbowałby szukać pozostałych, bo i po co? A bez nich nawet Storg-orh nie wskrzesi Ayantialla.

– Kto wie, co on knuje? Bez powodu nie gnębiłby was tutaj, a i mnie raczej ułatwiały, niż utrudniał, wędrówkę. Może chce tylko udaremnić scalenie?

– Do tego wystarczyłoby zabranie naszego kamienia. Mógł to zrobić już dawno.

Rahe-das przystanął.



– Słuchaj, a może on się boi? – powiedział z namysłem. – Może mamy coś, co skutecznie odstrasza jego widmowych jeźdźców?

– Co masz na myśli? – Idący przodem Bave-tio zatrzymał się również i spojrzał na swego towarzysza.

– Sahani odeszli, gdy zaświecił im w oczy mój garnag... to znaczy, o ile w ogóle mają oczy. Czyżby metal ngorhi był groźny i dla nich?

– Są wytworami Pana Pustyni, podobnie jak xinxy. Może więc nie są tacy niepokonani. Rychło chyba nadarzy się okazja, by to sprawdzić.

– Obyś nie musiał.

\*

Wartki prąd rzeki targał cumami, łodzie zderzały się z niecierpliwym stukiem, jak gdyby woda popędzała je do drogi. Ale na ich pokładach nie było jeszcze nikogo. Eneikowie stali na brzegu, popatrując na siebie ukradkiem, choć twarze zachowali kamienne. Niecierpliwość to przecież ujma dla honoru, a musieli jeszcze trochę poczekać.

Bave-tio spóźniał się. Jego decyzję wyjazdu wraz z Irgami Rahe-das przyjął z wdzięcznością. Kamienie będą miały godną opiekę w Ibbomi, wysoka ranga urumskiego Zabójcy dawała tego gwarancję. Dlaczego jednak mistrz przedłużał czas dzielący ich od wyjazdu? Na razie wieczór był spokojny, lecz niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą opóźnienia. Lada moment mogły rozżarzyć się skały i meduzy rozpoczną swój taniec. Rahe-das powiódł wzrokiem po otaczających ich pionowych ścianach. Stąd, z przystani, nie zdołaliby uciec.

Na ścieżce prowadzącej do klasztoru zamigotały pochodnie. Dużo ich było; płynęły ku rzece rozciągniętym wężem, cienie niosących je braci chwiały się w rytm marszu. Za moment Urumowie byli przy łodziach. Rahe-das rozpoznał wśród nich mistrza Bave-tio. Podszedł do niego szybkim krokiem.

– Jeszcze chwila, a odpłynęlibyśmy bez ciebie – powiedział z wyrzutem. – Wiesz, że nie wolno prowokować Storg-orha.

– Wybacz, zatrzymała mnie ważna sprawa – mistrz przystanął przy nim. – Rozwiązaliśmy zakon. Nie dziw się – dodał, widząc spojrzenie Irgi. – Już nie ma powodu, aby istniał.

– Płyniecie z nami?

– Nie wszyscy. Wybrałem najmłodszych, tylko tacy mogą się przydać, a i tym dawno minął wiek młodzieńczy. Od początku przełomu nie przybył żaden nowicjusz, Zabójcy zestarzelili się.

Ale myślę, że tych stu wojowników jeszcze się na coś przyda.

– A co z resztą? – jak Rahe-das zdążył się zorientować, Bractwo liczyło co najmniej trzykrotnie więcej członków.

– To starcy. Mieli tylko jedną drogę. Odeszli w podziemia. Nie ma godniejszej śmierci dla Zabójcy niż paszcza xinxa.

– Chwała Tym, Którzy Otwierają Drogę do Oll-hirr – Irga z uszanowaniem pochylił głowę. Bave-tio nieznacznie westchnął.

– Wsiadajmy do łodzi – rzekł. – Nie trzeba dłużej kusić Storgorha. Na wodzie jego płomienie nam nie zagrażają.

Jedna po drugiej wypełnione eneikami płaskodenne krypy odbijały od brzegu. Nurt porywał je i niósł ku nizinom. Nikt już nie patrzył za siebie, na niknący w oddali płomyk zapomnianej latarni nad klasztorną bramą.

Dzień zastał ich na równinie. Wielki Urt zwolnił biegu i z górskiej rzeki przemienił się w spokojną, nizinną strugę. Było bezchmurnie i bezwietrznie. Roth przygrzewał mocno, suszył przemoczone ubrania. Nawet nad pustynią niebo jakby trochę się przejaśniło i nie tak intensywne było wrażenie przyczajonego tam zagrożenia. Humory wędrowców poprawiły się, toteż rażno chwycili za wiosła, gdy łodzie wyhamowały w leniwym prądzie rzeki. Od czoła rozległ się monotony śpiew: to Ceranowie zaintonowali pieśń wioślarzy. Zaraz podchwycili ją inni i sznur stateczków pomknął w dół Urtu.

Droga do Worh upłynęła bez przygód. Wylądowali poniżej miasta, w pobliżu miejsca, gdzie Wielki i Mały Urt łączą swe nurty. Tu opuścili ich żołnierze księcia Giuao-temha, Rahe-das wolał zabrać w dalszą drogę zastęp złożony z samych Zabójców. Zgodnie bowiem z uniwersalną regułą zakonu, cerańskich i urumskich braci nie dzieliły plemienne waśnie, a poza tym Irga przeczuwał, że w starciu ze Storg-orhem, które wydawało się nieuniknione, zwykli wojownicy nie zdadzą się na nic. Zabójcom bliższa była natura sił Pana Pustyni. Wszak ich odwieczni wrogowie – xinxy-władcy podziemi – wykluli się z jego jaja.

Po dwudniowym wypoczynku ponownie spuszczone łodzie na wodę. Wypłynęli na szerokie rozlewisko połączonych rzek. Brzegi oddaliły się od siebie, zmałyły domy i drzewa. Zanurzyli wiosła. Krypy ruszyły na północny zachód, tam gdzie niósł je Urt.

Odcinek rzeki, który teraz przemierzali, oddzielał Pustynię Śmierci od ziem dawniej należących do tomów z plemienia Torivów. Mieli tu ongi swoje królestwo, politycznie związane

z durlockim imperium. Kiedy, jak wszyscy tornowie, stracili za sprawą Isera Itijastiego straszną broń, jaką była Moc – zdolność zabijania siłą woli, zrodzona z tajemniczej energii Wieży Życia – w ich państwie zapanował chaos. Kierowani odruchem samoobrony skupili się na wybrzeżu Morza Wewnętrznego, porzucili miasta, wsie i osady w głębi kraju. Niszczą z wolna i zarastały stepową trawą wspaniałe szkliste kopuły, których sposób wznoszenia pozostawał tajemnicą ginącej rasy.

Eneikowie czasem widzieli z daleka te charakterystyczne budowle tornów, gdy przybijali do wschodniego brzegu na nocleg. Nie odważyli się nigdy do nich zbliżyć. Wciąż czuli się tu obco, pamiętali minioną potęgę tych, którzy dawno temu je zamieszkiwali. Bowiem choć fizycznie podobni do valów, tornowie zawsze stanowili zamkniętą, obcą i groźną społeczność, której pochodzenie krył mrok historii, a ojczyznę legenda umiejscawiała wśród gwiazd. Synowie nieba – tak powszechnie zwano tę rasę, zaś jej niezwykle zdolności, tajemnicze maszyny i przedziwne budowle z czarodziejskiego, jednostronnie przezrystego materiału, zdawały się potwierdzać słuszność tego określenia. Musieli być potomkami bogów spoza Tui, inaczej skąd mieliby to wszystko, czego nikt poza nimi wytworzyć ani użytkować nie potrafił?

Zgodnie z ową legendą, tomowie przybyli w dwóch falach osiedleńczych. Jako pierwsi zjawili się Shonnowie i to oni zbudowali Wieżę – symbol i źródło swej potęgi. Nie wzniesli jej sami. Niebiańscy ojcowie dali swym synom robotników i obrońców, którzy nie znali zmęczenia czy strachu. To ich ręce stworzyły ów gmach, skąd płynęła Moc, postrach zamieszkujących Loin ras. Ci strażnicy i budowniczy nie mieli dusz, bo nie może mieć duszy twór z żelaza, kierowany myślą swych panów. Nie wiadomo, jak przeniknęła do eneickich podań wieść o istnieniu tego zastępu, zwanego stalowym hufcem. Legenda nie mówi, co się z nim później stało. I niewielu eneików wierzyło, że istniał naprawdę.

Potem przybyli Torivowie. Zajęli ziemie na zachodnim wybrzeżu Morza Wewnętrznego i natychmiast zaczęli rywalizować ze Shonnami. Byli słabsi, lecz Shonnowie nie wykorzystali tego. Z wygranej wojny nie czerpali żadnych korzyści, poza ostudzeniem zapędów konkurentów. Różnili się od swych spóźnionych pobratymców: łagodni, dobrotliwi, mądrzy. Władanie Mocą dało im wielkość, która pozwalała patrzeć na zwyciężonych z pobłażaniem. Ani jedni, ani drudzy nie przywiązywali wagi do tego, że nie są w Loinie sami: eneikowie, rozbici po wojnach o szczątki Ayantialla, skupili się głównie na Przedgórzu, a nieliczne plemiona z Zagórza nie były godne uwagi synów nieba.

Na wiele ellarów utrwał się w Loinie taki stan i trwałby pewnie jeszcze długo, gdyby nie dwa znaczące fakty. Pierwszym było powstanie Durlocku. Przyszłe imperium Mocy narodziło się niepostrzeżenie; nie przewidzieli tego tomowie obu nacji, nie przewidzieli również eneikowie. Któż mógł bowiem przypuszczać, że w zachodniej, najdzikszej części Zagórza, opanowanej przez nieprzebrane stada okrutnych ghotów – ni to rozumnych istot, ni to zwierząt – wśród bagien i dziewiczych puszczy, w stronach tak niegościnnych, że służących tor – nom za miejsce zsyłki przestępców, zesłańcy ci stworzą państwo, podporządkują sobie krwiożercze ghoty i zmuszą je do posłuszeństwa? Zbudowana w ten sposób potężna armia, wspomagana Mocą swych władców, w błyskawicznej wojnie zwyciężyła i podbiła słabe eneickie plemiona. Zatrzymała się dopiero nad brzegiem Senny, która wówczas stanowiła naturalną granicę Torivii. Tego nie przewidziano, lecz póki Durlock nie zagroził torneńskim krajom, synowie nieba zlekceważyli nowe państwo. Na kontynencie zapanował pokój. Władcy Durlocku zdawali się być usatysfakcjonowani zdobycami. Przez kilka ellarów nie wypuszczali się poza swe granice, aż ostatecznie uporządkowali kraj na swoją modłę. Potem ruszyli na północ, gdzie schroniło się największe na tych terenach plemię eneików Nisska, pobite ongi nad Urtem. Krótka batalia zakończyła się kapitulacją eneików i hołdem lennym wobec tomów z Morv. Od tej pory Nisskowie stanęli przy boku swych suwerenów i w zamian za względną autonomię wiernie im służyli aż do dnia upadku imperium. Na to jednak Loin musiał jeszcze poczekać.

Wkrótce nastąpił drugi zwrot w jego historii. Na Przedgórzu wylądowali valowie.

Przyłąnęli z południa. Wielka armada potężnych okrętów zakotwiczyła u brzegów Loinu i rozpoczęła się najdłuższa i najkrwawsza z wojen, jakie dotąd przetoczyły się przez te ziemie. Eneikowie bronili się zażarcie, jednak musieli ustąpić przed liczniejszym i lepiej uzbrojonym przeciwnikiem. Wiele plemion wyginęło, inne schroniły się w Smoczyczych Górach, na wyspach – w rejonach, które były niedostępne dla walów lub zbyt mało znaczyły, aby chcieli tam pójść za cofającymi się eneickimi zastępami. Przedgórze niemal w całości dostało się w ręce najeźdźców.

Idące na północ wschodnim pasem Przedgórza valijskie plemię Lorów pierwsze zetknęło się z tomami. Byli to Shonnowie, którzy zamieszkiwali ziemie na południowym wybrzeżu Morza Wewnętrznego. Shonnowie przyjęli walów przyjaźnie, a i ci nie mieli wobec nich wrogich zamiarów. Obie rasy przemieszały się i długi czas żyły w zgodzie. Tak powstało Lomin – jedyne państwo w dziejach Loinu, rządzone równoprawnie przez obce sobie gatunki istot rozumnych.

Niebawem dał znać o sobie Durlock. Wzmocniony przez wielkie valijskie plemię Minnow,

które przeniknęło na jego terytorium i podporządkowało się władzy tomów, wypowiedział wojnę Torivii. Dumni i zazdrośni o pierwszeństwo wśród torneńskich narodów Torivowie odrzucili pomoc oferowaną przez zaniepokojonych inwazją Shonnów. Ponieśli klęskę. Triumfujące Morv nie poprzestało jednak na tym. Uzależniwszy od siebie Torivię, wyszkoleni do perfekcji we władaniu Mocą durloccy tornowie uderzyli na ziemie Shonnów, leżące po zachodniej stronie Wielkich Bagien. Tu również nie napotkali zdecydowanego oporu.

Shonnowie – nieczęsto zmuszani do używania Mocy – nie zdołali ich powstrzymać. W wielkiej bitwie nad Mnethem armia Durlocku, wspomagana siłami zdradzieckich Torivów, po strasznym zmaganiu umysłów zwyciężyła legiony Shonnów. Dokończyły dzieła ghoty, użyczyli mieczów Minnowie, a Nisskowie garnagów. Pobici Shonnowie odeszli za Wielkie Bagna, opuścili Lornin i, zamknąwszy granice, na długo zniknęli z historii. Wieża Życia przeszła we władanie Torivów, wynagrodzonych za wierność imperium całą zachodnią częścią pokonanego królestwa.

I tak Durlock wyrósł na mocarstwo, jakiego wcześniej nie znały narody Loinu. Nie mogąc sięgnąć ukrytych za bagnami i Morzem Wewnętrznym Shonnów, tornowie z Morv poczęli wyciągać ręce po ziemie leżące po drugiej stronie Gór Smoczyc. Tu jednak czekała ich przykra niespodzianka: valowie nie byli bezbronni wobec Mocy. Bogowie obdarzyli narodzonych w czasie przełomów valijskich władców zdolnością chronienia poddanych przed jej siłą. Boskie aureole – rozpalane promieniami obu słońc włosy – tworzyły zapórę, którą tylko zwielokrotniona Moc wielu tomów mogła przebić. Ci w końcu dopięliby swego, gdyby nie pechowy dla nich przypadek: u wylotu jedynej drogi na Przedgórze wzięli ziemie w posiadanie najdzielniejsi z dzielnych – Iserowie.

To valijskie plemię jakby stworzono do misji, którą im los przeznaczył. Byli najlepszymi jeźdźcami wśród valów, dosiadali drapieżnych, straszliwych w boju kisetów. Dowodzili nimi sławni i waleczni książęta, a siła ich aureoli równoważyła potęgę Mocy. Iserowie mężnie stawili czoła durlockiej nawale, tornowie po raz pierwszy napotkali godnego siebie przeciwnika. Przez całe ellary wąskim przesmykiem Gardła przetaczała się wojna. Nie było w niej zwycięzców. Szala przechylała się raz w jedną, raz w drugą stronę, krwawe pobojuwiska znaczyły ziemie między Morzem Serta a górami. Czas jednak płynął, stopniowo potężniał Durlock i słabła Iseria pozbawiona wsparcia swych braci z innych plemion, szarpana przez nich zdradziecko od tyłu, umęczona i zbiedniała. I pewnie uległaby, a po niej inne valijskie kraje, gdyby w ubiegłym

zuarze złotego słońca pewna kobieta z pośledniego rodu jeźdźców nie popełniła strasznego grzechu: w okresie zastrzeżonym dla władców, okresie, w którym Jasti obdarowywał swych potomków boską aureolą, urodziła syna. Ten wyklęty wal, nieprawy książę, dokonał niesłychanego czynu: z pomocą zaledwie kilku przyjaciół, wśród których byli i eneika – wielki To-sar-Diie – i kobieta z plemienia tor – nów, zniszczył Wieżę Życia. Jego imię brzmiało: Itijasti.

Tak upadł Durlock, a z nim wasalna Torivia. Historię tę znały wszystkie narody od Morza Wiatrów po Martwy Las. Nie wszystkie doceniały jej znaczenie, wiele uważało za jeszcze jedną legendę. Ale krążyła z ust do ust, w poematach i pieśniach, wśród walów, eneików i tornów. W gronie tych, którzy wiedzieli, że jest prawdziwa, byli Zabójcy. I teraz na własne oczy zobaczyli to, co zostało po potędze synów nieba.

Martwy kraj. Żyzna ziemia, jeszcze ze śladami upraw, dziczała szybko i zmieniała się w pustkowie. Już rozpanoszyły się hangi, już kuary polowały na zarośniętych zagonach, już pośród zmatowiałych i pokrytych kurzem kopuł snuły się dymy ognisk pierwszych watah ghotów. Eneikowie przyglądali się temu z mieszanymi uczuciami: z jednej strony radość i triumf z powodu upadku potężnej rasy, która miała aspiracje panować w Loinie i uparcie do tego dążyła, z drugiej zaś smutna refleksja nad łatwością, z jaką ta wielkość runęła...

Po kilku godzinach spokojnego spływu krajobraz na lewym brzegu począł się zmieniać. Najpierw zniknęły kamieniste, schodzące tuż nad wodę połacie, a w ich miejsce pojawiła się trawa. Potem pokazały się drzewa. Pustynia Śmierci odsuwała się od rzeki, zmieniała w coraz cieńsze, zwężające się ku widnokręgowi szare pasemko. Na północy wyrosła ciemna, mglista smuga lasu. W miarę jak łodzie zbliżały się ku niemu, cień puszczy potężniał. Wokół gęstniały zarośla, śmiało wydzierały grunt złowieszczemu kamienisku. Coraz słabszy zew pustyni odzywał się z rzadka i już nie mącił spokoju wędrowców. Wreszcie nadszedł dzień, gdy ostatecznie mieli pożegnać Pustynię Śmierci. Urt wpływał w gęstwinę, przed nimi była puszcza. Przybili do brzegu na jej skraju i założyli ostatni już biwak przed wkroczeniem na tereny niegdyś należące do Durlocku. Czuli ulgę. Oto odchodziło zagrożenie, które nieustannie wisiało nad nimi – ponury, przygnębiający, niewidoczny obłok niepokoju, w którym tkwili niemal bez przerwy od czasu, gdy Podjęli wędrowkę wzdłuż wschodniej rubieży pustyni.

Noc szybko minęła i kiedy Roth zaczerwienił niebo nad lasem, oddział był już gotów do drogi. Zabójcy siedzieli w łodziach, czekali na znak, by zanurzyć wiosła. Rahe-das stanął na dziobie i popatrzył na zachód. Między drzewami, daleko, horyzont szarzał od mgły. Wyraźną

linią odcinał się od zieleniejącego kępami trawy szerokiego pasa ziemi, który graniczył z pobliskim lasem. Irga żegnał się z pustynią bez żalu. Bardzo chciał móc pożegnać się na zawsze.

Jakby w odpowiedzi na widnokręgu ukazał się czarny punkt. Po chwili urósł w cienki, wysoki słup smolistego dymu, który zawinął się u szczytu w kierunku obserwujących. Bo obserwatorów było więcej: już wszyscy eneikowie dostrzegli ów znak i w milczeniu przyglądali się rosnącej szybko smudze.

Zamglona linia u podstawy nieba rozjarzyła się pomarańczową łuną. Na całej długości horyzontu, jak daleko sięgnął wzrok, zapłonęły ogniste języki. Chwiały się jak od podmuchu wiatru, choć powietrze było nieruchome niczym bagienna woda. Gigantyczny płonący łuk począł unosić się i spod ognistej kurtyny wolno wyjechali widmowi jeźdźcy. Było ich mrowie. Szeroką ławą wylewali się na równinę, migotały zwarte szeregi pancerzy, lśniła broń, chrapały zwierzęta. Eneikowie z zapartym tchem przyglądali się olbrzymiej armii, która oto dotarła do granicy zieleni. Tu jeźdźcy zatrzymali się. Trwali bez ruchu, nie pozwalając wierzchowcom wkroczyć w pas, gdzie zaczynało się życie. Na co czekali? Przecież mogli roznieść maleńką grupkę przeciwników na kopytach irmanów, pozwolić rozszarpać ich kise – tom i jeśli nawet święte garnagi potrafiły ich powstrzymać, to przecież jedynie nielicznych!

Naraz Rahe-das poczuł, jakby siłą otwarto mu głowę. Nie umiał zdobyć się na protest, coś wdzierало się w jego umysł, targało zmysły i paraliżowało wolę. Wkrótce puściły więzy, które do tej pory łączyły w całość świadomość eneiki. I kiedy przestał już mieć jaźń, gdy poddał się naporowi obcej siły, rozległ się w nim wielki głos, wypełnił to wszystko, co jeszcze zostało ze zmiażdżonego Ja: Chcę, byś wiedział, że jestem.

\*

Narodziny księcia przeszły bez echa. Zbyt wiele działo się wokół, aby pamiętać, jak ważnym faktem jest przyjście na świat męskiego potomka czerwonego rodu. Odprawiono oczywiście uroczystość narodzenia, grały rogi w obejściach Iserów, lecz radość była jakby mniejsza i nawet w rodzinie ceremonię zbyto pospiesznie, bez należytego ceremoniału.

Wszyscy już wiedzieli o tomach. O wiosce, którą zbudowali, o zaoranych polach i kamiennych domach. Shonnowie postanowili osiąść tu na stałe, co do tego nikt nie miał wątpliwości. I prędzej czy później zetkną się z valami. Ich osadę dzieliły od Morv zaledwie cztery dni niezbyt wytężonej jazdy.

Minęło jednak kilka seves, a do kontaktu jeszcze nie doszło. Czasem kmiecie osiadli na skraju puszczy z daleka widywali tornów, jednak nikt nie spotkał żadnego bezpośrednio. Obcy jakby celowo unikali spotkań, bo przecież musieli widzieć zagrody i pola uprawne, i pasące się na łąkach bydło. Budziło to zdziwienie walów, a nawet niepokój, potem jednak przyzwyczaili się do owego sąsiedztwa. Tornowie trzymali się na dystans, nie narzucali z nieproszonymi wizytami. Emocje zatem opadły i walowie przestali zwracać uwagę na kręcących się czasem po lesie przybyszów w srebrnych opończach.

Jak Hennasti słusznie przewidywał, odzyskał przyjaciół, gdy tylko rozeszła się wieść o zniknięciu stalowego hufca. Może nie była to przyjaźń tak szczera jak niegdyś, pamiętano bowiem, że hufiec istnieje i zawsze może wrócić. Lecz gest został doceniony i złota rodzina zajęła na powrót należne jej miejsce w społeczności osadników. O zgubieniu płytki wiedzieli tylko najbliżsi, pozostałym tajemnica władzy nad martwymi rycerzami nie była znana. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że Hennasti tę władzę utracił.

Ciągnęło go w tamte strony. Pod pozorem polowań przemierzał wielokroć przeczesany szlak – samotnie lub w towarzystwie Aghve – riego – nie bacząc na niebezpieczeństwo spotkania ghotów. Ciągle jeszcze miał nadzieję, że coś przeoczył i czarny prostokąt leży gdzieś tam, w krzakach, i że tym razem na pewno go znajdzie. Nadzieja okazywała się złudna, a on wracał do Morv z mocnym postanowieniem, że nie przyjedzie więcej nad Urt, i po jakimś czasie wyruszał na kolejną wyprawę.

Ten dzień był jednym z takich, kiedy gnało go do lasu, gdy jeszcze raz musiał sprawdzić... Wyprawa była potrzebna: kończyło się mięso i należało odnowić zapasy. Skorzystał więc chętnie z pretekstu. Nie był sam. Zabrał się z nim Agłweri i dwóch szarych, a słudzy wiedli zaprzężoną w irmana podwodę, przeznaczoną na myśliwskie zdobycze. Jechali szybko, do lasu dotarli więc już tego samego dnia pod wieczór. Rozbili obóz wśród rzadkich jeszcze drzew i krzewów simalu. Zasiedli wokół ogniska i, wyjąwszy zabrane na drogę zapasy, poczęli się posilać. Milczeli, głód po całodziennej wędrówce nie sprzyjał rozmowom.

Po kolacji rozłożyli derki pod wozem i pokładli się do snu. Przy ogniu pozostał jeden z szarych, który jako pierwszy objął wartę. Było cicho, jak zwykle o tej porze, gdy milkną dzienne głosy puszczy, zaś nocne życie jeszcze się nie obudziło. Cisza kleiła powieki, Hennasti z wolna zasypiał. Coraz rzadziej otwierał oczy i sennie spoglądał w ciemność między drzewami. Wreszcie poddał się ciszy. Zamknąwszy powieki na dobre, począł odpływać w marzenia. Toteż



wydało mu się, że śni, kiedy spośród płaczących się myśli, gdzieś z głębi świadomości, dobiegło go ciche wołanie:

„Iserowie!”

Uniósł się na łokciu, wpatrzył się w noc. Jego towarzysze też już nie spali. Wartownik przy ognisku, zacisnąwszy dłoń na rękojeści miecza, rozglądał się spłoszony.

„Iserowie!”

– Co to...? – Hennasti usłyszał jego przestraszony głos. Aghveri wygramolił się spod wozu.

– Czy słyszysz to, co ja? – zapytał dziwnym tonem, jakby i jemu udzielił się lęk strażnika.

– Ktoś do mnie mówi... w mojej głowie! – Hennasti stanął przy nim i poruszył głową, podświadomie próbując uwolnić się od tego czegoś, co zawładnęło jego umysłem.

Krzewy przed nimi głośno zaszeleściły. Rozchyliły się gałęzie. Na polanie ukazało się kilka postaci, lśniących metalicznie w blasku ognia. „Witajcie, Iserowie!”

– Tornowie! – Hennasti cofnął się o krok. Chwycił za miecz, klinga zgrzytnęła o okucia pochwy.

„Schowaj broń, valu, nie przychodzimy, aby z wami walczyć” – dobiegła go myśl od strony stojącego pośrodku grupki osobnika. Hennasti nie rozumiał, skąd ma tę pewność, ale kierunek przekazu był wyraźny.

– Kim jesteście? – nieufnie spojrział na swego niezwyklego rozmówcę, wsunął jednak ostrze z powrotem i opuścił rękę.

„Przecież wiecie... Wasi szpiedzy donieśli wam pierwszego dnia. Jesteśmy tomami z północy, nasze plemię zwie się Shonn”.

– Czego tu szukacie? Po co przybyliście w te strony? – chaotycznie zadawał pytania. Nie bardzo umiał się pozbierać.

„Powoli...” – torn pośrodku lekko uśmiechnął się. – „Poznajmy się najpierw. Jestem Gattaur Mad, a to moi rodacy i współtowarzysze: Livoell Hoi, Taronn Odosha i Mivojie Vatti” – pokazywał kłaniające się kolejno srebrne istoty. – „Jak brzmią wasze imiona? Mógłbym poszukać ich sam w waszych głowach, lecz to wbrew prawu... Naszemu prawu. I kłóci się z zasadami grzeczności, jeśli nawet nie stosuje się praw tornów w stosunku do obcych”.

– Nazywam się Hennasti...

„Pozwól, chciałbym cię prosić” – torn przerwał prezentację. – „Czy mógłbyś mówić to w myślach? Znamy waszą mowę, lecz łatwiej nam będzie rozumieć, myśl nie wymaga

tłumaczenia”.

– Wybacz, tomie, lecz to niemożliwe. Valowie nie potrafią porozumiewać się myślą, moje słowa byłyby niesłyszalne dla moich towarzyszy. Musiałbym mówić dwa razy: raz do was, raz do nich. Sam powiedziałaś, że znacie naszą mowę, zresztą popisywaliście się niegdyś przed wywiadowcami, prościej więc będzie, gdy powiem to po swojemu.

„Zgoda. Tylko mów wolno, trudno tłumaczyć te szeleszczące dźwięki” – Gattaur kiwnął głową z aprobatą.

– Nazywam się Hennasti – powtórzył rycerz – ten wojownik przy mnie, to Agłweri. Tamci dwaj noszą imiona: Ragg i Sarras i są rycerzami z drużyny Agłweriego. Reszta to moi słudzy.

„Wobec tego zasadam uprzejmości stało się zadość. Pozwolicie usiąść przy waszym ogniu?”

– Każdy, kto przychodzi ze słowami pokoju, ma prawo korzystać z ciepła ogniska walów – odpowiedział Hennasti, zapraszając przybyszów gestem.

Usiedli po jednej stronie paleniska, po drugiej kucnęli valowie. Patrzyli na siebie bez słowa – przedstawiciele obcych ras, które łączyła jednak jakaś cieniutka nić, niks, lecz wyczuwalna podświadomie, bez udziału czujnych, spiętych ostrożnością zmysłów.

„Pytałeś, po co przybyliśmy” – pod czaszkę Hennastiego znów wpłynęła myśl Gattaura. – „To długa historia, ale jej sens zamyka się w dwóch słowach: szukaliśmy was”.

– Nas? Dlaczego?

„Aby na to odpowiedzieć, muszę przedstawić wszystko od początku. Czy zechcecie nas wysłuchać?”

– Noc przed nami długa.

„Nie potrwa to aż tyle” – uśmiechnął się torn. – „Postaram się streścić rzecz jak najkrócej. Zacznę od sprawy, która leży między nami niczym świeżo otwarta przepaść. Nie chcę, byście odebrali moje słowa jako zarzut – to musiało stać się w ten sposób. Przybyliśmy, aby położyć kres chaosowi i poniżeniu mojej rasy, dlatego konieczne jest spojrzenie na wydarzenia ostatniego zuaru z naszej strony”.

– Co masz na myśli?

„Dopięliście w końcu tego, po co dwadzieścia ellarów wcześniej przybyli do Loinu wasi przodkowie: val zniszczył Wieżę Życia”. Mimo zastrzeżeń Gattaura, to był zarzut.

– Czy to źle? – Hennasti poskromił wzburzenie, które ogarnęło go pod wpływem słów torna.

– Potrzebna wam była Moc, od której właśnie wy, Shonnowie, ponieśliście tyle klęsk? Nie

zniszczenie Wieży było celem Itiego, a pokonanie Durlocku, dla jego władców Moc była najpotężniejszą bronią Miał więc na imię Iti...”

– Itijasti, księżę Itijasti – sprostował rycerz.

„Skąd znasz motywy, które kierowały czynami tego wala? Zawsze chcieliście panować w Loinie, tornowie stali wam na drodze, może dlatego postanowił nas zniszczyć?”

– To był mój ojciec.

Tornowie popatrzyli po sobie. Nie sposób było wywnioskować z ich min, jakie wrażenie wywarła na nich ta wiadomość.

„Być może masz rację” – odezwał się wreszcie Gattaur. – „Nie będziemy sprzeczać się o motywy. Wieża nie istnieje, to jest fakt. Lecz czy twój ojciec nie wiedział, że niszcząc ją pozbawia tornów podstaw egzystencji?”

– Itijasti zlikwidował źródło Mocy, czy na niej oparta jest wasza egzystencja?

„Moc to tylko jeden z wielu darów Wieży. Nie darmo nazwano ją Wieżą Życia. Gdy zamilkła, straciliśmy władzę nad wszystkimi cudownymi urządzeniami, które stworzyli nasi przodkowie. Bez nich życie torna jest niemożliwe. Nie powstaną już nowe kopuły, zamarła produkcja żywności, stanęły sztuczne strumienie, zgasły małe sztuczne słońca. Nagle rzucono nas – pozbawionych dorobku pokoleń – w najprymitywniejsze warunki, jakie można sobie wyobrazić. Tornowie wegetują jak dzicy. Od nowa uczą się stawiać szalasy i uprawiać ziemię. Doprowadzeni do desperacji władcy Shonnów zorganizowali wyprawę do Wieży w nadziei, że coś da się naprawić, aby choć część płynących z niej dobrodziejstw mogła pomóc ginącej rasie. Kosztowało to wiele ofiar. Dziesiątki tornów pochłonął Martwy Las, lecz w końcu stanęli u stóp Wieży Życia, po raz pierwszy od czasów klęski nad Mnethem. I okazało się, że przybyli daremnie. Wieża była w ruinie. Zniszczenie jej serca rozmontowało siły, które spajały konstrukcję, resztę uczyniły wichry. Tornowie zastali jedynie olbrzymią stertę zgruchotanego szkieletu. Pamiętali jednak, że ojcowie nie wzniesli nigdy Wieży sami. Szukano w ruinach stalowego hufca. Nie znaleziono nawet jego szczątków. Shonnowie wrócili więc do swych siedzib z rozpaczą w sercach, bo już nic nie mogło wskrzesić Wieży Życia. I wtedy przypomniano sobie o Loży. Była kiedyś taka organizacja, głównie na terenach wcielonych siłą do Torivii, która głosiła potrzebę zburzenia Wieży, by zacząć życie od nowa. U schyłku swego istnienia, już po jej zniszczeniu, Loża próbowała głosić ideę pojednania... Pojednania z wami. Wówczas, w czasach, gdy tornów już ogarnęła panika, gdy szalała śmierć i rozpacz, takie hasła

budziły tylko wrogość. Większość członków Loży zginęła z rąk współbraci, panowała nienawiść do valów. Kiedy jednak nadszedł czas przełomu, gdy trudy zimowania ostudziły emocje, a fiasko wyprawy do Wieży dopełniło czarę, ideały Loży odżyły. Wielu z nas zrozumiało, że rasa może przetrwać tylko wspólnie z valami, że od was możemy nauczyć się żyć w nowych dla nas warunkach. Dlatego podjęliśmy wędrówkę przez Zagórze i dlatego przyszliśmy do was. Przeznaczenie skierowało nasze kroki właśnie tutaj, gdzie spotkaliśmy ciebie – syna sprawcy upadku rasy tornów. Tym donioślejsza będzie moja prośba, którą ku wam kieruję: pozwólcie nam żyć obok siebie, stwórzmy nowe Lomin – krainę, o której do dziś śpiewa się u Shonnów pieśni”.

– Pojednanie... – szepnął Hennasti. – Nakaz testamentu Mau, idea °jca. Czyżby tak szybko miała spełnić się jego wola?

Spojrzał na tornów. Napotkał ich uważne oczy, czuł w mózgu obecność ich jaźni, jakby bez słów szukali w nim odpowiedzi. Gattaur Mad – najstarszy wiekiem, a pewnie i rangą, poważny Taronn Odosha, Livoell Hoi... i ten z tyłu, skromnie ukryty za plecami i świdrujący go wzrokiem, młodzieńki Mivojie Vatti. Jednakowo ubrani w srebrne, obcisłe kombinezony, głowy otulone w takie same kaptury, wyglądali jak jego stalowi rycerze – istoty stworzone według jednego wzorca. A jednak różnili się: na zewnątrz tylko twarzami, lecz czuł w sobie ich odmienne psychiki, nastroje.

„Co mówiłeś o ojcu?” – odebrał pytanie Gattaura.

– Przybyliśmy na Zagórze wygnani z rodzinnego kraju jako wyznawcy boskości Itijastiego. Jednym z kanonów tej wiary, główną myślą jego schedy, jest pojednanie. To samo, które głosiła Loża. Tę ideę wyjawiał mi ojciec tuż przed oddaniem tronu i nakazał dążenie do jej spełnienia. O pojednaniu mówią Święte Tablice – testament bogini Mau. One były drogowskazem Itiego, gdy wyruszał na północ, by wypełnić przykazania bogów. Byłby szczęśliwy, widząc, jak szybko spełnia się jego życzenie.

Gattaur wstał. Wyciągnął prawicę nad płomieniem ogniska w kierunku Hennastiego. Rycerz podniósł się również i ujął dłoń torna. Zatrzymał ją chwilę w uścisku, nie bacząc, że ogień parzy mu skórę.

Świttem wyruszyli do Morv. Sprawa zgubionej płytki straciła wagę wobec niezwykłego spotkania i nocnej rozmowy. Zresztą Hennasti wolał nie ujawniać przed tomami tajemnicy stalowego hufca. Nie wiadomo, jak zareagowaliby, mając pod ręką budowniczych Wieży. Brak płytki mógł być przeszkodą dla niego, czy był nią dla tornów? Wolał nie sprawdzać. Musiał teraz

pilnie strzec swego sekretu, co było tym trudniejsze, że tornowie czytali w myślach jak w księdze. Liczył, że poszanowanie własnych praw nie pozwoli im grzebać w pamięci nowych przyjaciół. Ale pewności nie miał.

Kolumnę otwierał Agłweri, który dziwnie zamilkł od momentu spotkania. Za nim szli tornowie z prowadzącymi kisetę na wodzach szarymi, na końcu kroczył Hennasti i służdy z podwodą. Hennasti celowo został nieco z tyłu. Chciał, nie zwracając uwagi pozostałych, trochę ochłonąć i zastanowić się nad konsekwencjami nocnej wizyty. Tornowie uszanowali jego wolę; nie czuł ich myśli, wycofali się dyskretnie.

Coraz bardziej mu się podobali. Reguły dotyczące prywatnej sfery umysłu były konsekwentnie przestrzegane, choć przecież z jaźnią wala mogli czynić, co chcieli, czuł to. Nic nie mógł im przeciwstawić, gdy chcieli wnikać w jego myśli, otwierał się bez oporu. A jednak szanowali zasadę, że świadomość jest wyłączną własnością tego, kto nią dysponuje. To świadczyło o delikatności i kulturze. Czy zawsze tacy byli?

Chyba nie wszyscy. Oto w chwili, gdy nabrał pewności, że nikt nie będzie mu przeszkadzać, poczuł jakby lekkie dotknięcie wewnątrz głowy. Żachnął się, zły i rozczarowany swoją pomyłką. Widać zbyt pochopnie ocenił ich tak wysoko.

„Wybacz, Hennasti” – usłyszał cichutką jak westchnienie myśl. To nie był Gattaur. – „Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać... Gattaur Mad zabronił, ale muszę... Nie zdradz mnie przed nim, odpowiedz w myślach. Zamknęłam pole, on nie odbierze. Porozmawiasz ze mną?”

– Kto... „Kto mówi?” – o mało nie wydał swego zagadkowego rozmówcy. Na szczęście nikt nie dosłyszał.

„Mivojje Vatti... Przed każdąmyśląprzypominaj sobie to imię, wówczas dotrze tylko do mnie. Tak określa się kierunek przekazu, gdy nie chce się, żeby słyszeli inni. Nie potrzeba wtedy osłony pola, tylko ja będę odbierała twoje myśli”.

„Zaraz... Jesteś kobietą? Myślałem, że to sami mężczyźni” – popatrzył na sylwetkę idącego w przodzie toma. Istotnie, był niższy, drobniejszy i szedł jakoś płynniej, nie tak zamasyżycie jak pozostali.

Słowa, które doszły go teraz, brzmiały jakby weselej:

„No tak! Nie zauważyłeś?”

„Było ciemno, a poza tym te wasze stroje... Moglibyście zaznaczać, kto jest kim, przynajmniej jeśli chodzi o płęć!”

„Jakoś się rozpoznajemy, jeszcze nie było przypadku, żeby torn – mężczyzna pomylił się pod tym względem” – zaśmiała się Mivojie. Odebrał ten śmiech jakby nałożony na słowa, jak gdyby odbierał dwa głosy równocześnie.

„Co chciałaś wiedzieć?” – poczuł się lekko urażony.

„Nie gniewaj się, Hennasti, tak to śmiesznie powiedziałaś... Powiedz mi, czy ojciec opowiadał ci o swojej wyprawie?”

„Nie lubił o tym mówić, ale czasami... Byłem mały, gdy kiedyś, wieczorem, wziął mnie na kolana i opowiedział o Wieży. Potem wspominał niektóre wydarzenia, z czego stopniowo ułożyłem sobie jego historię. Wydaje mi się, że poznałem ją dokładnie”.

„Znasz więc imię: Danaskee Tabbi?”

Zastanowił się chwilę. Do czego ona zmierza?

„To imię torna, też kobiety. Była z ojcem w Wieży” – odpowiedział. – „A skąd ty znasz to imię?”

„Widzisz... nie wszyscy Shonnowie, którzy tutaj przybyli, są z Królestwa. Spora grupka pochodzi z zachodu, z ziem podbitych dawniej przez Torivię. Danaskee też była stamtąd. Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić... Kiedy ginęła, umierająca Wieża z ostatnim impulsem zabrała jej myśli, pamięć... całą zawartość jaźni. Ten impuls dotarł do jej rodzinnych stron, wielu tornów zabił, był zbyt silny, lecz odebrali go jej bliscy, tylko oni umieli go odczytać. Stąd wiedzieli, co zdarzyło się naprawdę i co... łączyło Danaskee z Itim”.

Miał ochotę spojrzeć teraz w jej twarz.

„Ciągłe nie wiem, w jaki sposób ty dowiedziałaś się o tym”.

„Jestem... Pochodzę z jej rodu”.

Więc to tak... Czy przypadek sprawił, że spotkali się tutaj? Czy to ty, ojczu? – spojrzał w górę, w zamglone poranne niebo.

„Co mówisz?” – słowa Mivojie przypomniały mu, że ona słyszy.

„Nic, to nie do ciebie. Trudno przyzwyczaić się do tego sposobu rozmowy”.

Wycofała się nagle. Po chwili była z powrotem:

„Musimy kończyć, Hennasti, Gattaur mnie wzywa. Zwijam pole, bo może się domyślić. Porozmawiamy w Morv...”

„Przyjdź do mnie, gdy będziemy na miejscu”.

Nie odpowiedziała. Już jej nie było.

\*

Łodzie jedna po drugiej przybijały do kamienistego brzegu. Las wokół szumiał, porywisty wiatr gwałcił korony drzew, po niebie pędziły brudnoszare chmury. Zanosiło się na deszcz. Pomiędzy drzewami, prawie nad samą wodą, prześwitywały rumowiska białych kamieni. Gdy podeszli bliżej, z łatwością rozpoznali, że nie są dziełem natury. Las porastał rozległe ruiny miasta.

– Czy to Ibbomi? – Immi-wu zbliżył się do idącego przodem Rahe-dasa.

– Ibbomi – przytaknął zagadnięty. – A właściwie Sauth, miasto zbudowane na gruzach klasztornej osady. Samo Ibbomi jest małym fragmentem ruin, w północnej ich części. Jest w takim stanie, jak przed ellarami, gdy kapłan wypowiedział zaklęcie. Nikt nie ośmielił się wznosić domów na fundamentach zniszczonego klasztoru.

– Byłeś tutaj? – marynarza zaskoczyła dokładność, z jaką Irga opisał leżące przed nimi miasto.

– Nie.

– Skąd zatem wiesz to wszystko?

– Wiem.

Immi-wu zrozumiał, że nie dowie się więcej.

– Kto tu mieszkał? – zmienił temat, wskazując ciągnące się bez końca białe ruiny.

– Różni... Eneikowie, walowie, nawet tornowie przebywali tu krótko. Nikt jednak nie osiadł na stałe, tornowie nie wzniesli ani jednej kopuły. Ghotom też nie udało się zająć gruzów na siedzibę dla stad. Przekleństwo tamtego dnia ciąży na tym miejscu.

– Masz na myśli inwazję z pustyni?

– Tak, dzień zniszczenia Ayantialla przez kapłana powiernika.

– Czy nie można było inaczej? Przecież Czarny Kryształ stanowił źródło najpotężniejszych czarów, to dzięki niemu Storg-orh zepchnięty został na bezdroża Pustyni Śmierci.

– Pan Pustyni stworzył xinxys niewrażliwe na magię Kryształu. Tysiące smoków opanowały klasztor, powiernik nie miał innego wyjścia.

– Myślisz, że będziemy silniejsi od niego? – Immi-wu zerknął spod oka na towarzysza.

Rahe-das nie odpowiedział. Kolumna posuwała się w ciszy ulicami zburzonego grodu. Od pierwszego spojrzenia widać było, jak mieszały się tu kultury ras, próbujących objąć miasto w posiadanie. Niskie, ostrodache domki eneików, na poły zapadłe w ziemię, stały wśród ruin

kanciastych, ciężkich gmachów, jakie stawiali walowie. Zbutwiałe drewno, gruz obrobiony niegdyś różnorodną techniką, zniszczenia większe i mniejsze – to wszystko świadczyło, na jak wielkiej przestrzeni czasu usiłowano okiełznać starożytną sadybę, przywrócić ją do życia. Mógłby dziwić upór osadników, których nie zrażały porażki poprzedników, gdyby nie widziało się dokoła widomych świadectw wartości tej krainy. Gród założono w widłach Senny i Urtu – rzek przecinających wschodnią część Zagórza, spławnych i pełnych ryb, wokół szumiała wspaniała puszcza, urodzajna ziemia aż prosiła o radło. Przez ellary było też Sauth – a wcześniej Ibbomi – miejscem, gdzie krzyżowały się handlowe szlaki. Jeden wiódł od Urumów i Ceranów nad Morze Serta, drugi łączył tę ziemię z zachodnią częścią Królestwa Shonnów. Nawet w czasach ponurych rządów Durlocku miejsce to nie straciło znaczenia, handel wszak toczył się zawsze. A jednak nikomu nie udało się odbudować świetności grodu, którą szczycił się w starożytnych czasach Oll-hirr. Coś wstrzymywało zapędy kolonistów, mimo że napływali falami, w miarę jak przechodził z rąk do rąk kraj nad Urtem. Szeptano o klątwie.

W centrum miasta, na wielkim placu, bujnie porośniętym, wznosił się gmach nie naruszony zbyt przez czas i kaprysy aury. Znać było na nim ślady wielokrotnego odnawiania i remontów, widocznie zawsze był pierwszym schronieniem przybyszów. Postanowili z niego skorzystać również Zabójcy, choćby dlatego, że jako jedyny w okolicy nadawał się do zamieszkania. Rahe-das sądził, że mimo pozorów dobrego stanu, budynek będzie wymagał poważnej naprawy. Według jego wiadomości od dziesiątków, a może setek kari nikt tu nie mieszkał. Spotkała go miła niespodzianka: poza drobnymi zniszczeniami wewnątrz było całe, wyposażone nawet w sprzęty. Zaś w spiżarniach... Spiżarnie wypełniała żywność: wyschłe na kość lub spleśniałe mięso, kwitnące zielono worki z ziarnem, garnce zwiędzłej tirakii i stęchłej wody. Pod pułapem wisały resztki polci zjedzonej przez robaki słoniny. Była tego ogromna ilość – tak wielki zapas przygotowuje się jedynie na okres zimowania lub dla olbrzymiej, kilkuset tysięcznej masy wojska. Takie armie dawno tu nie gościły, a żywność nie była aż tak stara, by pamiętać ostatnią. Ktoś zamierzał tu zimować. Dla tysiąca żołnierzy wystarczyłoby zgromadzonego jądła, gdyby uzupełniano je tym, co las mógł zaoferować w czasie nocy przełomu. Jednak nie zimował. Zapasy zostały niemal nienaruszone. Drobne ubytki mogły świadczyć o pobycie trwającym zaledwie kilka seves. Wkrótce eneikowie rozszyfrowali nację tajemniczych poprzedników. Znalezione miecze, strzały do kusz, odzież. Te przedmioty jednoznacznie wskazywały na walów, zaś resztki kiseciej upręży – na Iserów. Odkrycie



zaskoczyło Rahe-dasa. Wiedział co prawda o wkroczeniu części owego plemienia na ziemie Zagórza, jednak nie przypuszczał, że dotarli tak daleko. Co się z nimi stało? Czyżby plotki o przekleństwie Storg-orha miały okazać się prawdziwe? Stan budynku i rozmiary zapasów świadczyły, że Iserowie poważnie myśleli o spędzeniu tu zimy. A jednak odeszli. Dokąd? Jeżeli pozostali w pobliżu, to ziemie wokół Ibbomi mogą niebawem zaludnić się ich ziomkami. A to przeszkodzi mu spełnić swe zamiary.

Ciągnęło go w północne rejony miasta. Pogoda nie sprzyjała eskapadzie: chmury zaciągnęły niebo burym, nisko wiszącym nad drzewami welonem, zerwała się ulewa. Błyskawice rozjaśniły szarość, pod sklepieniem chmur przetoczył się grzmot. Zabójcy rozlokowali się w gmachu, wyszukując miejsca, gdzie nie przeciekał dziurawy dach. Rozległy się ciche rozmowy, odchodziło towarzyszące im dotąd napięcie. Irga z niechęcią wyglądał przez okno. Przez gęste strumienie wody niewiele dało się zobaczyć. Wahał się. Nie lubił deszczu, lecz za długo wędrował, by teraz siedzieć i czekać, aż niebiosa wypłaczą się do końca. Westchnął więc ciężko i ruszył do drzwi.

Na progu dobiegło go pytanie Dedhi-vera:

– Wychodzisz?

– Idę rozejrzeć się trochę – burknął niechętnie, wyczuwszy w głosie towarzysza ton zdumienia. Któż normalny opuszczałby suche pomieszczenie w taki podły czas, gdy nic się w dodatku nie dzieje, wokół pustka i tylko ten deszcz...

– Nie zaczekasz, aż przestanie padać? Leje, jakby niebo się zarwało.

– Nic mi nie będzie – wyszedł na dwór. Ulewa smagnęła go zimną strugą, przemoczone w kilka chwil ubranie oblepiło ciało, obwisło niczym ciężki, napęczniały wodą wór. Zachwiał się, z trudem złapał równowagę, gdy bosa stopy rozjechały się na rozmięklej ziemi. Przystanął. Może powinien posłuchać Dedhi-vera? Przynajmniej zostawi sakwę, nie wolno wypuszczać się na samotne wycieczki z kompletem kamieni przy sobie, zwłaszcza w taką pogodę. To wymarzona okazja dla różnych wrogich mu sił, żywych czy nie... Ledwie zdążył o tym pomyśleć, poczuł, jak budzi się w nim owo coś, co zmuszało do bezwzględnej uległości. Nie umiał zaprotestować. Musiał iść, i to z kryształami, bez nich marsz nie miał sensu. Minął zdziwionego wartownika, ukrytego pod okapem z gałęzi, i posłuszny nakazowi skierował się między krzewy porastające ulicę, która prowadziła na północ.

Był już blisko. Nie miał pojęcia, skąd o tym wie, przekonanie pojawiło się wraz

z wrażeniem, że zna tę drogę. Ktoś kierował jego krokami. Ruiny miasta skończyły się, przed sobą miał pas dziewiczego lasu. Nagły błysk rozświetlił chmury nad nim, usłyszał przeciągły łoskot gromu. Poblask błyskawicy nie zgasł jednak od razu. Trwał jeszcze kilka sekund, zanim wybrzmiał towarzyszący mu głuchy hurkot. Potem zza drzew skoczyła potężna iskra i rozplynęła się w skłębionej powłoce.

Zew wzmagał się z każdym krokiem. Już zawładnął całą wolą, już nie było protestujących strzępków przynależnej ciału jaźni. Rahe-das został tylko imieniem: to, co wypełniło teraz nazwaną nim istotę, nie było nawet eneiką. Z eneiki ocalał zewnętrzny kształt, forma, ciało. Reszta poddała się płynącemu skądś nakazowi, zmieniła w posłuszny, bezwolny kadłub. Pobiegł przed siebie, nie zważając na siekące twarz kolczaste gałęzie.

Za lasem ujrzał niewielkie, nagie wzniesienie. Jego szczyt, niczym kamienna czapa, pokrywało rumowisko zwietrzałych głazów. Nie były dziełem natury. W skruszałych kształtach dało się zauważyć świadomą regularność. Sterczące ku niebu w równych rzędach dziobate słupy niegdyś podtrzymywały zapewne sklepienie, równomierne występy musiały być schodami. Wyobraźnia przywracała murom dawną świetność, zaludniała starożytnymi mieszkańcami, światłem zniczów, korowodami procesji. Ruszył pod górę, ku wyłaniającym się z deszczu ruinom Ibbomi.

Usłyszał chrapnięcie. Zza sterty połamanych kolumn wynurzył się jeździec. Dosiadał płowego kiseta, pokrytego żółtym czaprakiem. Czarną zbroję pokrywał płaszcz ze skóry irmana, hełm z opuszczoną przyłbicą zdobiły pęki czarnych piór. Jechał bez pośpiechu na spotkanie Irgi, który wrósł nagle w ziemię, niezdolny do uczynienia niczego poza biernym czekaniem. Rahe-das nie czuł nawet strachu, może coś jakby ulgę, że oto kończy się jego zmaganie z tajemną siłą. Czekał.

Jeździec zbliżył się tak, że nozdrza kiseta znalazły się tuż przy twarzy eneiki. Ściągnął wodze. Zwierzę stanęło posłusznie. Zabójca poczuł na policzkach podmuch jego oddechu. Spojrzał na rycerza. Mógł teraz przyjrzeć mu się dokładnie. Jeździec uzbrojony był w długi miecz i przytroczoną do siodła lancę z żółtym proporcem. Lewy bark wojownika okrywał płócienny naramiennik, również farbowany na żółto. Naramiennik, proporzec i czaprak wierzchowca zdobił ten sam, odcinający się krwiście od jasnego tła znak: zakrzywiony jak sierp, wielki, czerwony pazur.

W szczelinach przyłbicy zobaczył tylko czerń.

Sahan puścił wodze. Powoli wyciągnął dłoń w skórzanej rękawicy w kierunku eneiki. I Rahe-das pojął. Pospiesznie sięgnął do troków sakwy i począł odwiązywać ją od pasa. Spieszył się, a raczej spieszyła się w nim owa obca istota, której był posłuszny. Namoknięte rzemienie nie chciały puścić, szarpał je więc przez chwilę niecierpliwie, a potem sięgnął do boku, gdzie tkwił za pazuchą nóż. Święty garnag.

Dłoń dotknęła ostrza. Poczłł gorąco, żar spłynął z klingi na zdrętwiałe palce. Dreszcz przebiegł mu po skórze. Fala mrowiącego ciepła rozlała się po ciele i raptem uczuł, że jest wolny. Udręczona świadomość wybuchła w nim jak ogień. W ułamku sekundy stłamsiła obcą jaźń, zbiła ją na powrót w maleńki, pierzchający w głąb mózgu kłębu – szek. Zacisnął palce na rękojeści garnaga i spojrział w twarz widmowego jeźdźca.

Tamten zrozumiał. Z przenikliwym okrzykiem chwycił za miecz i ściągnął wędzidło wierzchowca. Zwierzę stanęło dęba. Rycerz pochylił się w siodle i zamierzył do ciosu.

Nie zdążył. Furknęło w powietrzu rozżarzone ostrze. Wbiło się w szyję jeźdźca powyżej pancerza i nagle sahan przemienił się w słońce. Kiset, jeździec, jego broń i zbroja zabłyśły rubinowym blaskiem. Rycerz wył, jego ciało zaczynało topnieć i kroplami ognia wsiąkać w ziemię. Wreszcie, gdy z pancernej sylwetki pozostał przejrzysty, jaskrawy kontur, widmowy jeździec wyrzucił w górę ramiona i z żalonym jękiem rozpadł się na niezliczone płomyki, które błyskawicznie rozbiegły się na wszystkie strony. Wśród czarnych łat opadającego kopcia spłynął ku ziemi nadpalony skrawek żółtego płótna.

Rahe-das stał na dygocących nogach, oszołomiony i półprzytomny. Bezmyślnie patrzył na puste miejsce przed sobą, na wirujący popiół, w porażonych blaskiem oczach tańczyły ogniste kręgi. Powoli docierał do niego sens tego, co zaszło. Schylił się i ujął leżący wśród kamieni garnag. Ostrze było ciemne i martwe. Ostrze, które przyniosło śmierć widmowemu jeźdźcowi. Jakiś przedmiot, jasną plamą odcinający się od brunatnego podłoża, zwrócił jego uwagę. Podeszedł bliżej. Podniósł z ziemi lekko dymiący z nadpalonych brzegów, żółty, płócienny naramiennik.

\*

– No to ich mamy – Immi-wu z radością zatarł ręce. – Te pustynne stwory nie są niezwyciężone, pokonamy je!

– Nie ciesz się, marynarzu – przygasił jego zapędy mistrz Bave-tio. – Na razie Rahe-das udowodnił tylko, że jeźdźcy są śmiertelni, że garnag ze świętego metalu ngorhi ich zabija. To

jeszcze nie zwycięstwo. Sam widziałeś, jaką armią dysponuje Storg-orh. Nie wystarczy kilkaset noży Zabójców do pokonania tysięcy sahanów, a w odwodzie czekają xinxy... Jak chcesz zwyciężyć ogniste meduzy? Każdy, kogo pochłoną, powiększy armię jeźdźców, uzupełni jej ubytki, gdyby ginęli w starciach z Zabójcami. A kto zapełni puste miejsca wśród nas?

– Czarno widzisz przyszłość, czcigodny – nie dawał się przekonać Immi-wu. – A ja myślę...

– Obaj macie rację – wtrącił się Rahe-das. – I Immi-wu, twierdząc, że mamy na nich sposób, i ty, czcigodny Diie, gdy mówisz, że jest nas zbyt mało. Poradzimy sobie z tym, musimy znaleźć radę, bo teraz wiem, że wojna ze Storg-orhem jest nieunikniona. Naszą twierdzą będzie Ibbomi. Należy tu ściągnąć wszystkich Zabójców. To zadanie dla ciebie, Dedhi-ver – zwrócił się do towarzysza. – Pójdiesz do Ceranów, do Irgów... Niech mistrzowie przybywajątu z całymi zakonami, niech wyślą tabory do kopalń, trzeba przekuć ngorhi na topory, na groty strzał i pik. Niezwycięzeni muszą żądać od palatynów wszystkich plemion regularnych oddziałów. Przebroimy je w broń ze świętego metalu. To będzie nasza armia. Pod jej ochroną kamienie mają czekać na pozostałych braci. Ja biorę na siebie Nissków, idę tam po Geena.

– Chcesz powierzyć metal dłoniom niewtajemniczonych? Ta tajemnica należy do Zabójców – Bave-tio z dezaprobatą pokręcił głową.

– Koniec z podziałem na Zabójców i resztę. Nadchodzi czas powrotu do Oll-hirr, czy wrócimy tam sami?

– No dobrze, lecz da to najwyżej parę tysięcy wojowników. Dla armii, którą widzieliśmy za Urtem, to nie będzie przeciwnik.

– W otwartym polu nie, lecz w warowni... Wzniesiemy tu fortyfikacje, na których połamią sobie zęby. Byle wytrzymać do czasu wskrzeszenia Ayantialla.

– Mury nie są przeszkodą dla sahanów, przecież widziałeś – wyraził wątpliwość Dedhi-ver.

– Same mury na pewno. Kiedy będą ich bronić żołnierze zbrojni w zabójczy dla jeźdźców oręż, ci z pewnością się zawahają. Nie są wolni od uczucia strachu, świadczy o tym respekt, jaki czują przed świętym garnagiem.

– Jest jeszcze jedna ważna sprawa – znów odezwał się Bave-tio.

– Jeżeli wszystko pójdzie po naszej myśli, wkrótce zdobędziesz Władcę Ziemi. Chciałem zapytać: co dalej? Nic nie wiemy o Dessirhu i Llagollu, czy nie boisz się, że cały nasz wysiłek, to wyzwanie rzucone mocom pustyni, pójdzie na marne? Kosztem wielu ofiar zgromadzimy tu część kryształów, obudzimy, już obudziliśmy, Storg-orha i w końcu to on je posiadzie. W ten

sposób tylko pozbawimy plemiona szczątków Władcy Wszechrzeczy, które dotąd były ich najświęszymi relikwiami. Co będzie, jeśli nie zdołasz odnaleźć zaginionych kamieni?

– Ja je muszę odnaleźć – rzekł z naciskiem Rahe-das. – Choćbym miał poświęcić życie dla ich odzyskania i choćby miało to trwać przez resztę moich dni. Ale chyba jest nadzieja, że nie potrwa to tak długo. Dał mi jāmistrz Ziz-tta, zwierzchnik cerańskiego zakonu, chyba niebezpodstawnie. On ma jakiś pomysł, czy też wie coś, o czym zapomnieli inni, w każdym razie kazał mi czekać. Myślę, że nie kłamał. Należy tak myśleć... Cóż, pozostaje tylko realizować twój plan. Oby się powiódł.

– Zatem ruszajmy niezwłocznie: ja na zachód, Dedhi-ver na południe. Tobie, czcigodny Bave-tio, powierzam te oto kryształki i obowiązek chronienia ich do czasu, aż nadciągną posiłki. Zostawiam ci większość Zabójców, wezmę tylko dziesięciu. Zbuduj tu fortyfikacje, przekształć Ibbomi w twierdzę. Pamiętaj, że nie wolno ci ulec.

– A ja? Co ja mam robić? – przypomniał o swym istnieniu Immi-wu.

– Bez broni z tego waszego ngorhi na wiele się tu nie przydam.

– Pójdiesz ze mną – zdecydował Rahe-das. – Tam, gdzie będziemy, wystarczy ostrze z brązu i trochę doświadczenia, a tego ci nie brakuje.

– Hmm... nauczyłem się co nieco – mruknął marynarz, mile połączony pochwałą Zabójcy. Nie zauważył znaczących mrugnięć, jakie wymienili obaj bracia Irgowie.

– Jeszcze jedno – Rahe-das ponownie zwrócił się do Uruma. – Jeżeli Storg-orh nadal będzie przysyłał tu sahanów, niech Zabójcy nie unikają walki. Muszą oswoić się z nowym przeciwnikiem, a on niech się dowie, że jesteśmy gotowi.

\*

Porastająca brzegi Urtu puszcza dawno została za wędrowcami, wokoło kołysał się step. Zimne wiatry z północy niosły tumany ostrego piasku, siekły drobnymi igiełkami twarze idących. Ten pył był znakiem, że gdzieś tam, u stóp nieboskłonu, kończy się trawiasta równina i przemienia w królestwo piasku, skał i lodowatych wichrów. Tam, na północy, leżała pustynia Naim.

Chłód przenikał ubrania, toteż eneikowie rozgrzewali się szybkim marszem, zwłaszcza rano, gdy szron jeszcze srebrzył trawę. Znać było, że ostry klimat im nie służy. Przywykli do łagodnych temperatur, nie mieli odpowiedniej odzieży. Nocami, kiedy mróz się wzmagił, ciasno układali się wokół ogniska i grzali nawzajem. Jednak nie szemrali, byli wszak Zabójcami

Smoków.

W południe mogli nieco zwolnić tempo. Wysoki Roth mocno przypiekał, nie dokuczał tak bardzo mroźny północny powiew. W ciągu dnia nie robili popasów, na posiłki wykorzystywali poranki i wieczory. Dlatego droga mijała szybko i szybko kurczyła się przestrzeń dzieląca ich od celu.

Kraj był pusty. Tylko raz natrafili na prymitywne szałas ghotów, opuszczone i obracające się w ruinę. Zarosłe trawą ślady ognisk wskazywały, że od wielu tu nikt nie mieszkał. Obrzeża pustyni Naim nigdy nie były gęsto zaludnione. Tornowie unikali tych stron, Minno – wie również odwiedzali je niechętnie. Tylko nieliczne plemienne stada ghotów pomieszkiwały tu czasem, przemierzając Zagórze w koczowniczej wędrówce. Obecnie nawet one porzuciły zimne stepy i przeniosły się w lasy i sawanny południowej części interioru.

Jednak nie wszystkie. Liczące ponad setkę głów stado przewodnika Huu od wielu dni szło w przeciwnym kierunku. Ich wódz nie podjął decyzji przypadkowo. W lasach nad Urtem kurczyły się tereny łowieckie. Wiele stad toczyło zajadłe wojny o plemienne obszary, początkowo o najlepsze, potem o jakiegokolwiek. Ghotów nad Urtem bowiem przybywało, a puszcza nie mogła przyjąć wszystkich. Na domiar złego pojawił się nowy wróg, który rościł pretensje do terenów Zagórze: walowie. Ghoty walczyły o swoje. Niszczyły zaorane zagony w nadziei, że nagoskórzy zniechęcą się koniecznością ich ciągłej odnowy, paliły samotne zagrody i mniejsze osady, mordując i pożerając mieszkańców, napadały na wędrowców, oraczy i myśliwych, aż ci przestali wychodzić w pojedynkę. Potem zaczęły atakować nawet wojskowe stacje. Wszystko na nic. Walowie nie chcieli zrezygnować, ba – zajmowali coraz większy obszar, rugowali z niego stada, bezlitośnie wycinali je w pień. Dlatego Huu postanowił opuścić lasy i udać się na północ. Jego zamiar przyspieszyła jeszcze porażka w starciu z małą grupką walów, która wydawała się łatwym kąskiem, a o mały włos nie stała się powodem rozproszenia stada. Niespodziewany pożar tak przeraził pewnych już swego drapieżców, że Huu z trudem pozbiarał ich następnego dnia. Ledwie zdołał ich przekonać, aby zechcieli wrócić z nim na miejsce potyczki. Jego najmocniejszym argumentem były zęby i kij, w posługiwaniu się którym nie miał sobie równych między współple – mieńcami. Pobojowiska zawsze były godne uwagi: porzucona broń i sprzęty stawały się często źródłem fortun wielu wodzów. Huu nie miał zamiaru i tym razem pozbawiać się takiej szansy, chociaż ogień musiał strawić większość pozostawionych tam przez walów przedmiotów.

Przecucie go nie myliło. Przy spalonych zwłokach znalazł cenną rzecz: okopcony stalowy miecz. Drewnianą rękojeść co prawda zwęglił żar, lecz i tak broń była zdobyczą wartą zachodu. Niewiele bowiem oręża pozostało u ghotów z epoki, gdy byli armią potężnych tornów. Czas i wieczne utarczki robiły swoje. Pordzewiały wyszczerbione głownie, połamały się trzony młotów i toporów, spróchniały drzewca włóczni. Ghoty były zmuszone wrócić do prostszych narzędzi: broń darowaną przez tornów zastąpiły kije. Z tego powodu miecz w łapach Huu natychmiast podniósł jego nadwątlony ostatnią porażką prestiż w stadzie.

Na pogorzeliśku Huu znalazł coś jeszcze. Do tego znaleziska nie przyznał się współplemieńcom. Było zbyt cenne, mogło obudzić apetyt co silniejszych rywali. Mały, czarny prostokąt, lśniący niczym spokojna woda. Schował go głęboko w woreczku na piersiach, wśród kostek z dłoni zabitego vala, piór iwe i muszli – amuletów, z którymi żaden ghot nigdy się nie rozstawał. Ten amulet był najcenniejszy, Huu od razu rozpoznał w nim dzieło rąk torna. On sam nie pamiętał czasów ich panowania, ale starcy opowiadali... Głęboko wierzył, że lśniąca płytka uczyniła zeń pośrednika między rasą władców a jego plemieniem i że kiedyś zawarte w niej czary przywrócą ghotom dawnych panów w srebrnych strojach.

To był drugi powód porzucenia puszczy, tylko jemu wiadomy. Słyszał bowiem, że tornowie odeszli na północ, i tam postanowił ich odszukać. Odda się ich władzy, razem ruszą przeciw podłym valom. Ich wielki czar, którym ongiś tak skutecznie pętali wrogie armie, by rzucić je ostrzom i pazurom wiernych ghotów, nie mógł zgasnąć na zawsze. Może ta płytka coś pomoże... Huu będzie ich mściwym ramieniem, ma przecież miecz.

Długi czas stado tułało się po bezdrożach, czasami przymierając głodem, bowiem i w tych stronach nie było zbyt wiele zwierzyny, a jeśli pojawiała się, to ostrożna i płochliwa. Tak dotarli do pustyni Naim i tutaj Huu zrozumiał swój błąd. Tornowie odeszli na dobre. Może przemierzyli pustynię i skryli się w Gallarach, może wymarli – nie wiedział. Dalsze poszukiwania nie miały sensu, nie przeprowadziłby stada przez piaski. Huu był więc zły i rozczarowany, tym bardziej że współplemieńcy zaczęli sarkać. Tylko respekt przez stalowym ostrzem trzymał ich jeszcze w ryzach i gwarantował przewodnikowi całą skórę.

Toteż gdy pewnego dnia natrafili na ślady nielicznego oddziału, Huu z radością ryknął wojenne hasło. Oto szansa, aby podreperować nadszarpnięty autorytet, zdobyć broń i żywność. Tym razem nie da się pokonać, zwłaszcza że ów trop nie był dziełem łap iserskich kise – tów ani irmanich kopyt. Huu od razu rozpoznał odciski bosych stóp eneików.

Zabójcy odpoczywali po całodziennym wędrówce. Zapadł wieczór. Wiatr szumiał w trawach, chwiał płomieniami małego ogniska, rozdmuchiwał wirujące nad nim pęki iskier. Dziesięciu urumskich wojowników sprawnie rozścieliło na ziemi skórzane płaszcze. Zaraz na nich posiadali i wyjęli z sakw suchary i wędzone mięso. W ciągu dnia nic nie zdołali upolować, musieli zatem uszczuplić zabrane na drogę żelazne racje. Po skromnej wieczerzy Rahe-das rozdzielił warty. Mieli czuwać po dwóch, zmieniając się co szóstą część drogi Jasti, który właśnie wyłaniał się zza widnokrzęgu. Eneikowie ułożyli się rzędem przy ogniu opatuleni w płaszcze po same uszy, gdyż robiło się mroźno. Po drugiej stronie paleniska kucnął wartownik, sylwetka drugiego, obchodzącego obóz, przesuwała się wolno na tle ciemnego nieba.

Nagle wartownik zniknął. Rahe-das z niedowierzaniem patrzył na puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widział krocącego wojownika. Wahał się krótko; w sekundzie zerwał się na nogi, chwycił w dłoń trzon bojowego młota. Nim jednak pozostali, których zaalarmował krzyk dowódcy, poszli w jego ślady, step wokół ożył. Runęła ku nim wyjąca zgraja. Ghoty gnały na oślep, przepychały się i wywijały kijami. W ciągu paru chwil dopadły eneickiego obozowiska. Otoczyły skupionych w pobliżu ognia Zabójców i natarły na nich z furją, nie bacząc na nadstawiony oręż.

Urumowie nie dali się jednak zastraszyć. Z dziesięciu kroków posłali w tłum śmiertelne strzały, po czym chwycili za topory. Rozgorzał okrutny bój. Eneikowie stanęli zwartym kręgiem i rąbali z zimną krwią wrzeszczące i stłoczone stwory, które z braku miejsca przeskadzały sobie nawzajem. Gdy któryś z Urumów padał pod ciosem, krąg natychmiast zamykał powstałą lukę i ciągle szczyrzył się ku wrogom jednolitym szeregiem ostrzy.

Wśród ghotów wyróżniał się szczególnie jeden: wielki, barczysty, uzbrojony w długi walijski miecz. Od jego pchnięć poległo już dwóch Zabójców, pod kijami pozostałych napastników padł trzeci. Olbrzym, wraz z kilkoma innymi, natarł właśnie na Immi-wu, który dotąd dzielnie machał młotem. Marynarz sparował pierwsze ciosy, lecz oto opadły nań z mocą liczne drągi i pod Irgą ugięły się kolana. Rahe-das łamiąc szyk, skoczył ku niemu. Jego młot w okamgnieniu roztrzaskał czaszkę najbliższego wroga, odbity trzon złamał szczękę sąsiedniemu.

Ghoty zaskoczone impetem ataku cofnęły się o krok i mógł zobaczyć, jak olbrzymi stwór zamierza się mieczem na zgiętego w pół Immi-wu. Na wszelką pomoc było za późno.

Sytuacja zmieniła się w przeciągu chwili. Oto skulony marynarz wyskoczył jak z katapulty, uderzył głową w brzuch ghoty i zwałił go z nóg. Walka wokół zamarła na moment. Wszystkie



oczy zwróciły się w jedną stronę. A Immi-wu, cudownie ozdrowiały, wbijał w pierś potwora jego własny miecz. Ghoty ryknęły. Śmierć przywódcy zgasiła w nich wojenny animusz. Poczęły rzucać kije i pierzchać w step, nie bacząc, że łuki Zabójców napinają się i mknie za nimi chmura pocisków.

Rahe-das podszedł do klęczącego nad zabitym marynarza.

– Dzielnie się spisałeś – powiedział. Przykucnął obok niego. Immi-wu powoli odwrócił głowę. Jego twarz wykrzywił grymas.

– Wszystko mnie boli – jęknął. – Nie mogę wstać!

– Połóż się – Zabójca delikatnie ujął go za ramiona i podtrzymując ulokował na trawie. – Gdzie cię uderzono? – rozpiął kaftan marynarza.

– Nie wiem... W bark, oba boki, głowę, wszędzie... Najgorzej z barkiem, to ten sam, co poprzednio.

– Nie ruszaj się – Rahe-das rozchylił kaftan i przeciągle gwizdnął. Ciało Immi-wu wyglądało jak niekształna, sina bryła. Podbiegłe krwią pręgi tworzyły na nim nieregularną kratę. – Mam nadzieję, że Nisskowie mają dobrych zielarzy. Nie wychodzi ci na zdrowie moje towarzystwo.

– Daj spokój – uśmiechnął się kwaśno Immi-wu. – Wiedziałem, w co się pakuję. Daleko mi do waszej sprawności, i tak cud, że jakoś wynoszę cało skórę z tych twoich awantur. Jak myślisz, zielarz wyciągnie mnie z tego?

– Jeśli Trorr-ud pozwoli... Pójdziemy szybko, za dzień lub dwa staniemy na ziemi Nissków, tam znajdę ci zielarza, są w każdej wsi. Tyle musisz wytrzymać. Zabójcy cię poniosą – Rahe-das wstał – Tymczasem zapytam, może któryś z nich ma pojęcie o ziołach.

– Zaczekaj – marynarz zatrzymał go ruchem dłoni. – Ten ghot... On coś ma na szyi.

– To amulet – Zabójca nachylił się i zerwał z szyi ghoty brudne zawiniątko. – Ghoty często noszą coś takiego... – przerwał i z nagłym zainteresowaniem pomacał woreczek. – Tu coś jest... – rozsupłał węzeł i wysypał zawartość na ziemię. Wśród kości i piór błysnął ciemny prostokąt.

– Co to takiego? – Immi-wu z wysiłkiem uniósł głowę.

– Nie wiem – Rahe-das ujął w palce lśniąca płytkę. – Wygląda na robotę tornów. Ten ghot miał to od niedawna, nie zdążyło się nawet zabrudzić.

– Wiesz... ten jego miecz także był całkiem nowy. Tylko rękojeść miał spaloną.

Zabójca obejrzał się. Klinga tkwiła jeszcze w piersi ghoty. Ujął oburącz jelec miecza i wyciągnął go. Otarł ostrze trawą, po czym odwróciwszy się od ogniska, począł uważnie oglądać

żelazo.

– To iserski miecz – powiedział wreszcie. – Potwierdza się pogłoska, że Iserowie zajęli ziemie na północ od Gardła. Ghoty musiały niedawno przybyć z południa. Ale płytka... Nie mam pojęcia, w jaki sposób ta pokraka weszła w jej posiadanie. – Włożył płytkę za pas. Przyłgnęła do odzieży jak przyklejona. – Zachowam ją – dodał. – Może kiedyś wyjaśni się jej przeznaczenie. Tomowie nie robili rzeczy bezużytecznych. A teraz zajmijmy się tobą, idę porozmawiać z Urumami.

\*

Drugiego dnia marszu, w południe, wędrowcy dostrzegli na horyzoncie dym. Wiatr uciął i kilka cienkich smug stało nieruchomo niczym kolumny podpierające pułap z chmur. Do Rahe-dasa zbliżył się Zabójca, który dotąd szedł w przodzie.

– Wieś przed nami – powiedział, wskazując ciemne pasma. Irga skinął głową.

– To już chyba ziemia Nissków – stwierdził.

Krajobraz począł się zmieniać, otoczyły ich łagodne wzgórza, porośnięte kępami krzewów. Między nimi, w znacznej jeszcze odległości, dało się zauważyć regularne połacie o innym odcieniu niż dominująca w stepie rudawa zieleń. Charakterystyczne wąskie i długie zagony jednoznacznie wskazywały, czym są dziełem. Tak uprawiali pola ene – ikowie.

– Geue – trącił Rahe-dasa stojący obok Urum. – Mamy gości.

Zza najbliższej kępy wychynęła grupka eneików. Kiedy zbliżyli się, wędrowcy dostrzegli, że są dobrze i jednolicie uzbrojeni. Oddział, w liczbie siedmiu wojowników, zatrzymał się dziesięć kroków od stojących, po czym rozsypał się w wygiętą tyralierę. Żołnierze zdjęli łuki, założyli strzały. Przed linię tyraliery wysforował się jeden z nich.

– Kto jest przywódcą? – zawołał.

– Ja – Rahe-das wystąpił z szeregu.

– Podejź tu.

Bez protestu spełnił rozkaz. Postawa wojownika wskazywała, że nie miał on ochoty na targi.

Żołnierz zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy. Lekki grymas przebiegł mu po twarzy na widok obdartej i brudnej odzieży stojącego przed nim eneiki.

– Coście za jedni? – spytał władcym tonem.

– Dwaj Irgowie i dziesięciu... nie, sześciu Urumów w poselstwie do waszego władcy.

Nisska prychnął pogardliwie.

– Co znaczy to wahanie? Nie potrafisz liczyć do dziesięciu?

– Potrafię, żołnierzu. Wyruszyłem z dziesięcioma, od dwóch dni jest nas o czterech mniej.

– Uciekli?

– Ghoty ich zabiły.

– Aha... A ty coś za jeden?

– Irga Rahe-das.

– Od kiedy to Irgowie dowodzą Urumami?

– Od kiedy zakon Zabójców Smoków dał im takie zadanie. Twarz wojownika zmieniła wyraz.

– Jesteście Zabójcami?

– Z wyjątkiem jednego, tego na noszach – Rahe-das pokazał na Immi-wu.

– Co mu jest?

– Został ranny w potyczce z ghotami. Potrzebujemy zielarza, kilku innych wojowników także odniosło lekkie obrażenia.

Nisska pomilczał chwilę.

– Możesz udowodnić, że twoje słowa są prawdziwe? Irga rozpiął kaftan i wydobył spod niego błyszczącą igłę.

– Znasz ten symbol? – zapytał.

– To tiris. – Żołnierz z szacunkiem ujął delikatny przedmiot i zbliżył go do oczu. Potem otworzył palce, igła zakołysała się na łańcuszku i opadła na pierś Zabójcy. – Od niepamiętnych czasów nie było tu nikogo z tym znakiem, lecz eneikowie Nisska pamiętają, kto je nosi.

– Zaprowadź nas do wioski – poprosił Rahe-das. – Mój towarzysz jest w ciężkim stanie, a i innym przydadzą się zabiegi zielarza.

– Spotkaliście ghoty? – spytał Nisska, gdy kolumna ruszyła w kierunku dostrzeżonych wcześniej dymów.

– Tak, dwa dni temu. Napadły nas wieczorem. Stado liczące około stu osobników. Zwyciężyliśmy dość szczęśliwie, mój ranny przyjaciel zabił ich przewodnika. Okupił to ranami, lecz banda rozpierchła się.

– Ghoty bez wodza stają się tchórzliwe – przytaknął wojownik. – Mielicie pecha trafiając na nie, niewiele ich tu zostało.

– Te przywędrowały z południa, ich przywódca miał valijski miecz. Szli dłuższy czas

w milczeniu. Gdy wieś wyłoniła się zza wzgórz, żołnierz odezwał się:

– Wybacz, Zabójco, oschłość, z jaką cię potraktowałem. Po wydarzeniach sprzed przełomu wielu Nissków zeszło z uczciwej ścieżki. Sporo band się tu kręci.

– Spełniałeś powinność – Rahe-das machnął ręką. – Tylko do tej pory nie wiem, jak cię zwać, wojowniku – dodał z uśmiechem.

– A... przepraszam, Geue, jestem Doddo-bada. Dowodzę garnizonem w Ko-te, tej osadzie przed nami – powiedział żołnierz, zmieszany uwagą.

– To duża osada? Doddo-bada wzruszył ramionami.

– Trzyście kominów i fort. Obsługujemy stąd stacje na całej wschodniej granicy. Roboty nie ma wiele, bo za rubieżą pustynia, dlatego i garnizon mały. Tylko od tej strony, skąd przybyliście, granica przecina step.

– Nie zauważyłem żadnego znaku, który mówiłby, gdzie zaczyna się wasze państwo.

– Bo to taka granica – Nisska skrzywił się z pogardą. – Nikt jej nigdy nie wytyczał, i tak podlegaliśmy Durlockowi.

– A właśnie... Wybacz moją niewiedzę, wolę jednak, nauczony doświadczeniem, zapytać: jak tytułuje się wasz władca?

– Od czasów hołdu wobec Morv jesteśmy księstwem, na wzór walów i tornów. Czcigodny Mmea-ghatt nosi godność księcia palatyna.

Ci pogodzili obce wzorce z tradycją – pomyślał Rahe-das. – Ciekawe, czy ktokolwiek tutaj pamięta, czym palatynem naprawdę jest czcigodny Mmea-ghatt...?

Nie powiedział tego głośno. Za dobrze ułożyły się stosunki z pierwszym napotkanym mieszkańcem tych ziem, aby je psuć sporem o słowa.

Weszli między zabudowania. Kilkanaście drewnianych chatynek skupiło się wokół zwalistego, zwieńczonego galerią gmachu. Galerię opasywały wycięte w pniach ostrokołu blanki, ściany budowli zdobiły wąskie szczeliny – strzelnice dla łuczników. Wysoka brama, podnoszona jak zwodzony most, była zamknięta. Na widok zbliżającej się kolumny zza blank nad bramą wyjrzał eneika w płaskim hełmie.

– Otwieraj! – krzyknął Doddo-bada.

Eneika zniknął i brama opuściła się z chrobotem łańcuchów. Weszli do ciemnego wnętrza. Znaleźli się w długim korytarzu, po jego obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi. Doddo-bada stanął przed jednymi z nich.

– Tu jest wolna kwatery – rzekł. – Urumowie mogajązając. Rannego złożymy tam – wskazał na sąsiednie wejście. – Zaraz każę wezwać zielarza. – Skinął na jednego ze swoich żołnierzy. – Sprowadź Ata-ihe – polecił, po czym zwrócił się do Rahe-dasa: – Ty, Geue, chodź ze mną. Jesteś moim gościem.

\*

Trzy dni maszerowali przez łąki i pola, wśród których gdzieniegdzie przycupnęły nieduże wioski i pojedyncze zagrody. Większych osad nie napotkali wcale, choć kraj był ludny: często mijali tubylców ustępujących z respektem przed licznym oddziałem.

Doddo-bada przydzielił Zabójcom dziesięciu żołnierzy. Mieli odprowadzić ich do stolicy, służyć za przewodników i ochronę. Ich obecność gwarantowała, że podczas wędrówki nie będą niepokojeni przez patrole książęcej armii, które krążyły po gościńcach, a także bandy lokalnych rzeźmieszków, gdyby naszła je ochota napaść na przybyszów.

Immi-wu został w przygranicznej forcie pod opieką zielarza Ata – – ihe. Starzec długo mruczał nad poranionym i obitym Irgą, w końcu orzekł, że niebezpieczeństwa nie ma, ale chory potrzebuje wielu zabiegów i zaklęć, aby wrócić do zdrowia. Zachował przy tym kamienną twarz, lecz dało się wyczuć, że jego samego dziwi ta diagnoza. Marynarz miał wyjątkowo silny organizm, niewielu przeżyłoby podobną przygodę. Rahe-das wiedział o tym i bez zielarza, zaskoczenie starca tylko potwierdziło diagnozę Zabójcy. Kontuzje wyłączyły jednak Immi – wu z dalszej eskapady. Nie było też pewności, czy chory wydobrzeje do czasu powrotu Zabójców ze stolicy. Gdyby niemoc złożyła go na dłużej, udział marynarza w misji zakończyłby się już w forcie. Rahe-das nie mógł sobie pozwolić na czekanie.

Miasto zobaczyli ze szczytu pagórka. Położony pośród nadmorskich nizin gród nie miał charakteru obronnego. Daleko wybiegały przedmieścia, w krąg szeroko rozścielały się skupiska podmiejskich osad. Vendi nie posiadało wałów ani ostrokołu. Miasto, jakby przylepione do brzegu morza, zabudowane chaotycznie, z żywiołowym nieładem i brakiem symetrii, było łatwym łupem dla najeźdźców. Jednak żaden wódz nie odważył się nakazać swej armii wędrówki na tak daleką północ. Ciągłe sztormy kotłowały wody Morza Nissków spienioną kipiela, towarzyszyły im porywiste, idące głęboko w ląd wichry. To zniechęciło już niejednego. Tylko oni mogli tu żyć: plemię żeglarzy i wojowników, samotne, zapomniane przez pobratymców, skazane wskutek tego na uległość sąsiadom, na wiele ellarów trwającą wierność. Nisskowie.

Gościniec otoczyły domy. Kręta, wyboista ulica prowadziła przez peryferie stolicy między

ciasno stojące budynki śródmieścia. Vendi żyło z morza. Królowały stragany pełne jego darów, rybackiego sprzętu, wyposażenia statków, od beczek, lin i zwojów żaglowego płótna, po topory i abordażowe bosaki. Krzyk przekupniów mieszał się z potężnym szumem fal i przenikliwymi piskami ptaków rybołówów. W powietrzu unosił się fetor gnijących ryb, glonów uisz i morskiej wody. W zaułkach hulał wiatr, napełniał płuca wilgocią.

Vendi zaskoczyło Rahe-dasa ogromem. Tego się nie spodziewał. Znane mu miasta eneików były kilkutysięcznymi skupiskami domostw przyległych do głównej budowli, którą zwykle stanowiła siedziba palaty – na bądź jego namiestnika. Tutaj trudno było zgadnąć, gdzie znajduje się centrum, a gdzie drugorzędne dzielnice tego niespotykanego w całym Loinie molocha. Nawet valijskie grody, choć wielkie, nie przybierały takich rozmiarów i tak nieregularnej, chaotycznej formy. Dziesiątki tysięcy mieszkańców, którym przyszło żyć w zapomnianej przez świat metropolii, zbudowało swe domy, gdzie popadło. Nie trzymano się linii ulic ani żadnych innych prawideł, nie kierowano się nawet naturalnym ciężeniem przedmieść ku centralnym kwartałom, jak gdyby centrum nie miało wpływu na funkcjonowanie poszczególnych dzielnic. Toteż Irga nie zdziwił się, gdy Nisskowie, którzy towarzyszyli jego grupie, skierowali się do wschodniej skrajnej części miasta. Wiedli ich labiryntem dróg i ścieżek, często przez podwórka i jakies podejrzan zakamarki. W końcu przewodnik zatrzymał kolumnę i wskazał na niewyróżniający się niczym szczególnym dom. Stali przed siedzibą księcia-palatyna.

Dowodzący Nisskami dziesiątnik opowiedział się strażnikowi przy wejściu i zostali wpuszczeni. Wkroczyli do przestronnej hali bez sprzętów, dostrzegli kilkoro zamkniętych drzwi prowadzących do innych części domu. Siwy eneika w długim płaszczu z czerwonej skóry, stojący na progu jednego z wejść, na widok przybyszów zbliżył się powoli.

– Czego sobie życycie? – głos miał równie dostojny jak postać.

– Pozwól, że ja... – wstrzymał Rahe-dasa dziesiątnik. – Czcigodny panie – z ukłonem zwrócił się do dworzanina – setnik Doddo-bada śle wyrazy szacunku księciu palatynowi wraz z meldunkiem, iż granica jest spokojna. Równocześnie przekazuje prośbę tych oto eneików z dalekich stron, mieniących się Zabójcami Smoków, o posłuchanie.

– Zabójcy Smoków tutaj? – zdumiał się starzec. – Zaszczyt to dla Nissków goście wojowników Oll-hirr.

– Czy księżę nas przyjmie? – odezwał się Irga.

– Oczywiście, zaraz przekażę wiadomość. Jak mam was zapowiedzieć? Czy życycie sobie

wejść wszyscy?

– To nie jest konieczne. – sposób przyjęcia i gorliwość dworaka zaskoczyła Rahe-dasa. – Pójdę tylko ja, moim towarzyszom chciałbym umożliwić odpoczynek. Za nami wiele dni wędrówki.

– Będzie, jak sobie życzysz – uklonił się dworzanin. – Twoi wojownicy dostaną wygodną kwaterę. Ciebie zaś zaanonsuję księciu. Jak brzmi twe imię?

– Rahe-das-Geue, Zabójca z plemienia Irgów.

– Och, Irgowie! Naród na drugim końcu świata... Podziwiam cię za wytrwałość, panie. Przewędrować wzdłuż Loinu w taki niepewny czas... Tylko niesłychanej wagi sprawa może skłonić do tego eneikę – starzec z podziwem spojrzął na Zabójcę.

– Bywają takie sprawy – wymijająco odparł Rahe-das. – Pozwól, czcigodny, prosić cię o zapowiedzenie nas księciu Mmea-ghattowi. Ja również jestem zmęczony.

– Już idę – Nisska ruszył do drzwi. Zaczekaj chwilę, to nie potrwa długo.

Jakoż wkrótce był z powrotem. Zostawił wierzeje otwarte i wskazał drogę do środka.

– Gdyby posłuchanie zakończyło się wcześniej, poczekaj tu na mnie – powiedział do mijającego go Rahe-dasa. – Wskażę ci twoją komnatę.

Mmea-ghatt siedział za niskim stołem na stercie poduszek. Był sam, jeśli nie liczyć czterech gwardzistów w kolczugach ze stalowej siatki i talerzowych hełmach, którzy stali nieruchomo w rogach sali. Nieduża izba urządzona była skromnie, wręcz surowo; poza siedziskiem księcia i stołem znajdowała się tu jeszcze ława pod oknem i otwarty piec z buzującym wewnątrz ogniem. Niczym nieozdobione ściany dopełniały obrazu prostoty tego wnętrza, wcale nie przypominającego książęcej rezydencji. W siedzibach władców, które Rahe-das widywał, tak mieszkała służba.

– Witaj, Niezwycięzony – odezwał się Mmea-ghatt. – Co sprawiło, że zaszczyliłeś Nissków wizytą?

Rahe-das podszedł bliżej. Dopiero teraz mógł przyjrzeć mu się dokładniej. Władca był niemłody. Włosy na skroniach i policzkach srebrzyły się pasmami siwizny, skóra pod oczami obwisła w pomarszczone worki, lecz plecy miał proste, a pod obcisłym kaftanem rysowały się węzły mięśni.

– Bądź pozdrowiony, czcigodny Mmea-ghatt, oby Trorr-ud zesłał słońce na twą drogę – Irga ugiął kolano w lekkim ukłonie. – Przybyłem obwieścić Nisskom, że eneikowie postanowili

wrócić do Oll-hirr.

– Masz na myśli eneików z Gór Smoczyc? – z naciskiem zapytał palatyn.

– Myślę o wszystkich eneikach, czcigodny. Chciałem dowiedzieć się, czy eneikowie Nisska przyłączą się do nas.

Władca nie odpowiedział od razu. Z jego twarzy można było wyczytać, że zastanawia się nad słowami Zabójcy.

– Co takiego nastąpiło, że eneikowie obudzili się z letargu? – zadał kolejne pytanie.

– Okoliczności sprawiły, że pojawiła się szansa wskrzeszenia Ayantialla.

– Co powiedziałeś? – Mmea-ghatt pochylił się nad stołem. – Udało się zgromadzić pięć z ośmiu kamieni. Są w Ibbomi. Wasz Geen byłby szósty.

– Brzmi to nieprawdopodobnie. Jesteś pewien, że się nie mylisz?

– Sam je tam zaniósłem.

Palatyn wstał wolno z poduszek i, opierając się o blat, spojrział Rahe – – dasowi w oczy.

– Kim ty jesteś?

– Tym, Który Otwiera Drogę do Oll-hirr.

Nisska znów zamilkł. Coś działo się w jego duszy, na jego twarzy malowało się wahanie.

– Oll-hirr... – powiedział w zadumie. – Myślisz, że to jeszcze możliwe?

– To się staje.

– I jest nadzieja, że stanie się naprawdę?

– Jeżeli Storg-orh nie wejdzie nam w drogę.

– Storg-orh? Co ma z tym wspólnego Pan Pustyni?

– Dlaczego się dziwisz? On nie zrezygnował. Czeka nas wielka próba.

– Opowiedz mi o tym.

Ożyło wspomnienie wypraw, przygód i niebezpieczeństw, wróciła pamięć o tych, którzy zostali złożeni w ofierze najwyższemu celowi. Wyraziły ją słowa, choć z pewnością nie zdołały oddać wszystkiego.

– Dlatego przyszedłem po Władcę Ziemi – zakończył Irga opowieść. – Tylko jego brakuje spośród kamieni, których losy znamy.

Mmea-ghatt milczał. Trawił w sobie jakąś myśl, wahał się jakby i łamał, aż wreszcie powiedział:

– To wielka myśl, wielka idea. Nie wiem, czy nie za wielka.



– Nie mam już odwrotu.

– Przypuśćmy, że oddam ci Geena. Jak odzyskasz dwa pozostałe?

– Jeszcze nie wiem... Ale nie jestem sam, cały zakon zjednoczył się, by osiągnąć cel.

A zakon jako całość to olbrzymia wspólna mądrość, w której musi znaleźć się rada. W to wierzę. Obiecano mi.

Znów zapadła cisza. Lecz Mmea-ghatt musiał odpowiedzieć i odpowiedź ta miała określić losy plemienia, którym władał. Książę odetchnął głęboko.

– Dobrze – powiedział. – Dostaniesz Geena i armię. Nisskowie staną u boku swych braci ze Smoczyc Gór. Wojsko gotowe będzie za sześć, może siedem dni, zaczekasz tyle?

– To się nawet dobrze składa, może przez ten czas wyzdrowieje mój ranny przyjaciel, którego zostawiłem w Ko-te.

– A co mu się stało? Nie mówiłeś, że mieliście jakąś przygodę.

– Nic poważnego – uspokoił go Rahe-das. – Ghoty nas napadły. Ale, ale... – przypomniał sobie – może ty, czcigodny, będziesz wiedział... Mieliście kiedyś kontakty z tomami.

– O co chodzi?

– Przy zabitym ghocie znalazłem to – Irga sięgnął za pas i wydobyl czarną płytkę. – Czy wiesz, co to może być?

Książę z ciekawością ujął ją w dłonie i uniósł pod światło. Błysnęła szkarłatnym refleksem odbitego płomienia.

– Tak, to na pewno robota tornów – rzekł. – Do czego służy, nie wiem, ale możemy się dowiedzieć.

– W jaki sposób?

– Od torna – uśmiechnął się, widząc zaskoczenie Irgi. – Mamy tu, w Vendi, takiego. Wiekowy starzec, jeden z tych, co rządili niegdyś Durlockiem. Jego rodacy odeszli w Gallary, został tylko on. Żyje tu sobie cicho, nie narzuca się nikomu. Nie przeszkadza nam, więc i my zostawiamy go w spokoju. Niewiele zresztą w nim dumy dawnych władców.

Rahe-das poczuł, jak coś się w nim napina, twardnieje, zamienia w kamień. Odezwała się prastara, zakodowana w podświadomości nienawiść. To uczucie, różniące Irgów od braci z Zagórza, którzy łatwiej godzili się z panowaniem Durlocku, zawsze sprawiało, że eneikowie z wideł Karii i Suanu bliżsi byli ugody z valami niż uległości wobec Morv. Ale teraz owa wrogość straciła podstawy, a torn mógł okazać się przydatny. Liczył się interes eneików. Zapytał

więc tylko:

– Gdzie go znajdę?

– Mieszka tu, w pałacu. Zaprowadzę cię – Mmea-ghatt skierował się do drzwi.

Pokój wydawał się pusty. Gdy przeciąg zakołysał kotarami, zza wysokiego oparcia stojącego przy palenisku fotela odezwał się starczy głos:

– Nie zapraszałem nikogo.

Równocześnie Rahe-das poczuł, że w mózg wciska mu się natrętna myśl, powtarzająca to samo, a zarazem nachalnie penetrująca jego świadomość, szperająca po najgłębszych zakamarkach jaźni.

„Obcy...” – odczytał jej zdziwienie. – „Irga Rahe-das, tak? Zabójca Smoków. Krew xinxa, czerń jego wnętrza... Zabił smoka... nie, dwa! Taki bohaterski karzeł. A to? Nie znam... Te płomienie – to meduzy. Dziwne... Co to roi się w pamięci tego malca! Z czym przychodzi? Co on ma?!”

Nie mógł wypchnąć jej z siebie. Potrząsnął głową i podbiegł do fotela. Ujrzał skurczoną, drobną postać w błyszczącym kombinezonie. Z pomarszczonej twarzy popatrzyły na niego płonące oczy.

– Jakim prawem grzebiesz w mojej głowie? – zawołał. Staruch uśmiechnął się pogardliwie.

– Rozgniewał się Zabójca – obca myśl pod czaszką jak echo powtórzyła te słowa. Zawarta w nich kpina napełniła Irgę wściekłością. Złapał torna za bluzę na piersiach i przystawił mu do gardła ostrze garnaga.

– Rahe-das, zostaw... Oni tacy są... byli. Do tego trzeba przywyknąć – usłyszał za plecami głos Mmea-ghatta. – Nic w ten sposób nie osiągniesz.

– Niech zabierze te swoje ohydne macki! – krzyknął. – Bo zarżnę jak szczenię parszywego hanga!

„Dawniej zapłaciłbyś za to” – myśl była zimna jak metal.

Musiał coś zrobić. Tom gmerał w nim niczym we własnej sakwie, bezkarnie włożył w najtajniejsze wspomnienia. I nie mógł go zabić, jeżeli chciał czegoś się dowiedzieć. A srebro odziany pokurez już o tym wiedział, bo drwiąc z jego noża nie miał zamiaru przestać. Lada moment wydobędzie wszystko.

I nagle wybuchł w nim jakby przezroczysty bąbel. Błyskawicznie wypełnił jaźń, wyparł z niej myśl toma, po czym otoczył umysł nieprzepuszczalną błoną.

– Jak to zrobiłeś? – usłyszał syknięcie starca. Już nie towarzyszył mu pogłos pod czaszką.

Jak? Sam chciał wiedzieć. Kiedyś, w którymś momencie, otrzymał od Trorr-uda dar, o którym dotąd nie miał pojęcia, ochronę przed ingerencją w jego świadomość, jak gdyby bóg-eneika przewidział to spotkanie. Czyżby było to bogactwo ofiarowane przez tajemnicę, której, jak mu się wtedy zdawało, nie posiadał?

Puścił torna. Ten opadł na oparcie, we wzroku miał przerażenie. Bał się. Tak łatwo przestraszyć syna nieba?

– Mówiłem, że nie pozwalam wchodzić w moje myśli. Nikomu – już opadło napięcie. Poczul się pewny pod osłoną niewidzialnej sfery.

– Czego chcesz? – tom miał głos słaby i drżący. Z dumnej istoty nagle zmienił się w niedołężnego starca, wystarczyło odebrać mu władzę.

– Udzielisz mi tylko pewnej informacji i już nie będę cię nachodził – odpowiedział spokojnie.

– Jakiej informacji? Rahe-das wyciągnął płytkę.

– Co to jest? – podsunął ją tomowi przed oczy.

Ten wyprostował się gwałtownie, jakby wstąpiły weń nowe siły. Nagłym ruchem wyciągnął dłoń w kierunku okazanego przedmiotu, lecz palce zacisnęły się w powietrzu. Irga był szybszy. Czym prędzej cofnął rękę i odstępując o krok rzekł zimno:

– Więcej tego nie próbuj.

– Skąd to masz? – gorączkowo wykrzyknął tom.

– Odpowiedz na moje pytanie. Lepiej nie sprawdzaj, jakie znam metody rozwiązywania języka.

– To jest puul, przyrząd do sterowania... Oddaj mi go, na nic ci się nie przyda, on słucha tylko myśli tornów... no, może jeszcze valów. Eneikowie nie mają nad nim władzy.

– Co to znaczy: „puul”? Czym on steruje?

– Stalowym hufcem.

Dreszcz przebiegł po plecach Rahe-dasa.

– Stalowym hufcem? Tym, który budował Wieżę Życia?

– Daj mi to – powtórzył tom pokornie. – Możesz zostać zbawicielem tornów, damy ci władzę nad wszystkimi eneikami, nawet nad valami. Będziemy wspólnie panować w Loinie!

– Co ci się roi, szaleńcze?

– Tornowie wzniosą nową Wieżę, nikt się nam nie oprze... Podzielimy się Loinem, dostaniecie Przedgórze, te wasze Stare Krainy; czyż nie o to walczysz, Zabójco Smoków? Znalazłeś sojuszników, o jakich nie śniłeś, sam przyznaj. Daj mi tę płytkę! – pospiesznie szeptał starzec, pochyliwszy się w fotelu.

Sto myśli naraz przemknęło przez głowę Rahe-dasa. To była szansa... Z takim sprzymierzeńcem mógł nie bać się nawet Storg-orha – ba, nawet Ayantiall przestawał być potrzebny. Można machnąć ręką na kryształy, Oll-hirr otwierają się przed eneikami! Mieć za sobą Moc, wypędzić valów, zniszczyć ich, ukorzyć, postawić stopę na karkach nago – skórych, a potem... Właśnie, co potem? Co eneików ochroni przed Mocą? Kto odbierze ją tornom, by z przyjaciół nie zmienili się we wrogów? Nie narodzi się drugi Itijasti, nie będzie magicznych aureoli słonecznych ksiąg, które chronią przed zabójczą siłą. Co wtedy nastąpi?

Niespiesznym gestem schował płytkę za pas. Odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę drzwi.

– Rahe-das! – usłyszał za sobą rozpaczliwy okrzyk torna. Obejrzał się z ręką na klamce.

– Dziękuję za wyjaśnienie – powiedział i przekroczył próg. Zza zamkniętych drzwi dobiegł go wypełniony rozpaczą, żalospny jęk, pełen strasznego zawodu:

– Oddaj płytkę...

\*

*Uff! To już poza mną. Ulga, którą czuję, jest tak duża, że aż nieproporcjonalna do wagi wydarzeń. Obawiałem się spotkania z Nisskami, wiedziałem o nich niewiele poza tym, że służyli Durlockowi. Okazało się, iż to nie odzyskanie Geena było kulminacją mojej wyprawy, a owa niepozorna płytka, przypadkiem odebrana ghotom. Mało brakowało, a uległbym argumentom starego torna... Na szczęście Trorr-ud czuwał, nie dał zapomnieć o idei, której mnie poświęcił. A swoją drogą bardzo przydałby się eneikom taki nieśmiertelny hufiec. Cóż mógłby mu zrobić Storg-orh – odebrać dusze? Wszak stalowi rycerze ich nie mają. Meduzy byłyby dla nich jedynie większym ogniskiem, które osmala blachy, nie czyniąc krzywdy zakutym w nie istotom. Niestety, nie mam stalowego hufca, nie wiem, gdzie go szukać, a gdybym nawet wiedział, cóż z tego? Tom mówił, że rycerze nie słuchają eneików i pewnie nie kłamał. Warto by jednak mimo wszystko poznać ich losy. Niedobrze, gdy taka potęga znika bez śladu. To znaczy, ślad jest: ta płytka... Tam, gdzie ją zdobył ghot, musiał żyć jej ostatni właściciel. Zaraz, po kolei... Ghot przywędrował z południa, miał iserski miecz. Czy należy wiązać to ze stalowym hufcem? Ostatnim, który widział Wieżę Życia przed jej zniszczeniem, był Iser Itijasti. To on musiał zabrać stamtąd hufiec, dlatego*

*tak łatwo przepędził najeźdźców z kraju. A teraz „puul”, jak nazwał płytkę tom, znalazł się na Zagórze. Czyżby wśród iserskich osadników był spadkobierca wielkiego Itiego? Jeżeli nie omyliłem się w przypuszczeniach, stalowych rycerzy należy szukać u kolonistów. Tylko czy warto? Dopóki mam tę płytkę, hufiec jest naprawdę martwy. Ze słów torna wynika, że nie ma innego sposobu, aby go ożywić. Muszę jednak pomyśleć, czy nie należałoby go odnaleźć, tak na wszelki wypadek... Ale to później, teraz muszę dotrzeć do Ibbomi.*

*Nie powinno być żadnych komplikacji, Mmea-ghatt oddał do dyspozycji zakonu wielką armię. Dziesięć tysięcy wojowników idzie ze mną, nigdy nie marzyłem o takiej potędze. Geen wędruje w świetnej eskorcie. Nie ma siły na Zagórze, która mogłaby mu zagrozić. Poza pograniczem oczywiście. Tam panoszą się widmowi jeźdźcy. Nie tylko dziesięć, ale nawet sto tysięcy najlepszych eneickich żołnierzy nie da im rady, jeśli nie uzbroję ich w ostrza z metalu ngorhi. A to nie nastąpi szybko. Wydobycie wielkiej ilości metalu wymaga czasu. Nie wiem, czy mi go wystarczy.*

*Jeden przykry moment przeżyłem w księstwie Nissków: Immi-wu musiał tam zostać. Rany okazały się groźne, zielarz nie ręczył za jego sprawność. Z żalem pożegnałem dzielnego marynarza, będzie mi go brakowało. Czy kiedyś się jeszcze spotkamy?*

\*

Na stokach gigantycznego masywu Smoczyc Górn nigdy nie gościło życie. Zieleń kończyła się u ich stóp, nie zaglądały tu zwierzęta. Nieliczni śmiałkowie, którzy próbowali zmierzyć się z potężnymi graniami, szybko rezygnowali lub ginęli w szczelinach i przepaściach bez dna. Od milionów ellarów trwały te milczące, ponure olbrzymy, urągając kipiącej na nizinach naturze.

A jednak to nieprawda, że nic nie żyło w tych stronach. Nie na szczytach, te były martwe – pod nimi. W gmatwaninie korytarzy i jaskiń, gęsto przecinających podstawę gór, leżały istoty, których światem był wieczny mrok i cisza, zaś największym wrogiem światło. Panowały tu niepodzielnie od momentu, gdy wypiętrzyły się skały, a ich podstawa popękała na skutek rozsadzającej caliznę energii. Tak powstało idealne środowisko dla nocnej fauny. Zdawało się, że będzie w nim królować wiecznie, lecz oto nastał czas xinxów.

Przybycie smoków wiązało się z wcześniejszym najściem nieproszonych gości: jaskiniami przeszli rozgromieni przez walów eneikowie, by schronić się w niedostępnych górskich enklawach. Zaraz potem w podziemiach pojawiły się xinxy. Od ich potężnych cielsk biło jaskrawe światło, dzięki temu szybko stały się postrachem mieszkańców mroku, a wszystkim,

którym chodził po głowie pomysł powtórzenia wyczynu eneików, zamknęły drogę murem potężnych paszcz. Szlak przez labirynt został odcięty.

Rychło wśród eneików narodziła się idea Zabójców Smoków, mnichów-wojowników, którzy postawili sobie za cel otwarcie drogi do Starych Krain. Samotni desperaci przebiegali nieskończone korytarze, stawali przeciwko władcom podziemnego świata zbrojni w noże ze świętego ngorhi. Labirynt zmienił się w arenę krwawych pojedynków. Zwycięzcami najczęściej były xinxy; nielicznych ocalałych Zabójców, których garnagi okazały się silniejsze od stworzonych przez Storg – orha potworów, czyn ów nobilitował do grona uprzywilejowanych zakonu. W spisach klanów Geue i Diie pojawiały się kolejne imiona bohaterów.

Zabójcy nie wypełnili posłannictwa Bractwa, bo wypełnić go nie mogli. Smoków było zbyt wiele. Toteż z biegiem czasu zapomniano niemal o celu samotnych pojedynków, stały się rytuałem, obrzędem odprawianym w imię Oll-hirr, mitycznej krainy, której nazwa od wielu pokoleń była symbolem szczęśliwych dni. Lecz oto na podziemnych szlakach znowu pojawiły się zastępy eneików, przerażając zajętą przez xinxy drogę. Nie byli to już pojedynczy straceńcy. Szły labiryntem korytarzy całe oddziały zbrojnych. Z kraju Irgów wędrowały na północ trzy tysiące wojowników, torowało im ścieżki pięciuset Zabójców z klasztoru w Lan i dwustu z Anatta-do. Półtora tysiąca Ceranów pod osłoną czterystu braci przedzierało się jaskiniami wzdłuż Małego Urtu, kilkuset wiozły wąskodziobe czółna. Krwawy to był przemarsz. Wielekroć xinxy zastępowały im drogę i na szlakach oddziałów pozostało blisko pół setki smoczych zewłoków, opłaconych ofiarą ponad dwustu Geue, Diie i nowicjuszy z klanu czekających. Straciło życie kilkudziesięciu wojowników spoza zakonu: ci padli łupem autochtonów podziemi, gdy lekkomyślnie lub przypadkiem porzucili zbawczy krąg światła pochodni.

Wreszcie, po wielu dniach morderczej wędrówki, oddziały wyszły na równiny kraju Urumów. Tu, w opustoszałym stepie, połączyły się w armię, by ruszyć dalej już razem. W Worh czekały na nie dwa regimenty świetnych urumskich łuczników. Zanim jednak doszło do spotkania, eneikowie musieli przejść jeszcze jeden sprawdzian. Maszerującym w awangardzie Zabójcom z Lan wyjechali naprzeciw widmowi jeźdźcy.

Prowadził braci Dedhi-ver. Nie był to już ten sam eneika, który jako brat służebny towarzyszył Rahe-dasowi w jego wyprawach. Miał za sobą samotne przejście jaskiń w poselstwie do Ceranów i Irgów, kiedy to pierwszy smok przeciął jego szlak. Drugiemu wyrwał serce podczas pochodu armii, gdy trzech Zabójców rozpruło smoczy brzuch, lecz żaden nie zdołał

wrócić i oszalała z bólu i wściekłości bestię, prącając lawina na przerażonych wojowników, zatrzymał dopiero on. Zyskał więc Irga miano Geue i stał się równy swemu dawnemu panu.

Ponieważ znał drogę, objął dowództwo liczącego dwieście garnagów oddziału, który szedł w przodzie dla ochrony reszty wojska.

Meduzy pojawiły się niespodziewanie. Przed eneikami nagle zakręcił się wielki ognisty krąg i unosząc się wypłynął z wnętrza zwartą chorągiew upiornych rycerzy. Było ich blisko tysiąc: eneików i valów, gdyby nie pustka pod hełmami i między blachami pancerzy, można by ich wziąć za żywe istoty. Eneikowie słyszeli wyraźnie brzęk oręża i pomruki wierzchowców. Zabójcy stanęli jak wryci. Uprzedzeni przez Dedhi-vera wiedzieli, że nie są wobec widm bezbronni, lecz czekało ich pierwsze spotkanie, a ponadto garnag nie był imponującym orężem, kiedy należało go przeciwstawić kopiom, mieczom i toporom. Toteż niejednemu zadrżały kolana i począł rozglądać się ukradkiem w poszukiwaniu drogi odwrotu.

Dedhi-ver nie dopuścił do zwątpienia. Zanim jeźdźcy ruszyli, pchnął gońca do tyłu, do idących za czołem kolumny osłonowych zastępów Ceranów. Zabójcy ze Smoczyc Górn szybko pojęli jego zamiar. Kiedy ku szarżującym widmom pofrunęły noże Irgów, a bezbronny już oddział rozpierchnął się w popłochu, na spotkanie wysłanników Storg – orha wyszedł w równym szyku prawie czterysuosobowy regiment górali. Step zapłonął setkami ognia. Szeregi sahanów poczęły zmieniać się w pasmo pękających fajerwerkami płomieni pęcherzy magmy, pomarańczowe języki spływały w ziemię, powietrze zaczęło drgać od gorąca. Pierwsza linia eneików zniknęła w morzu żaru, po drugiej przeszedł widmowy hufiec, położył ją pokotem pod ciosami włóczni i kopytami irmanów. Trzecia i czwarta cisnęły garnagi w tłum rycerzy i rozbiegły się na boki, szukając ratunku w ucieczce. Lecz jeźdźców ubywało, ogniste pochodnie rozpały się na krótko i zmieniały w nicość, zaś stepem pędził ku bitwie odwód Irgów.

I chyba to powstrzymało atak upiórów. Zatrzymały się przeredzone mocno szeregi, sahani poczęli blaknąć, z wolna zapadali się w ziemię. Po chwili nie było po nich śladu; o niedawnym starciu świadczyły jedynie połacie wypalanej trawy.

Z bezsilnością i grozą wojownicy z obu regularnych armii obserwowali przebieg walki. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeśli regiment Storg-orha przełamie szyk Zabójców, wielu z nich czeka śmierć. Broń, którą instynktownie ściskali w spotniałych dłoniach, była bezużyteczną zabawką wobec widmowych jeźdźców, to wiedział już każdy. Kiedy zatem atakująca chorągiew wyhamowała pęd wierzchowców, a potem zaczęła znikać, triumfalne

zawołanie przebiegło przez oddziały eneików. Byli świadkami zwycięstwa, pierwszego w tej wojnie ze złymi mocami pustyni. Wśród entuzjastycznych okrzyków armia ruszyła dalej. Radosnego nastroju nie mącił nawet fakt, że w stepie za wojskiem pozostało dziesięć tuzinów nieruchomych ciał.

\*

Wchodzili kolejno, pochylając się w niskich drzwiach plecionej z gałęzi chaty. Ceranowie: Ziz-tta, Sebb-oam i dowodzący armią palatyna namiestnik Toggi-vie, Irgowie: Mom-udi i tysięcznik Diq-as, Nisskowie: dowódca armii Euan-miju i kapłan powiernik Geena Tonnoto-shev, Urumowie: mistrz Bave-tio i Nanna-ove, któremu księżę Giuao-temh powierzył władzę nad łucznikami. Zajmowali miejsca wokół ogniska, witali się z Rahe-dasem i Dedhi-verem. Spozierali na siebie ukradkiem, taksowali wzrokiem, bo chociaż większość z nich przybyła tu razem, pospieszny marsz udaremnił bliższe poznanie. A mieli przecież stworzyć wspólną siłę, aby ziściło się prastare marzenie i Oll-hirr rozkwitły na nowo. Pierwszy raz od tamtych czasów zasiedli w zgodzie zjednoczeni tą samą ideą wysłannicy czterech wielkich plemion. Mieli za zadanie odrodzenie tradycji niegdysiejszych Rad Eneików, na których ich dziadowie z błogosławieństwem Trorr-uda stanowili o losach rasy. To był załazek. Kiedyś może zasiadaw Ibbomi wodzowie potężnych szczepów, kapłani wskrzeszonego klasztoru, a Loin będzie jaśniał w promieniach jedyne go władcy, Ayantialla. Trzeba stoczyć jeszcze tę wojnę, a potem drugą i trzecią. Lecz ta pierwsza zadecyduje: jeśli zwyciężą, nic już nie powstrzyma cudu scalenia.

– Czy wszyscy Zabójcy przybyli z wami? – przerwał milczenie Rahe-das.

– Prawie – mistrz Mom-udi odezwał się pierwszy. – Z wyjątkiem Strażników Tajemnic i obsługi klasztorów.

– Jak kazałeś, wysłałem karawany do kopalń – przemówił Ziz-tta. – Poza nimi i, jak u Irgów, Strażnikami, wszyscy cerańscy Zabójcy są ze mną.

– Kiedy można liczyć na przybycie karawan?

– Nieprędko. Ze trzy seves zajmie wydobyć ngorhi, drugie tyle przekucie go na ostrza i groty. Do tego jeszcze droga tam i z powrotem...

– Ile garnagów mamy w zapasie?

– Irgowie – trzysta.

– Ceranowie – trzysta siedemdziesiąt.

– Urumowie – sto pięćdziesiąt – padały kolejne liczby.



– To razem z nożami Zabójców daje ponad tysiąc siedemset sztuk użytecznej broni – obliczył szybko Rahe-das. – Biorąc pod uwagę, że podczas walki z sahanami w większości przypadków garnaga można użyć tylko raz, to niewiele...

– Przygotowanie broni dla prawie dwudziestu tysięcy żołnierzy wymaga czasu. Nic na to nie poradzimy – stwierdził Mom-udi.

– Można jednak zwiększyć skuteczność tej, którą mamy – Dedhi-ver z namysłem powiódł wzrokiem po twarzach obecnych.

– Masz jakiś pomysł? – zaciekał się Rahe-das.

– Gdyby z kling garnagów zrobić groty włóczni lub kolce czekanów...

– To jest myśl. Tylko że reguła zakonu zabrania Zabójcom rozstawania się z nożem. Możemy przekuć jedynie garnagi z zapasów.

– Dobre i to. Osiemset włóczni też coś znaczy, zwłaszcza że żołnierze nie potrafią władać sztyletem tak sprawnie jak Zabójcy.

Rahe-das zwrócił się teraz do Urumskiego Diie:

– Mistrzu Bave-tio, jak wyglądają umocnienia wokół klasztoru? Nie miałem dotąd czasu, aby je dokładnie obejrzeć.

Bave-tio pochylił się do przodu i wyjrzał zza ramienia siedzącego obok Sebb-oama.

– Nikt się tu łatwo nie wedrze – odrzekł. – Otoczyliśmy ruiny wałem ziemnym i częstokołem z pni, wzmocniliśmy go dodatkowo od wewnątrz barykadą z gruzu. Wytrzyma niejedyn atak.

– Zależy, kto będzie nacierał – mruknął do siebie Rahe-das. – Czy sahani was niepokoił? – zapytał głośno.

Mistrz pokręcił przecząco głową.

– Pokazali się tylko raz, z daleka. Nie podeszli pod wały.

Tego Rahe-das nie oczekiwał. Czyżby czekali na niego? Po co wobec tego atakowali Dedhi-vera? Jakby odgadując myśli towarzysza, Dedhi-ver zauważył:

– Zdaje się, że Storg-orh nie bardzo wie, w kogo uderzać. Za dużo dzieje się naraz, traci orientację.

– Nie lekceważ go – ostrzegł Bave-tio. – To jest bóg niewiele mniejszy od Trorr-uda.

Rahe-das podniósł rękę. Uciszyli się.

– Nie pora teraz rozstrzygać o wielkości Pana Pustyni – powiedział.

– Czas pokaże, czy wart jest, by nazywać go bogiem. Mam jeszcze dwie sprawy, które

wymagają decyzji zebranych tu wodzów.

Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

– Zaczę od mniejszej – kontynuował Irga. – Niektórzy z was zapewne już wiedzą, że w drodze do Nissków napadły nas ghoty. Szczęśliwie udało się nam odeprzeć je z niewielkimi stratami. Niestety, mój i Dedhi-vera przyjaciel, Immi-wu, odniósł ranę. Musiałem zostawić go u Nissków, był w ciężkim stanie i zielarz nie robił nadziei na całkowite wyleczenie. Ale nie o tym chciałem mówić. Jeden z zabitych ghotów, przewodnik stada, był uzbrojony w valijski, a dokładniej iserski, miecz i miał przy sobie w woreczku z talizmanami dziwny przedmiot. Właśnie ten – wyciągnął zza pasa prostokątną płytkę. Eneikowie pochylili się nad nią z ciekawością. – Od razu poznałem, że pochodzi od tornów, dlatego zabrałem ją ze sobą. U Nissków żyje jeszcze jeden z tych, którzy rządzą Durlockiem. Od niego dowiedziałem się, co to za rzecz – zawiesił głos dla większego efektu. – To niby-szkielko to jest „puul” – z namaszczeniem wypowiedział obco brzmiące słowo. – To wydaje rozkazy stalowemu hufcowi.

Wśród obecnych zapanowało poruszenie.

– Temu od Wieży Życia? – zapytał Nanna-ove.

– Właśnie.

– Skąd go miały ghoty?

– Nic się wam nie kojarzy? Stwory miały broń Iserów, nową. A kto ostatni był przy Wieży?

– Itijasti...

– Zatem hufiec jest u Iserów – zrozumiał Mom-udi. – Czy można nim dowodzić bez tej płytki?

– Nie. Nawet tomowie tego nie potrafią.

– A my? Czy stalowi rycerze posłuchają eneików za pośrednictwem czarnej płytki?

– Torn twierdził, że nie... – przyznał Rahe-das ze smutkiem. – Tylko ich i walów.

– Wobec tego można uznać, że hufiec nie istnieje – Mom-udi wzruszył ramionami. – Skoro płytką jest u nas, a rycerze u nich...

– Przydałaby się nam taka armia – westchnął Dedhi-ver. – Cóż dla nich sahani, skoro są nieśmiertelni.

– Zastanówmy się jednak, czy nie warto sprawdzić, co się z nimi dzieje? Może znajdzie się jakaś rada, sposób na przejęcie władzy nad hufcem. Niewiele można powiedzieć, nie sprawdzisz wszystkiego – Rahe-das popatrzył na towarzyszy.

– Co masz na myśli? – spytał Mom-udi. – Chcesz wysłać tam kogoś?

– Chciałem właśnie prosić was o zdanie. Sam jeszcze nie wiem...

– Iść teraz między walów, to niebezpieczne. W Iserii trwa wojna domowa – zauważył namiestnik Toggi-vie.

– Nie trzeba wędrować aż do Iserii. Zapewne słyszeliście, że iserscy osadnicy przekroczyli Gardło. Zresztą ghoty raczej nie zapędzają się na ziemie księstwa. Płytkę i miecz zdobyły przypuszczalnie tu, na Zagórze.

– To bardzo możliwe – Przytaknął Mom-udi. – A więc to wyznawcy Itiego osiedlili się tutaj? Czyżby ich wygnano?

– Wszystko należy sprawdzić. – Rahe-das zwrócił się do Dedhi-vera: – Poszedłbyś tam, przyjacielu?

Zagadnięty pochylił czoło.

– Będzie, jak postanowisz. Odpocznę kilka dni i mogę ruszać.

– Dam ci tę płytkę – Zabójca podał mu czarny prostokąt. – Weź ją na wszelki wypadek. Może zdarzy się coś, co umożliwi opanowanie hufca. Jeśli nie, postaraj się przynajmniej znaleźć miejsce, gdzie go ukryto. To informacja wielkiej wagi. Teraz druga sprawa – rzekł do pozostałych. – Czcigodny Ziz-tta, czas, byś wypełnił obietnicę.

Przysłuchujący się od dłuższego czasu rozmowie Ceran podniósł wzrok na Irgę.

– Czekałem, aż to powiesz – odparł. – Lecz, niech mi wybaczą obecni tu wojownicy, to, co mam wyjawić, jest przeznaczone wyłącznie dla uszu braci Zabójców.

Bez protestu czy urazy dowódcy opuścili chatę. Zakon miał swoje tajemnice i nawet sojusz z enikami spoza Bractwa tego nie zmienił. Najważniejsze, że z ich sekretów zawsze wynikały ważne decyzje, które wytyczały cel działań całej rasy. Do tego przywykli wszyscy eneiko – wie, nawet władcy plemion poddawali się dominacji tych, którzy na co dzień obcowali z nadprzyrodzoną mocą boga-eneiki.

– Kapłanie – Rahe-das zatrzymał Nisskę Tonnoto-sheva. – Zostań, proszę. Rzecz dotyczy kryształów, jesteś wszak powiernikiem. Wypada, byś wiedział o wszystkim.

Zostali sami. Sześciu Niezwycięzonych, pod ich garnagami padło nie mniej niż piętnaście xinxów, ich imiona na zawsze uwieczniono wśród wielkich Bractwa. Reprezentowali po połowie oba ich klany: trzech Diie, trzech Geue. Jedynym spoza zakonu był ów Nisska, którego fakt powiernictwa boskiego Geena stawiał na równi z Zabójcami.

– Możesz mówić, mistrzu Ziz-tta.

Ceran wstał. Podeszedł do wejścia i podniósł zostawioną tam sakwę.

– Wiadome jest wszystkim, że byłem powiernikiem Władcy Wody, dopóki nie przekazałem go w ręce Rahe-das-Geue, który przyniósł Ceranom zuchwałą myśl. Podjęliśmy ją. Nie było w tym wyłącznie naiwnej wiary, bowiem zakonowi Ceranów znane jest coś, co może urzeczywistnić spełnienie tej idei. Jak wiecie, największą przeszkodę stanowi zaginięcie dwóch okruchów Ayantialla: Dessirha Władcy Życia i Llagolla, który rządzi myślą. Nigdy bym nie przystał na plany Rahe-dasa, gdybym nie widział szansy poznania ich losów. Taka szansa istnieje. Oto ona.

Sięgnął do sakwy i wydobyl z niej brudny, postrzępiony zwój cienkiej skóry.

– To jest jedyny ocalały fragment pism kapłanów Ibbomi, jaki udało się Ceranom zachować. Nie ma tu wiele, ale znalazłem zapis dotyczący pewnych zdolności Ayantialla, które musiały pozostać w jednym z odłamków. Chodzi o Etaura – powiódł wzrokiem po skupionych twarzach i zatrzymał się na Bave-tio. – Ty, mistrzu, znasz zakłęcie ożywiające Władcę Czasu. Powiedz, co ono wywołuje?

– Możliwość cofnięcia wydarzeń i ich zmianę – szepnął Urum. Patrzył z napięciem na mówiącego.

– Jak wielką?

– O czwartą część dziennej drogi słońca.

– Ile razy używano Etaura do tego celu?

– Ani razu. Zbyt wiele złego można uczynić, nawet nieświadomie, ingerując w przeszłość.

– To dobrze. Będzie bowiem potrzebna niemal cała moc kamienia, tak wychodzi z obliczeń przeniesienia zdolności Ayantialla na odłamek.

– Można to obliczyć?

– Tak. Lecz nie to jest najważniejsze. W tym zwoju – podniósł skórzany rulon nad głowę – znalazłem jeszcze jedno zakłęcie dotyczące czasu. Ze znanych nam okruchów czasem włada tylko Etaur. Dlatego myślę, że powinno dotyczyć jego.

– Jakie to zakłęcie? – Rahe-das zerwał się podniecony. Zaczynał rozumieć, do czego zmierza Ziz-tta.

– Pozwala zajrzeć w przeszłość miejsca, w którym jesteś, do chwili, jaką sobie określisz, i śledzić losy wybranych wydarzeń aż do dzisiejszego dnia. Bez możliwości wpływania na ich

bieg.

– Możemy więc prześledzić historię Llagolla i Dessirha?

– Jednego na pewno. Czy uda się z drugim, nie wiadomo. Etaurowi może zabraknąć mocy.

– A zatem to na nic – zrezygnowany Irga usiadł z powrotem. – Co nam po jednym, jeżeli drugi nadal pozostanie ukryty w przeszłości.

– Tak będzie, jeżeli spróbujemy odtworzyć historię kryształów od dnia katastrofy w Ibbomi. Moc Etaura zużywa się tym bardziej, im głębiej sięgniemy w czasy minione. Tak daleko musimy zajrzeć tylko raz, w przypadku Llagolla. O Władcy Życia wiadomo więcej, jego historia zaciera się wiele ellarów później.

– I myślisz, że na to wystarczy siły Władcy Czasu?

– Tak myślę. Tylko że konieczna będzie jeszcze jedna wędrówka: do miejsca, gdzie zaginął Dessirh.

– Gdzie to jest?

– Znasz gród Garanja?

– Tak. To miasto na granicy Agrenii, u podnóża Gór Smocznych.

– Tam kończą się losy plemienia Virlinn.

– Pójdę tam.

– Jeśli masz wykonać swą misję do końca, pozwól uczynić to innym. Jesteś Geue, a tam droga wiedzie najdłuższym szlakiem, jaki eneikowie przebyli pod Smoczymi Górąmi.

Rahe-das pokręcił głową.

– Nie. Zacząłem to i doprowadzę do końca. Nikt nie może mnie wyręczyć.

– Wystawiasz na próbę wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy! Rahe-das wyrżał przez szparę w ścianie na dwór. Gdzieś tam, na południu, wznosił się ku niebu najwyższy szczyt Smocznych Gór, Kiddi – – ro. Gdzieś tam, na jego graniach, miał siedzibę bóg-eneika.

– Trorr-ud czuwa nade mną – powiedział z namysłem. – Może potrzebna jest taka próba?

\*

Fascynowała go. Także jako kobieta, choć nie chciał przyznać się do tego. Chętniej kierował myśli ku tajemnicy, którą w sobie nosiła. Bowiem Mivojie Vatti nie była zwykłym tornem, ogarniętym ideą pojednania, który pod wpływem tej idei rzucił dom i bliskich, aby przynieść valom słowa pokoju. Tacy byli może jej towarzysze, lecz nie ona. Wyczuwał w niej, w jej myślach, które odbierał, gdy tego chciała, w jej zachowaniu, zwłaszcza w dostrzeżonych czasem

ukradkowych spojrzeniach, jakąś odmienność, jakby usiłowała ukryć przed nim, że wie i rozumie więcej niż pozostali. I miał wrażenie, że uczestniczy w czymś, co dzieje się po raz drugi. Nie w sferze zdarzeń, raczej w ich nastroju. Nie on sam brał w nich udział, a jednak wiedza o nich była w nim zawsze, wyraźnie ją czuł. Większą część owego stanu wywoływała obecność Mivojcie i to było zagadkowe.

Całe dni spędzali razem. Kontakty między wioską tornów a iser – skimi osadami zacieśniły się w ciągu tych dwóch tygodni, które minęły od chwili pierwszego spotkania. Obie rasy garnęły się do siebie z jakimś łapczywym pośpiechem, jakby próbowały dogonić stracone godziny, kiedy były sobie wrogie. Niektórzy tornowie opuścili swoją wioskę i zamieszkali w nowo budowanych osiedlach wspólnie z valami. W osadzie Shonnów założyli domy pierwsi Iserowie. Zawarto kilka mieszanych związków, kobiety już były brzemiennie. Zebrano pierwsze wspólne plony, na zaoranych polach zieleniły się nowe zasiewy. Szybko tworzono zręby nowej społeczności, na dziewiczej ziemi odbudowywała się legenda Lornin. Przyszłe pokolenia miały tę legendę określić innym mianem, coraz powszechniej nazywano ową wspólnotę Nową Iserią. W takiej atmosferze następowało zbliżenie dwóch istot, które miały do tego większe prawo niż inni, bowiem zostało nadane przez płynące z przeszłości przesłanie. Czy wiedzieli o tym oboje?

Mivojcie dużo mówiła o Itim. To z jej inspiracji podczas wędrówek po okolicznych polach i lasach najczęściej powracali do wydarzeń, które doprowadziły do ich spotkania. Odkrywał w jej myślach jakiś rys, charakterystyczny dla tego, co wiedział o czynie ojca, interpretację zdarzeń możliwą tylko przy emocjonalnym, bezpośrednim w nim zaangażowaniu. Nie rozumiał, skąd w niej pamięć minionych doznań, normalna u świadka, nie u kogoś, kto fakty zna tylko z przekazu. Chyba że tak dużo można odczytać i przyswoić sobie z przesłanych siłą ginącej Wieży myśli...

Okolica stawała się coraz bezpieczniejsza. Obecność osadników wypłoszyła większość ghotów z pobliskiej puszczy. Mogli więc jeździć we dwoje, czasem tylko zabierali kogoś z czeladzi, raczej dla wygody niż ochrony. I coraz częściej zdarzało się, że ich ścieżka biegła w strony, gdzie nad brzegiem Urtu Hennasti ukrył stalowy hufiec. Ciągle jeszcze wzdragał się przed ujawnieniem sekretu towarzysze. Coś hamowało w nim szczerość, chociaż dawno nabrał pewności, że gdyby nawet wszystkim tornom wskazał miejsce ukrycia hufca, nie zniszczyłoby to przyjaźni, którą synowie nieba zawarli z valami. Ich już nie obchodziła Wieża, niewielu w ogóle zaznało płynących z niej dobrodziejstw. W czasach, gdy Iti podjął swą misję, większość jeszcze

się nie urodziła, inni byli dziećmi. Za ledwie garstka starców pamiętała, czego pozbawił ich iserski złoty książę. Dla pozostałych tomów były to jedynie czasy minionej świetności, era ojców. Choć więc Mivojie zdawała się zasługiwać na zaufanie, jeszcze nie umiał jej powiedzieć.

Pewnego razu trafili na pogorzelsko. Niewiele śladów zostało po tamtej walce. Puszcza odzyskała utracony teren; wszechmocna roślinność pokryła popioły niby świeża skóra, zarosły korą nadpalone pnie. Gdyby Hennasti nie zapamiętał dobrze tego miejsca, nigdy by go już nie odnalazł. Obozowali na polance, gdzie niegdyś szarzy Aghveriego dzielnie stawiali opór licznemu stadu, gdzie Hennasti stoczył śmiertelny pojedynek z potworem. Nie potrafił zapomnieć tego tak łatwo, jak zapomniał o tamtych zdarzeniach las. Ich echo, zwłaszcza przykry dla rycerza finał, musiał utrwalić się w jego psychice, skoro Mivojie zwróciła na to uwagę.

„Znasz to miejsce?”

„Tak...” – odpowiedział z mimowolnym wahaniem. Jego niepewność obudziła jeszcze większą ciekawość dziewczyny.

„Masz niemiłe wspomnienia” – stwierdziła.

„Grzebiesz w moich myślach? Podobno prawo wam tego zabrania” – próbował złością pokryć zmieszanie.

„Nie muszę w nie zaglądać, twoje pole drży jak liście na wietrze”.

Powziął nagle postanowienie.

„Jesteś zmęczona? To zwijamy obóz. Czeka nas całonocna jazda”.

„Dokąd mnie zabierasz?”

„Coś ci pokażę. Poznasz przyczynę, dla której nie lubię tego miejsca”.

Ranek przywitał ich mgłą. Siny opar snuł się nad wodą krył przed wzrokiem przeciwległy brzeg rzeki. Może z powodu mgły Hennasti długo nie mógł odnaleźć tego miejsca, a może dlatego, że okolica zmieniła wygląd: zgęstniały zarośla, wybujały trawy, skarpa zniknęła za kępą młodych drzewek. Pnącza zasłaniające pieczarę wyglądały obecnie jak gruba, puszysta narośl na zboczach urwiska. Niełatwo było domyślić się, że skrywają głęboką wnękę, zdolną pomieścić ponad sto żelaznych gigantów.

Rozgarnął mocno splątane pęki zielonych witek. Nie potrafił oprzeć się wzruszeniu. Ze ściśniętym gardłem, pełen na równi instynktownego lęku przed straszliwą siłą uszpioną niegdyś z jego rozkazu być może na zawsze, oraz irracjonalnej radości, że oto znów ich widzi, wkroczył między wielkie korpusy. Wyciągnął rękę i lekko dotknął najbliższego z nich, jakby chciał się

upewnić, że jest naprawdę. Był. Byli wszyscy, tak jak ich zostawił z górą trzydzieści seves temu. Szedł wzdłuż stłoczonych szeregów. Przyglądał się rycerzom, każdemu z osobna, mimowolnie szukał skaz na ich lśniących pancierzach. Ciągłe były gładkie, jak gdyby dopiero co wypolerowano je do połysku, jakby czas się dla nich zatrzymał. W jakiś niepojęty sposób zniknęły nawet ciemne smugi kopcia wokół otworów w ramionach, pozostałe po ogniu, który unicestwił najemną armię Sishastirro. Widać nie usnęli tak zupełnie, skoro nadal funkcjonował w nich system, który oczyszczał i konserwował metalowe kadłuby. Żal ścisnął Hennastiemu serce na myśl, że będą tak pielęgnować się do końca świata, daremnie czekając na rozkaz czarnej płytki. A może tomowie umieją...

Przypomniął sobie, że nie jest sam. Odwrócił się. Mivojie stała w odsłoniętym przejściu i wpatrywała się w nieruchome bryły rycerzy. Nie widział jej twarzy, światło dnia wpadające przez rozsunięte gałęzie rysowało jedynie ciemny kontur jej sylwetki. Żałował, że nie posiada możliwości torna. Bardzo chciał zajrzeć do jej myśli.

„To jest stalowy hufiec” – przekazał trochę bez sensu, wywoławszy imię dziewczyny. Sama przecież widziała.

Bez słowa kiwnęła głową. Jej milczenie niepokoiło. Nadal nie miał pojęcia, jak zareaguje na to, co ujrzała.

„Dał mi go ojciec. Schowałem rycerzy tutaj, żeby nie drażnić mych rodaków ich widokiem. Ale już nigdy nie ożyją. Chyba, że ty potrafisz... Ufam ci, Mivojie”.

„Dlaczego?”

„Co: dlaczego?” – nie zrozumiał.

„Dlaczego mówisz, że nigdy nie ożyją?”

„Zgubiłem tę płytkę... Właśnie tam, gdzie wczoraj obozowaliśmy. Ghoty mnie napadły”.

„Zgubiłeś puul? Jak to możliwe? Płytką przyczepia się do ubrania i żaden wstrząs jej nie zerwie. Odkleja się pod wpływem ciepła palców”.

„Przełożyłem ją do sakwy, właśnie po to, żeby jej nie zgubić... Mivojie, czy oni umarli na zawsze?”

Opuściła głowę. Nic nie mówiąc, wycofała nawet swoje pole z umysłu Isera, weszła do groty.

„Tak, Hennasti” – po długim milczeniu znów przywróciła kontakt. Wyczuł w jej słowach trochę smutku, ale i, ku swemu zdumieniu, ulgę. – „Zostaną tu do kresu świata”.



„Nie znacie sposobu?”

„Ciesz się, że nie”.

„Ciebie to nie martwi” – zdecydował się ujawnić, że odgadł stan jej ducha.

„Domyśliłaś się...” – stwierdziła. – „Powiem ci więc, dlaczego. Myślałam, że jeszcze za wcześnie, że jeszcze zbyt mało wiesz o tor – nach, o Loży, o tym wszystkim, co kazało mi cię odszukać. Bo ja szukałam, nawet nie wiedząc, że istniejesz. Od momentu, gdy uświadomiłam sobie, kim jestem, zdawałam sobie sprawę, że cię spotkam. Musiałeś być, ja to wiedziałam. Iti nie mógł tak całkiem odejść, ktoś nosił w sobie jego cząstkę. I to jesteś ty”.

„Dziwnie mówisz... Co to ma wspólnego ze stalowym hufcem?”

„Okłamałam cię, mówiąc, że myśli Danaskee przekazał jej bliskim ostatni impuls Wieży Życia. To nie jest możliwe. Wieża zabrała jej osobowość, to prawda, lecz nie w formie informacji. Jaźń nie może istnieć bez ciała, dlatego musiały się znaleźć. Znalazła... we mnie”.

„Co...?”

„Jestem Danaskee. Właściwie trafniej byłoby powiedzieć: Danaskee jest we mnie. Nie ta sama, nie można powtórzyć życia w innej powłoce. Jestem więc Mivojje Vatti, wspólne dziecko moich rodziców i Wieży Życia. Moja świadomość jest kontynuacją jaźni tamtej kobiety. Ona kazała mi cię odnaleźć. To był jedyny sposób, aby spełniły się marzenia Danaskee. Ta część mnie, która jest nią, odzyskała coś z Itiego w tobie... Rozumiesz? Nie umiem tłumaczyć czegoś, co jest dla mnie oczywiste. Lecz jeśli pojąłeś choć trochę, wiesz już, dlaczego cieszy mnie, że zgubiłeś płytkę i dlaczego jestem i pragnę nadal być z tobą. Rozumiesz? Możesz to zrozumieć?” – mówiła chaotycznie, myśli nakładały się jedna na drugą.

„Chyba rozumiem...” – całkiem nie był tego pewien. – „Mivojje, czy... to, co tu zobaczyłaś, zachowasz w tajemnicy? A może już nie potrzeba?”

„To znaczy, że nie rozumiesz...” – odczuł jej zniechęcenie. – „Gdyby było inaczej, nie pytałbyś. Hennasti, Danaskee poświęciła wszystko dla Itiego, wyparła się swego pochodzenia, dla jego idei oddała życie. Ona – to ja. Jak mogłabym zdradzić? Tamci to przecież tornowie, zniszczenie Wieży Życia postawiło ich w sytuacji przymusowej, kazało szukać pojednania. Czy będą dość odporni na pokusę, gdy pojawi się chociaż cień szansy? Nie można tego zagwarantować, jeszcze nie. Hufiec jest martwy, to prawda, lecz oni gotowi przewrócić Loin, aby odszukać płytkę. I jeżeli nawet nie znajdą, to czy myślisz, że pozostaną przyjaciółmi? Zawsze już będzie ich drażnić myśl, że Wieżę można wskrzesić. Lepiej nie budzić w nich nadziei”.

„Masz rację” – przytaknął. – „Smutne to, jak kruche są podstawy tej przyjaźni”.

„Gdybyś był na ich miejscu, myślałbyś tak samo. Nie oceniaj tego, czego pojąć nie potrafisz. Obyś nigdy nie znalazł się w sytuacji, gdy jak oni stracisz sens i podstawę życia”.

„Mówisz, jakbyś nie była tornem. Czy Danaskee tak daleko odeszła od swojej rasy?”

Nie odebrał odpowiedzi. Mivojie pochyliła się nagle i poczęła uważnie przyglądać się czemuś na ziemi. Po chwili podniosła głowę.

„Podejdź tu” – poprosiła.

Zbliżył się zaciekawiony. Dziewczyna wskazała na lekkie zagłębienie w wilgotnym piasku.

„Kto tu był z tobą, gdy chowałeś hufiec?”

„No... Agłweri i kilku szarych”.

„Nikt więcej?”

„Nikt”.

„Przyjrzyj się temu”.

Hennasti przyklęknął obok niej. Zobaczył odcisnięty ślad małej, bosej stopy.

Pod stropem nawisu delikatnie rozchyliły się witki pnączy. Nie zaszeleścił ani jeden listek, dlatego zaaferowani odkryciem kobieta i mężczyzna nie spostrzegli cienia kosmatej głowy, który przesłonił na chwilę jedną ze słonecznych plam.

\*

Podziemiami Smoczych Gór wędrowało dwóch eneików. Szli długo, a przed nimi ciągle leżała olbrzymia droga, tak niezmiennie wielka, jak gdyby nie ubywało jej wraz z upływem czasu. Od bardzo wielu dni otaczały ich wilgotne, pokryte pleśnią i białymi kłęczami podziemnych roślin ściany, od bardzo dawna granice ich świata wyznaczał zasięg światła pochodni. Za tą granicą złowrogo kipiało życie labiryntu. Napierało na nią, próbowało stłamsić kroplę blasku, zepchnąć ją do wewnątrz i dostać się wreszcie do żywego jądra, do ciał znienawidzonych przybyszów ze stron, gdzie rządzi słońce. Jakże wspaniała uczta mogłaby uwieńczyć zwycięstwo nad intruzami, gdyby choć na moment zgasł ów przeklęty płomień, który nieśli ze sobą... Ale płomień świecił nieustannie. Otaczał idących zabójczą dla tubylców sferą i dlatego kłębili się poza jej zasięgiem, na razie bezsilni, licząc na przy – gaśnięcie groźnego blasku, na nieuwagę lub zmęczenie. Pamięć wielu poprzednich wizyt pozwalała mieć nadzieję.

Wędrowcami byli Ziz-tta i Rahe-das. Obaj doskonale znali labirynt pod górami, orientowali się nawet w nieznanym jego rejonach. Tym razem przyszło im jednak zmierzyć się ze

wszystkimi niebezpieczeństwami drogi pod Smoczymi Górami. Szlaku, którym szli, od ellarów nie przebiegł żaden eneika, nie było przewodników znających właściwe korytarze. Ostatni przebywali tu rozbitkowie z plemienia Virlinn, którzy po pogromie w wojnie z walijską armią Agrenów szukali schronienia w oazie nad wielkim jeziorem, zasiedlonej wcześniej przez Ceranów. Tylko pojedynczy Virlinnowie przebyli jaskinie i ujrzeli światło dnia. W zielonej enklawie wśród skał szybko zasymilowali się z tubylcami, dziś już nikt nie umiałby wskazać potomków wymarłego narodu. Od tamtych czasów wschodni szlak nie był odwiedzany, chyba że przypadkiem przez szukających xinxów desperatów Geue. Dlatego nawet tak doświadczonym zabójcom jak ci dwaj wielokroć plątały się ścieżki. Dziesiątki razy stawali przed ścianą ślepej odnogi i tracili potem całe dni na odszukanie miejsca, w którym popełnili błąd.

Najwięcej kłopotów mieli z żywnością. Wyruszając w drogę, założyli, że będą posilać się co drugi dzień. Wydzielili czterdzieści porcji, gdyż czas potrzebny na przebycie jaskiń szacowali na dwa seves. Tymczasem niewiele dni pozostało do wyznaczonego terminu, a nic nie wskazywało, że droga ma się ku końcowi. Nieco lepiej było z wodą, bowiem, choć ze względu na ciężar nie zabrali jej wiele, czasem napotykali słodkie źródła. Nie groziła im więc śmierć z pragnienia. Walka z głodem, który miał nadejść, nie jawiła się przez to łatwiejsza. Osobnym problemem były pochodnie. Wiązki żagwi na grzbiecie jucznego irmana chudły równie szybko jak sakwy z żywnością i niewiele zmieniał tu fakt, że do podsycania ogniska na popasach używali wyłącznie podziemnej roślinności. Jej kłacza dawały się zapalić, chociaż pękały przy tym z hukiem i wydzierały kłęby gryzącego dymu. Próbowali też zastępować grubszymi badyłami pochodnie, mimo że płonęły szybko i często trzeba je było zmieniać. Pozwalało to jednak zaoszczędzić drzewa, co stało się najważniejszą sprawą, gdy stwierdzili, że przeliczyli się w ocenie długości szlaku. Bez jedzenia można było przeżyć tu jakiś czas, bez światła nie.

Jak dotąd nie byli wystawieni na najcięższą próbę. Kilkakrotnie widzieli smocze ślady na ścianach korytarza. Xinxy pozostawiły je przed wieloma dniami, toteż Rahe-das nie czuł się winny, że nie wypełnia obowiązków Geue. Miał nadzieję, że tak będzie do końca, wówczas należałoby podziękować Trorr-udowi za cud. Zanim rozpoczął tę podróż, liczył się z koniecznością wyzwania smoka. Dlatego poszedł z nim Ziz-tta. Ceran był Diie, czworo smoczych uszu miał w swojej kolekcji i to zwalniało go z obowiązku walki.

Od kilku dni korytarz wyraźnie schodził w dół. Niepokoiło to ene – ików, bowiem znaczyło, że nieprędko zobaczą słońce. Miejscami chodnik zwężał się tak bardzo, że musieli przeciskać się

bokiem, rwąc ubrania o ostre skały. Najwięcej zmartwienia przysparzał irman, który nawet bez juków nie mieścił się w takich szczelinach. Poszerzali je przy pomocy młotów, lecz i tak po paru przeprawach poranione boki zwierzęcia spływały krwią i niewiele pomagały okłady z ziół, którymi próbowali je leczyć. Opóźniało to pochód, nie mogli jednak zostawić irmana; bez ładunku los wędrowców byłby przesądzony.

Po długim marszu obniżającym się tunelem trafili do obszernej pieczary. Wychodziło z niej kilka odnóg. Odkrywali je kolejno, obchodząc grootę dookoła. Która z nich była właściwym szlakiem, nie umieli zgadnąć. Przepatrzyli okolice wlotów jeszcze raz. Szukali tajemnych znaków, jakimi eneikowie często znaczyli drogę. W pobliżu trzech, wyjść odkryli nacięcia na skałach. Żadne nie przypominało symboli, których używali Zabójcy. Powstały zapewne w czasach wędrówki Vir – linnów lub może w innych okolicznościach, nie wyjaśniały jednak niczego. Mogły równie dobrze wskazywać miejsca, gdzie wchodzić nie należało.

Postanowili wykorzystać przerwę w podróży i trochę odpocząć. Groty nie były najlepszym miejscem na nocleg. Bardziej nadawały się do tego małe wnęki, które można zamknąć rozpalonym u wlotu ogniskiem. Woleli jednak nie zagłębiać się w korytarze bez pewności, że wybrali właściwie, a cofać się nie chcieli. Toteż wyszukali płytką niszę między pokrytymi lizajami porostów głazami i uwolniwszy irmana od sakw, rozbili biwak. Wkrótce zapłonęło nieduże ognisko, za którym, przytuleni do ściany, poczuli się bezpieczni przed napaścią podziemnych stworów. Pierwszy miał czuwać Ziz-tta, Rahe-das ułożył się zatem na wiązki drewna i zapadł w sen.

Obudził go stuk potrąconego kamienia. Ziz-tta stał z garnagiem w dłoni, wpatrując się w ciemność pobliskiego wlotu. Rahe-das dostrzegł, że wewnątrz ostrza rozbłysła słaba poświata, nabiera stopniowo karminowej barwy. Zerwał się na nogi.

– Xinx? – rzucił szeptem. Ziz-tta obejrzał się.

– Myślałem, że śpisz... – Irga wyczuł w jego głosie zawód.

– Nie wolno mnie wyręczać – pochylił się, wyciągnął smolną żagiew z wiązki i wsadził w płomień. Zapłonęła żółto. – Wyjdę mu naprzeciw, w korytarzu mam więcej szans. Jeżeli nie wrócę, nie podejmuj walki. Musisz dojść do Garanja.

W głębi mroku szarzało już słabe światełko jak odległy blask pochodni. Rahe-das przesadził ognisko i pospiesznie wszedł w odnogę. Był spokojny, może dzięki temu, że wszystko stało się tak szybko – raptownie obudzony, nie zdążył przejąć się spotkaniem. Ten szczęśliwy traf uwolnił

go od konieczności poskromienia własnego strachu. Zawsze wkładał w to dużo wysiłku, mimo treningu, jaki odbył w klasztorze. Nie miał czasu na strach, bo światło w tunelu potężniało i począł mu towarzyszyć głuchy chrobot. Jeszcze nic nie widział, lecz potrafił sobie wyobrazić sunącą, rozjarzoną blaskiem bestię, jak trze o ściany korytarza pancierzem gigantycznych łusek. Przeżył to dwukrotnie.

Zobaczył xinxę, wychodząc zza załomu. Smok ujrzał go również. Zatrzymał się, jakby zaskoczony widokiem niepokażnej sylwetki. Był wielki. Za rażącą oczy poświatą kołysał się potworny łeb, kadłub wypełniał cały przekrój chodnika, jak gdyby wprasowano go w poszarpany kontur. To stwarzało korzystną sytuację: jaskinia była za ciasna, by xinx mógł nabrać szybkości.

Wahanie potwora trwało krótko. Spomiędzy rozwartych szczęk wydobył się przenikliwy zgrzyt i cielsko, rytmicznie prężąc mięśnie, poczęło przeciskać się w kierunku eneiki. Upuszczona pochodnia buchnęła smolistym dymem i z sykiem zgasła. Rahe-das opadł na kolana. Krwawo zalsnił nad jego głową trzymany oburącz garnag, z gardła popłynął monotony śpiew-modlitwa:

– Ooo... wielki, ooo, królu mroku... Ooo, synu Storg-orha, boski xinksie, jestem przed tobą zbrojny w święte ostrze ngorhi, ooo... Garnag tnie twoje trzewia, płynie czarna posoka, ooo... Wyrrywam ci serce, uwalniam duszę z władzy zła, niech zasili szeregi błogosławionych patronów plemienia Irgów... Królu ciemności, gaśnie tve światło, umyka dusza w obłoki Kiddi-ro... ooo... Wielki, ooo, potężny, giń z ręki Zabójcy... Wstąpisz na górę, złotą kwieciami simalu, tańczyć będą nad tobą duchy radosne, a Trorr-ud zaszczyci cię uśmiechem... O... oto będziesz swobodny, opadną pęta Storg-orha, wyzwolę cię, władco nocy...

Świat stał się blaskiem. Zniknęły skały i ciemność, eneika utonął w obłoku gęstego światła. Wypalało mu oczy, czuł ból w koniuszkach nerwów, krzyczących od tortury nadmiaru bodźców. Płomień z paszczy osmalił mu włosy, opończa zatliła się, lecz jeszcze czekał... Przez jaskrawość ujrzał nad sobą krwistą czelusć. Powoli pochylała się nad nim, dręczyła ofiarę nieuchronnością tego, co miało nastąpić. I pojawił się tam błyskawicznie rosnący ognisty żółty język, pędził ku niemu. Lada moment ogarnie zdrętwiałe ciało, spopieli je i wchłonie. Rahe – – das rzucił się na ziemię i przekręcił na plecy. Poczul napór na klingę. Skóra smoka napięła się pod ostrzem i pękła z głuchym chlupnięciem. Struga brunatnej cieczy zalała mu twarz. Krztuszając się, złapał ostatni haust powietrza, a potem z całych sił pociągnął garnag ku górze.

Otoczyła go ciemność. Smok pełzł dalej, wciskał śmierć w swe wnętrze. Zabójca utonął

w mazistej, czarnej pulpie, tętniącej spazmem bólu, który dopiero się rodził i mknął ku zmysłom. Domyślił się raczej, niż wyczuł, że xinx zatrzymał się. Potężny dreszcz przebiegł przez rozerwane płuca, miazga wokół wybuchła grzmotem. Teraz musiał go dobić. Po prawej czuł nieregularne, trzepotliwe bicie.

Jak pływak w gęstym bagnie podciągnął nogi i prostując je, wbił się w mięsz, który dzielił go od źródła owego tętna. Jeszcze raz... W tchawicy poczęła rosnać dusząca klucha, kiedy ręce trafiły na bryłę oszalałego serca. Chlasnął nożem wiązadła błon, żył i tętnic i, szarpnąwszy mocno, wyrwał. Sprężyło się jeszcze, zastygło. Miażdżący skurcz smoczego ciała omal nie zgniółł eneice piersi. Zabił xinxa.

Dusił się. Płuca rozsadał mu napęczniały balon, tracił kontrolę nad wolą. Za chwilę ulegnie odruchowi i zachłyśnie się mazią, i to będzie koniec. Martwe truchło stanie się jego grobem. Rozpaczliwym skokiem odbił się w górę, w miejsce, gdzie kończyła się szyja potwora. Wbił garąg między olbrzymie łuki żeber i gorączkowo począł ciąć mięśnie, ścięgną, zrogowaciałą skórę... Powietrze z bulgocącym świstem wdarło się do środka, strumień krwi popchnął go w kierunku rozcięcia. Wystawił głowę na zewnątrz, łapczywie chwytając oddech. Posoka opływała go zewsząd, a on odpoczywał, na poły tkwiąc jeszcze w trzewiach smoka, na poły wróciwszy do świata.

Strop korytarza rozdarł mu kaftan i poranił ciało, gdy wyczołgał się na grzbiet potwora. Było ciemno, blask xinxa zgasł z nadejściem śmierci. Rahe-das nie miał pewności, czy wzrok go nie myli, kiedy dostrzegł przed sobą, tuż przy załomie, blednącą iskierkę. Zaraz buchnął tam płomień i jaskinię rozjaśniło światło pochodni. Ziz-tta stał bez ruchu, w jego zaciśniętej pięści gasło z wolna ostrze garnaga. Rahe-das zsunął się na ziemię. Wypuścił z rąk drżące jeszcze smocze serce.

– Witaj w klanie Diie – usłyszał głos starego mistrza.

\*

*Jestem Diie. Nie czuję wagi tego faktu, jakby nic się nie stało. Spadł ze mnie ciężar obowiązków Geue, mogę teraz przebiegać jaskinie bez obawy, iż następny xinx zmusi mnie do walki. Teraz zależy to ode mnie. I tylko to liczy się dzisiaj, choć zanim zaplątałem się w główny nurt przeznaczenia, byłbym pewnie dumny i cieszyłbym się z pieśni, które zaśpiewają o mnie, z podwójnej igły tiris, ze wszystkich splendorów, które otaczają mój nowy klan. Leży przede mną smocze ucho, trzecie w zaszczytnej kolekcji, symbol mojego zwycięstwa. A ja widzę w nim poleć*

*cuchnącej skóry bez znaczenia – ot, jeszcze jeden totem Zabójcy. Niedługo nie będą liczyły się wcale, zniknie sens ich posiadania. Jedynie w bajkach będą pojawiać się nieustraszeni straceńcy, co dla ich zdobycia oddawali życie. Znak Drogi do Oll-hirr... Jaki mały z perspektywy prawdziwej drogi! Dziś o tym wiem, a wiedzę tę posiadam w topieli smoczjej krwi, w miazdze jego trzewi. Czy to ogromny, przytłaczający strach przed śmiercią, który zmusza do panicznej ucieczki z dusznego wnętrza, świadomość bezsensu tej walki, wywołana trwogą o życie, odsuwająca precz wszelkie ideały i mityczne piękno pojedynków, olśniły mnie zrozumieniem? Czy przeżywa to każdy Diie?*

*Teraz przede mną wędrówka w nieznane. Czyż może być coś bardziej nieznanego od wyprawy w legendarną prawie przeszłość? O tyle rzeczy pytam, nie wiedząc, kogo? Bogów, czy siebie...?*

\*

Patrzyli na miasto z góry, znad pionowej ściany, do której nisko w dole przykleiły się mury warownego grodu. Od wschodu opływały je wody Karii, na północ i południe biegły płaskie cyple, usiane domkami podzamecza. Szczyt murów wieńczył ostrokół z grubych pni, na przemian krótkich i długich, co przypominało olbrzymi, rzadki grzebień. Wewnątrz od trzech bram ciągnęły się uliczki, zabudowane z obu stron podłużnymi barakami. Na ich podwórzach widać było zagrody dla zwierząt, stajnie, obory i magazyny. Uliczki zbiegały się na placu przed murowanym gmachem, którego tylna ściana przylegała do skały. Zabudowania były typowe, Rahe-das wielokrotnie widywał takie w miastach valów.

– Nie ma tu żadnych śladów po eneikach – Ziz-tta myślał o tym samym.

– Zburzyli gród Virlinnów, zanim postawili swój – potwierdził jego spostrzeżenie.

– Czy możemy tam zejść, nie wzbudzając podejrzeń? – Ceran zmierzył wzrokiem przestrzeń pod nimi.

– Kupcy Irgów bywają tu czasem, Karią można dopłynąć do granicy Związku. Nie zdziwi Agrenów nasze przybycie, nie zwracają uwagi na eneików. Musimy tylko unikać patroli straży granicznej, niekiedy sprawdzają glejty.

– Tam jest szczelina, którą można opuścić się pod północną bramę. Pójdziemy teraz?

– Odpocznijmy do jutra. Czuję w kościach ostatnie dni. Istotnie, końcowy etap wędrówki wyczerpał siły eneików do cna.

Trzy doby wspinali się stromą duklą, przystając tylko dla wyrównania oddechu. Na całej

trasie nie znaleźli ani jednego miejsca, gdzie można by przycupnąć i zdrzemnąć się na chwilę. Żywność skończyła się dziesięć dni przed końcem drogi, irmana zabili i zjedli. Zresztą stromizna i tak zmusiłaby ich do tego, żadne zwierzę nie zdołałoby wspiąć się ostro nachylonym kominem.

Teraz leżeli, żuli ostatnie skrawki nadpsutego mięsa i spoglądali na błyskające w dole światła. Zmierzchało. Napięcie, które towarzyszyło im podczas marszu jaskiniami, minęło. Odpoczywali. Pozwalali myślom błądzić swobodnie i leniwie. Byli bezpieczni, tutaj mógłby dostać się tylko ptak, a ptaków się nie bali. Znużenie przytłaczało ciała miękkim ciężarem, oczy zamykały się same. Zanim niebo zupełnie zgranatowało, spali już kamiennym snem.

Obudzili się mokrzy od rosy. Poniżej, nad miastem, wisiała mgła. Wykorzystali tę sposobność i niezauważeni zeszli pod mury. Zatrzymali się w lichej karczynie w pobliżu bramy. Po oszacowaniu zawartości mieszkań uznali, że zapas cynowych sztabek pozwala na solidne śniadanie oraz garniec tirakii. Zaspany karczmarz przyjął zamówienie i niespiesznie poszedł na zaplecze, a oni usadowili się w ciemnym rogu sali, umilając czas oczekiwania obserwacją pierwszych gości.

Nie było ich wielu. Pora była wczesna, gród i podzamcze dopiero się budziły. Ledwie dwóch oberwańców w przeciwnym kącie raczyło się napitkiem. Kolejno przechylali dzban, zignorowawszy czarki przyniesione przez gospodarza. Biesiadę rozpoczęli pewnie już wczoraj, bowiem obaj mieli dobrze w czubie. Bełkotliwie o czymś rozprawiali, przekrzykiwali się nawzajem i wyraźnie nie bardzo już rozumieli, o czym mówią.

– Oto zwycięscy walowie – z pogardą rzekł Ziz-tta. Rahe-das uciszył go gestem.

– Nie zwracaj na siebie uwagi – powiedział półgłosem. – Niepotrzebna nam awantura.

W tej chwili drzwi zajazdu otwarły się na oścież i do środka wkroczyła grupa nowych gości. Na ich widok Ceran drgnął i trącił łokciem towarzysza. Przybysze byli eneikami.

Obcy – trzech osobnicy w zakurzonych kapotach, z wypchanymi sakwami, przewieszonymi przez plecy – zajęli miejsca przy środkowej ławie. Zjawił się karczmarz. Eneikowie naradzili się cicho, a potem poprosili o ser i placki. Otrzymali je natychmiast. Jedli, milcząc i patrząc w miski. Doczekali się również Zabójcy. Gospodarz przyniósł wreszcie półmisek z pachnącą smakowicie pieczenia, dzban tirakii oraz kubki. Zabrali się zatem do jedzenia. Ciszę przerywało tylko mlaskanie posilających się wędrowców i coraz rzadsze wrzaski pijaczków. Nagle rozległ się jakiś rumor. Jeden z walów wstał, przewracając ławę. Chwiał się na rozkraczonych nogach, wodził mętным wzrokiem po izbie.



– Batur...! – krzyknął, zatoczywszy łuk ramieniem. – Batur, czy widzisz to, co ja? Sa...ame eneiki! Tu eneika, tu eneika i tu... I tam w kącie, też eneiki...! Gdzie ja jestem, Batur? Czy to jakaś eneicka robaczywa nora, czy porządna karczma na ziemi naj...jaśniejszego cesarza naj...jaśniejszej Agrenii?!

Ruszył w kierunku milczących gości ze środka sali. Potknął się o nogę przewróconego siedziska. Z trudem złapał równowagę i, klnąc, potoczył się dalej.

– Siadaj, Gahfi! Zostaw tych parszywców... Siadaj, mówię! – jego kamrat, przechylając się przez blat, usiłował złapać go za kaftan, lecz ręka trafiła w próżnię. Gahfi stał nad eneikami, którzy z zimną krwią kontynuowali posiłek.

– Słyszycie, pokurcze? – wrzasnął, chwyciwszy za kark dwóch najbliższych. – To gospoda dla uczciwych walów, a nie jakichś bosonogich kosmatków!

Jeden z eneików złapał napastnika za nadgarstek i spokojnie, acz z dużą siłą, oderwał jego palce od swego kołnierza.

– Zostaw nas, przyjacielu – przemówił po valijsku. – Jesteśmy kupcami, nie wchodzimy wam w drogę. Gahfi zachnął się i z rozmachem wyrwał rękę z uścisku eneiki.

– Batur, to ś...śmiało mnie dotknąć! – Zatoczywszy się do tyłu sięgnął do pasa. W jego dłoni błysnęło ostrze sztyletu. – Zapłacisz za to, łotrze!

Kilka rzeczy stało się naraz: kupcy zerwali się od stołu, z hukiem runął zydel pod próbującym wstać Baturem, a z kąta Zabójców śmignął wirujący szybko przedmiot. Natychmiast też rozległ się ryk Gahfięgo i brzęk noża o podłogę. W nadgarstku wala utkwiał ciemny brzeszczot. Ziz-tta wystąpił na środek izby, za nim jak cień wysunął się Rahe-das. Ceran podszedł do skulonego, jęczącego z bólu opryszka. Ujął rękojeść garnaga, następnie silnym szarpnięciem wyrwał go z rany. Val przeraźliwie wrzasnął i klapnął na podłogę. Ziz-tta chwycił go za kaftan pod gardłem. Przystawił mu klingę do krtani.

– Więcej tego nie rób – powiedział cicho.

– Przebiłeś mi rękę! – Otrzeźwiały nagle val z przerażeniem popatrzył na zbroczony krwią przegub. – Wykrwawię się!

– Nic ci nie będzie. Zmiatajcie stąd obaj i cieszcie się, że uchodzicie żywi – głos starego Zabójcy nadal był spokojny, lecz zabrzmiała w nim nuta nienawiści.

Nie musiał tego powtarzać. Valowie jeden przez drugiego rzucili się do drzwi. Już z dworu dobiegły do uszu eneików przekleństwa zranionego.

– Chodźmy i my – powiedział Rahe-das. – Gotowi ściągnąć nam na kark bandę swych przyjaciół.

Rozejrzał się za karczmarzem. Jego również nie było, tylko zza kotary, która oddzielała zaplecze od sali jadalnej, dochodziły podniecone głosy. Rzucił na ladę kilka sztabek cyny i skierował się do wyjścia. Za nim podążyli pozostali.

– Dzięki za pomoc – odezwał się jeden z handlarzy, gdy znaleźli się na ulicy. Jego towarzysze pospiesznie odwiązywali dwa juczne irmany od palików. – Niepotrzebnie się narażałeś, panie, poradzilibyśmy sobie z nimi. Mamy wprawę, nie pierwszy raz spotykamy takie typy.

Jestem Tage-veem, kupiec ze Związku Irgów – mówił, idąc za Zabójcami. – Was nie znam, pierwszy raz na szlaku?

– Nie jesteśmy kupcami – Rahe-das przystanął i sięgnął za koszulę.

– Znasz ten symbol?

– Tak, panie – handlarz z lękiem popatrzył na tiris. – Czy mógłbym na coś się przydać?

– Idziecie do grodu? – Tak.

– Musimy się tam dostać. Nie mamy listów podróжных, strażę mogą robić trudności – wyjaśnił Zabójca.

– Glejt jest na trzech – z wahaniem powiedział Tage-veem. – Ale... rzadko który umie czytać, sprawdzają tylko pieczęcie.

– Zaryzykujemy.

Nie było żadnych kłopotów. Ziewający strażnik ledwie wychylił głowę z wartowni. Rzucił okiem na podetknięty pod nos list i podniósł kratę. Wkroczyli w wąską uliczkę za murami.

– Tage-veem, kiedyś było tu miasto eneików Virlinn. Bywasz tu czasem, czy zostały jakieś ślady? – zagadnął Rahe-das kupca.

– Bardzo niewiele. To był zapewne drewniany gród, bo nie ocalały nawet szczątki. Poza może jednym... – Tage-veem zastanowił się chwilę.

– Pod ścianą pałacu namiestnika, u stóp skały, jest mały plac, wybrukowany płaskimi kamieniami. Przylegają doń trzy wielkie kamienne kręgi, jakby pnie skamieniałych drzew, które złamała wichura. Znajdziesz je łatwo, wszystkie ulice prowadzą do pałacu.

– Wiem – Rahe-das skinął głową. – Dziękuję za informację i pomoc. Dokąd się teraz udacie?

– Mamy tu odbiorcę naszych towarów, pójdziemy najpierw do niego. Potem wracamy do

kraju.

– Zegnajcie więc, nie wiem, czy się jeszcze zobaczymy – Zabójca uklonił się kupcom z szacunkiem. – Jeśli wolno mi udzielić rady, powoli ograniczaj, Tage-vem, kontakty z valami. Nie chciałbym, abyś wkładał majątek w niepewny interes.

Kupiec spojrział na niego z niepokojem.

– Co masz na myśli?

Rahe-das nie odpowiedział. Obaj Zabójcy jeszcze raz skłonili się na pożegnanie i ruszyli ulicą przed siebie, zostawiwszy nowych znajomych w niepewności i lęku.

Wszystko było tak, jak mówił handlarz. W kącie placu, przed wielkim gmachem, gdzie rezydował zarządca prowincji, między boczną, ślepą ścianą a podstawą góry, z której szczytu patrzyli poprzedniego dnia na miasto, znajdowało się miejsce wybite płytami z jasnego kamienia. Obok znaleźli trzy wielkie, koliste gązdy o poszarpanych wierzchołkach, które sprawiały wrażenie, jakby odłamano ich górne części. Przyjrzeni się temu z daleka. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi strzegących pałacu gwardzistów.

– Co ci to przypomina? – spytał Cerana Rahe-das.

– To samo, co tobie – szepnął Ziz-tta.

– Nie mogliśmy lepiej trafić. Jakie szczęście, że ocalało właśnie to.

Tak, mieli szczęście. Nie ulegało wątpliwości: ów placyk rozpoznałby każdy Zabójca. Skalne pnie były pozostałością Threkhte – n-Uoso.

Teren wokół placu począł się zaludniać. Nadciągały wyładowane towarami wozy, stragany otwierały podwoje. Plac wypełnił się gwarem setek głosów, targowisko ożyło. Eneikowie wmieszali się w tłum kupujących. Chodzili od kramu do kramu, oglądali, targowali się czasem. Spoglądano na nich bez ciekawości, niekiedy lekceważąco i z drwiną, czasami pobłaźliwie, nie prezentowali się bowiem imponująco. Po wyczerpującej wędrówce przypominali raczej wynędzniałych włóczęgów niż statecznych kupców, do jakich valowie przywykli. To nikłe zainteresowanie także wkrótce wygasło i nikt już nie zwracał na nich uwagi.

Obszedłszy plac dookoła, eneikowie niepostrzeżenie dotarli do celu. Niby to dla odpoczynku przysiedli na kamiennych kręgach. Ziz-tta otworzył sakwę.

– Zaczynamy? – zapytał, wyjmując zwój.

– Tak, już nikogo nie obchodzą dwaj znużeni eneikowie – uśmiechnął się Irga.

– Mam nadzieję, że nie potrwa to długo. Nie możemy siedzieć tu cały dzień. Wzbudzimy

podejrzenia. Pismo mówi, że na czas trwania czaru zasypiają zmysły. Gwałtowne przebudzenie to obłąd, a nawet śmierć.

– Nie wiadomo, jak długo trwa czar? – Nie.

– Wobec tego nie wolno nam obu poddać się zaklęciu – rzekł Rahe-das. – Będziesz mnie strzegł, Ziz-tta. Sam wiesz, że to konieczne – dodał, widząc zawód na twarzy starego mnicha.

– Będzie, jak sobie życzysz, Diie – Ceran odwinął rulon i podał go towarzyszowi. – Jest tutaj – wskazał palcem rząderek hieratycznych znaków. – Odejdę teraz. Kiedy oddalę się na dziesięć kroków, obudź Etaura – wstał i ruszył w stronę środka placu.

Rahe-das sięgnął do torby. Z biciem serca wy dobył skórzane zawiniątko. Czuł się jak w gorąco: po plecach przebiegały dreszcze, policzki paliły ogniem. Spojrzał za oddalającym się Ceranem. Odległość wydała się wystarczająca. Pociągnął ramię. Rogi węzła rozchyliły się i w promieniach Rotha błysnął czarny, niepokąźny, opalizujący kryształ. Eneika ujął go w palec. Kamień był jeszcze chłodny, lecz rozgrzewał się szybko, jakby czerpał ciepło z zaciśniętej na nim dłoni. Rahe-das zajrzał do zwoju. Litery były niewyraźne, zatarte przez czas. Musiał składać je kreska po kresce, chwilami domyślał się ich sensu. W końcu znalazł. Wolno przesyłabizował magiczne słowo i w napięciu czekał na efekt.

Nic się nie stało. Dalej siedział na ułamku iglicy, widział przepływające gromady walów i stojącego nie opodal Ziz-tta, słyszał zgiełk rozmów. Poczul lęk. Czyżby źle odczytał zaklęcie? Zerknął w zapis. Nie, chyba się nie pomylił, kreski składały się w taki właśnie wyraz. Zaraz... a ten następny? No tak, popełnił błąd, to nie było wszystko! Z uczuciem odprężenia wyciągnął dłoń przed siebie i lekko, radośnie wykrzyknął owo krótkie zdanie w tajemniczym języku magii, zdanie, które miało otworzyć przed nim przeszłość.

Pociemniało. Świat zatrzymał się nagle w pół gestu. Przez ułamek chwili Zabójca widział zastygłe sylwetki jakby ścięte mrozem, a potem wszystko rozmyło się w szaleńczym wirze, który rozpętał się wokół. Spadał. Leciał w studnię bez dna, kręcąc się w lawinie barwnych smug, które pojawiały się na mgnienie i znikwały zastąpione przez kolejne, przemykające po obwodzie niczym tęczowe komety. Poczul zawrót głowy. Nie było już realności, utracił więz z ciałem, rozpylił się na cząstki, które wciągała obracająca się, opętana przestrzeń. Raptem wir stanął. Rahe-das zobaczył te same skały, wokół liche, drewniane chatki, przysadzisty dwór z pni. Obok nich Zęby Góry.

Widział to wszystko naraz, jak z odległej perspektywy, chociaż był tak blisko, że mógł

zajrzeć w okna domów. Lecz nie musiał tego robić – wraz z widokiem otoczenia miał w sobie obraz wnętrza, każdego miejsca, o którym pomyślał. Stał się wzrokiem. Docierał w zakamarki niedostępne oczom śmiertelników, zarazem nie przestawał obserwować panoramy miasta, brzegów Karii, stepu za nią, wszystkiego... Obraz zmieniał się. Zmiany następowały szybko, ruch był niedostrzegalny dla jego oczu. Świat przekształcał się skokowo, kolejne obrazy przenikały się, wypływały jeden z drugiego. Oto centralny budynek – siedziba palatyna, jak się domyślał – w coraz to nowych fazach rozrastał się, a potem obracał w ruinę. Wokół grodu snuły się dymy pożarów, jak krótkotrwały jęk dobiegł do jego uszu bitewny harmider. Ścieliło się zboże, wylewały wody, susze niszczyły zasiewy. Roth i Jasti na przemian zakreślały łuki na niebie, ciemność przełomów gasiła je jak mrugnięcie powiek. Widział to wszystko w całości, jednocześnie towarzyszył krótkim jak mgnienie istnieniom, asystował przy porodach i zgonach, przeżywał wybuchy radości i rozpacz, nieszczęścia i euforie. Był czymś na podobieństwo boga; tak pewnie widział życie Trrr-ud. Zrozumiał, na czym polega jego wszechobecność. Wśród tylu obrazów pędzącego czasu jedno tylko trwało niezmiennie, nieczułe na wichry historii. Zajmowało zawsze centralny punkt jego pola widzenia. Białe, wypolerowane przez deszcze i wiatr, czasem czerwieniejące od pobliskiej łuny, granatowe w śnieżnych czapach, gdy nastawał przełom, jaskrawo błyszczące w promieniach obu słońc, kiedy przemijały zuary, wiecznie te same iglice Threkhte-n-Uoso. Nic się w nich nie zmieniał, choć może było to następstwem gonitwy czasu – tak epizodycznych wydarzeń jak wizyty kapłanów eneika nie był w stanie dostrzec.

A potem nastąpiło niespodziewane zwolnienie. Pojął, że oto zbliża się ku decydującemu zwrotowi. Widział ciągnące od wschodu wojska.

Błyszczały pancerze z mosiądzu, ryczały irmany, niósł się w powietrzu łopot różnobarwnych znaków. Miał przed oczami wznoszone pospiesznie fortyfikacje nad Karią, a potem widział je, jak padają pod nawałą wielkich rycerzy. Bezsilnie obserwował rzeź mieszkańców i desperacką obronę drużyny palatyna w jego warownej siedzibie. Widział, jak żywcem płoną nie oddawszy placówki i jak pojedynczy ocaleni eneikowie umykają w góry i znikają w czeluściach jaskiń. I tylko skalny trójząb tkwił niewzruszenie wśród morza krwi i śmierci, nieczuły na klęskę tych, którzy go stworzyli. Lecz nadszedł i jego czas. Zadudniły potężne młoty, wzbil się w niebo olbrzymi tuman białego pyłu. Iglice runęły, ostatnie świadectwo praw plemienia Virlinn do tej ziemi obróciło się w stertę zgruchotanych głazów. Czas znów jakby przyspieszył. Przemijały

ellary, rodzili się i umierali władcy, rycerze, pospólstwo... Wszystko było jak przedtem, tylko gospodarze byli nie ci sami i zmienił się pierwszy plan: życie toczyło się wokół niszczących i zarastających trawą resztek rytualnego ołtarza.

– Hej, przyjacielu, co tam robisz? Zasnąłeś? – Głos zza pędzącej czasoprzestrzeni wdarł się w jaźń. Uderzył obuchem w rozproszoną świadomość, pod jego wpływem poczęła łączyć się pospiesznie. W potwornym bólu eneika odzyskiwał poczucie własnego Ja, wracał do własnego ciała. Wzrok skoncentrował się na rzeczywistym otoczeniu, zawężił do teraźniejszości. Towarzyszyła temu nieprawdopodobna męka: każdy nerw, każda komórka ożywającego organizmu protestowały przeciw brutalnemu gwałtowi przebudzenia.

Przytomniejąc, popatrzył przed siebie. Zobaczył rozkraczone nogi w blaszanych nagolennikach i wielki miecz u pasa, a przed nosem stalowe ostrze piki. Podniósł wzrok.

Brodaty gwardzista szturchnął go lekko włócznią.

– No, co z tobą? Tu nie karczma, włóczęgom nie wolno spać pod murem pałacu. Zabieraj się stąd!

Między rozstawionymi kolanami żołnierza Rahe-das dojrzał zbliżającego się bezszelestnie Ziz-tta. W dłoni Zabójcy czerniała klinga garnaga.

– Wybacz, rycerzu – powiedział głośno, wstając z trudem. Kręciło mu się w głowie, każdy jej obrót sprawiał mu ból. – Wypiłem za dużo waszej wybornej tirakii i zmęczyło mnie łożenie po targowisku. Sam nie wiem, kiedy zasnąłem. O, już nadchodzi mój towarzysz, on mnie odprowadzi na kwaterę. Jeszcze raz proszę o wybaczenie, panie. Gwardzista obejrzał się. Na widok Cerana opuścił pikę i zawołał:

– Tutaj masz swojego kamrata. Zmykajcie obaj i nie pozwól mu więcej pić. Słabą ma głowę, kiedyś napyta sobie biedy.

Ziz-tta wykazał się refleksem. Nim żołnierz pojął, co mogło mu grozić, nóż Zabójcy zniknął pod kaftanem.

– Dzięki, panie, szukam go po całym mieście. Wyszedł z gospody i przepadł jak kamień w wodę. Opijaliśmy udaną transakcję – rzekł tonem wyjaśnienia. – Dobrze się z wami handluje, rycerzu. Wszyscy byli zadowoleni.

– Dobrze, dobrze. Zabierajcie się stąd, zanim zainteresuje się wami setnik. Areszt nie jest przyjemny. –wał odstał od Rahe-dasa i oddalił się niespiesznie, oglądając się co chwila.

– Chodźmy – mruknął Irga, gdy ramię Cerana objęło go w pasie. Krok za krokiem ruszyli ku

najbliższym zabudowaniom. Wkrótce znaleźli się poza zasięgiem wzroku strażnika.

– I jak? Widziałeś? – zapytał Ziz-tta, kiedy usiedli pod krzewem, ocieniającym wąski zaułek.

– Widziałem wiele... – powiedział powoli Rahe-das. – Ale... tam nie było nic o Dessirhu!

– To niemożliwe! Przypomnij sobie... Może coś przeoczyłeś?

– Nie mogłem przeoczyć, byłem wszędzie... Widziałem życie i upadek Virlinnów, i zburzenie Zębów Góry, wszystko. Tylko ani razu nie pojawił się tam kryształ. A przecież to jego losy miał pokazać Etaur, dlaczego tak się nie stało?

– Może nie potrafisz zinterpretować tego, co zobaczyłeś? Kryształy się nie mylą.

– Poczekaj... – Rahe-das wyteńczył umysł. Jeszcze raz z pamięci wypłynęły obrazy. Zmieniały się w szalonym tempie, pojawiały się i ginęły wokół niewzruszonego trójgrannego obelisku... – Cała historia Garanja kręciła się naokoło Threkhte-n-Uoso, a potem jego szczątków.

Ziz-tta zerwał się na równe nogi.

– Czy wiesz, o czym to świadczy?

– Myślisz...?

– To pewne! Miałeś Dessirha bez przerwy przed oczami, był w centrum wydarzeń!

– I jest...

– ... tu nadal! – mistrz dokończył myśl Rahe-dasa.

– Dlaczego Virlinnowie nie zabrali go ze sobą?

– Zapytaj siebie, przecież tam byłeś. Trwał szturm, zamek palatyna spłonął wraz z załogą i mieszkańcami... Zapewne wśród nich był powiemik!

– Oto odpowiedź.

– Lecz gdzie szukać? Miejsce jest zarośnięte i zapomniane, kto może wiedzieć, gdzie ukryto kamień?

– Schowki z reguły urządzano w skale za iglicami, budowano sanktuaria, skrytki... tam.

– Ale to jest lita calizna. Ani śladu po jakiegokolwiek budowli.

– Valowie musieli zburzyć ją wraz z ołtarzem. Jednak kryształu nie znaleźli, zobaczyłbyś to.

– Pójdziemy tam wieczorem.

\*

Miasto tonęło w mroku. W ciszy słychać było skowytania hangów i przeciągłe zawołania straży na murach. Przemknęli ciemną ulicą jak duchy i niebawem skrył ich cień kamiennej ściany.

Chwilę trwało, zanim wzrok przyzwyczał się do głębokich ciemności, jakie tu panowały. Kiedy już potrafili odróżnić nierówności i szczeliny w powierzchni skały, rozpoczęli poszukiwania. Powoli i uważnie badali dotykiem każdą rysę, obwodzili palcami wypukłości. Starali się znaleźć regularność, która świadczyłaby o obróbce kamieni. Pierwsze odkrycie potwierdziło przypuszczenia: góra była dawniej obmurowana. Ślady skamieniałej zaprawy układały się w równe prostokąty dokładnie za podstawą Zębów Góry. Mogli więc ograniczyć się do sprawdzenia powierzchni objętej rysunkiem starego muru.

Skrytkę znalazł Ziz-tta. Gładki kamień był obwiedziony kwadratową szczeliną, tak wąską, że mieścił się w niej zaledwie czubek garnaga. Próbowali go poruszyć, tkwił jednak mocno, jak gdyby zespolony ze ścianą. Na nic zdały się wysiłki, nie pomogły próby odnalezienia sekretnego zamknięcia.

– Zakleszczył się – szepnął Ceran, ocierając pot z czoła. – Góra pewnie osiadła. Bez młotów nie damy rady.

– Za dużo hałasu. Przed wejściem do pałacu stoi strażnik – odparł Rahe-das.

– Co robimy?

– Jest jedno wyjście: trzeba zlikwidować strażnika, a potem skruszyć kamień, zanim ktoś zechce sprawdzić, skąd łomot w środku nocy.

– Możemy nie zdążyć...

– Masz lepszy pomysł?

Zabicie wartownika było najprostszym elementem planu. Chyba nawet nie uświadomił sobie, że umiera, gdy nóż Ziz-tta utkwiał w jego sercu. Teraz nie dbali już o zachowanie ciszy. Dwa młoty z hukiem spadły na powierzchnię kamienia, w krąg posypały się okruchy. Eneikowie bili kolejno, w równym rytmie, niczym kowale. Nie troszczyli się, że raptem ucichł monotony skowyt hangów, że zamilkły straże na murach. Wściekle ujadanie rozbrzmiało na nowo, gdy na kamieniu pojawiło się pęknięcie. Podwoili wysiłki. W pobliskich zabudowaniach zapłonęły pochodnie, dobiegły stamtąd zdziwione, rozespiane głosy. Obudził się też pałac. W budynku wartowni rozległy się komendy. Tupot wielu nóg oznajmił eneikom, że ich czas się kończy.

Duży narożny kawał skały odpadł pod ciosem młota. Zza węgła wysunął się kilkuosobowy oddział gwardii.

– Dokończ sam, ja ich zatrzymam – Ziz-tta odwrócił się ku żołnierzom i, poprawiwszy uchwyt obucha, ruszył im na spotkanie.



Rahe-das z przekleństwem grzmotnął w oporny kamień, raz i drugi. Płyta z chrzęstem wgięła się do środka, rozbiegły się po niej promieniste rysy. Za plecami usłyszał okrzyk Cerana i odgłosy walki. Nie miał czasu zobaczyć, co się tam dzieje. Odrzucił młot, chwycił brzeg płyty i mocno szarpnął. Wyleciała z rumorem, Irga upadł, posypały się odłamki. Zerwał się natychmiast i skoczył ku stojącej otworem wnęce. Wśród okruchów i pyłu wymacał niewielkie zawiniątko i cienki skrawek skóry. Zgarnął to wszystko, pospiesznie wrzucił do sakwy. Z tyłu doszedł go jęk, a potem głos Ziz-tta:

– Rahe-das, uciekaj!

Odwrócił się. Zobaczył klęczącego Cerana i błysk miecza. Ostrze spadło na pochylony kark. Dwa wielkie cienie biegły już w kierunku Irgi. Zawinął młotem nad głową i cisnął nim w najbliższego napastnika. Młot ugodził wała w bark, biegnący z wrzaskiem zwałił się na ziemię. Rahe-das pognał wzdłuż skały, nie zważając na coraz liczniejsze głosy pościgu. Był szybki jak każdy eneika, wiedział, że nie zdołają go dogonić, a w ciemności pod skałą nie trafi go strzała. Znajdował się jednak wewnątrz twierdzy, której zamkniętych bram strzegły silne oddziały, zaś na murach krążyły straże.

Wpadł między domy. Kluczył podwórkami i usiłował uspokoić umysł, zmusić go do chłodnej kalkulacji. Wokół słyszał okrzyki, szukano go. Nie miał wielkiej szansy, jeśli szybko nie wymyśli sensownego planu. Nagle doznał olśnienia. Karia! Tylko rzeka mogła ocalić mu skórę.

Skierował się do wschodniej części grodu. Drogę przecięła mu ulica. Wyjrzał ostrożnie. Na obu jej końcach migotały pochodnie. Wskoczył na otwartą przestrzeń i popędził przed siebie. Dostrzeżono go. Valowie z wrzaskiem ruszyli w jego stronę. Byli już blisko, gdy dopadł ciemnego przesmyku między domami. Przesadził jakieś ogrodzenie. Spłoszył drzemiące irmany, kopnął szczerzącego kły hanga, aż ten umknął z piskiem, i znalazł się pod murem. W odległości dziesięciu kroków zobaczył schody wiodące na blanki. Nad nimi stał żołnierz z pochodnią i lustrował miasto z góry.

Czterema susami osiągnął szczyt, z połowy schodów cisnął nożem. W biegu wyrwał garnag z piersi wartownika, po czym pognał wzdłuż ostrokołu. Szum dobiegający z dołu upewnił go, że znalazł się we właściwym miejscu. Nie zastanawiając się, z rozpędu dał susa nad zaostrzonymi palami i runął w ciemną otchłań. Woda zamknęła się nad nim. Opadł aż na dno i odbiwszy się popłynął z prądem. Dopiero teraz, już po wszystkim, poczuł strach. Skok był szaleństwem; nie

znał wysokości, mógł trafić na płyciznę, na nabrzeżne skały, mógł... Nic takiego nie nastąpiło, więc niesiony wartkim nurtem trząśł się cały i był wdzięczny swemu szczęściu, że ciągle jeszcze może się bać.

Wydostał się na brzeg w miejscu, gdzie płaski cypel przechodził w urwisko. Czekąca go długa droga do wylotu jaskini, którą tu przybył. Musiał zaopatrzyć się w żywność i pochodnie, musiał zdobyć irmana, choćby potem miał znosić go w podziemia na plecach, musiał zrobić jeszcze wiele innych rzeczy, by móc wrócić do swoich. Najważniejsze jednak miał już za sobą. Okupił to śmiercią Ziz-tta i morderczą ucieczką. W sakwie grzechotały cicho dwa boskie kryształy: Etaur i Dessirh.

\*

Znaleźli go żołnierze księcia z Worh. Leżał po pas w wodzie, wokół poniewierały się szczątki rozbitego czółna. Był obdarty i wynędzniały i dopiero w stolicy poznano, kim jest. Giuao-temh chciał sprowadzić go do siebie, przysłał najlepszych zielarzy, lecz Irga Rahe-das grzecznie odmówił. Ledwo nieco przyszedł do siebie, zażądał łodzi i popłynął dalej. Na nic się zdały ostrzeżenia o coraz częstszych wizytach saha – nów, o potyczkach, jakie miały miejsce nad Urtem, między wojskiem Storg-orha a oddziałami z Ibbomi. Musiał wracać, bo wiedział, że przed nim jeszcze jedna wyprawa, ostatnia. Nie chciał jej odwlekać. Czuł się mocny, mocniejszy niż kiedykolwiek. Sprawił to ów kamień, zdawało się, stracony, a odzyskany dzięki woli Trorr-uda. Pozostał jeszcze Llagoll; Zabójca był pewien, że go zdobędzie.

Kilku dni spędzonych na wodzie nie zakłóciły żadne przygody. Dwukrotnie widział na brzegu ślady walk z sahanami. Rozpoznawał te miejsca. Kręgi popiołów wskazywały, gdzie ginęli widmowi jeźdźcy. Nie napotkał zwłok eneików; towarzysze zabierali je lub grzebali na miejscu. Trochę połamanej broni, strzały o ciemnych grotach i strzępy zakrwawionej odzieży świadczyły, że potyczki były zacięte, a eneiko – wie nie wychodzili z nich bez szwanku.

Groty z metalu ngorhi okute na końcach strzał oznaczały jeszcze jedno: jego armia otrzymała urobek ze świętych kopalń. Fakt, że nie wybierano skrzętnie owej broni, wskazywał, że eneikowie mieli jej dużo. Mimo to Rahe-das zżymał się na rozrzutność dowódców, bowiem każdy okrucz był cenny. Tylko ngorhi niósł śmierć w szeregi zastępów Pana Pustyni, nie mogło go zabraknąć. Pozbierał wszystkie, które znalazł, było tego kilkanaście sztuk. Tyłu jeszcze sahanów dzięki nim zamieni się w ogień.

Przybył do Ibbomi późną nocą. O włos uniknął nieszczęścia; strażnik, widząc postać, która

wyłoniła się z rzeki, wypuścił strzałę. Rozpoznał Rahe-dasa w ostatniej chwili i to umożliwiło mu jeszcze poderwanie łuku. Pocisk przeleciał nad głową Zabójcy i z pluskiem zniknął w czarnej wodzie.

– Wybacz, Niezwycięzony – głos eneiki zadrżał lękiem. – Nie spodziewałem się ciebie.

– Wszystkich, których się nie spodziewacie, witacie strzałami? – Irga przycumował czółno i podszedł do wartownika.

– To ta noc, panie... Sahani przychodzą także nocą.

– Czy ja przypominam sahana?

– Nie, ale... o tej porze nikt żywy tu nie bywa.

– A gdyby przybył poseł od kóregoś z palatynów? Trzymaj mocno nerwy, bracie, inaczej pozabijamy się nawzajem.

Minął skruszonego żołnierza i wszedł za wał. Strażnicy przy bramie przyglądali mu się z ciekawością, wymieniali ciche uwagi. Irga skierował się ku centralnemu szafasowi. Przez szpary w ścianie dojrzał płomień paleniska.

– Oto jestem – stanął w wejściu.

Na dźwięk tych słów trzech drzemiący przy ognisku eneikowie podnieśli głowy. Poznawszy przybysza zerwali się na nogi.

– Rahe-das! – wykrzyknął jeden z nich głosem Dedhi-vera i po chwili Irga znalazł się w objęciach towarzysza. – Myśmy tu już zaczęli was oplakiwać! Udało się?

Rahe-das wyswobodził się z uścisku i przywitał z pozostałymi. Byli to Irgowie Mom-udi i Diq-as.

– Mam – odpowiedział, siadając.

– A gdzie Ziz-tta-Diie? – zapytał Mom-udi.

– Został w Garanja.

Nie musiał mówić nic więcej. Eneikowie w milczeniu przykucnęli obok.

– Chwała Tym, Którzy Otwierają Drogę do Oll-hirr – rzekł wreszcie cicho mistrz irgaskich Zabójców.

– Chwała... – odpowiedzieli chórem.

– Mistrzu Mom-udi, postaw kreskę przy moim imieniu – Rahe-das sięgnął do torby i wydobył rulon pokrytej łuską skóry.

– Smocze ucho? Zabiłeś xinxa! – Dedhi-ver z namaszczeniem rozprostował sztywne

zawiniątko.

Mom-udi ujął ucho w dłoń.

– Witaj w klanie Diie – powiedział.

– Powitał mnie już Ziz-tta, czcigodny. To było podczas pierwszego przejścia.

– Dedhi-ver, podaj mi moją sakwę – mistrz skinął na Zabójcę. – Noś ten symbol z szacunkiem, większy zaszczyt w szeregach zakonu już cię nie spotka – wyciągnął z torby złocisty łańcuszek z zawieszoną na nim igłą. Jej ostrze było rozwidlone, oba końce rozchodziły się w wygięte łuki.

Rahe-das zdjął z szyi tiris Geue i położył na ziemi. Poczuł delikatne ukłucie, gdy nowy znak opadł na jego pierś.

– Oto zyskałeś dostęp do wszystkich Tajemnic Pierwszych. Nie wiem tylko, czy będzie ci dane z nich skorzystać – ciągnął Mom-udi. – Nie wrócimy już chyba do klasztornych murów.

– Obyś był dobrym prorokiem – uśmiechnął się Rahe-das.

– To proroctwo nie musi być dobre. Jeżeli poniesiemy klęskę, istnienie zakonu także straci sens. Nie będzie już Drogi do Oll-hirr.

– To przyszłość, czcigodny. Tylko Trorr-ud wie, jakie przyniesie rozstrzygnięcia.

– Diq-as, opuść nas na chwilę – Mom-udi zwrócił się do tysięcznika. – Chciałbym teraz omówić sprawę, która stanowi sekret zakonu.

Wódz wstał, uklonił się i bez słowa wyszedł na zewnątrz. Mistrz popatrzył za nim, po czym uznawszy, że słowa nie dojdą do niepowołanych uszu, rzekł półgłosem:

– Co z Llagollem?

– Użyję Etaura jeszcze dziś. Nie chcę czekać.

– Można ci towarzyszyć?

– Nie wiem, w Garanja byłem sam, Ziz-tta pilnował, by nikt mi nie przeszkodził.

– Chciałbym to zobaczyć. W piśmie kapłanów nie ma zastrzeżenia?

– Nie znalazłem.

– Wobec tego razem zajrzyjmy w przeszłość. To trudne zadanie i lepiej, żeby patrzyły dwie pary oczu. Nie wszystko wiesz o Ibbomi.

– Pójdźmy już – Rahe-das ruszył do wyjścia. – Trzeba zacząć tam, gdzie zakończył żywot Ayantiall.

Ruiny klasztoru znajdowały się na poboczu wielkiej warowni, którą wznieśli eneikowie

mistrza Bave-tio. Palisada łączyła się tu z zewnętrznym murem dawnych umocnień, podwyższonym tylko i obudowanym pniami. Od wewnątrz, od strony obozu, ściany leżały w gruzach, jedynie zarys fundamentów przedstawiał układ legendarnej budowli. Wkroczyli na wybrukowany plac, będący niegdyś klasztornym dziedzińcem. Na wprost nich widniało rozległe zwałowisko kamieni, w którym z trudem można było dopatrzeć się zarysu potężnego gmachu.

– To tutaj – Mom-udi wskazał rozwalisko. Mimowolnie ściszył głos. – Tu trzydzieści ellarów temu umarła rasa eneików.

– Przecież żyjemy – mruknął Rahe-das. Zaboląła go posępna uwaga mistrza. Zwłaszcza, że od nich zależało, czy miała okazać się prawdziwa.

Weszli między zwietrzałe resztki ścian. Wiatr cicho pogwizdywał wśród smętnych kikutów, jakby zawodził głosami poległych tu przed setkami kari eneików. Gdzieś pod gruzami spoczywały ich szczątki; ostatnie zakłęcie głównego kapłana usypało nad nimi i armią xinxów gigantyczny grobowiec.

– Strasznie tu – wzdrygnął się Rahe-das.

– Musimy znaleźć zejście do podziemi. Tam rozegrała się tragedia.

– Myślisz, że będą dostępne? Wybuch zmiotł cały budynek. – Nie muszą być. Wystarczy, że znajdziemy wylot. Kapłan uciekał tamtędy przed smokami, miał przy sobie Ayantialla. To dosyć, żeby odczytać jego historię.

– Ale jak je tu odnajdziemy? W tym morzu kamieni...

– Eneikowie zabrali stąd szczątki Czarnego Kryształu. Zejście do lochu powinno być odkopane.

– Gdzie będziemy szukać?

– Tu był główny korytarz najniższej kondygnacji. Na końcu znajdowało się sanktuarium Ayantialla, a za ołtarzem sekretne przejście. Tamtędy schodziło się w podziemia.

– Skąd o tym wiesz?

– Plan klasztoru znają wszyscy dziedziczni powiernicy. Był jedną z tajemnic, które przekazywano kolejnym sługom kryształów w rytuale przyjęcia stałego powiernictwa.

– Dlaczego nikt nie zdradził go mnie? Jestem wszak powiernikiem wszystkich.

– To inna sprawa. My, stali powiernicy, jeszcze żyjemy. Nie przejąłeś kamieni na własność. Dopóki pozostał choć jeden z nas, twoje powiernictwo jest czasowe. Tylko naturalna śmierć powiernika, poprzedzona ceremonią przekazania, może uczynić cię pełnoprawnym dysponentem

kryształów. Tak każe Pismo.

Szli labiryntem ruin. Pochodnie rzucały chwiejne światło na resztki kolumnady, ciągnącej się pomiędzy zwałami gruzu. Cienie kamiennych słupów przesuwały się za pełgającym blaskiem. Sprawiały wrażenie, że wśród zwałiska pokruszonych murów czają się nieznane stwory, kryją się w mrocznych załomach przed natrętami, którzy naruszyli ich terytorium. Ogarnęło ich niepokojące uczucie, wewnętrzne przekonanie, że nie powinni wchodzić w zakazany obszar, że nie warto, nie wolno nawet... Czy był to ślad uroku rzuconego niegdyś przez kapłanów, a może klątwa Storg-orha? Owo wrażenie wydało się Rahe-dasowi znajome. W jakiś sposób przypominało tamto przed walką z sahanem, mimo że wówczas ciągnęło go tutaj, a nie odpychało. Było słabe, być może na skutek stałej obecności eneickiej armii wokół ruin, a może dlatego, że czar miał bronić klasztoru przed intruzami? On przecież nie był intruzem... Rozwikłanie tej zagadki leżało poza możliwościami żywych. Cienie kapłanów, ani tym bardziej Storg-orh, jeśli to jego dzieło, nie ujawnią jej rozwiązania.

Wielki kopiec gruzu zagroził eneikom drogę. Zatrzymali się.

– Kamienie chyba nie mogły ułożyć się same w taki sposób – zauważył Rahe-das.

– Masz rację – przytaknął Mom-udi. – Ten gruz odrzucono z miejsca, gdzie wybuch wyniosł odłamki Ayantialla. To tu była niegdyś jego komnata. Pod nią zaczynały się lochy. Popatrz – wskazał na wielki sześciokątny głaz z wydrążoną w jednym z boków wnęką. – Nie sądziłem, że to się zachowało. Masz przed sobą skrytkę, w której zwykle leżał.

Rahe-das poczuł wzruszenie, kiedy końcami palców dotknął świętego miejsca. Oto dom Władcy Wszechrzeczy, jego sypialnia, najintymniej szy schowek. Tutaj odpoczywał, ukryty przed wzrokiem ciekawskich wyznawców. Tu odnawiał nadwątlone zmaganiem z naturą siły. Stąd zabrał go główny kapłan w ostatnią drogę, gdy oddechy xinxów wznieciły już ogień w murach świątyni.

– Zejdźmy na dół – usłyszał głos mistrza.

Wspięli się na kamienny wał, a potem opuścili do głębokiego leja, który powstał po wybraniu gruzu z miejsca eksplozji. Posadzka komnaty była dokładnie uprzątnięta. Otaczały ją kikuty pokrytych malowidłami ścian, złuszczonego farba nie pozwalała odczytać symboli hieratycznego pisma. Pośrodku ziała nieregularna wyrwa, którą wypełniało rumowisko. Ciągnęła się niby szeroki wykop pod jedną ze ścian. Tam dwa rzeźbione filary wspierały okap nad płytką niszą. Wstawały z niej pokrzywione, przeżarte zielonkawą korozją brązowe sztaby i spróchniałe

kawałki bali, rozsypujące się pod dotknięciem.

– Tam było wejście – Mom-udi wskazał na niszę. – Atu, w tej jamie, znaleziono okruchy kryształu.

Ostrożnie opuścili się na dno wyrwy i usiedli na kamieniach. Zatknęli pochodnie w szczeliny. Rahe-das wyciągnął zwój z zakłębieniem. Podał go towarzyszowi, a sam sięgnął do torby jeszcze raz. Rozwiązał skórzany tobolek. Wydobył Władcę Czasu, aby ten ponownie zademonstrował swą moc.

Znów otoczyła go znajoma wirująca otchłań. Spadał długo, znacznie dłużej niż za pierwszym razem. Zdawało się, że sięgnie początków istnienia. Głębina dziejów wciąż otwierała się pod nim niby studnia bez dna. Lot zakończył się raptownie, odczuł to jak silne uderzenie. Rozbił się na niematerialne drobiny, a każda stała się wzrokiem. Zmieszany z cząstkami powietrza rozpląwał się w przestrzeni, coraz większy obszar obejmowały jego zwielokrotnione oczy.

Było inaczej. Czuł obok siebie identyczne cząstki, obce jednak i zamknięte przed jego widzeniem. Przestrach wywołany odmiennością sytuacji minął szybko; uświadomił sobie, że każdej odrobince jego rozpylonej świadomości towarzyszy inna, przyjazna. To był Mom-udi.

Posłyszał jego słowa:

– Udało się... Niesamowite uczucie! Spójrz, Rahe-das, to Ibbomi!

Mieli przed sobą wspaniałą budowlę z osłepiająco białego kamienia. Wysoki mur z trójkątnymi blankami opasywał gmach na szczycie rozległych, tarasowych schodów. Dwa rzędy bogato rzeźbionych kolumn tworzyły głębokie podcienie, szczyty spadzistego dachu były ozdobione kamiennymi figurami zwierząt. Wykusze ocieniały pęki liści i fantazyjnie splecionych kwiatów. Wokół muru ciągnęły się skupiska drewnianych chat, rozlokowane na wielkiej przestrzeni między Urtem a Senną. Życie wypełniało tę gigantyczną metropolię. Śledzili je w sekwencjach zatrzymanych, nakładających się obrazów.

Na tle jednostkowych i zbiorowych codzienności na pierwszy plan wybijały się zdarzenia wewnątrz klasztoru. Zabójcy z zapartym tchem obserwowali rezultaty zakłęb, które odkształcały naturalny tok przemian zgodnie z wolą kapłanów. To był raj. Tylko tak można go sobie wyobrazić: szczęśliwy, pozbawiony trosk, klęsk i kataklizmów. Nie było dla nich miejsca na tym świecie, rzeczywistość kształtowana według potrzeb rasy nie znała zła. Sprawiała to moc, która płynęła ze świątyni, z wielkiej komnaty w jej wnętrzu, z wykutego w ścianie, zamkniętego mosiężną kratą zagłębienia. Tam spoczywało jej źródło: duży, wielkości głowy dziecka, czarny,

szklisty kamień. Ayantiall – tak ochrzczili go wierni, którzy codziennie wypełniali zbitym tłumem klasztorne krużganki. To imię powstało wśród nich. Wyrażało zachwyt i poddanie, i ślepą ufność w moc cudownego kryształu. Kapłani zwali go inaczej, mianem nadanym przez Trorr-uda, które w pradawnym języku bogów oddawało właściwą naturę kamienia: Vharr-ste-Akhreo, Władca Wszechrzeczy.

Długo trwała idylla, długo przepływały przed wzrokiem obserwatorów z przyszłości sielskie obrazy. Aż pewnego razu, gdy na świecie panowały ciemności przełomu, z południa nadciągnęły czarne chmury. Zasnuły niebo nieprzeniknioną kopułą, zgasiły gwiazdy i maleńkie iskierki obu słońc, przygasła w ich cieniu nawet biel śniegu. A potem z zenitu opadł na klasztor ogniasty obłok. Otulił siedzibę kapłanów rdzawą, rozżarzoną kulą. Małe krople żywego ognia zaczęły pękać w fajerwerkach iskiei. Z morza żaru wyroiły się niezliczone chmury xinxów i rozpełzły po zakamarkach klasztoru, po dziedzińcach, zabudowaniach służby. Wlały się szeroką falą w otaczające świątynię osady, niosły zagładę struchlałym, pozbawionym instynktu przetrwania istotom. Tylko kapłani stawili opór nawale potworów i z determinacją wystąpili zbrojnie przeciwko xinxom. Desperacko rzucali się w wał blasku i śmierci, który toczył się przez klasztor. Lecz ich ostrza nie były zdolne przebić smoczej skóry. Ginęli.

Widzowie z przyszłości z trwogą patrzyli na triumf dzieci Storg – – orha. W głębi ich serc kołatała się słaba iskierka nadziei, że karta się jeszcze odwróci, że Ayantiall nie pozwoli na zagładę swego ludu, choć obaj przecież dobrze wiedzieli, że tak się nie stanie. Obaj doskonale znali przyszłość ginącej na ich oczach świątyni. Oto spostrzegli, jak główny kapłan wyjmując kryształ z płonącego sanktuarium, jak zbiega po schodach, jak błyskawicznie wpełzają za nim do lochu tabuny xinxów, i ujrzeli to najstraszniejsze: potężny błysk, grom wstrząsający ziemią, walące się w gruzy klasztorne mury. Wielki grzyb dymu, pyłu, kamieni, płonących płacht materii wzbil się ku niebu, huraganowy podmuch rozerwał zasłonę czarnych chmur. A potem wrócił spokój, straszny spokój zgłodzonego miasta.

Ów nieruchomy, umarły obraz trwał przez nieskończone chwile, zanim znów pojawili się eneikowie. Roth stał już wysoko, gdy najodważniejsi wkroczyli w zalegające gród ruiny. Potem przybywało ich coraz więcej, coraz liczniejsi oglądali na własne oczy upadek szczęśliwej krainy. Bezskutecznie przeszukiwali zgliszcza, w nadziei, że ich Władca ocalał gdzieś pod zwałowiskiem kamieni. Nadaremnie. W głębokim dole, wśród kamiennego złomu, znaleźli jego szczątki: osiem okruchów, równie błyszczących i pięknych jak ich protoplasta. Lecz te kryształy



nie miały już władzy nad całą naturą. Eneikowie w każdym odkrywali jakąś część boskiej mocy Ayantialla, każdy odziedziczył fragment jego niezmierzonej potęgi. Nie było jednak siły, która zdołałaby połączyć je na powrót, przywrócić kamieniowi jedność. Tshiu – enowie – bo to oni byli owymi śmiałkami – na próżno przeszukiwali świątynię kamień po kamieniu. Zawierające zaklęcia zapisy kapłanów wybuch rozrzucił po okolicy, zaś wśród odnalezionych nie było tego najważniejszego.

Napływały do Ibbomi nowe rzesze eneików, gdyż wieść o tragedii rozniosła się wśród plemion Loinu. Wybuchły kłótnie. Tshiuenowie rościli sobie prawo do wszystkich kamieni, argumentowali, że to dzięki ich wysiłkowi pozbierano odłamki i znaleziono budzące je do życia zaklęcia. Spór zakończył się wojną. Po długotrwałych, krwawych zmaganiach zjednoczone narody Irgów i Vhorów pobiły zachłannych Tshiu – enów, wycięły w pień ponad połowę plemienia. Odebrano Tshiuenom kryształ. O ich losach miała zadecydować zwołana wtedy po raz pierwszy Rada Eneików. Zjechali do Ibbomi palatyni wszystkich nacji. Długie targi zakończono polubownie: okruchy podzielono między osiem największych plemion. Kryształy zostały rozproszone po kontynencie, na dziesiątki ellarów straciły ze sobą kontakt. Odtąd miały spotykać się tylko sporadycznie, gdy któryś wyruszał w podróż wraz ze swoim dysponentem.

Na miejscu pozostał tylko jeden okruch. Zdziesiątkowanym Tshiuenom wspaniałomyślnie przyznano opiekę nad jednym z ważniejszych, Władcą Myśli, Llagollem. Uczyniono tak mimo protestów zwycięzców, uznając zasługi plemienia w odszukaniu kryształów. Tshiuenowie jakiś czas mieszkali w Ibbomi. Potem nagle wszyscy jednocześnie odeszli i prawie z dnia na dzień kraina nad Senną i Urtem opustoszała.

Zabójcy znowu mieli przed sobą znieruchomiąły krajobraz, zarastający z wolna puszcza. Nikt tu już nie zaglądał, ślady dawnej świetności pokryła bujna zieleń.

– Czy... to już koniec? – po długiej chwili odezwał się Mom-udi.

– Pomyliliśmy się, czcigodny – Rahe-das wydał się spokojny, jakby nie docierał do niego okrutny sens wypowiedzianych słów. – Eneikowie rozeszli się, Ibbomi umarło. Gdzie wywędrowali Tshiuenowie? Nie tutaj należało szukać Llagolla, na Trorr-uda, jak mogliśmy pomylić się tak strasznie?

– Czy Etaur może jeszcze raz cofnąć nas w przeszłość? Moglibyśmy odszukać ostatnie siedziby plemienia – Mom-udi uczepił się tej myśli. – Mieszkali tu niedaleko, na pograniczu. Musiał zostać jakiś ślad, mieli pewnie Zęby Góry...

– To na nic – przerwał mu Rahe-das z rezygnacją. – Wędrówki w czasie wyczerpały całą moc Władcy, podjęcie następnej próby zniszczy kryształ.

– Czyli to wszystko było daremne!

– Zaczekaj... Coś się tu nie zgadza. Czas powinien być przyspieszyć, a ciągle widzimy to samo. Dlaczego nic się nie zmienia? Czyżby...

– Co masz na myśli?

– W Garanja po okresie znaczących wydarzeń, które dotyczyły Dessirha, ellary popłynęły jak szalone, aż wyniosły mnie w terażniejszość. Tutaj ciągle tkwimy w tym samym zuarze, spójrz, Roth ledwo porusza się po niebie!

– Co się stało? Może Etaur...

– Nie, to chyba nie to. Myślę... Myślę, że to jeszcze nie koniec.

– Popatrz!

Wśród zarastających gruzu drzew znów pojawili się eneikowie. Tshiuenowie wrócili. Na miejscu zburzonych chat poczęły wyrastać nowe. Minął przełom i kiedy Jasti zapanował na nieboskłonie, z ruin klasztoru wystrzeliły ku niemu słupy Zębów Góry. Irgowie z niedowierzaniem obserwowali odradzające się miasto i próbowali zgadnąć, co skłoniło eneików do powrotu. Rzecz wyjaśniła się szybko. Oto ujrzeli wśród nich grupę kapłanów w żółtych szatach, którzy nosili wyszyty na piersiach symbol Władcy Wszechrzeczy. Cel Zabójcy z łatwością odgadli: szukano zaklęcia scalenia. A owi żółci mnisi byli ich poprzednikami w idei wskrzeszenia Ayantialla.

Znaleźli. Triumfalnie złożono nadpalony zwój w skrytce Llagolla, a potem podjęto przygotowania do misji sprowadzenia do Ibbomi pozostałych kryształów. Siedmiu kapłanów wyruszyło w siedem stron Loinu. Zmierzali do siedzib powierniczych plemion. Ledwie jednak opuścili teren Ibbomi, wokół miasta rozszalało się piekło. Ogromne słupy ognistych meduz wypełzły z ziemi, ogarnęły płonącym kręgiem klasztor i wsie wraz z mieszkańcami. Jeszcze przez chwilę górowały nad koroną płomieni trzy kamienne iglice, lecz wkrótce runęły z hukiem, a krąg meduz począł wtapiać się w piach i skały. Niebawem zniknął zupełnie, zostawiając po sobie wypalone, olbrzymie koło.

Pośród odsłoniętych na powrót ruin nie było żywego ducha, zaś w miejscu, gdzie niedawno wznosiło się sanktuarium Władcy Myśli, widniała pusta dziura po strzaskanym schowku. Wokół poniewierały się odłamki Threkhte-n-Uoso. Llagolla nie było, nie było również zapisu zaklęcia

połączenia.

Obraz rozmył się w wirze. Irgów o władnęło uczucie coraz szybszego wznoszenia, popędzili w górę środkiem wypychającego ich leja. Wreszcie tęczowa karuzela wyhamowała. Stwierdzili, że znowu są istotami z krwi i kości, a wokół rozciąga się znajomy obraz gruzowiska. Niebo na wschodzie lekko poróżowiło, w koronach pobliskich drzew świergotały ptaki. Świtało. Eneikowie długo nie odzywali się do siebie. Przytłoczyła ich świadomość strasznej prawdy, faktów, których byli świadkami. Władca Myśli, zapis – wszystko przepadło w ognistym kole meduz. Pan Pustyni posiadał kamień i zakłęcie. Rahe-das wyprostował zgarbione plecy i przeciągnął się.

– Wobec tego złożymy mu wizytę – powiedział prawie wesoło.

\*

*Przecucie. Skąd bierze się ten stan, kiedy nagle olśnienie przedstawia ci obraz wydarzeń, które nastąpią, bądź o zaistnieniu których nic nie wiesz? Zwykle odrzucasz rozwiązania podsuwane przez intuicję, zostawiasz jako mało prawdopodobną alternatywę lub rezerwujesz na przyszłość, gdyby zawiodły racjonalne odruchy, i najczęściej szybko o nich zapominasz. Wracając, gdy nagle potwierdzi się ów błysk w podświadomości, który okazał się objawieniem. I zawsze wtedy dziwisz się, skąd wiedziałeś.*

*Myślę o tym, a słowa zmieniają się wznaki, bowiem ja wiedziałem... Zawsze, ilekroć mówiono o zaginięciu kamieni z nutą zwątpienia lub rezygnacji, pierwszym, co przychodziło mi na język jako odpowiedź tym, którzy zwątpili, była deklaracja odszukania ich za wszelką cenę, choćby... no właśnie. Wybierałem się po nie do Storg-orha. Sądziłem wówczas, iż jest to wyznanie niezłomnej woli, a że płynęło ze mnie samo, skłonny byłem przypisać je temu zaślepieniu, które mnie czasem ogarnia, gdy natrafiam na opór. Dziś widzę, że było to przecucie, pamiętam doskonale to krótkotrwałe objawienie, zepchnięte zaraz na samo dno jako bzdurne i bez podstaw. Nie mogę tylko przypomnieć sobie okoliczności, w jakich nastąpiło. Ale to bez znaczenia. Widać bóg-eneika częściej wskazuje nam drogę, niż sądzimy oskarżając go o obojętność.*

*Nadszedł zatem czas próby. Największej i ostatniej. Tu już nie ma wyboru. Już nie tylko moje postanowienie wyklucza możliwość obrania trzeciej drogi: rezygnacji. To znaczy jeszcze moglibyśmy się wycofać, wrócić do swoich plemion i śnić dalej o mitycznych Oll-hirr. Ale nawet dziś nie wiadomo, czy zrezygnuje Pan Pustyni. Zabrnęliśmy za daleko. Na razie wolno mi jeszcze myśleć, że to ja nadaję kierunek. Potem, gdy armia wyruszy na południe i otoczą nas rumowiska*

*Pustyni Śmierci, wyjścia będą już tylko dwa: sukces lub klęska. Boję się wywazać szanse.*

*Właściwie mieliśmy dowód, że Llagoll jest u niego. Manipulacje naszymi umysłami, dziwne stany, których doświadczałem ja i żołnierze, to powitalne zdanie, które było odkryciem przyłbicy, musiały stanowić następstwo czarów Władcy Myśli. To wiem dopiero dzisiaj, wówczas trudno było zgadnąć, co potrafi Storg-orh. Inapawa mnie to otuchą, bo wydaje się słabszy, niż przypuszczałem. Na pewno nie jest wszechmocny.*

*Lękam się jednak o kamień. On go używa, zapewne od dawna. A żaden z ośmiu nie jest niezniszczalny, mają ograniczoną moc. Jak wiele zostało jej jeszcze w Llagollu? Czy wystarczy do scalenia? Pocieszam się, że Storg-orh wie o tym równie dobrze jak ja. Nie pozbawiałby się szansy, skoro chce zawładnąć kryształami. Jeśli tego rzeczywiście chce... Myślę, że jest inaczej. On zna swoją siłę. Jest bogiem, a możliwości kamienia muszą być większe, gdy kieruje nim bóg.*

*Moja armia sposobni się do drogi. Nikt tu o nic nie pyta, jakby od dawna na to czekano. Ile jest w tym przejścia idea, a ile zwykłej karności, tego nie wiem. Najważniejsze, że mi wierzą. Na czekającym nas egzaminie ta wiara może ważyć więcej niż oręż. Choć jego również nie powinno zabraknąć. Wysłałem tabory z powrotem do kopalń. Nieprędko przybędą, może jadą na darmo. Nie chciałbym jednak zaniedbać czegokolwiek. Niech czeka na nas świeża broń, gdy wrócimy z wyprawy na pustynię.*

\*

Po płaskiej jak stół, szarej równinie przesuwiała się wielka, rozciągnięta kolumna wojowników. Na dziewiczym kamienisku snuł się za nią aż po horyzont wydeptany ślad. Łączył niczym nić pozostawione hen, za widnokrzem, żyzne krainy z jądrem Pustyni Śmierci. Na tych terenach nigdy nie postawiła stopy żywa istota, wojsko kierowało się bowiem w samo serce pustyni, w jej wnętrze. Nieliczni straceńcy, którzy mieli śmiałość wkroczyć na przeklętą ziemię, zwykle przemierzali jej obrzeża. Tym razem dwadzieścia tysięcy desperatów podjęło próbę dotarcia tam, gdzie mieszkwały tylko złe moce – w pierwotną dziedzinę Storg-orha, w jego królestwo. Tam bowiem znajdowała się legendarna Brama do podziemnego świata, którym rządził i skąd słał swe sługi na podbój tej części Loinu, gdzie panem było życie i służący mu bogowie.

Pustynia była spokojna. Nienormalnie spokojna; nie działo się nic, czego nie można by doświadczyć na dziesiątkach innych pustkowi. Przekraczając jej granice, przeżyli tylko krótkotrwały lęk, który zniknął, nim zdolali skoncentrować wolę, by go zwalczyć. Poza tym

żadne, zewnętrzne ani wewnętrzne, anomalie nie zakłócały marszu. A przecież nawet ci, którzy widzieli pustynię po raz pierwszy, znali sztuczki niesamowitej krainy. Nie było chyba istoty w Loinie, która nie słyszałaby opowieści o tych stronach. Nie chodziło tu nawet o złowrogie meduzy, od wielu ellarów siejące trwogę w sercach śmiałków, którzy z konieczności bądź brawury podejmowali wyzwanie, czy o widmowych jeźdźców. Pustynia zrezygnowała także ze swych „zwykłych” cudów. Nie zmieniały się kierunki świata, wojownicy nie tracili zmysłów, nie mamił zmianami krajobraz. Wody ubywało proporcjonalnie do zużycia, juczne zwierzęta szły potulnie, nie było zjaw ani przywidzeń. Zdawałoby się najzwyklejsza pustynia pod niebem Tui, tyle, że trochę większa. I to było najgorsze: stan psychiczny eneików wędrujących w ciągłym napięciu, oczekujących na niespodzianki Pustyni Śmierci, był bardzo zły. Nie można przez tak wiele dni żyć w niepokoju. Z tego powodu Rahe-das błagał w duszy władcę tej ziemi, aby wreszcie stanął przeciw niemu.

A Storg-orh zwlekał. Można by myśleć, że przeraził się potęgi ene – ickiej armii, że uciekł i oddał pustynię najeźdźcom. Lecz każdy z idących, od prostego poganiacza irmanów do najznamienitszych Diie, wiedział, że to nieprawda.

Pewnego dnia spostrzegli, że prosta do tej pory linia widnokregu nieco się wybrzuszyła. W miarę jak posuwali się naprzód, wypiętrzała się przed nimi dziwna góra. Jej regularny obrys przypominał odcięty wierzchołek kuli. Była ciemniejsza niż biegnąca ku niej szarozółta równina. Miała barwę burzowej chmury i podobnie jak ona matową powierzchnią wchłaniała słoneczne promienie. Wyglądała trochę jak wynurzająca się z ziemi gładka kopuła z mgły, zgęszczonej i zamkniętej pod niewidzialnym, kulistym kloszem. Niczego takiego żaden ene – ika nigdy nie widział, gubili się więc w domysłach. Nikt nie wątpił ani przez chwilę, że kopuła ma coś wspólnego ze Storg-orhem.

Dziwne wzgórze szarzało na tle typowego dla pustyni zamglonego błękitu. Początkowo jego zarys rozlewał się w owej mgiele, granica między kopułą a niebem zacierała się. Wkrótce jednak dało się zauważyć, że to rozdzielenie staje się wyraźniejsze; kontur góry wyostrzył się. Nieboskłon za nią stopniowo się rozjaśniał, tak jak dzieje się zwykle tuż przed wschodem słońca, gdy objawia się granica horyzontu zatarta na czas panowania nocy i kontur Tui poczyną odcinać się czernią od wstającego brzasku. Słońce stało wysoko, a mimo to wrażenie było tak silne, że niemal wszyscy mimowolnie podnieśli głowy, aby upewnić się, że to nie Roth wbrew naturze powtarza ceremonię wschodu.

W oczy eneików uderzyła ogromna łuna. Nad kopułą uniosło się lśnienie jakby milionów rozpalonych po tamtej stronie widnokręgu ognisk. Przed wojownikami zaczerwieniło się półkole rozżarzonych kamieni, opasało wzgórze. Znali to zjawisko. Wiedzieli, czym są wąskie, gorące języki, które wyłoniły się z ziemi niczym błyskawicznie kielkująca trawa. Żar buchnął im w twarz. Niebotyczny krąg ognia ruszył w pierwszy, niespieszny obrót.

Rahe-das nie dał żołnierzom czasu na lęk. Czekał wszak od dawna na przeciwnika, toteż kiedy pojawił się przed czołem armii, głównym uczuciem, jakiego Irga doznał, była ulga. Zupełnie odprężony wydawał szybkie rozkazy dowódcom. Urumscy łucznicy wysforowali się naprzód i w podwójnym szeregu stanęli wzdłuż gorejącej ściany. Dowodzący nimi Nanna-ove z podniesioną ręką popatrywał niecierpliwie to na wydającego komendy Rahe-dasa, to na unoszące się z wolna meduzy, gotów do natychmiastowego uruchomienia niezawodnej maszyny, jaką w boju stanowili jego wojownicy. Za nimi stanęli Zabójcy pod komendą Mom-udi, którego po śmierci Ziz-tta uznano za najgodniejszego spośród Diie. Mieli tworzyć pierwszą linię ataku, ich zadaniem było dać przykład, pociągnąć za sobą armię, gdyby w jej szeregach zakradło się wątplenie. Główny trzon korpusu – regularne oddziały Nissków – zajął środek pola tuż za zakonnikami. Na lewe skrzydło pędził już Diq-as ze swymi Irgami, prawe właśnie zajmowały regimenty Ceranów.

Rahe-das przyglądał się sprawnemu przegrupowaniu oddziałów i jednocześnie nie spuszczał oka z ognistych meduz. W szczelinie pod nimi pojawiły się pomniejszone przez odległość sylwetki sahanów. To była ta sama armia, którą Pan Pustyni pokazał mu nad Urtem: nieprzebrana masa jeźdźców i pieszych. Rozpływała się ciemną smugą na podobieństwo gęstej cieczy po równinie. Meduzy pomknęły w niebo i zgasły; wielka ława widmowego wojska, błyszcząca blachami i mieniąca się pstrokacizną pułkowych barw, zastygła na tle posępnej, szarej kopuły. Pierwszą jej linię stanowili eneikowie. Taką informację przekazywał wzrok, choć umysł wzdragał się przed nazwaniem upiorów imieniem własnej rasy. Za nimi w równych czworobokach stały pułki walijskiej jazdy. Nie było prawie tomów; ledwie garstka, zbrojna w walijską broń, towarzyszyła eneickim piechurom na prawym skrzydle.

Było coś symbolicznego w tym obrazie: armia widm jako zaporę między wojskiem żywych a zagadkowym wzgórzem. Coś, co miało jakiś ukryty sens. Ta myśl błąkała się w głowie Rahe-dasa, nie mogła znaleźć swego kształtu w słowach. I nagle spłynęło nań olśnienie. Zobaczył to na nowo, poukładane zgodnie z logiką. Tak, to był najlepszy i już ostatni czas dla Storg-orha, aby

zatrzymać i zniszczyć straceńczą armię. Irga zrozumiał, że dotarł do celu. Miał przed sobą strażę, szara kopuła była Bramą.

Zaświergotało powietrze. Ku enekom poszybowała chmura ciemnych kresiek. Strzały spadły niczym ulewa w sam środek zgrupowania Nissków, zabębniły po tarczach, dźwięknęły o hełmy i kolczugi. Ten i ów osunął się z jękiem. Rahe-das widział, jak zadrżała ręka wodza Urumów, niemal czuł jego pragnienie, by natychmiast odpowiedzieć atakiem. Nie zezwolił. Odległość była zbyt duża, wiele grotów chybi, a przecież musiały być skuteczne. Czekali więc dalej. Bezsilnie obserwowali, jak tnie powietrze i spada w nieruchome szeregi druga salwa pocisków.

– Na co czekamy?! – usłyszał tuż przy uchu szept Dedhi-vera.

– Na nich – ruchem brody wskazał przedpole.

W ślad za trzecią porcją strzał ruszyły chorągwie jezdnych. Tuż za linią łuczników rozsypali się w tyralierę sahani na irmanach, pułki Iserów sformowały się w trójkątne bojowe kliny. Wierzchowce ruszyły, po chwili pędziły galopem. Pusta przestrzeń między armiami poczęła się kurczyć. Teraz. Skinął na Urumów. Ramię Nanna-ove opadło z rozmachem, usłyszał jego okrzyk. Jęknęły zwolnione cięciwy. Pierwszy szereg łuczników odstąpił o krok, dając pole wojownikom z drugiego rzędu. Za moment śladem pierwszej pofrunęła kolejna fala strzał, a potem następna.

W chorągwiach sahanów rozpętało się piekło. Setki oślepiających rozbłysków znaczyły miejsca, gdzie groty ngorhi trafiły w cel. Lewe skrzydło atakujących rozpadło się zupełnie. Pochodnie iskier zlały się w jeden wielki wał ognia, od którego poczęły żarzyć się kamienie. Lecz ława widmowych jeźdźców była tuż, na kolejną salwę zabrakło czasu.

Mom-udi jakby czytał w myślach Rahe-dasa. Zaledwie ten zwrócił się w stronę mnichów, przeciągły zaśpiew mistrza podał ton wojennej pieśni Zabójców Smoków. Dziewięćset toporów o płonących czerwono ostrzach pojawiło się nad głowami braci i zastęp ruszył na spotkanie szarżujących rycerzy. Za nimi podążyli Nisskowie. Pędzący tłum wchłonał urumskich łuczników i porwał ich ze sobą. Gdy fala przeszła, na miejscach zostali tylko nieliczni. Innych owładnęło bitewne szaleństwo, silniejsze niż rozkaz dowódców.

Tuż przed zderzeniem obu rozpędzonych sił z pierwszej linii ene – ików pomknęły w ciżbę jeźdźców purpurowe iskry. To Zabójcy cisnęli garnagami. Żaden nie chybił. Przeniknęły stalowe tarcze, przebiły blachy i kolczugi, jakby uformowano je z powietrza. To, co dla zwykłej broni było mosiądzem lub stalą, dla boskiego ngorhi nie stanowiło przeszkody. Bo ngorhi za nic miał

najtwardszą materię, nawet jeśli stworzył ją Pan Pustyni. Rozgorzały nowe pękające ogniste pęcherze i zginęły w nich szeregi eneików. Jednak obszar rozbłysków nadal się poszerzał. Świadczył, że wojownicy jeszcze żyją w owym morzu ognia, że ciągle niosą śmierć oddziałom sahanów.

Spod szarej kopuły ruszyły zastępy piechoty. Eneikowie i torni – wie, a raczej ich zmaterializowane cienie, szerokim łukiem opasali pole bitwy i pędzili na odsiecz gnącym się już liniom jezdnych. Z czarnej pustki pod hełmami rozbrzmiał okrzyk, który zmroził serce niejednemu z walczących. To był ich okrzyk, bojowe zawołanie eneików, skradzione wraz z duszami nieszczęśnikom, których niegdyś wchłonęły ogniste meduzy, by ich teraz, odcieleśnionych, rzucić przeciw własnej rasie.

Rahe-das uprzedził uderzenie. Zanim tyraliera piechurów przebyła pół drogi, ze skrzydeł ruszyły na nią czekające do tej pory regimenty Ceranów i Irgów, pomknęły resztki wojowników Urum. Była to ryzykowna decyzja: nie istniał już żaden odwód, który zatrzymałby wroga, gdyby ten przełamał atak Nissków. Na to się jednak nie zanośli. Wojownicy z północy wraz z Zabójcami z wolna spychali sahanów. Spod oddalającego się pasa ognia wyłaniała się coraz szersza powierzchnia dymiącego, poczerniałego żwiru, usłana zwęglonymi ciałami eneików.

Odwodowe zastępy zamknęły pieszych sahanów w kleszczach. Ponieważ szły wzdłuż linii tyraliery, opór był krótki. Widma nie zdążyły przeformować szyku i sznur zbrojnych począł kurczyć się z obu końców, jak gdyby pożerały go prace naprzeciw siebie oddziały. Już rozpadł się unicestwiony zastęp tornów, już gromada eneików w środku zaczęła nikać i wtapiać się w ziemię, gdy nagle Rahe-das, który obserwował zmagania, zamarł ze zgrozy. Spośród gładów i żwiru szybko rosła nowa ściana płomieni, nowy krąg meduz rozpoczął swój taniec. Dostrzegli go również walczący eneikowie. Wielki jęk przerażenia przebiegł przez hufce. Następną wielotysięczna armia już mknęła wyciągniętym cwałem ku bitwie, armia równie liczna jak ta, z którą zmagano się tak krwawo. I poczęli umykać z pola najpierw pojedynczy żołnierze, potem coraz większe grupy, aż nie pozostał ani jeden żywy, zdolny stawić czoła triumfującemu wojsku Storg-orha. Niedobitki gnały na oślep w kłębach dymu z tłących się ubrań i włosów, porzucały broń i pawęże. A falanga jeźdźców siadła im na karkach i poczęła wchłaniać najwolniejszych, kładąc pokotem pierzchający tłum.

\*

Zbierali się powoli. Mijały dni; eneikowie ściągali do Ibbomi pojedynczo bądź w niewielkich



grupkach, wynędzniali, obdarci, półżywi z przerażenia i głodu. Minęło pół seves, od kiedy zaczął ich liczyć: z osiemnastotysięcznej armii, z którą wyruszył na pustynię, wróciło niespełna pięć tysięcy. Wśród nich jakże niewielu dowódców – polegli Diq-as, Nanna-ove i Euan-miju, położyli głowy Sebb-oam i stary Bave – – tio, pozostał na progu Bramy mistrz Mom-udi... Z prawie tysiąca Zabójców do Ibbomi dotarło sześćdziesięciu trzech, w ten sposób zakończył żywot dumny zakon. To była klęska Bractwa. Czy też kres idei?

Spotkali się w szałasie, w którym zwykle zbierała się wskrzeszona tak niedawno rada. Zostało niewielu: czterech eneików, zgnębionych i ponuro milczących. Rahe-das, Dedhi-ver, kapłan powiernik Tonnoto – – shev i jedyny z wodzów, Ceran Toggi-vie, tysięcznik. O czym mieli mówić? O pogromie? Tu słowa były niepotrzebne. Przeżyli to. O przyszłości? Jaka przyszłość czekała zdziesiątkowanych eneików? Mogli zostać w Ibbomi i liczyć dni, aż Storg-orh łaskawie dokończy zaczętego dzieła. Mogli też wrócić do swych siedzib i spojrzeć w oczy wypatrującym ich z nadzieją rodakom... Już chyba lepiej zginąć tutaj, zostanie przynajmniej legenda. Dla tych, którzy zechcą kiedyś spróbować. Trzeba tylko ocalić kamienie, nim nadciągną rycerze Pana Pustyni...

– Musisz uchodzić w góry, Rahe-das – odezwał się Tonnoto-shev. – Zabierzesz kryształ, trzeba ukryć je przed Storg-orhem. On tu po nie przyjdzie.

– My zostaniemy – podchwycił Toggi-vie. – Odwrócimy jego uwagę, łatwo się przemkniesz...

Zabójca milczał.

– Rahe-das...?

Podniósł głowę i nieobecny wzrokiem powiódł po towarzyszach. Twarz miał zaciętą, a w oczach taki wyraz, że Dedhi-verowi gorący dreszcz przebiegł po krzyżu. Znał to spojrzenie. Diie patrzył tak samo, gdy płonęła wioska Par-i, gdy powietrze huczało od ognia, głusząc krzyk palonych żywcem.

– Dedhi-ver, przyjacielu – przemówił. Głos miał stłumiony, jakby słowa z trudem przeciskały się przez zaciśnięte gardło. – Nie pytałem cię dotąd, czy odnalazłeś stalowy hufiec?

Geue popatrzył na niego zdumiony. Co roіło się w umyśle tego fanatyka?

– Hufiec...? – zapytał niepewnie.

– Odnalazłeś go? – powtórzył niecierpliwie Rahe-das.

– Tak – kiwnął głową, w dalszym ciągu nie rozumiejąc. – Jest w grocie nad Urtem,

w dolnym biegu. Ukrył go tam Hennasti.

– Syn Itiego?

– Ten sam.

– Co jeszcze?

– Nie wiem... Są tam tornowie.

– Jacy tornowie?

– Z plemienia Shonnów. Osiedlili się nad Urtem, bratają się z I serami.

– Shonnowie? Bratają się, mówisz... Wiedzą o hufcu?

– Tylko jeden. Hennasti w sekrecie pokazał mu hufiec.

– Mógłbyś mówić jaśniej? – głos Rahe-dasa niebezpiecznie przycichł.

– To dziewczyna, Diie – powiedział szybko Dedhi-ver. – Są ze sobą blisko, stale przebywają razem. Lecz, co dziwne, w ogóle ze sobą nie rozmawiają. Obserwowałem ich długo i nie zamienili w tym czasie ani słowa.

Rahe-das machnął lekceważąco ręką.

– Rozmawiają, rozmawiają... W myślach, rozumiesz? Tornowie to potrafią.

– W myślach?

– Tak, tak... Powiedziałaś: dziewczyna?

– Młoda, Diie.

– Powtarza się... – mruknął pod nosem Rahe-das. – Jeżeli naprawdę się powtarza...

– Co mówisz?

Rahe-das wyprostował się. Wzrok miał jasny, a głos znów zabrzmiał pewnie, gdy powiedział:

– Zbieraj się do drogi, Geue. Będziemy mieli armię, której nawet Storg-orh nie pokona.

\*

Mrok otulił miasto, zaległ wśród ruin i chat, gasił jedno po drugim pełgające w oknach światełka. Cichły szmery rozmów, pomruki zwierząt w oborach i stajniach, rozgwar domowego ptactwa. Tylko miarowy krok straży mącił ciszę, lecz ów dźwięk należał już do odgłosów nocy, był w nią wpisany wszędzie tam, gdzie skupiska istot, pragnąc bezpiecznego snu, powierzały swój los czyimś zbrojnym dłoniom.

Budziły się teraz inne dźwięki: szmery i piski w poczemialej od mroku trawie, skrzypienie rozsychającego się drewna, dalekie głosy nocnych łowów. Tony nigdy niezbadane do końca,

tajemnicze i budzące instynktowny lęk. Jak odróżnić, czy delikatne stąpnięcia, słyszalne jedynie dla najczujniejszych stworzeń, które buszowały w chaszczach, są czymś zwyczajnym, czy zwiastują zagrożenie?

Z okna dużej chaty, ukrytej za palisadą z wysokich pni, ciągle jeszcze płynęła słaba poświata. Nie wybierano się tu na spoczynek. Trzech walów skupionych wokół ogniska rozprawiało zżywieniem, ścisząc głosy, by nie budzić pozostałych mieszkańców domu.

– Wrócili posłańcy – mówił Aghveri, pochyliwszy się ku słuchaczom. – Dziwne rzeczy dzieją się na Przedgórzu.

– Rebelia w Irvion? – Daggan podkaszał szerokie rękawy kapłańskiej szaty i grzał ręce nad ogniem.

– Właśnie nie... Tam wszystko wraca do normy. Obce wojska opuściły stolicę, Sishastirro oddał władzę czerwonemu rodowi.

– Othis mści się?

– Ani mu to w głowie. Walowie za Smoczymi Górami mają nowe problemy. Coś dzieje się u eneików.

– U eneików? – Hennasti, nagle zaciekawiony, popatrzył badawczo na kapitana.

– Niespodziewanie podnieśli głowy. Armia Irgów wyszła z gór i przekroczyła Karię. Zajęli Sattę, bezkrwawo, namiestnik poddał miasto.

– Cesarz na to pozwolił?

– Zaskoczenie było tak wielkie, że wszyscy potracili rozum. Ponoć wysłano parlamentarzysty, mają się układać. Nikt nie chce wojny z eneikami.

– Co to może znaczyć? – spytał Daggan, z namysłem trąc podbródek.

– To jeszcze nie wszystko. Wysłałem szarych także na zachód, do Minnow. Tam również zamieszanie. Nisskowie atakiem od morza zdobyli port Killaur, gdzie Minnowie mieli mały garnizon. Dotarli do lasu Kauen i nękają przygraniczne osady. Minnowie kilkakrotnie podejmowali ekspedycje przeciwko nim, lecz za każdym razem uderzenia trafiały w próżnię. Próba odbicia portu spełzła na niczym, eneikowie obsadzili go silną załogą.

– Killaur? To niedaleko... – zaniepokoił się kapłan.

– W tym rzecz.

– Mają tyle siły, by nam zagrozić?

– Nie wiadomo. Od czasów wojny o Przedgórze nikt się nimi nie interesował. Kto wie, jak

dalece zdołali się odrodzić. Gdyby valowie połączyli się, z pewnością dalibyśmy radę karzelkom, lecz jak zwołać Hoevog? Każdy z władców myśli dziś o własnych interesach.

– Poczekajcie, muszę wam coś zdradzić... – Hennasti mówił z wahaniem, nie patrząc na towarzyszy. – Jakiś czas temu byłem nad Urtem...

– Co to ma do rzeczy? – w głosie Agłweriego zabrzmiało zniecierpliwienie.

– Ma, kapitanie... Byłem, wiesz, gdzie...

– U stalowych rycerzy?

– Tak... Byłem tam z Mivojje.

– Pokazałeś hufiec tomom?!

– Tylko jej... Możecie być pewni, że dochowa tajemnicy. Mówiła mi... Ale to już inna sprawa, moja... W każdym razie ręczę za nią.

– Niech będzie, i tak tego nie cofniemy. Co to ma wspólnego z eneikami? – spytał Agłweri ze źle tajoną złością.

– W grocie znaleźliśmy ślad. Odcisk bosej stopy.

– Bosej... Eneika?

Hennasti przytaknął bez słowa.

– Na diabelskie moce Zrana, odkryli hufiec! – zaklął kapitan, zrywając się ze stołka.

– Uspokój się, bez płytki nic nie uczynią... – A jeśli to oni ją mają?

– Mało prawdopodobne.

– Posłuchaj, młodzieńcze, jestem stary i zęby zjadłem w tej parszywej służbie. Mogę ci zaręczyć, że nie ma rzeczy tak nieprawdopodobnych, aby były również niemożliwe. Zwłaszcza jeśli chodzi o eneików.

– Czy mogą się nią posłużyć? – zapytał Daggan. – To znaczy, czy płytka posłucha ich myśli?

– Nie wiem. Toraowie lepiej znają jej działanie.

– Czyli trzeba teraz wtajemniczyć tornów? – Aghveri zgrzytnął zębami. – Wiesz, czym to grozi?

– Niekoniecznie. Jest jeszcze Mivojje. Ona już wie.

– Ściągnij ją tutaj. – Teraz? Jest noc...

– Hennasti, idiotyczne zaślepienie tą dziewczyną odbiera ci rozum. Tu chodzi o los osadników, a może nawet całej rasy!

Czekali w milczeniu na powrót pachołka. Płynęły chwile, czas dłużył się straszliwie,

a wysłannik wciąż nie wracał. Zaczęli się w końcu niepokoić; nie powinno to trwać tak długo, wszak Mivojje mieszkała od dawna w Morv, niedaleko od siedziby złotego rodu. Wreszcie szcęknęła brama i na dziedzińcu rozległ się tupot szybkich kroków. Do komnaty wpadł zdyszany służący. Sam.

– Panie... – z trudem łapał oddech. – Nie ma...

– Uspokój się! – Hennasti podszedł do niego i posadził na zydlu pod ścianą. – Czego nie ma?

Gdzie Mivojje?

– Nie ma jej...! Porwali!

– Oszalałeś? Co porwali? Kto?

– Czekaj – powstrzymał rycerza Agłweri. – Przyjacielu, opowiedz spokojnie po kolei – podszedł do rozgorączkowanego posłańca, przysunął sobie stołek i usiadł naprzeciw niego.

– Poszedłem do pani Vatti, jak kazaliście, lordowie. Drzwi były otwarte, a w środku nikogo, tylko porzucone sprzęty i...

– Skąd przyszło ci do głowy, że ktoś ją porwał? Może wyszła.

– I wyrznęła całą służbę? Panie, tam trzy trupy, mają podcięte gardła, wszędzie pełno krwi...

– ciałem pachółka wstrząsnął dreszcz.

Nie słuchali dalej. Jak jeden mąż skoczyli do drzwi, chwytając w biegu pozostawioną w sieni broń. Z daleka doszedł ich gwar podnieconych głosów. Na miejscu zastali spory tłumek gapiów. Byli już żołnierze, do przybyłych zbliżył się dowódca patrolu nocnej straży.

– Napad, panie – rzekł rozpoznawszy Hennastiego. – Wybito służbę, Mivojje Vatti zniknęła.

– Kto? – Hennasti ruszył w stronę chaty. Oficer wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak to się mogło stać. Żadnego szmeru, hałasu, nic... To nieprawdopodobne...

– Nieprawdopodobne, znowu nieprawdopodobne – burknął Agłweri. Nachylił się nad ułożonymi rzędem zwłokami.

– Odpowiesz przed regentem – powiedział surowo Hennasti. – Powierzono ci bezpieczeństwo osady. Nie wypełniłeś zadania. Pospaliście się na służbie!

– Nie obrażaj mnie, panie. Gotów jestem odpowiadać, lecz nikt nie ma prawa zarzucać mi braku czujności!

– A to...?!

– Nie dziw mu się, chłopcze – wtrącił cicho Agłweri. – Sam nie dopilnowałbyś. Masz odpowiedź na to, o czym mówiliśmy. To byli eneikowie.

\*

– Niewielki oddział, około dziesięciu wojowników – relacjonował kapitan po oględzinach chaty – Ale doborowy. Zabójcy.

– Zabójcy Smoków? – zdziwił się Hornoth. – Skąd wiesz? – Ich garnagi mają takie haczyki... Zostawiają charakterystyczne rany.

Regent, w narzuconym na gołe ciało płaszczu, krążył nerwowo po izbie. Wyrwano go ze snu, a że wiadomość była niezwykła, bez zwłoki przyjął rycerzy w swojej sypialni.

– Jak mogli niepostrzeżenie wejść do miasta? Warty naprawdę nic nie widziały?

Dowodzący strażnikami chorąży podniósł się z ławy.

– Miasto nie ma umocnień, w starej twierdzy nikt nie chciał mieszkać. Nie możesz winić straży. Czujki stały gęsto, ulicami krążyły patrole, a mimo to...

– Siadaj – rozkazał Hornoth. – Mówisz: straż? Jeżeli było tak wspaniale, to jakim cudem dostali się tutaj? Chata Mivojje stoi w samym centrum!

– Coś ci opowiem, panie – wmieszał się Aghveri. – Kiedyś, jeszcze w Irvion, za czasów księcia Itijastiego, pewien eneika bardzo chciał go zobaczyć. Nie miał złych zamiarów, przyszedł, powiedzmy, z wizytą. Nie przekroczył bramy, nie widziano, aby forsował mury, a jednak ujęto go dopiero w książęcym pałacu. W Irvion, panie, pamiętasz Irvion...? To też był Zabójca.

– Cóż z tego?

– Choćbyś postawił tu wartownika na wartowniku, oni, jeśli zechcą i tak wejdą.

– Być może – Hornoth nie wydawał się przekonany. – Co w takim razie zrobimy? Powinniśmy ich odszukać, ostatecznie tornowie są naszymi przyjaciółmi, mają prawo do ochrony.

– Musimy, lordzie Hornoth. Mivojje nie porwano bez powodu. Ona wie o hufcu.

– Skąd?! – wzrok Hornotha spoczął na Hennastim.

– To nieistotne. Ważne, że tylko ona – odpowiedział pospiesznie Agłweri. – A jej porwanie budzi podejrzenia, że płytkę mogą mieć eneikowie.

– Co mówisz? W jaki sposób?

– To jedynie domysł. Ale jeżeli założymy, że hufiec nie słucha eneików, to porwanie Mivojje nabiera sensu.

– Oni też wiedzą o hufcu? Piękna tajemnica, którą zna cały Loin!

– Panie, wróćmy do faktów. Nie pora teraz się oskarżać – Agłweri mówił spokojnie, a jednak Hornoth, który zachnął się po pierwszych jego słowach, stłumił gniew. Zbyt krótko był władcą, by narażać się szarym. – W miejscu ukrycia stalowych rycerzy Hennasti znalazł ślady eneików. Nie sądzę, aby to był przypadek.

– Czy nie wyciągasz zbyt daleko idących wniosków? Nie istnieje nawet cień dowodu, że masz rację.

– Z wyjątkiem porwania dziewczyny.

– Wszystko może mieć zupełnie inne znaczenie. Kapitan popatrzył na niego przeciągle.

– Tak, lordzie, może. Dopóki jednak możliwa jest również moja wersja, należy traktować ją poważnie. Dla naszego dobra, bowiem to jest najgorsze, co da się wysnuć z zaistniałych wydarzeń.

– Trudno odmówić ci racji – powiedział z namysłem regent. – Powtórzę zatem pytanie: co, według ciebie, powinniśmy zrobić?

– Odnajdziemy ich. Daj nam dwudziestu żołnierzy, wezmę też z dziesięciu szarych. To świeży zaciąg, ale niech się uczą. Spróbujemy odbić Mivojcie.

– Zróbcie tak. I chciałbym następnym razem otrzymać bardziej pokrzepiające wieści.

– A kto nie? – kapitan mrugnął do Hennastiego.

– Aghveri, masz wiele zalet, lecz jedna wada niweczy je wszystkie – Hornoth groźnie spojrział na olbrzyma.

– Wada? Jaka? – w szeroko otwartych oczach Agłweriego pojawiło się bezgraniczne zdumienie.

– Jesteś bezczelny.

– Dlaczego wszyscy mówią o wadzie? To zaleta, panie.

\*

– Lordzie Hennasti! – idących na kwaterę rycerzy dobiegło wołanie. Zatrzymali się, widząc, że ktoś w pośpiechu podąża za nimi. Po chwili rozpoznali dowódcę warty.

– Czego chcesz, panie chorąży? – spytał Hennasti, gdy wreszcie ich dopędził.

– Lordzie Hennasti, mam prośbę – rycerz mówił szybko, nie patrząc w twarze dostojników. – Zabierzcie mnie ze sobą.

– Ciebie? – zdziwił się Agłweri. – Nie masz jeszcze dość eneików?

– Panie, to dla mnie sprawa honoru. Nie zniosę, by ktokolwiek zarzucał mi nieudolność.

– Ja ci nic nie zarzucam.

– Ty nie, ale inni... Nie mam zamiaru tłumaczyć się każdemu, że nic nie mogłem zrobić.

– Sądzisz, że tak łatwo zostaje się bohaterem?

– Nie drwij, lordzie Agłweri, sprawdź mnie.

– Niech idzie – wtrącił się Hennasti. – Tacy, co mają motyw, bywają lepsi nawet od swoich mistrzów.

– Dziękuję, panie. Na pewno się przydam.

– Nosi czarno-żółte barwy – zauważył Agłweri. – Będzie potrzebna zgoda Hornotha.

– Załatwię to – Hennasti machnął ręką.

– Skoro już jesteśmy współnikami – kapitan zwrócił się do żołnierza – powiedz nam coś o sobie. Masz chyba jakieś imię?

– Mam, lordzie – rycerz uśmiechnął się pod wąsem. – Nazywam się Nat.

\*

Cały dzień zajęło odszukanie śladów. Agłweri zdziwił się w duchu, że tak mało – eneikowie, zwłaszcza Zabójcy, nie zwykli zostawiać ich w ogóle. Czy to coś znaczyło? Trop prowadził nad Urt. Ostatnim dowodem pobytu obcych były trzy trójkątne zagłębienia w nadbrzeżnym piasku, jakie zostawiają wyciągnięte na plażę łodzie. Eneikowie nie spieszyli się zbytnio. W pobliżu walowie znaleźli ślad ogniska.

– Obozowali tu prawie pół dnia, potem odpłynęli – rzekł Sarras, najlepszy tropiciel wśród szarych.

– Sam widzę – mruknął Aghveri, spoglądając w zadumie na wodę.

– Jak myślisz, gdzie należy ich szukać? – spytał Hennasti.

– To mnie właśnie zastanawia. Gdyby to byli Nisskowie, można by przypuszczać, że popłynęli w dół rzeki, w kierunku ujścia. Dwie rzeczy przemawiają przeciwko takiej tezie: nie wiem, czy Nisskowie wpadliby na tak głupi pomysł, żeby opływać morzem pół Loinu, gdy mogli dotrzeć tu lądem od zachodu, a po drugie nie słyszałem, by istniał wśród nich zakon Zabójców. Tam gdzie mieszkają, nie ma przecież xinxów ani Smoczyc Gór.

– Czyli w górę?

– Wszystko na to wskazuje. Ale czemu popełnili taki błąd? To nie nowicjusze. Wszak lądem podróżuje się szybciej i łatwiej, niż płynąc pod prąd.

– Może chcieli zgubić pościg? Na wodzie nie zostawia się śladów.



– A zgubili? Zresztą dotąd także niezbyt gorliwie starali się je zacierać.

– Mogli przepłynąć rzekę i wędrować dalej łądem na drugim brzegu – zauważył Sarras.

– Trzeba to sprawdzić – zgodził się kapitan. – Lecz jeśli mnie przeczucie nie myli, eneikom wcale nie zależy na wymknięciu się pogoni.

– Co masz na myśli?

– Oni chcą, abyśmy ich dopędzili.

– Dlaczego?

– Być może wcale nie chodzi tu o Mivojcie.

– Mówisz samymi zagadkami – zniecierpliwił się Hennasti. – Powiedz, co wymyśliłeś, szkoda czasu na takie pogwarki.

– Nic nie wymyśliłem, mam tylko wątpliwości. I jest jedna droga do ich rozwiania.

– Jaka?

– Spełnić życzenie eneików.

– Pójdziemy za nimi wzdłuż brzegu?

– Tak. Aby jednak niczego nie zaniedbać, musimy się rozdzielić. Sarras z dziesięcioma wojownikami przeprawi się przez Urt i pójdzie drugą stroną. On ma najlepsze oczy, jeżeli Zabójcy tam wylądowali, może znajdzie trop. Chyba że oni tego nie zechcą.

– Jak ich zmusimy do zatrzymania? Nie użyjemy kusz, póki jest z nimi Mivojcie.

– Jakies dwa dni jazdy stąd koryto Urtu przecina skalny próg. Nie da się przepłynąć, muszą ominąć go łądem. Tam na nich poczekamy.

– Zdążymy?

– Mają nad nami nieco ponad pół dnia przewagi. Jeśli dobrze popędzimy kisety, nadrobimy to.

Patrzyli przez chwilę, jak oddział Sarrasa wprowadza wierzchowce w rzekę, a potem ponownie weszli w zarośla. Krzewy wzdłuż brzegu nie tworzyły zbitego gąszczu, posuwali się więc dość szybko. Czasem, gdy simal ustępował miejsca pozbawionym poszycia wysepkom liena – nów, poganiali nawet kisety do galopu. Jechali dzień i noc bez wytchnienia. Rankiem z przeciwległego brzegu dobiegł do ich uszu trzykrotny gwizd hiijudihe.

– To Sarras – rzekł Aghveri. – Wyjdźmy nad wodę, z pewnością wyśle gońca.

Istotnie, wśród migocących w słońcu fal dostrzegli niebawem głowę pływaka. Nie minęło wiele czasu, a ociekający wodą żołnierz wygramolił się na brzeg.

– Co nowego? – przystąpił do niego Aghveri.

– Nie ma żadnych śladów. Sarras pyta, czy ma iść dalej – wydyszał posłaniec, ocierając dłonią twarz.

– Niech idzie. Przy kaskadzie musimy mieć kogoś po tamtej stronie. Nie wiadomo, gdzie eneikowie zechcą wylądować.

– Przekażę mu – wojownik zawrócił.

– Zaczekaj – powstrzymał go kapłan. – Powiedz mu jeszcze... Niech będzie ostrożny.

– Powiem. – Rozległ się plusk i żołnierz zniknął. Po chwili ujrzeli go, jak wynurzył się niemal sto pięćdziesiąt stóp od brzegu rzeki.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłem – odezwał się Agłweri, gdy posłaniec wychodził już z wody. – Może nie należało dzielić sił?

Ruszyli dalej. Na bezchmurnym niebie Roth wznosił się coraz wyżej, wśród liści mrugały rozświetlone plamy, rozpraszały panujący w puszczy półmrok. Po wschodniej stronie, spoza gałęzi, połyskiwała rzeka, w szelest lasu wplatał się jej jednostajny szum.

– Nie dziwi cię, że ich do tej pory nie minęliśmy? – zapytał nagle Hennasti, przerywając długie milczenie.

Aghveri wstrzymał wierzchowca.

– Rzeczywiście – powiedział. – Powinni już być. Może nie zauważyliśmy ich w nocy?

– A jeżeli źle wykalkulowałeś? Jeśli spłynęli w dół Urtu?

– Nie sądzę. Tu kryje się coś innego. Przed zmrokiem będziemy przy katarakcie, wówczas wszystko się wyjaśni.

– Obyś miał rację.

Wieczne cienie położyły się długimi smugami w poprzek szlaku, kiedy w nieustannym, cichym szumie rzeki pojawił się nowy ton. Usłyszeli dalekie, głuche dudnienie, przeciągłe i monotonne jak niekończący się brzęk basowej struny. W miarę zbliżania się kolumny dźwięk potężniał, zmieniał się stopniowo w łomot przypominający nieregularny rytm wielkich bębnow. Przed jeźdźcami otworzyła się szeroka polana. Jej przeciwległy skraj ograniczony był skalistą skarpią, która schodziła w nurt rzeki. Tam wierzchołek skarpy ginął pod gładką i obłą, zdawało się, nieruchomą ławą wody. Poniżej progu wodny grzbiet przemieniał się w pienne warkocze i rozbijał się z grzmiotem o głazy, burzył toń pod skarpią rozbuchaną kipiela. Powietrze wypełniała wilgotna mgiełka rozpylonych kropli, fale ogłuszającego huku toczyły się nad

kaskadą i gasły dopiero daleko w głębi puszczy.

– Eneików jeszcze nie było, przynajmniej na tym brzegu – przekrzykując łoskot wodospadu zawołał Hennasti.

– Sarras powinien już dotrzeć na miejsce. Dowiemy się, co u niego słychać – Aghveri sięgnął pod derkę za siodłem i wydobyl stamtąd płaską klatkę. Siedział w niej skulony mały ptaszek w nasuniętym na łebek skórzanym kapturku. Hennasti spojrzal zaciekawiony. Pierwszy raz widzial uairri, słynnego ptaka posłańca, hodowanego i specjalnie szkolonego przez szarych. Ptaszki te potrafiły przemierzyć olbrzymie przestrzenie, aby odszukać wojowników w szarych płaszczach i dostarczyć im wiadomość. Teraz miał zobaczyć jednego z nich w akcji.

Kapitan odczepił od pasa cienki pleciony sznurek i zawiązał na nim trzy węzły. Potem wydobyl uairri z klatki, oplótł mu sznurkiem łapkę i zerwawszy z łebka kaptur wyrzucił ptaka w powietrze. Oslepiony blaskiem mały posłaniec zatrzepotał skrzydłami, po czym zatoczył koło nad głowami walów i pofrunął nad rzekę. Wkrótce stracili go z oczu, wtopił się w pomroczną ścianę zieleni.

Niecierpliwie czekali na jego powrót. Zrobiło się już prawie ciemno, gdy w górze rozległ się skrzek i pierzasta kula spadła wprost na ramię Aghveriego. Uairri, popiskując, przycupnęła wczepiony pazurkami w kaftan kapitana, przekrzywił główkę i zerkał na niego z ukosa.

Aghveri obejrzał go dokładnie, następnie bez słowa pokazał Hen – nastiemu. Wyjaśnienia były zbędne. Na nodze ptaka wisiał ten sam sznurek, który niedawno zawiązał kapitan.

– Nie ma ich jeszcze? – zdziwił się Hennasti.

– Nie ma ich w ogóle – ponuro odrzekł dowódca szarych. – Uairri odnalazłby Sarrasa w każdym miejscu.

– To znaczy... – rycerz zawiesił głos. Zrozumiał nagle, jaką wieść przyniósł pierzasty goniec.

– Spójrzcie! – rozległ się za nimi okrzyk Nata.

Obejrzel się jednocześnie. Chorąży wskazywał na rzekę, po której sunęło duże czółno o wywiniętym w górę dziobie. Na jego pokładzie dostrzegli ciemną postać samotnego wioslarza, rozgarniającego wodę długim wiosłem. Ów ujrawszy na brzegu walów skierował łódkę ku nim.

– To eneika! – zawołał Nat i nim się spostrzegli, w jego dłoniach znalazła się kusza.

– Nie! – Aghveri z zadziwiającą przy jego tuszy zwinnością skoczył wprost z siodła, sięgnął do poły kaftana rycerza i zwałił się wraz z nim na ziemię. Brzęknęła cięciwa. Zwolniony bełt poszybował z warkotem w niebo, a potem chlupnął w wodę w pobliżu przeciwnego brzegu.

– Zwariowałeś? – sapnął kapitan, z trudem dźwigając się na nogi.

– Przecież wybili oddział Sarrasa, widziałem, że uairri wrócił bez wiadomości! Chcesz mu darować życie?

– W jaki sposób zostałeś chorązym z taką sieczką we łbie? Przecież to poseł! Co uzyskamy, zabijając go? Nie dowiemy się niczego ani o Sarrasie, ani o Mivojcie, zamiast tego ściągniemy sobie na głowę Zabójców! Nie mam ochoty dokonać żywota w tej piekielnej puszczy!

Nat nic nie odpowiedział. Z chmurną miną wdrapał się na kisetę i dołączył do stojących na uboczu jeźdźców. Tymczasem eneika na łodzi zbliżał się do brzegu. Nie zareagował na to, co rozegrało się przed nim. Jakby nie zauważył wymierzonej weń kuszy, a potem mknącego pocisku. Dno czółna zgrzytnęło o kamienie, wioślarz wyskoczył. Wyciągnął dziób łódki na trawę, po czym wolno ruszył w kierunku walów.

– Pokłon wam, czcigodni rycerze – odezwał się.

– Na Zranna, ja go przecież znam! – mruknął do siebie Aghveri, przyjrzawszy się sylwetce gościa.

– Jestem Rahe-das-Diie, Irga, Zabójca Smoków – ciągnął eneika. – Przynoszę wieści o córce tornów, której szukacie.

– Gdzie ona jest? – Hennasti przyskoczył do niego.

– U nas – eneika flegmatycznie zdjął rękę wała ze swego kaftana.

– A co z Sarrasem? Z grupą rycerzy, którzy szli tamtym brzegiem? Irga uśmiechnął się nieznacznie.

– Musieliśmy jakoś opuścić rzekę – powiedział.

– Pozabijaliście ich! I sądzisz, że ujdzie ci to płazem?

– Ujdzie, panie – stwierdził spokojnie eneika. – Mamy Mivojcie.

– A jeżeli teraz cię zakłuję, a potem podążymy śladami waszego oddziału i odbijemy ją? – w ręce Hennastiego błysnął sztylet.

Rahe-das nie drgnął. Popatrzył spod oka na grożącego mu wała, następnie odrzekł kpiąco:

– Zabójcy już daleko. Poszukaj ich tropu.

– Czy myśmy się już nie spotkali? – wtrącił się nagle Aghveri. – Zdaje się, że to ciebie miałem kiedyś w pętach. W Irvion, przypominasz sobie?

– Tak, to ja – Irga uklonił się. – Składałem wizytę księciu Itijastiemu.

– Można to tak nazwać – zgodził się kapitan. – Pamiętam, że książę był dla ciebie bardzo

łaskawy. A ty występujesz dziś przeciwko jego synowi.

– Wybacz, lordzie Hennasti – ponownie skłonił się Rahe-das. – Eneikowie zawsze z szacunkiem wymawiają imię twego ojca. Nie mam nic przeciw tobie, potrzebuję tylko twojej pomocy. Mivojie jest gwarancją, że ją otrzymam.

– Czego chcesz? – warknął Hennasti.

– Oddał sługi, wolałbym rozmawiać w cztery oczy.

– Aghveri nie jest sługą, to przyjaciel. Nie mam przed nim tajemnic.

– Odejdźmy więc na bok, wojownicy słyszą.

Poszli pod skarpe. Huk wody brzmiał tu potężnie, co gwarantowało, że nikt niepowołany nie usłyszy rozmowy.

– O co chodzi? – powiła pytanie Hennasti.

– Potrzebujemy hufca.

– Miałeś rację – rycerz spojrzał na Aghveriego. – Znaleźliście płytkę? – zwrócił się znowu do eneiki.

– Chodzi ci o to? – Rahe-das sięgnął za pas i wydobyl czarny prostokąt. – Zabraliśmy ją ghotom.

– A co, was nie słucha? – zapytał z przekąsem Agłweri. – Nie ta głowa...

– Nie słucha – Rahe-das udał, że nie dostrzega drwiny w głosie starego.

– Mivojie nie chciała wam pomóc? – Hennasti podjął ton kapitana.

– Masz nas za głupców? Gdybyśmy powierzyli jej hufiec, już byłoby po nas. Nie, ona jest zakładniczką, to ty poprowadzisz stalowych rycerzy. Wiem, że dopóki mamy dziewczynę, zrobisz wszystko, by ją uwolnić. Nie uczynimy nic złego córce tornów, musisz tylko spełnić ten jeden warunek.

– Jeśli się zgodzę, uwolnicie ją?

– Uważaj, Hennasti – Aghveri ostrzegawczo trącił towarzysza w bok. – Nie daj się wyprowadzić w pole. Nie obiecuj za dużo, możesz potem żałować.

– Jesteś podejrzliwy, kapitanie Aghveri, niesłusznie – Rahe-das nie tracił spokoju. – Przysięgam, że jeśli Hennasti dobrze się spisze, uwolnimy Mivojie i będziecie mogli wrócić do swoich.

– To znaczy, że czeka nas wędrówka?

– Tak, i to długa.

– Posłuchaj, eneiko, jeśli chcesz wykorzystać hufiec przeciwko valom, to nie licz na mnie. Nie zrobię tego nawet dla Mivojje – powiedział Hennasti twardo.

– Nie proponowałbym tego synowi Itijastiego. Nie obawiaj się, kto inny będzie twoim przeciwnikiem, choć nie taję, że zapewne i my niedługo staniemy naprzeciw siebie.

– Chcecie zmierzyć się z nami? – zdziwił się Aghveri. – Po co wam to? Na każdego waszego wojownika przypada ze stu naszych. To, że udało się wam podstępem zdobyć Sattę i Killaur, o niczym jeszcze nie świadczy. Nie dacie rady, eneiko.

– Zobaczymy... Co mówiłeś? Kto zdobył Sattę i to drugie... Killaur, tak?

– Wasi, eneikowie. Irgom zachciało się przekroczyć Karię, Nisskowie połakomili się na port Minnow. Co, nie wiedziałeś?

– Durnie! – syknął Rahe-das. – Pospiechali się... To nie ma nic wspólnego z tym, co zrobi Hennasti. W każdym razie niewiele. Głupi wybryk nieodpowiedzialnych wodzów, którym wydawało się... Dobrze. Nie odpowiedziałeś, Hennasti, na moją propozycję.

– To była propozycja? To ultimatum!

– Słowa...

– Co mam zrobić?

– Najpierw odpraw wojowników. Potrzebuję tylko ciebie. Nie musisz się obawiać. I nie próbuj podstępu – eneika zatrzymał rycerza, który kierował się już w stronę oddziału. – Oszczędzisz ich życie.

– Co dalej? – zapytał Hennasti, gdy żołnierze skryli się w gęstwinie.

– A on? – Rahe-das pokazał na kapitana.

– Aghveri zostanie. Chcę mieć go przy sobie.

– Dobrze. – przyzwolił Irga. – Będziesz czuł się pewniej. Od twojej odwagi zależy bardzo wiele. Teraz pomóżcie mi przeciągnąć czółno za kaskadę. Popłyniemy dalej.

– Dokąd?

– Do Sauth. Tam dowiesz się wszystkiego.

\*

Chorąży Nat nie miał zamiaru rezygnować. Nie po to przyłączył się do wyprawy, aby teraz wracać z niczym. Był odważnym wojownikiem, żołnierzem najlepszego pułku, i miał do dyspozycji czteremastu rycerzy z niewiele gorszej rodowej chorągwi Jasti oraz sześciu szarych. Wycięcie w pień grupy Sarrasa nie przeraziło go, wręcz przeciwnie: do chęci zmazania plamy na

honorze dołączyło pragnienie pomśzczenia towarzyszy. Z siłą, którą oddano mu pod komendę, mógł się tego podjąć.

Posłuszny rozkazowi patriarchy złotego rodu zawrócił wraz z oddziałem na szlak do Morv, jednak gdy tylko ucichł szum katarakty, zatrzymał kolumnę.

– Ragg – przywołał szarego rycerza. – Przepawimy się przez rzekę. Chcę zobaczyć, jak zginęli nasi.

Wywiadowca zgodził się bez zastrzeżeń. Jego również gnębiła myśl o zabitych kolegach. Sarras wszak był jednym z tych, którzy tak jak on przybyli na Zagórze z Agłwerim. Wydawało się niepojęte, że tak doświadczony wojownik uległ grupce eneików.

Mimo ciemności bez trudu odnaleźli pobojowisko. Wśród połamanych krzewów, w wygniecionej trawie, leżało dziesięć pozbawionych głów kadłubów. Głowy zobaczyli nie opodal. Zatknięto je na wbite w ziemię, ustawione w równym rzędzie pale. Większość ciał nie miała innych obrażeń. W dwóch, otulonych w szare płaszcze, tkwiły liczne strzały. Jedno z nich nosiło za życia imię Sarras.

Ślady napastników wiodły w głąb lasu. Nie zatarto ich. Wystarczyło światło pochodni, aby dostrzec złamane gałązki, oberwane liście, czasem odcisk bosej stopy na mchu. Na pierwszy rzut oka sprawiało to wrażenie, że eneikowie uciekli w popłochu, lecz i Nat, i Ragg wiedzieli, że to podstęp. Kryła się w tym jakaś pułapka, a może tylko drwina... Ich podejrzania potwierdziły się niebawem. Trop wyprowadził valów na małą polankę i urwał się. Stanęli zdezorientowani. Patrzyli na pasmo zdeptanego poszycia, ginące raptownie pośrodku przesieki. Począwszy od miejsca, gdzie ślad się kończył, aż do przeciwległego skraju polany ani jedno źdźbło czy grudka nie były poruszone, jak gdyby nie postawiła tu nogi żywa istota. A przecież przyszli po tropie oddziału, tak dotąd wyraźnym, że wojowników można było policzyć nawet w nocy. I właśnie tu, na samym środku polany, eneikowie zniknęli. Zupełnie jakby wyrosły im skrzydła.

– Co o tym myślisz? – zwrócił się Nat do szarego rycerza. Ragg zastanowił się chwilę.

– Wracajmy – powiedział. – W dzień byłoby może łatwiej, lecz pewności nie ma. To eneiccy Zabójcy. Oni nie zostawiają śladów.

– Wiem, jak ich odnajdziemy. Posłaniec na pewno zaprowadzi Hen – nastiego do kryjówki, gdzie trzymają Mivojje. Pójdziemy za nimi. Trop valów będzie łatwiejszy do wykrycia.

– Hennasti kazał wracać do Morv. Złamiesz rozkaz.

– Chcesz wracać? Uważasz, że tym zabitym nic się od nas nie należy?

– Był rozkaz – odparł z mocą Ragg. – Tamtych zabierzemy do Morv... Nie zostawimy ich drapieźnikom.

– Stchórzyłeś! Boisz się kosmatych karłów!

Twarz Ragg'a wykrzywił grymas. Położył dłoń na rękojeści miecza i powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Zapłacisz za te słowa. Spotkamy się w Morv, jeśli wcześniej Hennasti nie zetnie ci głowy.

– Hennasti mi podziękuje. A z tobą spotkam się chętnie, nie lubię tchórzów – Nat skinął na rycerzy z księżęcej chorągwi Jasti i oddział podążył w stronę rzeki. Na miejscu pozostało sześciu szarych. Stali jeszcze jakiś czas, słuchając trzasku łamanych przez jeźdźców gałęzi, a potem zawrócili ku poboju.

Nat i jego wojownicy nocowali niedaleko brzegu. Wczesnym rankiem chorąży poderwał żołnierzy na nogi i wkrótce byli z powrotem przy kaskadzie. Ze śladów wyczytali wszystko. Znaleźli miejsce, gdzie spuszczone łódź na wodę, stratowana plaża świadczyła o kłopotach z załadunkiem wierzchowców. Nat nie zmartwił się zbyt, że jego plan ulegnie zmianie. Fakt, że przeniesiono czołno przez kataraktę, wskazywał tylko jeden kierunek dalszej drogi: w górę rzeki. Nie bał się także, że eneika wyląduje gdzieś na trasie i zgubi w ten sposób pogoń. Jeźdźcy nie powinni mieć problemów z dopędzeniem łodzi.

Nat postanowił podążać za nią w takiej odległości, aby nie stracić płynących z oczu.

Las na znacznej przestrzeni odsunął się nieco od Urtu. Oddzielał go od wody pas porośniętej trawą łąki, której skraj widzieli daleko przed sobą. Ukształtowanie terenu sprzyjało zamierzeniom Nata. Na jego głośną komendę żołnierze spięli kisety i oddział ruszył cwałem przez nadrzeczny łąg.

Do południa jechali po otwartej przestrzeni, potem znowu otoczyły ich drzewa. Przed wieczorem zatrzymali się na krótki popas, by dać wytchnienie wierzchowcom. Zwierzęta były głodne, lecz Nat nie chciał puszczać ich na łowy. Zapas suszonego mięsa wystarczył zaledwie na oszukanie apetytu drapieźników. Martwiło to chorążego. Wiedział, że choć kisety długo znoszą brak pożywienia, wkrótce opadną sił i mogą się zbuntować. Miał nadzieję, że rychło dogonią czołno. Potem czas odpoczynku będzie wyznaczać jego załoga. O ile bowiem walowie i eneika mogli posilać się w łodzi, to kisety, które wieźli ze sobą, musiały czasem zapolować.

Niebo pociemniało, tylko od zachodu rozjaśniała je jeszcze purpurowa zorza. Rycerze zbierali się do drogi, gdy zwróciło ich uwagę niezwykle zjawisko. Oto na północy we



wpełzają nad korony drzew ciemność wplotła się żółtawa poświata.

– Chorąży! – przywołał zajętego siodłaniem Nata jeden z żołnierzy.

– Co to może być?

– Łuna... – oficer zaniepokojony spojrział w niebo. – Czyżby pożar lasu?

– Powinniśmy chyba zawrócić – powiedział niepewnie rycerz.

– Jeśli to płonie puszcza, lepiej schronić się zawczasu. Jest sucho, ogień szybko tu dotrze.

– Zaczekaj... To nie pożar. Łuna gaśnie, widzisz? Rzeczywiście, poblask przygasł, a po chwili zniknął całkowicie.

Niebo stało się granatowe, wśród obłoków błysnęły gwiazdy.

– Jedziemy dalej – zdecydował Nat. – To pewnie odbicie zachodzącego słońca rozświetliło chmury. Ogień nie wypaliłby się tak prędko, poza tym nie czuć dymu – wskoczył na wierzchowca.

Żołnierze powlekli się za nim. Zginął gdzieś zapal, z jakim podjęli tę wędrówkę, tajemnicza łuna wzbudziła niepokój i obawy. Wyjaśnienie chorążego nie trafiło im do przekonania, jeźdźcy poczęli po cichu sarkać. Przypomnieli sobie nagle, że Nat właściwie nie ma nad nimi władzy, bo chociaż jest najstarszy stopniem, należy do innego pułku i nikt nie dał mu prawa dowodzenia rycerstwem rodowej chorągwi Jasti. Miał ich tylko doprowadzić do Morv, a nie podejmować ryzykowne eskapady. Byli to jednak młodzi wojownicy, szacunek dla szarży sprawił, że żaden nie śmiał sprzeciwić się otwarcie.

Wędrowali po omacku przez puszcę, kierując się pluskiem fal Urtu. Nat zabronił zapalać pochodnie. Nie chciał, by dostrzegła ich załoga czółna. Dlatego nikłe światelko, pełgające za drzewami, zobaczyli wszyscy równocześnie.

– Ognisko – do jadącego na czele kolumny chorążego zbliżył się podoficer.

– Widzę – Nat wstrzymał kisetą. – Kto z was jest najlepszy w podchodzeniu nieprzyjaciela?

– Innad – podoficer gestem przywołał żołnierza.

– Dobrze. Pójdiesz tam, Innad. Zobaczysz, czyj to obóz. Tylko ostrożnie, żeby cię nie dostrzegli. Wracaj szybko, będziemy tu czekać.

Żołnierz zeskoczył z kisetą i bezszelestnie zniknął w zaroślach. Jego nieobecność nie trwała długo. Niebawem jak duch pojawił się przed dowódcą.

– Panie, to Iserowie! – powiedział, a w jego głosie brzmiało zaskoczenie.

– Iserowie? – zdziwił się Nat. – Nie mylisz się? Z jakiego pułku?

– No właśnie, nie znam tych barw. Żadna nasza chorągiew takich nie nosi. Może są z księstwa?

– Tutaj? To niemożliwe, wiedzielibyśmy o tym. Jakie to barwy?

– Mają żółte płaszcze z wielkim czerwonym pazurem pośrodku i takie same naramienniki.

– Co powiedziałaś? – Nat gwałtownie pochylił się w siodle.

– Czerwony pazur na żółtym tle – rycerz z łękiem spojrział na odmienioną twarz chorążego. – Czyj to znak, panie?

– Nie możesz tego pamiętać, jesteś zbyt młody – rzekł cicho Nat. – W czasie przełomu zaginął na tym terenie pułk z warowni Cobi. Został wysłany do South i przepadł bez śladu. Zwano go „Czerwony Pazur”, od symbolu, który rycerze nosili na płaszcach.

– To oni?

– Stałby się cud, gdyby tak było. Upłynęło tyle czasu... Dlaczego nie wrócili? To jakaś zagadka, może ktoś podszywa się pod ich barwy? Musimy sprawdzić. Ilu ich jest?

– Około tuzina.

– No to w razie czego siły będą wyrównane. Jedziemy. Pełna gotowość. – Smagnął kisetą wodzami.

Wśród drzew płonęło ognisko. Wokół krzatali się jednolicie ubrani wojownicy; jedni oporzędzali kisetę lub dorzucali drew do ognia, inni siedzieli jeszcze w siodłach. Zdawało się, że nie słyszeli nadciągającego oddziału, bowiem żaden z nich nawet nie odwrócił głowy w stronę, skąd dobiegały odgłosy pochodu.

– Witajcie rycerze! – Nat wyjechał z zarośli. Za nim wysunęli się pozostali.

Wojownicy przy ognisku zamarli. Jak na rozkaz odwrócili głowy ku przybyszom. Nat spostrzegł, że wszyscy mają na twarzach opuszczone z hełmów stalowe siatki. Trącił piętami wierzchowca i zbliżył się powoli, nie wypuszczając z dłoni rękojeści miecza. I nagle zaczęło się. W kilka sekund jeźdźcy w żółtych płaszcach znaleźli się w siodłach. Wzniesli nad głowy długie ostrza i zanim ktokolwiek z przybyłych zdołał zareagować, uderzyli.

Nat był dobrym szermierzem. Z łatwością sparował ciosy nacierającego nań rycerza. Rozbił zasłonę z tarczy i pchnął krótkim sztychem nad blachą napierśnika w gardło. Włożył w to uderzenie całą siłę, dlatego brak oporu pod mieczem sprawił, że chorąży mocno zachwiał się w siodle, po czym straciwszy równowagę runął na ziemię. Klinga jego broni zaplątała się w oczka siatki na twarzy napastnika i zerwała ją. A potem Nat zobaczył nad sobą wymierzony

brzeszczot. Zanim miecz opadł, chorąży zdążył jeszcze zauważyć, że pod hełmem obcego w miejscu zerwanej siatki jest tylko noc.

\*

Valowie, milcząc, oglądali wielki warowny obóz, rozbity na gruzach miasta. Przypatrywali się licznym szałasom w kręgu palisady, z których niewiele było zamieszkanym, zgromadzonym zapasom drewna i żywności, wystarczającym dla wielokrotnie silniejszej armii niż owe parę tysięcy wojowników, którzy krzżeli się wokół. Patrzyli na wyniszczone twarze, na zakrwawione szmaty na głowach, rękach, nogach, na sterty zużytej broni. Widzieli też pustkę w oczach żołnierzy, którą może wywołać jedynie klęska. Nie odzywali się, wnioski zostawili dla siebie.

Wprost z łodzi Rahe-das zaprowadził ich do jednego z szałasów. Zastali tam trzech eneków. Najstarszy, siwy mąż o zmierzwionej długiej brodzie, na ich widok odezwał się w niezrozumiałym języku. Skierował jakieś pytanie do Rahe-dasa. Ten odpowiedział mu, a potem rzekł po valijsku:

– Usiądźcie, rycerze, przy ogniu. Wypada posilić się po długiej wędrówce.

– Kiedy zobaczę Mivojje? – Hennasti zignorował zaproszenie.

– Wkrótce. Teraz odpocznij, droga z pewnością wyczerpała twoje siły, tak jak i moje – odrzekł eneika, sadowiąc się na stercie skór.

– On ma rację – Agłweri poszedł za przykładem gospodarza. – Powinniśmy okazać cierpliwość. Myślę, że to sympatyczne stworzenie nie przywiodło nas tu dla żartu.

– Rozsądek przez ciebie przemawia, rycerzu – powiedział Rahe-das.

– Nie jestem już taki młody, by poddawać się emocjom. A i głodny jestem jak pustynny hang.

– W tym miejscu zgadzamy się całkowicie – Zabójca skinął na jednego z eneków, który natychmiast wstał i wyszedł z szałasu. – Dedhi-ver zaraz coś przygotowuje.

Jakoż niebawem eneika zjawiał się w towarzystwie dwóch innych. Dźwigali misę wypełnioną dużymi porcjami pieczeni. Postawili ją przed przybyszami i bez słowa wyszli.

– Może teraz przejdziemy do rzeczy – Aghverri po dłuższej chwili odrzucił ogryzioną kość i otarł usta rękawem.

– Czy zawsze wyręczasz lorda Hennastiego w prowadzeniu pertraktacji? – niby mimochodem spytał Rahe-das, zerkając na valów spod oka.

– Nie przyszliśmy tu na pogawędkę! – Hennasti zerwał się, przewrócona misa brzęknęła

spadając. – Gdzie jest dziewczyna?

– Chodź ze mną – podniósł się Zabójca. – Sam – dodał na widok ruchu Agłweriego. – Ty, rycerzu, zostań tutaj. Muszę być pewien, że nic głupiego nie przyjdzie wam do głowy.

Wyszli. Kapitan siedział między trzema milczącymi eneikami i z kamienną twarzą patrzył przed siebie. Pozornie nie zwracał uwagi na swych towarzyszy, w rzeczywistości bacznie ich obserwował. Jego oczom nie umknął żaden szczegół. Ani osmalone włosy, ani ślady poparzeń, ani ich olbrzymie znużenie. Ani ledwie uchwytny rys rezygnacji. I zauważył jeszcze dziwne, ciemne ostrza ich broni, wykonane z metalu, którego połysk posiadał jakby głębię, jakby pod gładką powierzchnią zamknięto okrucieństwo mrocznej przestrzeni. Aghveri zapatrzył się w ogień i zamyślił. Zestawiał fakty, porównywał obserwacje, analizował. A na badawcze spojrzenia eneików niezmiennie odpowiadał dobrodusznym uśmiechem, jaki przystoi niemłodemu, jowialnemu grubasowi.

Tymczasem Hennasti w towarzystwie Rahe-dasa stanął przed wrotami prowadzącymi do dużego gmachu, jednego z niewielu, których żąb czasu nie naruszył. Pilnujący wejścia wartownik odsunął zasuwę i weszli do ciemnego wnętrza. Mrok rozświetlała tu pojedyncza pochodnia, zatknięta w uchwycie po lewej stronie drzwi. Pod nią, obok popielnika, stał kosz z zapasem łuczyw. Rahe-das wziął jedno i przytknął do płonącej żagwi. Ruszył w głąb budynku. Hennasti poszedł za nim.

Gmach był wielką spiżarnią. Wszędzie stały wory z żywnością, wisiało suszone mięso i sznury warzyw i ziół. Klucząc między pakunkami i sprzętami dotarli do przeciwległego końca pomieszczenia. Rahe – – das otworzył ciężką, drewnianą furtę i znaleźli się w małej izbie. Jej jedynym wyposażeniem było łóżko. Ktoś na nim leżał.

– Oto ona – rzekł Rahe-das.

– Mivojje? – Hennasti pospiesznie podszedł bliżej. „Hennasti!” – znajoma myśl rozległa się w jego głowie jak radosny okrzyk.

Cień zerwał się z łóżka, skoczył ku niemu i po chwili rycerz miał dziewczynę w objęciach. Z poczuciem szczęścia przygarnął ją do siebie, poczuł zaciskające się kurczowo ramiona, dotyk włosów na policzku, wtuloną w pierś twarz. Zniknęła rezerwa, zniknęła nieufność. Hennasti naraz zdał sobie sprawę, że oto odzyskał najdroższą mu istotę, i wszystko, co dotąd w nim było, mógł już nazwać jej imieniem.

– Jesteś zadowolony? – za plecami usłyszał głos Rahe-dasa. Odsunął Mivojje i odwrócił się.

– Warta jest usługi, której żądam od ciebie?

– Spełnię twoje żądanie – popatrzył w nieruchome oblicze eneiki. „Hennasti, czego on chce?” – odebrał myśl dziewczyny. „Później ci wyjaśnię” – przesłał jej odpowiedź, a głośno zapytał:

– Mógłbyś zostawić nas samych?

Coś na kształt lekkiego uśmiechu przemknęło po twarzy Rahe-dasa, lecz mógł to być jedynie cień chybocącego płomienia.

– Dobrze, wrócę tu za chwilę. Nie przeciągaj powitania, musimy jeszcze porozmawiać. Powinieneś wiedzieć, jakie czeka cię zadanie – Zabójca wetknął pochodnię w uchwyt i wyszedł. Gdy drzwi zamknęły się za nim, Hennasti odebrał myśl Mivojje.

„O czym mówił eneika? Co mu obiecałeś?”

„Mivojje, posłuchaj” – podprowadził ją do łoża i posadził na skórach. Sam przysiadł obok. – „Eneikowie mają płytkę. Chcą, abym pokierował dla nich hufcem, nie wiem jeszcze, po co. To jest cena twojego uwolnienia”.

„Chcą hufca? Hennasti, tu dzieje się coś niepokojącego. Trochę już wiem, chociaż niełatwo czytać ich myśli. Rahe-das, ten z którym przyszedłeś, wie najwięcej. On tym kieruje, ale akurat w jego umysł nie mogłam wniknąć. Chyba miał już do czynienia z tomami, bo jest czujny. Poza tym umie wytworzyć w sobie jakąś blokadę, która uniemożliwia dostęp. Inni eneikowie tego nie mają, tylko on. Przejrzałam myśli strażników, którzy mnie pilnują. Nie wiedzą wiele, ale coś udało mi się z nich wydobyć. Eneików opanowała idea odzyskania utraconych ziem, chcą znów władać Loinem. Mają im w tym dopomóc jakieś magiczne kamienie, które pozbierali od wszystkich plemion. Wiesz, co to jest Ayantiall? Była taka legenda o kryształ, który rządził światem, gdy nasze narody nie osiedliły się jeszcze na terytorium Loinu.

Był królem eneików, rządził naturą – żywą i martwą. Tak głosi owo eneickie podanie. To nawet więcej niż podanie, to religia. Oni chcą odtworzyć ten kryształ. W jakiś sposób przeszkadza im w tym Pustynia Śmierci. To właśnie jest ta część, której nie rozumiem. Żołnierze nie znają szczegółów, odczytałam tylko, że bili się z sahanami. Co to takiego, może ty wiesz? Zebrali wielkie siły i wyprawili się na pustynię. Tam ulegli armii tych sahanów. To wojsko Viona Grah, Pana Pustyni. Eneikowie nazywają go Storg-orh. Tyle znalazłam”.

„Sahani? Nie słyszałem tej nazwy. Pan Pustyni, my nazywamy go Zrannem, władał ognistymi meduzami. Ale sahani... Jeżeli eneikowie biją się z nimi, to znaczy, że tamci mają jakiś

realny kształt, z płomieniami meduz walczyć niepodobna. Mówisz, że Rahe-das jest wodzem? Muszę cię opuścić” – Hennasti wstał. – „Dowiem się, co knuje ten eneika”.

„Tylko uważaj, on jest niebezpieczny. Emanuje z niego jakaś bezwzględna zawziętość, której nie potrafi stłumić. Ona dociera do mnie mimo blokady”.

„Nie martw się. Chyba już się domyślam, czego ode mnie oczekuje. Jeszcze nie wiem, jaki to ma cel, ale dowiem się wkrótce. Będziesz wolna, Mivojje”.

Skrzypnęły drzwi. Na progu ukazała się sylwetka Rahe-dasa. Eneika wszedł do środka i obrzucił spojrzeniem milczącą parę.

– Skończyliście? – spytał. – Pożegnaj się więc. Ona wyjedzie z Ibbomi. Mamy przygotowane odpowiednie schronienie daleko stąd. Nie chcę kłopotów, gdy przyprowadzisz hufiec.

Wrócili do szałas. Na wszystkich twarzach malował się wyraz oczekiwania. Nawet Aghveri, choć niezmiennie uśmiechnięty, miał w oczach napięcie.

– A zatem...? – Iser usiadł na swym starym miejscu. – Co mi powiesz, Zabójco?

– Jak mówiłem, wypuścimy Mivojje, jeżeli twój stalowy hufiec odda nam pewną przysługę – Rahe-das przykucnął po drugiej stronie paleniska.

– To już wiem, wolałbym usłyszeć, czego chcesz ode mnie.

– Pójdiesz z nami przeciw Panu Pustyni.

– Wydałeś wojnę Zrannowi? Oszalałeś, eneiko.

– On ma pewną rzecz, którą musimy odzyskać. Kamień. Ukradł go eneikom w dawnych czasach. Nie prosiłbym cię, gdybyśmy potrafili dokonać tego sami. Pan Pustyni stworzył armię widmowych jeźdźców, sahanów. To rycerze bez ciał, niewrażliwi na zwykły oręż. Rodzą ich ogniste meduzy, lecz nie te, które dotąd grasowały po pustyni i wchłaniały nieostrożnych. Teraz meduzy płoną odwrotnie i odwrotnie działają: z ich brzuchów wychodzą widma podobne do żywych istot, tyle że zbroje i odzież okrywają jedynie nieczyste ikuas, rodem jakby wprost z Martwego Lasu. Mimo to nauczyliśmy się z nimi walczyć. Jak wszystko, co stworzył Storg-orh, sahani są nieodporni na ostrza z metalu ngorhi, którego Zabójcy używali do tej pory przeciw xinxom. Podejrzewamy, że widmowi jeźdźcy to te same istoty, które kiedyś zostały wchłonięte przez ogniste meduzy. Teraz służą Panu Pustyni. Eneikowie zgromadzili znaczne siły, uzbroili wojowników w święte ostrza i podjęli wyprawę na Pustynię Śmierci. Niestety, okazało się, że nie doceniliśmy potęgi przeciwnika. Wojsko, które tu widziałeś, to niedobitki tamtej armii. Z nimi nie mam już po co iść na pustynię. Przyszedł mi zatem do głowy pomysł wykorzystania twojego

hufca. Przypadek sprawił, że wpadła nam w ręce ta płytka. Stalowych rycerzy nie pokonają sahani, nie wchłoną meduzy. Są przecież martwi. Ktoś jednak musi ich poprowadzić. Dlatego tu jesteś.

– Mam z nimi pójść do królestwa Zranna i przynieść ten kamień?

– Pójdziemy z tobą. Parę tysięcy eneickich wojowników też się przyda. Następnej bitwy już nie przegramy.

Hennasti poczuł na sobie czyjeś intensywne spojrzenie. Odwróciwszy głowę, zobaczył oczy Aghveriego. Kapitan obserwował go spod przymrużonych powiek. Hennasti zrozumiał.

– Zgoda – powiedział do eneiki. – Masz jakiś plan?

– Mam – przytaknął tamten. – Jutro udasz się do pieczary, gdzie ukryłeś hufiec. Zabierze się z tobą Dedhi-ver i kilku wojowników, na wszelki wypadek. Aghveri zostanie w Ibbomi, to jest, po waszemu, w Sauth. Sprowadzisz tu stalowych rycerzy. Potem zorganizujemy wyprawę. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, niebawem wrócicie do Mory razem z kobietą.

– Co mamy robić do jutra?

– Wskażą wam szałas, możecie tam odpocząć. Mamy tu teraz mnóstwo pustych szałasów. Myślę, że nie będziecie próbowali uciekać. Obóz jest dobrze strzeżony, a lepszą niż warty gwarancją lojalności jest Mivojie, nieprawdaż? Nie będziecie przecież ryzykować jej śmierci?

\*

Hennasti leżał na posłaniu i patrzył w strop namiotu. Była późna noc, a on ciągle nie mógł zmrużyć oka. Z dworu dochodziło ciche stąpanie wartownika, gdzieś daleko przeciągle porykiwał irman. Na sąsiednim legowisku widział niewyraźny kontur zwalistej sylwetki kapitana. Nie słyszał jego oddechu, domyślał się, że stary rycerz także nie śpi. Raptem poczuł lekkie dotknięcie.

– Przysuń się – dobiegł go cichy jak westchnienie szept. Przetoczył się bliżej. Poczuł oddech Aghveriego przy swoim uchu.

– Masz zamiar spełnić ich żądanie? – usłyszał pytanie. – Tak.

– Oni kłamią, Hennasti. Tu nie chodzi tylko o jakiś tam kamień. – Wiem. Rozmawiałem z Mivojie. Chcą wskrzesić Władcę Wszechrzeczy. Znasz tę baśń?

– To nie baśń, chłopcze. Rzeczywiście istniał niegdyś taki kryształ. Sam widziałem jego odłamek u twojego ojca. Władał przestrzenią, o ile pamiętam. Ten Rahe-das był u księcia właśnie po niego.

– Skąd to wiesz?

– Hennasti, taki już jestem, że muszę wszystko wiedzieć – pobłażliwie szepnął Agłweri.

– Eneikowie mają ich więcej. Mivojcie mówiła, że pozbiali je ze wszystkich plemion.

– Więc to tak... Zdaje się, że po jeszcze jeden mamy iść w gościnę do Zranna.

– A potem...?

– Posłuchaj, zrobimy tak. Pojedziesz po hufiec, ja tymczasem dowiem się czegoś bliższego o tym mitycznym kryształ. Mam swoje sposoby. Zrobimy wszystko, czego zażądamy eneikowie. Dopóki Mivojcie jest w ich rękach, nie możemy podjąć żadnych kroków. Co nie wyklucza możliwości poszperania tu i ówdzie. Gdy będziemy wiedzieć dokładnie, o co im chodzi, łatwiej będzie przeciwdziałać. Bo to nie wygląda dobrze, takie mam wrażenie...

– Rahe-das groził wojną, pamiętasz?

– Właśnie.

Umilkli. Kroki strażnika zbliżyły się do szałas, ucichły na chwilę, a potem zaczęły się oddalać. Hennasti słuchał ich w napięciu i aż podskoczył z przestachu, kiedy raptem rozbrzmiało potężne chrapanie. Popatrzył zdumiony na unoszącą się rytmicznie pierś Agłwerie – go, z którego gardła płynął ten spokojny, beztronski dźwięk.

Hennasti odjechał, wraz z nim Dedhi-ver i sześciu Zabójców. Popłynęli małym czółnem w dół Urtu z samego rana, gdy obóz dopiero budził się ze snu. Jednak nie byli pierwszymi, którzy powitali wschodzącego Ro – tha. Hennasti, wstając, spostrzegł puste legowisko swego towarzysza.

Agłweri obudził się grubo przed świtem. Panowały jeszcze ciemności, niebo poczynalo dopiero lekko szarzeć. Bez hałasu wysunął się przed namiot. Wartownik stał nie opodal oparty o drzewo i patrzył przed siebie. Kapitan przemknął cicho za jego plecami. Wspiął się na palisadę, po czym, rozejrzawszy się jeszcze, dał susa w mrok. Przytłumione stuknięcie nie zaalarmowało straży na wałach. Czas tuż przed brzaskiem nie sprzyja czujności.

Niebawem w gęstwinie rozległ się skrzek. Brzmiał identycznie jak wiele innych głosów nocy, toteż on również umknął uwadze czujek. A już zupełnie niesłyszalne było stąpanie miękkich łap wielkiego zwierzęcia, które jak widmo pojawiło się nagle między drzewami. Agłweri czule poklepał swego wierzchowca. Oba kisety walowie z wieczora wypuścili na polowanie. Szkoła tresury szarych nie dopuszczała jednak, by wierzchowiec oddalał się zbyt od właściciela. Rumak zjawił się natychmiast, gdy tylko usłyszał sygnał. Pysk miał umazany



krwią, widać łowy były udane. Kapitan wskoczył na jego grzbiet i ruszył w głąb lasu.

W gąszczu, skąd już nie było widać łuny ognisk w twierdzy ene – ików, zatrzymał kisetą. Zza pazuchy wydobył miniaturową klatkę. Sznurek był długi i gęsto pokryty węzłami, oplatał szyjkę uairri kilkoma zwojami. Ptak ciężko wzbił się w powietrze i zniknął wśród gałęzi. Aghveri zawrócił wierzchowca.

Szary ptaszek leciał długo. Wielekroć wyteżał cały swój spryt, żeby umknąć skrzydlatym napastnikom. Często przysiadł w krzewach tuż przy ziemi, gdyż sznur bardzo mu ciążył. Wreszcie ledwo żywy ze zmęczenia dotarł do Morv. Tutaj odszukał właściwą chatę. Mieszkał w niej rycerz imieniem Ragg.

Jakiś czas później inny, równie mały i równie mocno objuczony uairri pofrunął na południe, do Irvion. On też znalazł adresata, a potem sztafeta latających posłańców rozpierzchła się po całym Przedgórzu. I ze wszystkich miejsc, gdzie dotarły skrzydlate wici, wyruszyli rycerze w szarych płaszczach. Szukali, pytali, patrzyli. Czasem ginęli. Plon ich misji zawierał się w węzłkach sznura zawiązanego na szyi małego, szarego ptaszka, który pewnego dnia spadł z nieba na ramię kapitana Aghveriego.

Po kilkunastu dniach donośny chrzęst oznajmił przybycie stalowego hufca. Cały wieczór Hennasti rozmawiał z Agłwerim. Nic z tych rozmów nie dotarło do uszu strażników, chociaż bardzo starali się coś usłyszeć. Następnie valowie zamilkli i już do końca pobytu w Sauth nie zamienili ani słowa ponad zwykłe zdawkowe uwagi.

Przygotowania do wyprawy szły pełną parą. Kuźnie dźwięczały uderzeniami młotów, przybywały zaprzęgi ze świeżą żywnością i nową odzieżą. Rosły sterty strzał, tarcz, toporów, pęczniały spichrza. Władca z Worh na żądanie Zabójców wysłał tysiąc wojowników, z których doszło do warowni zaledwie czterystu. Oddział natknął się w drodze na sahanów. Żołnierze księcia Giuao-temha przynieśli wieści z Przedgórza. Potwierdzili informacje przekazane przez valów: palatyn Ir – gów wystąpił zbrojnie przeciwko Agrenii. Jego wojska zajęły Sattę, wzdłuż granicy nie ustawały potyczki. Cesarska armia ciągnęła na odsiecz chorągwiom przygranicznych prowincji, lecz była jeszcze daleko, a sąsiednie księstwa nie kwapiły się z pomocą. Valijskie ludy były wyraźnie niechętnie wojnie z eneikami i rade by jej uniknąć, choćby za cenę utraty skrawka zajętej przez Irgów ziemi. Lecz nawet to domniemanie nie uśmierzyło niepokoju Rahe-dasa. Za wcześniej zaalarmowano valów. Wieść o rychłym wskrzeszeniu Ayantialla musiała podziałać na wyobraźnię irgaskiego palatyna, skoro nie czekając na rezultat misji Zabójców, rozpoczął wojnę

z potężnym sąsiadem. I nie starczyło mu już wyobraźni, aby przewidzieć, co będzie, gdy księżęta ockną się, a scalenie kamieni nie nastąpi. Rahe-das musiał się spieszyć, inaczej przedwczesna akcja omamionego mirażem przyszłych triumfów palatyna zakończy się rzezią jego poddanych.

W gorączkowej krzątaninie, jaka zapanowała w warowni, atmosfera pośpiechu ominęła jedynie garstkę żołnierzy. Mogłoby to dziwić, bo właśnie oni mieli odegrać główną rolę w nadchodzącej batalii, gdyby nie to, że obce im były namiętności żywych. Stalowi rycerze trwali niezmiennie tam, gdzie ich zostawiono pierwszego dnia, obojętni i nieczuli. Albowiem rozkaz, na który czekali, który miał ich obudzić, wlać życie w żelazne członki, jeszcze nie nadszedł.

Mobilizacja sił absorbowwała wszystkich, toteż zbagatelizowano zdarzenie, które w innej sytuacji nabrałoby może większej wagi. Pewnego dnia przepadł kapłan Tonnoto-shev. Poszukiwania nie dały rezultatu, a że od czasu do czasu miały miejsce takie przypadki, przywódcy eneików przeszli nad tym do porządku. Pora była wojenna, w puszczy także czyhało wiele niebezpieczeństw. Zaginięcie pojedynczego wojownika, choćby znacznej rangi, nie było niczym nadzwyczajnym. Po kilku dniach jeden z patroli znalazł ciało w krzakach nad Urtem. Było rozszarpane i na wół pożarte przez jakiegoś drapieżnika. Wyprawiono mu godny pochówek, choć nie tak okazały, jak rytuał zwykle odprawiany po śmierci dostojnika, bowiem okoliczności nie sprzyjały organizowaniu podniosłych ceremonii, i wkrótce zapomniano o tym epizodzie. Rahe-das sprawdził tylko miejsce, gdzie spoczywały kryształy. Przed tamtą nieszczęsną wyprawą złożył je w dawnym sanktuarium Ayantialla, w niszy wydrążonej we fragmencie ściany jego komnaty. Tonnoto-shev był jednym z nielicznych, którzy znali tę kryjówkę. Po śmierci kapłana Nissków wiedział o niej już tylko Dedhi-ver, gdyż reszta wtajemniczonych poległa w bitwie pod Bramą. Kamienie były na miejscu, toteż Rahe-das, uspokoivszy się, powrócił do codziennych zajęć.

Przygotowania dobiegały końca. Chcąc przyspieszyć czas wymarszu, prowadzono je teraz dniem i nocą. Całą dobę panował w obozie ruch i hałas, płonęły światła, krzatali się eneikowie. Czy ktoś, kto pewnej nocy zabłąkał się w ruiny klasztoru, mógł być wzięty za intruza? Czy kilkakrotny stuk, jakby ów ktoś, uderzając kamieniem o kamień, usiłował skrzesać ogień, mógł wzbudzić podejrzenia w nie milknącym gwarze?

Wreszcie nastął wyznaczony dzień. Pięć tysięcy wojowników w krótkim czasie zwinęło obóz i niebawem w obrębie wałów pozostały tylko niezliczone wzgórki pustych szalasów z dymiącymi

gdzieś gdzie popiołami w paleniskach. Wychodzących zegnało stu żołnierzy z plemienia Urum, którzy objęli straż nad opustoszałą warownią i ukrytymi w niej kryształami. Żaden z nich nie wiedział, czego naprawdę strzeże. To stanowiło gwarancję, że kamienie doczekają przybycia ich ósmego brata. Gwarancję przed zakusami żywych, bo Storg-orha takie zabezpieczenie nie powstrzyma. Rahe-das liczył jednak, że Pan Pustyni będzie chronił kryształ, który ma, zagarnięcie pozostałych zostawi na czas, gdy odeprze inwazję eneików. Cóż bowiem przyjdzie mu z siedmiu kryształów, jeżeli Llagoll wpadnie w ręce jego wrogów? Wojna trwałaby dalej. Nie, Storg-orh poczeka. Poczeka, aż eneikowie, bijąc coraz słabiej w mur widmowej armii, wykrwawią się do reszty. A potem bez trudu zabierze to, co dziś musiałby zdobywać siłą. Rahe – das, gdyby był na jego miejscu, postąpiłby tak samo. Oczywiście gdyby nie wiedział, kto towarzyszy zdziesiątkowanej armii, która znów uparcie wędruje przez pustynię.

Kolumny wojska szły wyznaczonym niedawno szlakiem. Był jeszcze widoczny, stratowanej tysiącami stóp ziemi nie zdążyły przykryć lotne piaski, nie zatarły śladów deszcze ani wiatry. Ciemniejszy nieco pas ciągnął się przed idącymi dokładnie na południe, aż po zamglony widnokrąg. Mijały dni, bliźniaczo do siebie podobne, jakby czas stał się równie martwy jak ta gładka, bezkresna równina dokoła. I ów jakże już znany niepokój. Ciekł przez nieruchome powietrze niby woda przez płótno, wypełniał całą przestrzeń na podobieństwo niezwykle spoiwa, łączącego ze sobą cząstki atmosfery. Wnikał w ciała poprzez płuca wraz z powietrzem, przez skórę, którą oblepiał jak kleisty kokon, przez wszystkie zmysły, przemieniony w zapach, dźwięk, smak... A wewnątrz rozlewał się w każdy kącik organizmu, drażył tkanki i świadomość. Ten stan, który zazwyczaj bywa jedynie domeną duszy, na Pustyni Śmierci stawał się czymś niemal dotykającym, niemal żywym. To określenie wydawało się najwłaściwsze: coś, co wypełniało substancję pustyni, stanowiło substytut życia. Bowiem istotą, sednem jakby zmaterializowanego uczucia, była śmierć. Nie na próżno cały ten obszar, pusty i dziki, nazwano jej imieniem.

Trudno było ustalić, jak daleko mają do celu. Krajobraz nie zmieniał się, nie było żadnych znaków, do których można by odnieść długość przebytej drogi. Istniał jeszcze czas, jego upływ także był miarą przestrzeni, ale i tej mierze nie należało ufać. Czas na Pustyni Śmierci biegł własnym torem, nie zawsze równoważnym szlakowi, którym toczył się w świecie podległym boskim prawom. Tu natura słuchała innego pana.

Jednak koniec wędrówki został wyraźnie oznaczony. Pewnego dnia eneikowie ujrzeli dobrze

im znany blask. Rahe-das spokojnie wydał komendy. Nim zjawili się sahani, jego mała armia uformowała szyk bitewny. Tym razem zmieniono taktykę. Liczba eneików była zbyt mała, aby rozwijać klasyczny szyk, w jakim od pokoleń stawali do walki, a i siła tego korpusu tkwiła w czymś zupełnie innym. Oto na rozkaz Hennastiego przed regimentami wojowników rozsypali się w półkolistą tyralierę stalowi rycerze. Na nich miał spocząć główny ciężar bitwy, ich piersi chroniły żywych przed nawałą widmowych jeźdźców. Eneikowie ustawieni w zwarte kolumny mieli przebić się, idąc śladem stalowego hufca, osłaniani z przodu i z boków przez pancerne kolosy. Tę koncepcję podsunął Rahe-dasowi Hennasti, wspomniawszy sposób walki swych rycerzy z zastępami lorda Sishastirro. Napór wrogów powinien zatrzymać się na nich. Na sahanów, którym uda się przeniknąć przez tyralierę lub zejść eneików od tyłu, miały czekać ostrza z ngorhi.

Obaj Iserowie znajdowali się pośrodku ugrupowania, między dwoma skrzydłowymi kolumnami eneików. Z wysokości siodeł, ponad głowami wojowników, mieli doskonały widok na przedpole. Nie zaskoczyło ich pojawienie się ognistych meduz. Eneikowie oczekiwali ich od dawna, mówiono o tym w szeregach. Szacunek i lęk budził jedynie ogrom ściany żaru, trudny do wyobrażenia dla walów. Dotąd wydawało im się, że nie istnieje bardziej przerażający widok niż płonący las. Dopiero gdy meduzy uniosły się niczym gigantyczna kurtyna i odsłoniły głównych aktorów spektaklu, Iserów ogarnęło zdumienie. Z opowieści eneików wynikało, że przyjdzie im stanąć przeciwko zjawom, spodziewali się więc niesamowitości i grozy. Tymczasem zobaczyli armię, liczną co prawda, lecz na oko zupełnie zwyczajną. W odległości ponad tysiąca stóp stali przed nimi wojownicy w hełmach i kolczugach, nad ich głowami łopotały proporce, szczyrzyły zęby czaszki na buńczukach, błyszczały w słońcu groty włóczni. Jeden szczegół zwracał uwagę w na pozór normalnym wyglądzie rycerzy: w całej tej olbrzymiej cizbie nie znalazł się ani jeden, który miałby odsłoniętą twarz.

Większość w widmowym korpusie stanowili eneikowie. Hennasti uśmiechnął się w duchu, gdy przypomniał sobie przyjętą wśród żywych eneików nazwę upiorów: widmowi jeźdźcy... Do tych, którzy zastąpili drogę armii Rahe-dasa, bardziej pasowało określenie: widmowi piechurzy. Zaledwie garstka – około tysiąc jezdnych towarzyszyło eneic – kiej piechocie. Jeźdźcy wywodzili się z Iserów, świadczyły o tym ich drapieżne wierzchowce. Nosili żółte barwy z czerwonym znakiem, którego kształtu Hennasti z tej odległości nie mógł rozpoznać. Coś kojarzyło mu się z tym godłem, lecz nie potrafił sobie przypomnieć, co. Stojący opodal Rahe-das

jak gdyby odgadł jego myśli, powiedział, wskazując na chorągiew, która właśnie formowała bojowy klin:

– Od nich się wszystko zaczęło. Rycerze w żółtych płaszczach byli pierwszymi, jakich Storgorh wysłał przeciw eneikom.

– To dlatego nazywacie widma jeźdźcami? – domyślił się Iser. – A skąd to dziwne miano: sahani? – spytał Aghveri, który od pewnego czasu z uwagą przypatrywał się żółtym rycerzom.

– Od ich bojowego zawołania.

– Jak brzmi to zawołanie? – zaintrygowany kapitan odwrócił twarz ku eneice.

Rahe-das nie zdążył odpowiedzieć, bo oto poruszyły się szeregi wroga. Nie załamując szyku, wojownicy Pana Pustyni pomknęli naprzód. Dystans, Który dzielił ich żołnierzy zjednoczonych plemion, począł kurczyć się w szybkim tempie. Na czoło ataku wysforował się pułk jazdy. Rycerze w rozwianych płaszczach, nisko pochyleni nad grzbietami kisetów, gnali na złamanie karku. Przed pyski zwierząt wysunął się rząd długich kopii.

Zabójca dał znak łucznikom. Na karki szarżującym sahanom spadł grad strzał. Ogniste kule wybuchły w ich szeregach. Wskazały miejsca, skąd pierwsze widma wróciły w krainę śmierci. Lecz pęd wrogich zastępów nie zmalął. Niespełna sto kroków dzieliło je od oddziałów Rahe-dasa, gdy ten krzyknął do Hennastiego:

– Ruszaj!

Iser zacisnął dłoń na płycie. Stalowy hufiec drgnął i z rytmicznym łoskotem pomaszerował naprzód. Podążyły za nim kolumny małych wojowników. Już tylko chwile dzieliły obie armie od starcia. I wówczas rozległ się bojowy okrzyk żółtych jeźdźców. Usłyszawszy go Hennasti zrozumiał wszystko, zwłaszcza że teraz rozpoznał także czerwony symbol na płaszczach. Lekkie pułki Iserów zwykle nawoływały się imieniem swego wodza.

– Sahhen! Sahhen!

Iserowie znali to miano: Hennasti ze słyszenia, stary kapitan pamiętał jeszcze tego, który je nosił.

– To Czerwony Pazur! – okrzyk Aghveriego zginął we wrzawie. Oddziały zderzyły się z trzaskiem. Zwarty korpus eneików utonął w tłumie sahanów. Ominąwszy stalowych rycerzy eneikowie Storg – orha starli się z wojownikami z Zagórza. Ogień rozszalał się wokół, w niebo uderzyła pomarańczowa luna. Zanim jednak nieprzyjaciel wziął górę, owa luna nagle zmieniła kolor. Buchnęły w ciżbę jaskrawozielone smugi i raptem wokół stalowych rycerzy powstały

puste kręgi. Bitwa zamarła na moment. Żelazne stwory ruszyły przed siebie, zamiatając przestrzeń strumieniami niesamowitego blasku. Wszędzie, gdzie sięgnęły śmiertelne strugi, tworzyła się próżnia. Nie było wybuchających płomieniami sahanów ani placów nadtopionej ziemi, po prostu nie było nic, tylko przelewające się w górze kłęby burego dymu.

Eneikowie wydali okrzyk triumfu. Ze zdwojoną siłą rzucili się na przeciwników, którzy zdążyli przedostać się poza linię stalowych rycerzy. Było ich niewiele, znacznie mniej niż wzniesionych przeciw nim rąk zbrojnych w broń ze świętego metalu. Cały obwód otoczonej przez sahanów armii zapłonął prawie jednolitym wałem kulistych rozbłysków.

Hennasti w towarzystwie Aghveriego i Rahe-dasa znajdował się w samym środku korpusu. Od linii walki oddzielało go kilka szeregów wojowników. Był bezpieczny, sahani nie użyli łuków ani kusz, a teraz nie miał już kto strzelać. Przyglądał się więc zmaganiom, czując w sercu lekki niepokój, bowiem valom nie dano skutecznej w starciu z takim wrogiem broni. Widział, jak dobrze eneikowie radzą sobie z piechurami, których niewiele już pozostało na tyłach jego stalowego hufca. Gdy jednak skierował wzrok ku szczytowi wielkiego trójkąta, w jaki ukształtowała się bitwa, a który sunął z wolna śladem poszerzającej się pustki wokół stalowych rycerzy, pojął, że zwycięstwo nie przyjdzie tak łatwo. Tu walczyły cienie spod znaku Czerwonego Pazura. Tu każdej kuli ognia ginącego sahana towarzyszyła śmierć żywego wojownika. Widmowi jeźdźcy, nie bacząc na ponoszone straty, wcieli się głęboko w szereg eneików i błądli przezeń jak przez gęstą glinę, mimo że ich zdesperowany zastęp topniał w oczach.

I nagle Hennasti zobaczył ich przed sobą. Dwaj jeźdźcy wypadli na skrawek pustej przestrzeni, która oddzielała Iserów od walczącej armii, i widząc trzech osamotnionych wojowników, runęli ku nim.

Rahe-das krzyknął coś niezrozumiale i skoczył im naprzeciw. Zawirował w powietrzu jego krwawo lśniący nóż, lecz niespodziewanie chybił celu. Eneika chwyciwszy za młot starł się z pierwszym sahanem.

Drugi jeździec ominął walczących i skierował się ku valom. Hennasti z rozpaczą dobył miecza. Wiedział już, że tą bronią nic nie zdziała. Odbijał tylko pchnięcia rycerza, odruchowo szukał jego oczu w szczelinach opuszczonej przyłbicy. Lecz za żelazną kratą pod hełmem oczu nie było. Za to na piersi wojownika Hennasti dostrzegł przytrzymującą płaszcz zapinkę w kształcie skrzyżowanych buław, a za jego pasem taką samą buławę zakończoną mosiężnym

obuchem.

– Pułkownik Sahhen! – krzyknął przerażony.

Na dźwięk tego imienia sahan zachnął się gwałtownie. Jego miecz spadł ze straszliwą siłą na klingę Isera i ostrze pękło z brzękiem. Broń widmowego jeźdźca zatoczyła szeroki łuk, by znów zawisnąć nad głową bezbronnego rycerza. Hennasti wyrzucił nogi ze strzemion. Dał nura pod brzuch rumaka. Miecz opadł na kark kiseta. Zwierzę runęło z charkotem, z jego pyska buchnęła krew. Sahan spiął swego wierzchowca. Hennasti dojrzał nad głową potężne, zbrojne w pazury łapy. Gorączkowo sięgnął do pasa wiedząc dobrze, że miecza już tam nie znajdzie.

Nagle jego dłoń trafiła na rzeźbiony trzonek. Poczul ciepło i przypomniał sobie. Od dawien dawna, od tak dawna, że przestał myśleć o tym jak o broni, nosił przy pasie mały, dziwaczny nóż otrzymany niegdyś w spadku po ojcu. Garnag Kirvi-ginna. Ledwie rozpalone czer – wieniąostrze dotknęło skóry atakującego kiseta, Hennasti utonął w burzy ognia. Poczul, jak ogarnia go żar. Płonął. Płonął razem z sahanem unicestwionym przez święty garnag Zabójców. Zwierzęce wycie rozdarło mu krtań. Ostatkiem sił przetoczył się w bok, usiłując wymknąć się płomieniom. Kula ognia usunęła się, lecz żar nie zelżał. Paliło się ubranie, płonęły włosy. Hennasti wił się na ziemi. Krzyczał przeraźliwie, jakby ciało już tylko krzykiem szukało ratunku u bogów dla ginącej duszy. Raptem otoczyła go ciemność. Poczul duszny swąd dymu. Ktoś otulił go płaszczem i silnymi uderzeniami gasił wymykające się spod szarej płachty płomyki.

Za chwilę znowu ujrzał światło. Zobaczył nad sobą pochylonego Aghveriego, obok stał Rahe-das. Uśmiechnął się z wysiłkiem, czując ból poparzonej twarzy.

– To był przepiękny fajerwerk – usłyszał głos kapitana. – Z takimi umiejętnościami mógłbyś zostać ogniomistrzem na każdym dworze.

– A bitwa? – zapytał. Słowa z trudem przechodziły przez gardło.

– Sam zobacz – Aghveri wsunął mu dłoń pod plecy i pomógł usiąść. Bitwa dogorywała. Jeszcze w oddali, gdzie nie sięgnęły zielone smugi torneńskiego hufca, wtapiali się w ziemię pojedynczy sahani, jeszcze żarzyły się kręgi żwiru i kamieni, dochodziły jęki rannych i poparzonych, lecz walki już nie było. Stalowi rycerze znieruchomieli, czarne otwory w ramionach dymiły stygnąc. Zwyciężyli.

– Nie wyglądasz najlepiej – stwierdził Aghveri. – Chyba będziesz musiał, wzorem narija, zmienić skórę. Złazi całym płatem.

– Nic mi nie jest – Hennasti ostrożnie oparł się na rękach i wstał. – Gorzej, że czeka mnie

marsz na piechotę. Sahan zabił mi kisetą.

– Choremu bohaterowi oddam mojego. Ale powiedz, skąd, na Zranna, wzięłeś ten nóż?

– Dał mi go kiedyś Iti. Jego kiset był Zabójcą Smoków. Eneikowie go przyjęli, bo samotnie przeszedł jaskinie.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś? Lubisz znęcać się nad starym?

– Sam o nim zapomniałem. Jakoś nie skojarzył mi się z bronią żołnierzy Rahe-dasa.

– Wielkie szczęście, że go miałeś – odezwał się Zabójca. – Pilnuj go dobrze, to bezcenny oręż.

– A ja? Nie mam ochoty po raz wtóry czekać, aż raczy mnie zgładzić jakiś pusty w środku pancierz. – Aghveri rozejrzał się wokół. Spostrzegłszy porzucony topór podniósł go i zatknął za pas. – Jeszcze ciepły – stwierdził, dotykając obucha. – Teraz mogę iść nawet do królestwa Zranna.

– Pójdziemy tam – potwierdził flegmatycznie Rahe-das. Hennasti ze zdziwieniem zauważył, że eneika jest spokojny, jakby nie brał udziału w dopiero co zakończonej walce.

– Aghveri, widziałeś, kto to był? – spojrzał na kapitana. – Ten mój sahan...

– Sahhen – odparł rycerz. – Ot i masz tę nazwę. Kto by pomyślał, że spotkamy się jako wrogowie.

Należało uporządkować szeregi. Rahe-das miał świadomość, że batalia dopiero się zaczęła, a wygrane starcie stanowi zaledwie jej prolog. Przecież ziemia była płaska jak stół aż po horyzont, nigdzie nie wyrzuszała się na niej szara kopuła Bramy. Wojsko powinno być gotowe jak najprędzej.

Straty były duże. Nie doliczono się prawie tysiąca wojowników. Drugie tyle odniosło rany, a czterystu tak ciężkie, że nie nadawali się do walki. Ci musieli zostać razem z taborami, które Rahe-das postanowił porzucić, aby zwiększyć ruchliwość zastępu. Teraz i tak nie były potrzebne, wszak wędrówka dobiegała końca. Do strat należało także doliczyć te, które poniósł stalowy hufiec. Kolosy nie wyszły z boju bez szwanku. Jedenastu rycerzy nie odpowiadało na rozkazy czarnej płytki. W ich pobliżu w czasie bitwy wybuchły ognie pochłaniające saha – nów. W ten sposób oddział, który w chwili opuszczenia Wieży Życia liczył stu dwudziestu wojowników, został zredukowany do stu ośmiu. Ilu ich będzie przy końcu wyprawy, wiedzieli tylko bogowie.

Kolumna wojska ruszyła w drogę. Skończył się marsz w nieznane, teraz już wszyscy nabrali pewności, że w każdej sekundzie mogą spodziewać się ataku. Wędrowali więc w ordynku, by



móc bez zwłoki przystąpić do walki. Rahe-das zmienił taktykę: pochód otwierał stalowy hufiec, uformowany w pojedynczy, skupiony klin na podobieństwo szyku iserskiej jazdy. Za nim w trzech grupach maszerowali ene – ikowie. Kolumna przypominała olbrzymią strzałę, bo też miała działać jak wypuszczony z łuku pocisk. Zabójcy postanowili nie czekać na szturm wroga. Szybkie natarcie powinno zapewnić im zwycięstwo nad armią widmowych jeźdźców bez angażowania się w długotrwały bój.

Pan Pustyni darował im dzień spokoju. Za to skoro tylko wczesnym rankiem podjęli wędrówkę, Hennasti z wysokości grzbietu kisetu zobaczył zmianę na horyzoncie. Po jakimś czasie ujrzeli ją również pozostali: spośród niskich mgieł wyłaniała się ciemnoszara, wielka kulista czasza. Brama. Zbliżali się do niej, rosła w oczach, a ciągle nie było znaku władcy tych stron. Lecz oto pojawił się: wzniosł się wał potężnych płomieni, spowity w rozedrgane, gorące powietrze, wylały się spod niego falangi jazdy. Nie czekając, aż meduzy znikną w przestworzach, eneikowie ruszyli. Uderzyły w tłum widm ognie stalowego hufca, wycięły w nim wyrwę, wdarły się w nią. Ogromna żywa strzała poczęła przeć przez morze sahanów, które otwierało się przed nią, jak gdyby rozpychane czarnoksięską mocą.

Pusta przestrzeń przybrała kształt kropli: przed klinem żelaznych rycerzy była półkolem, potem zwężała się ku tyłom kolumny, by zaniknąć zupełnie w tylnej straży. Tam widmowi jeźdźcy z impetem natarli na zastępy eneików. I tam było najciężej. O ile wojownicy z dwóch czołowych oddziałów podążali za hufcem niemal bez szwanku, narażeni jedynie na ulewę kamieni i strzał, które falami spadały im na głowy, to ostatnia grupa ścierała się krwawo z jeźdźcami. Kurczące się szeregi eneików okrążył wieniec jaskrawych kul.

Pole przed czołem armii nagle opustoszało. Kolumna wypadła na otwartą przestrzeń. Poleciały szybkie komendy. Stalowy hufiec rozwinął się w linię, osłonił wojowników przed nacierającymi od tyłu upiorami. Ci stanęli raptownie, jakby napotkali niewidzialną przeszkodę, albowiem powietrze rozżarzyło się zielonkawym blaskiem. Hufiec wolno ruszył z powrotem, a rycerze Pana Pustyni zaczęli odstępować odpychani przez strefę, jaką wyznaczał zasięg strasznej broni stalowych wojowników. A potem widma zniknęły. Wkrótce po niedawno rozegranej bitwie pozostały tylko trupy eneików, bulgocące kałuże magmy i dym.

– Dalej! – Rahe-das nie dał chwili wytchnienia. Kopuła Bramy wydawała się być w zasięgu ręki. Jej obły wierzchołek sięgał nieboskłonu, pod gładką powierzchnią przepływały bure smugi chmur. Pobiegli.

Szyk rozciągnął się. Najbardziej zmęczeni zostali w tyle, lecz nie było czasu na ponowne formowanie wojska. Tempo nadawał stalowy hufiec. Między nim i najsprawniejszymi wojownikami a grupą maruderów odległość poczęła rosnąć. I wtedy w ową przestrzeń wtargnęły płomienie.

– Atakują nas! – krzyknął Agłweri, który biegł obok kłusującego na kiscie Hennastiego, trzymając się uprzęży wierzchowca.

Jeździec obejrzał się. Coś dziwnego było w wyglądzie meduz. Jakby płonęły z góry na dół.

– Rahe-das, co to jest? – zawołał na eneikę.

Ten na moment przystanął i pozwolił dopędzić się valom. Popatrzył na krąg wirującego ognia, a potem rzekł, z trudem łapiąc oddech.

– Straciliśmy połowę wojska. Te meduzy nie rodzą sahanów, one zabierają żywych.

Jakoż płonące koło, zamiast unieść się w górę, na powrót zagłębiło się między kamienie. A gdy zniknęło, w miejscu, gdzie przedtem biegła wielka grupa żołnierzy, nie było już nikogo.

– Zrann pokazał, na co go stać – mruknął Aghveri.

– Idziemy, idziemy! – popędził rycerzy Rahe-das. – Czeka nas jeszcze niejedno.

I rzeczywiście. Zaledwie ruszyli, przed rozpędzonym hufcem wyrósł nowy mur żaru. Widmowy zastęp był nieliczny, a jednak eneiko – wie stanęli jak na rozkaz. W wojownikach Storg-orha rozpoznali swoich braci. Tych, których przed chwilą pochłonął piekielny krąg.

– Nie zatrzymywać się, na władzę Trorr-uda, naprzód! To tylko widma! – Rahe-das pognał dalej.

Za moment ruszył za nim Dedhi-ver i kilkudziesięciu Zabójców.

Gdy dobiegli do szeregu stalowych rycerzy, popędzili za nimi va – lowie. Hennasti przekazał hufcowi nowy rozkaz. Ogień z ramion gigantów od razu zmiotł połowę przeciwników, reszta cofnęła się w popłochu. Dopiero teraz zmieszały się szeregi plemiennych zastępów. Kilkuset wojowników podążyło śladem ataku stalowych rycerzy. Pozostali, zaszokowani widokiem sceny, która rozgrywała się na ich oczach, zbili się w wielkie koło. Nie byli zdolni wystąpić przeciwko niedawnym towarzyszom. Przecież jeszcze wczoraj siedzieli przy wspólnych ogniskach...

Wówczas pojawiły się xixy. Z powierzchni kopuły wynurzył się żółty obłok. Poszybował nad znieruchomiałe wojsko i raptem rozprysł się na setki kropli, które poczęły opadać na ziemię. A tam jedna po drugiej rozwijały się jak pąki, z ich wnętrza wypelzały beznogie stwory, pokryte łuską grzbiety rozdymały się i rosły, aż przybrały właściwą postać. W mgnieniu oka wielka grupa

eneików zginęła pod kłębowiskiem łuskowanych kadłubów. Sterta poruszała się, wily się i z chrzęstem ocierały o siebie olbrzymie cielska, a z żywego do niedawna oddziału zostało coś, co przypominało gigantyczny ochłap pokrytego robakami mięsa.

– Hennasti, zabij je! – okrzyk Rahe-dasa nie był już potrzebny. Rycerze ze stali, uporawszy się z sahanami, już zawrócili ramiona w stronę drgającej kupy. Krótki błysk i miejsce rzezi opustoszało. Nie było ani smoków, ani eneików. I zapadła cisza.

Stali napięci, czekając na kolejny atak, który nie następował. Poczuli nagle, że zniknął gdzieś ów niepokój, który drążył ich serca od czasu, gdy postawili pierwsze kroki na pustyni. Tuż przed nimi wznosiła się gładka ściana Bramy.

– Hennasti, spójrz na Rotha – odezwał się Aghveri.

Jeździec podniósł wzrok. Słońce świeciło mocno, odcinało się ostrym konturem od błękitu nieba. To już nie była rozlazła, galaretowata kula, którą dotąd widzieli. To było prawdziwe słońce. Takie jak poza obszarem władzy Pana Pustyni.

– Wygraliśmy? – kapitan z wahaniem zwrócił się do Zabójcy. Eneika popatrzył na ścianę kopuły.

– Idę – powiedział półgłosem. – On chce ze mną mówić.

– Kto?!

– Storg-orh.

Popatrzyli, jak podchodzi do szarej ściany, jak po chwili niezdecydowania rusza wprost na nią i... przenika do środka, zanurza się w nieprzejrzystej powierzchni niczym w brudnej wodzie. Widzieli teraz puste miejsce, gdzie był jeszcze przed sekundą, na żwirze widniał ślad jego stopy. Gładź kopuły pozostała nietknięta.

– Co robimy? – rzucił pytanie Aghveri.

– Będziemy czekać – Hennasti wzruszył ramionami.

– Myślisz, że wróci?

– Wróci – usłyszeli głos za plecami. Dedhi-ver ciągle spoglądał na fragment ściany, w której zniknął jego towarzysz. – Teraz wróci na pewno.

\*

Rahe-dasa otaczała mgła. Szary, naznaczony ciemniejszymi pasmami tuman kłębił się wokół, nie pozwalał wejrzeć w głąb dziwnego świata, ukrytego za ścianą kopuły. Nawet pod stopami miał mgłę, stał jakby na sprężystej poduszce, ledwie widział cokolwiek poniżej kolan. Ów opar

czy dym nie miał zapachu, nie zostawiał smaku na języku, można by sądzić, że go w ogóle nie ma, gdyby nie przelewał się tuż przed oczami, gdyby nie owijał ciała zwiewnym welonem.

Irga nie pamiętał momentu przekroczenia Bramy. Pustynny krajobraz zniknął w jednej chwili, zamiast niego pojawiła się ta szarość, którą w myślach nazywał mgłą. Z utartych pojęć tylko to pasowało do gęstego, a jednocześnie niematerialnego, otulającego go zewsząd tumanu. Jedynym wspomnieniem przejścia granicy światów było delikatne mrowienie w koniuszkach palców, na czubku nosa i w uszach. Zostało uczucie ciepła, dziwnie kontrastujące z chłodem, który ogarnął resztę ciała.

Co miał czynić dalej? Wszedł tu za podszeptem instynktu, coś zawołało go i wskazało drogę. Zaledwie jednak opuścił znajomy świat, wołanie ucichło. Stał więc i czekał, opuszczony i samotny. Mgła zamykała go coraz ciaśniej w zbitym, lekkim kokonie.

Nieoczekiwanie znowu odebrał rozkaz. Taki sam przymus, jak ten, który popychał go do działania. Nie zastanawiał się dłużej. Zrobił krok przed siebie, potem następny. Szedł po omacku, nie widząc nic prócz mgły, posuwał się w tym pozbawionym kierunków otoczeniu z pozoru na oślepa, a jednak miał pewność, że zmierza we właściwą stronę. Pewność niezachwianą, nie dającą miejsca wątpliwości. Obłok osuwał się nieco pod stopami, co sprawiało, że eneika zstępował coraz niżej jak po miękkich schodach. Owładnęło nim niesamowite uczucie: tracił świadomość obecności zewnętrznego świata. Już nie potrafił określić, skąd przyszedł, w którą stronę się kieruje, gdzie powinno znajdować się niebo. Stał się nieważki, przestał odczuwać ciężar odzieży, broni, ciała... Miał wrażenie, że gdyby nagle usunięto mu spod nóg to uginające się podłoże, nic by się nie zmieniło, dalej trwałby w tym samym punkcie przestrzeni niczym liść w powietrznym wirze. O tym, że schodził, świadczyły tylko ruchy mięśni. Zmysły podpowiadały coś przeciwnego. Zawieszenie. Bowiem, aby przekazać umysłowi wrażenie ruchu, zmysły muszą otrzymać punkt odniesienia, coś, co mijane zostaje z tyłu. Tutaj była jedynie wieczna, przelewająca się leniwie mgła.

Nagle marsz w dół został przerwany. Nim eneika zdołał zaakceptować nowy stan, otaczający go opar zniknął. Znalazł się w bezkresnej jasności, wzrok daremnie szukał jej końca. Przestrzeń otwarła się przed nim aż do bólu źrenic, spojrzenie biegło w głąb tej bezdennej, jasnej przepaści i nie znajdowało miejsca, na którym mogło się zatrzymać. Pustka była nieskończonością, równie przejrzystą i ostrą tuż przy nim, jak i w niewyobrażalnej dali. Tego nie zdołał pojąć ukształtowany w innej rzeczywistości umysł. Jeśli przestało istnieć pojęcie odległości,

trójwymiarowej głębi, przestrzeni, mógł zrobić tylko jedno. Irga mocno zacisnął powieki i otchłań zniknęła za kojącą ciemnością.

Usłyszał w sobie głos. Rozległ się wszędzie, otoczył go jak poprzednio mgła, jak odcięty teraz powiekami bezkres. Już go kiedyś poznał, miał go w mózgu. Tutaj głos brzmiał jak mowa wszechświata, jak niezliczone usta nieba. Rahe-das był w jego środku, w samym centrum niezwykle królestwa głosu.

– Jesteś więc – mówił głos. – Nie zdołałem cię zatrzymać. A może nie chciałem? Zgadnij, eneiko. Ale jaka by owa prawda nie była, podziwiam cię. To już wiele, zgodzisz się ze mną? Usłyszeć słowa podziwu z ust boga, to bardzo wiele dla śmiertelnika. Zmusiłeś mnie, bym przybrał zrozumiałą dla ciebie postać, choćby tylko głosu. To jest godne mojego podziwu. Będą się tym szczycić całe pokolenia twoich potomków i może dzięki temu wybaczą ci klęski, które sprowadziłeś na swoją rasę. Nie rozumiesz? To pojmuję, fanatyzm cię zaślepia. Nie dostrzegasz prawdziwego nurtu dziejów, karzelku. Patrzysz w płaski, dwuwymiarowy świat, świat czerni i bieli, dobra i zła. I masz pewność, że właściwie je odbierasz? Że prawda to prawda, kłamstwo to kłamstwo, wielki bóg z Kiddi-ro to sama miłość, a Storg-orh – król nienawiści? Myślisz, że służąc Trorr-udowi, wiesz, dokąd cię prowadzi? Nie dostrzegasz szczegółów. One są twoją klęską. A twoje nieszczęście polega na tym, że nigdy ich nie dostrzeżesz. Bawię się tobą, dzielny Zabójco Smoków. I bawi się tobą twoja wyrocznia, Trorr-ud. Nie wierzysz? Nie wierzysz... Zazdroszczę memu dobremu bratu tak gorliwego wyznawcy. Mnie takich nie dano. Ale radzę sobie, ty jesteś tego dowodem. Tego nie rozumiesz także? Jesteś tu przecież. To sukces Trorr-uda, a moja klęska. A może na odwrót? Któż to wie... Tak, przegrałem, ale nie z tobą. Przegrałem z siłą, która jest ponad mocą moją i waszego boga-eneiki, ponad mocą valijskich bogów i duchów torneńskiego Wszechświata. To ona każe mi przegrać, choć mógłbym zmiażdżyć cię samym tchnieniem. Co to za siła, pytasz? Nie wiem. Tego nie wiedzą nawet bogowie. Mam małą satysfakcję, że ty przegrywasz razem ze mną. Dostaniesz to, po co przyszedłeś, to jest twoja i moja klęska. Ciężko to pojąć, nieprawdaż? Ale pojmiesz, pojmiesz...

Bo twoje zwycięstwo było we mnie. Twój cel był moim celem, twe dążenia – moimi. Lecz ty chciałeś zbawiać rasę, chciałeś zwrócić jej siłę sprzed śmierci Ayantialła, i uwierzyłeś Trorr-udowi. Otwórz oczy, eneiko. Spójrz, oto masz kamień, masz zakłęcie. Możesz je zabrać. Jako dowód naszej wspólnej porażki. Wkrótce przekonasz się o tym. Rahe-das ostrożnie uchylił powieki. Na wysokości twarzy zobaczył czarno połyskujący, szklisty przedmiot. To był Llagoll.

Sięgnął po niego i zamknął w dłoni. Potem dostrzegł stary, pożółkły zwój, poczerniały na brzegach od dotyku ognia. Ujął pismo, zatknął je za pas. Spojrzał w górę. Przestrzeń nad nim pociemniała, pojawił się w niej ton błękitu.

– Idź już, Rahe-das-Diie – znowu odezwał się Storg-orh. – Wracaj do Ibbomi, wypełnij nakaz Trorr-uda. Zapamiętaj jednak na zawsze: to ja chciałem scalić Władcę Wszechrzeczy, ja, nie on! I nigdy mu nie wybaczę, że złamał prawo naszego pojedynku, że posłużył się orężem, który nie należy do naszego świata!

Głos zamilkł. Rahe-das stał na kamienistym gruncie pustyni, pod czaszą błękitnego nieba z kulą Rotha w zenicie. W oddali ujrzał małe figurki towarzyszy w otoczeniu wyniosłych sylwetek rycerzy stalowego hufca. Po mglistej kopule nie został najmniejszy ślad. Brama zamknęła się na zawsze.

Ruszył ku swoim. Okrzyki radości, którymi powitali go Zabójcy, zamarły, gdy ujrzeli jego twarz.

– Rahe-das, co z tobą? – Dedhi-ver ujął go pod ramię i posadził na derce.

– Rozmawiałem ze Storg-orhem – Rahe-das w oczach miał pustkę, głos cichy i martwy. – Oddał go – wyciągnął rękę przed siebie i rozprostował palce. Na dłoni leżał czarny kamień.

– To zwycięstwo, Diie! Zwyciężyliśmy, Oll-hirr wróć do eneików!

– Nie wiem. On mówił... Czy mówił prawdę...? – Irga spojrział na południe. Za horyzontem, ze szczytów Smoczyc Górs słuchał go teraz bóg-eneika. – Trorr-ud, powiedz, czy on mówił prawdę?

– Rahe-das, pozwól – odezwał się cicho Hennasti. – Pragnę coś ci wyjaśnić. Może to, co ja wiem, otworzy ci oczy.

– Czego chcesz? – Spojrzenie eneiki było obce i wrogie. – Nie masz już nic do powiedzenia, valu.

– Wysłuchaj mnie, eneiko, to nie jest długa opowieść. Zrobisz, jak zechcesz, ale wysłuchaj mnie najpierw. Pamiętasz księcia Itijastiego? Czczymy go. Starzy bogowie słowami testamentu Mau przekazali nam ideę, która stała się głównym przykazaniem nowej religii. To pojednanie. Nieprzypadkowo widziałeś z nami tornów, nieprzypadkowo kocham Mivojie. To jest właśnie pojednanie ras nakazane przez pradawny boski zapis. Itijasti to zaczął, dla jego ziszczenia unicestwił Wieżę Życia. Tornowie zaczynają to rozumieć. Będziemy jednością. A wy? Chcesz wskrzesić Ayantialla? Tak, wiem o tym. Co przez to uzyskasz? Panowanie nad światem? To mit,

eneiko. Dla tego mitu chcesz rzucić Loin w nowe wojny? Możemy żyć razem. Szanujesz przecież pamięć To-sara, a co czynił To-sar? Jak on rozumiał ideę Oll-hirr, dla której ty budzisz do życia nienawiść? Jesteś pewien, że tak samo? On był z Itim i pojmował więcej, niż narzucały mu prawdy Zabójców Smoków. Powrót do Oll-hirr nie musi przecież oznaczać wojny, jednamy się z ternami, dlaczego nie dasz szansy pojednania eneikom?

Rahe-das milczał, zasluchany w daleki głos, który płynął ku niemu z niewidocznego szczytu Kiddi-ro.

– Trorr-ud chce, abym wypowiedział zakłęcie scalenia – rzekł po długiej chwili. – To znaczy, że Storg-orh kłamał. A jeśli on kłamał, cała twoja opowieść jest również wielkim łgarstwem, rycerzu. Nie będzie pojednania między rasą władców Loinu a niewolnikami, którzy ośmielili się zagrabieć odwieczne terytorium eneików.

– Jesteś ślepy, Rahe-das. Może kiedyś pojmiesz swój błąd, bo valowie nie ulegną tak łatwo, jak to sobie wyobrażasz.

– Ayantiall zegnij wam karki.

– Wobec tego wkrótce się rozstaniemy. Wypełniłem twoje warunki, teraz kolej na ciebie.

– Rahe-das dotrzymuje słowa. Wrócimy do Ibbomi, tam oddasz mi płytkę, a potem Dedhiver wskaże ci miejsce, gdzie ukryliśmy Mivojje. Odejdiesz do Morv i bądźcie gotowi. Eneikowie niebawem się zjawią.

Zapadło milczenie. Nikt już nie odezwał się słowem, rozpoczęto pospieszne przygotowania do powrotu. Nikt też nie zainteresował się stojącym na uboczu kapitanem Aghveri, który uśmiechał się lekko pod wąsem, a jego palce gładziły skórzany woreczek, ukryty pod połą kaftana. Znajdował się w nim niewielki przedmiot o ostrych, nieregularnych brzegach.

\*

Noc była duszna, zbierało się na deszcz. Nieruchome powietrze oblepiało niczym tłusta papka, przyklejało nawilgłą koszulę do spoconych pleców. Rahe-das brnął przez gruzowisko, potykając się w ciemności i boleśnie objijając kolana. Był już blisko. Pozostało tylko pokonać wał wokół leja i znajdzie się w komnacie. Wspiął się na szczyt usypiska i ostrożnie zsunął na drugą stronę. Kamienie leżały luźno, w mroku łatwo o fałszywy krok, a to groziło połamaniem kości.

Opuścił się na samo dno. Pod stopami wyczuł gładką powierzchnię posadzki. Skierował się w lewo, ku ścianie, z której wybuch wyrwał głaz z wgłębieniem. Łatwo ją wymacał mimo braku światła, jej obraz ciągle miał przed oczami. Włożył rękę do środka i wyciągnął zawiniątko.

Poczuł skurcz serca, gdy pakunek zagrzechotał cicho. Sunąc dłonią po krawędzi zburzonej ściany, podążył w stronę postumentu ołtarza. Wkrótce go zobaczył, kamień odcinał się bielą od czarnego tła mroku. Złożył pakunek na postumencie i dopiero teraz skrze – sał ogień.

Wyjmował je po kolei i układał w okrąg. Siedem kryształów: Geen, Etaur, Yorvill, Kawyos, Unthen, Deuryon, Dessirh. Władcy: Ziemi, Czasu, Przestrzeni, Ognia, Światła, Wody, Życia. Przy Deuryonie zawahał się. Kamień wydał mu się jakby lżejszy, stożkowaty wierzchołek był jakby bardziej tępy, niż zapamiętał. Wzruszył ramionami i położył kryształ na miejsce. To efekt przemęczenia. Zbyt długo trwa w napięciu, byle przywidzenie wywołuje niepokój. Sięgnął do sakwy. Oto ich ósmy brat, drugi według rangi. Umieścił Llagolla między Dessir – hem a Deuryonem. Teraz były w komplecie. Władca Myśli uzupełnił listę ośmiu żywiołów, podległych władzy kryształów. Już niedługo zespolą się, ich moc się połączy, ogarnie i podporządkuje sobie wszechświat. Główne siły spajające naturę miały na powrót poddać się rozkazom jednego pana – Ayantialla.

Rozwinął rulon. Pochyliwszy się ku pochodni z trudem odcyfrował prastary napis. Kilkakrotnie powtórzył go w myślach, sprawdził jeszcze, czy czegoś nie pominął. Nie chciał ponowić błędu z Dessirhem, tu mógł on kosztować więcej. Wszystko było w porządku. Wyprostował się i głęboko odetchnął. A potem, patrząc w środek ułożonego koła, głośno wypowiedział zaklęcie.

Błysnęło. Postument rozjaśniło fioletowe światło. Między kryształami przemknęły niebieskie iskry, czarne bryłki zadrżały. Ich kontury poczęły się rozmywać, rosnać, łączyć. Eneika z zapartym tchem obserwował to zjawisko, powtarzał w duchu jego imię, nie śmiąc wymówić go głośno. Scalenie, scalenie... W błękitnej aureoli już rysował się nowy kształt, wielki jak głowa, regularny i lśniący. Rahe-das osunął się na kolana. Patrzył w ową lunę, w jej krystaliczne jądro i ogarniała go euforia. Oto jest świadkiem zamknięcia koła czasu, połączenia teraźniejszości z przeszłością. To on je spajał: Czarny Kryształ, Vharr – – ste-Akhreo. Potężny, wszechmocny Ayantiall.

Coś zakłócało proces scalenia. Światło przygasło, a olbrzymi kamień ciągle nie przybierał materialnej postaci. Dalej był rozedrganym, falującym zarysem, po którym pełgały czarne wybrzuszenia, jakby więzy mocy wciąż jeszcze szukały dla siebie odpowiednich połączeń. I nie mogły znaleźć. Trwoga chwyciła Rahe-dasa za gardło. Oszołomiony wpatrywał się w galaretowaty kształt, a ten chwiało się już cały, próbował rozerwać nałożone przez zaklęcie



pęta. Raptowny błysk na ułamek sekundy rozświetlił ruiny, iskra pioruna z trzaskiem runęła w środek postumentu. Oślepiający blask odebrał eneice wzrok, ogłuszyło go dudnienie grzmotu.

Długo trwało, nim odzyskał zmysły. Pod powiekami tańczyły mu czerwone kręgi, lecz nie zważał na nie, nie baczył na łomocące w skroniach tętno. Wpatrywał się w rozjaśniony już tylko światłem pochodni ołtarz. Jego usta poruszyły się, jakby coś szeptał, ale nie zabrzmiał żaden dźwięk, nie zmąciło ciszy żadne słowo protestu. A przecież już wiedział, już musiał uwierzyć. To, co zobaczył, usprawiedliwiłoby każdą reakcję, nawet niegodną Zabójcy.

Na blacie postumentu leżała kupka szarego, miążskiego proszku.

\*

*Dlaczego? Zadaję sobie to pytanie i nie potrafię znaleźć odpowiedzi. A może ją znam, tylko boję się przyznać... Nie jest łatwo pogodzić się z myślą, że idea, która dotąd wskazywała drogę, przy jej końcu objawia oblicze zupełnie odmienne niż to, którym miała przez tak wiele kari. Nie wiem, czy byłbym gotów do poświęceń, gdyby od początku postawiono przede mną prawdziwy cel. Ten, który mnie prowadził, był zgodny z wiarą, z tradycją, z przekazem przeszłości. Jawił się logicznym następstwem biegu dziejów, od świetności przez upadek, nawet upodlenie, znowu do świetności.. Rzeczywistość okazała się inna. Nie wiem, czy gorsza. Sam fakt, że jest inna, musiał załamać system wartości, który stworzyłem wokół wizji nadchodzących czasów. Czy kreowałem się przez to na władcę dziejów, trwającego w przekonaniu, iż jego wydumany świat stanowi brakujące ogniwo dla spięcia losów rasy?*

*Kończę te zapiski. Gdy je przeglądam, widzę, że więcej w nich pytań i wątpliwości niż jasnych stwierdzeń i odpowiedzi. Pytania towarzyszą mi zatem od początku i przenoszę je w przyszłość. Nie wiem, jak potoczy się teraz historia, co będzie następstwem niedawnych wydarzeń. Nie wiem, czyja racja zwycięży, czy słusznie zawiodły nadzieje Storg-orha, czy Trorrud, czczony powszechnie potężny bóg-eneika, wyroczenia naszych kroków, nie okaże się małym bożkiem, który popełnił straszną pomyłkę. Piszę te bluźniercze słowa w pełni świadom ich znaczenia. Bo wiara chwieje się we mnie, a szukać nowej nie mam siły. Skąd zresztą miałbym ją czerpać, gdy bogowie tak łatwo zmieniają kryteria prawdy?*

\*

Od nabrzeży Killaur odbiły ciężkie okręty Nissków. Ich dzioby zwróciły się na północ i korabie, bmąc przez wysoką, sztormową falę, skryły się niebawem za horyzontem. Z bram granicznej twierdzy Satta wyszły zbrojne hufce Irgów, przebyły Karię i zapadły w Góry Smocze,

skąd niedawno wywiedziono je na podbój świata. W łbbomi, opuszczonym przez niedobitki Urumów i Ceranów, przed szczątkami ołtarza znów stał samotnie Rahe-das-Diie, Zabójca Smoków. Patrzył na niepozorny kopczyk szarego pyłu, w który obróciły się jego marzenia. Patrzył i milczał, nie zwracając uwagi na skupioną w rogu komnaty grupkę obcych, milczących jak i on. Potem, jakby przypomniał sobie o ich istnieniu, odwrócił się i spojrział w oczy stojącemu najbliżej wysokiemu walowi o czarnych włosach, ze śladami oparzeń na twarzy. Popatrzył na przytuloną do niego dziewczynę w srebrnym kombinezonie, na trzymającego się z tyłu starego rycerza w szarym płaszczu.

Głos eneiki zabrzmiał spokojnie i pewnie i tylko trochę było w nim smutku, gdy rzekł:

– Trorr-ud tak chciał i stała się jego wola. Rycerzu Hennasti, czy mógłbyś powtórzyć, co mówiłeś o pojednaniu?

Za plecami towarzyszy kapitan Aghveri nieznacznym ruchem pomacał sakiewkę na piersiach, a wyczuwszy w niej mały, twardy kamyk, powiedział coś do siebie, tak cicho, że ledwie sam usłyszał. Kto znał dobrze szarego rycerza, mógłby śmiało przyjąć, że słowa te brzmiały:

– Trorr-ud? Przysięgłbym, że mam na imię Aghveri.